BIBLIOTEKA
Zakład im. Ossolińskich
73.133

Dezins. DDT
22. MRZ 1955

PANI BOVARY.

przez

GUSTAWA FLAUBERT'A.

Przekład z ostatniego wydania

L. Kacz.

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.

1878.

73 133

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Сентября (9 Октября) 1878 г.

W Drukarni „Przeglądu Tygodn.", ulica Czysta № 2.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Byliśmy w uczelni, kiedy wszedł dyrektor w towarzystwie *nowego* w mieszczańskiem ubraniu, i posługacza niosącego wielki pulpit. Ci, którzy drzemali, przebudzili się, i każdy powstał jak gdyby od pracy.

Dyrektor dał nam znak, abyśmy usiedli, poczem zwracając się do nauczyciela:

— Panie Rogerze, powiedział półgłosem, oto nowy uczeń którego panu polecam; wstępuje do piątej. Jeżeli będzie pilnym i pracowitym, przejdzie do *starszych* gdzie go sam wiek powołuje.

Nowy tymczasem stał w kącie za drzwiami, tak że zaledwie go dostrzedz można było. Był to chło-

pak może piętnastoletni, wyższy od nas wszystkich wzrostem. Miał włosy krótko nad czołem przystrzyżone, jak wiejski śpiewak, i wydawał się bardzo zakłopotanym. Chociaż nie zbyt szeroki w ramionach, zdawał się skrępowany zieloną sukienną kurtką z czarnemi guzikami, z której wyglądały czerwone ręce nie przyzwyczajone do rękawiczek. Łydki jego w niebieskich pończochach wychodziły z żółtawych pantalonów mocno szelkami ściągniętych. Na nogach miał grube skórzane trzewiki niewyglansowe i gwoździami podkute.

Zaczęło się wydawanie lekcyi. *Nowy* słuchał z natężeniem, uważny jak na kazaniu, nie śmiejąc nawet nogi na nogę założyć, lub podeprzeć się łokciem, a kiedy o drugiej godzinie zadzwoniono, nauczyciel musiał mu powiedzieć żeby stanął z nami w szeregu.

Mieliśmy zwyczaj wchodząc do klasy rzucać na ziemię nasze kaszkieciki, żeby mieć ręce wolniejsze; trzeba było od samego progu ciskać je pod ławkę, w taki sposób, żeby uderzały w ścianę i podnosiły jak najwięcej kurzu: taki był *szyk*.

Nowy jednak, czy nie zauważył tego manewru, czy nie śmiał go naśladować, dosyć, że po odmó-

wieniu modlitwy trzymał jeszcze kaszkiecik na kolanach. Było to cóś w rodzaju nakrycia złożonego, znajdowałeś tam pierwiastki czapki kosmatej, okrągłego kapelusza, kaszkietu bobrowego i furażerki, cóś nieokreślonego, tak wyraziście brzydkiego jak twarz idyoty. Jajowatego kształtu i rozepchana fiszbinami, rzecz ta zaczynała się od trzech okrągłych kiszek; dalej szły kolejno, rozdzielone czerwonym paskiem, trójkąty z aksamitu i z króliczej sierci, potem następował rodzaj woreczka zakończonego sztywnym wielokątem wyszywanym szutaszem, z którego się zwieszał na cieniutkim sznurku kwast szychowy. Kaszkiet ten był nowym: daszek lśnił się świeżym lakierem.

— Powstań! — rzekł profesor.

Nowy się podniósł; kaszkiecik jego upadł na ziemię. Cała klasa śmiać się zaczęła.

Schylił się aby go podnieść. Sąsiad wytrącił mu go z ręki, podniósł go powtórnie.

— Dajże już pokój twemu kaszkietowi, rzekł profesor, który był taktownym człowiekiem.

Nowe śmiechy uczniów tak zmieszały biednego chłopaka, że sam nie wiedział, czy miał trzymać

nieszczęśliwy kaszkiet w ręku, czy go zostawić na ziemi, czy włożyć na głowę.

— Powiedz mi jak się nazywasz? rzekł profesor.

Nowy prędko i niewyraźnie wymówił jakieś niezrozumiałe nazwisko.

— Powtórz raz jeszcze!

Te same niewyraźnie wybełkotane zgłoski dały się słyszeć, pokryte szyderskimi okrzykami całej klasy.

— Głośniej! zawołał profesor, głośniej!

Nakoniec *nowy*, uzbroiwszy się w odwagę, otworzył szerokie usta i krzyknął na całe gardło jak gdyby kogo wołał: *Kahbowahy!*

Powstała wrzawa nie do opisania: tupano, krzyczano, śmiano się, powtarzano. *Karbowany! Karbowany!* aż wreszcie uspokoiła się jak wzburzona fala, wybuchając tylko miejscami przytłumionym śmiechem, jak niedogaszona petarda.

Jednakże porządek przywrócony został powoli w klasie pod gradem pokut, i profesor, doszedłszy nakoniec po wielu trudach nazwiska Karola Bovary, które sobie kazał podyktować, przesylabizować i odczytać, wyznaczył na początek biedakowi miejsce na ławce leniuchów, pod katedrą. Chłopak postąpił parę kroków i zawahał się.

— Czego szukasz? zapytał nauczyciel.

— Mego ka... wyjąkał nieśmiało *nowy*, niespokojnie się oglądając.

— Pięćset wierszy całej klasie! wykrzyknięte grzmiącym głosem powstrzymało jak *Quos ego*, nowy wybuch niesfornych pauprów.

— Siedźcie raz spokojnie! mówił dalej oburzony profesor, a otarłszy sobie twarz chustką dobytą z kieszeni: — Ty zaś *nowy*, przepiszesz mi dwadzieścia razy słowo *ridiculus sum*.

Potem dodał łagodniejszym głosem:

— Znajdzie się twój kaszkiecik, nikt ci go nie ukradł!

Wszystko wróciło do porządku. Głowy pochyliły się nad tekami, a *nowy* przez całe dwie godziny zachował się wzorowo, chociaż nie obeszło się bez papierowych kulek, które go w twarz od czasu do czasu trafiały, zręcznie z piórka puszczane. Lecz on tylko twarz sobie dłonią ocierał i siedział nieporuszony.

Wieczorem, w uczelni uporządkował starannie wszystkie swoje rzeczy i poliniował zeszyty. Widzieliśmy jak pracował sumiennie, wyszukując wszystkich wyrazów w słowniku i wiele trudu sobie zadając. Dzięki zapewnie tej pilności i do-

brej woli, nie dostał się do niższej klasy, bo chociaż znał dosyć dobrze cztery działania, nie miał wcale wprawy w stylowe zwroty. Od proboszcza swojej wioski uczył się początków łaciny, gdyż rodzice przez oszczędność jak najpóźniej do szkół go oddali.

Ojciec jego, pan Karol Dyonizy Bartłomiej Bovary, dawny pomocnik sztabowego chirurga, skompromitowany około 1812 roku w sprawach rekruckich i zmuszony w skutek tego służbę opuścić, skorzystał w tym samym czasie z osobistych swoich zalet i w lot pochwycił posag 60,000 frankowy, który mu się nawinął w postaci córki czapnika, rozkochanej w jego powabach. Piękny mężczyzna, blagier, miał zwyczaj brzęczeć głośno ostrogami, nosił faworyty połączone z wąsami, na palcach pełno pierścieni i ubierał się w jaskrawe barwy, co wszystko nadawało mu pozór marsowy, przy łatwem obejściu podróżującego komisanta. Ożeniwszy się, żył kilka lat kosztem żony, dobrze jedząc, dobrze się wysypiając, paląc tytoń z wielkich porcelanowych fajek, powracając do domu dopiero po teatrze i przesiadując po kawiarniach. Teść umarł i nie wiele co zostawił; pan Bovary oburzony wdał się w spekulacye, stracił

na nich, poczem, z resztą funduszów przeniósł się na wieś i chciał gospodarować. Ale ponieważ nie więcej się znał na uprawie ziemi jak na perkalikach, ponieważ zajeżdżał konie zamiast je posyłać do pługa, sam wypijał jabłecznik butelkowany zamiast go w baryłkach sprzedawać, zjadał najlepszy drób z podwórza i smarował myśliwskie kamasze słoniną ze swoich wieprzy, pomiarkował wkrótce, że lepiej było dać pokój wszelkiej spekulacyi.

Najął przeto za dwieście franków rocznie, na granicy Pikardyi i kraju Caue, mieszkanie trzymające środek pomiędzy folwarkiem a dworem, i zgryziony, rozżalony, zły na Pana Boga, zazdroszczący szczęśliwym, zamknął się tam w czterdziestym piątym roku życia, zniechęcony do ludzi, mówił, i pragnie żyć spokojnie.

Żona jego szalała niegdyś za nim; okazywała mu swą miłość nadskakiwaniem, które go do reszty odstręczyło od niej. Daw niej wesoła, wylana i kochająca, starając się została — nakształt zwietrzałego wina, które się zamienia w ocet — gderliwą, piszczącą i nerwową. Tyle wycierpiała bez uskarżania się, widząc go jak biegał za wszystkiemi wiejskiemi spódniczkami, i jak wie-

czorem powracał z hulanek, pijany i zdenerwowany! Wreszcie zbuntowała się jej duma niewieścia. Zamikła, topiąc słuszny gniew swój w niemym stoicyzmie, który aż do śmierci zachowała. Zawsze była zajęta interesami. Chodziła do adwokatów, do prezesa sądu, pamiętała o terminach wypłaty, starała się o uzyskanie zwłoki, w domu zaś prała, prasowała, szyła, dozorowała robotników, płaciła rachunki, podczas gdy pan małżonek nie troszcząc się o nic, zawsze był pogrążony w jakiemś zadąsanem ospalstwie z którego się przebudzał po to tylko, aby jej co nieprzyjemnego powiedzieć, palił fajkę przy kominku, spluwając w popiół.

Gdy została matką, trzeba było dziecko oddać na mamki. Powróciwszy do domu rodziców, chłopak był psuty jak książęce dziecko. Matka pasła go przysmaczkami, ojciec zaś kazał mu biegać boso, a chcąc uchodzić za filozofa, powtarzał nawet, że mógłby chodzić nago, jak dzieci dzikich. Wbrew dążnościom matki, urobił sobie pewien męzki ideał dzieciństwa, na wzór którego usiłował kształcić syna, chcąc go hartować po spartańsku, aby go uczynić wytrzymałym. Kazał mu sypiać w nieopalanym pokoju, uczył go pić rum i szydzić z procesyj. Chłopczyk jednak, z na-

tury spokojny i łagodnego usposobienia, źle odpowiadał ojcowskim usiłowaniom. Matka włóczyła go zawsze za sobą; wykrawała mu figurki z tektury, opowiadała mu różne historye, prowadziła z nim nieskończone rozmowy, przeplatane melancholiczną wesołością i tkliwemi pieszczotami. W swem życiu samotnem, zlała na tę dziecięcą główkę wszystkie swoje rozproszone i zawiedzione nadzieje. Marzyła o świetnem dla niego stanowisku, widziała go już dorosłym, pięknym, rozumnym, zajmującym wysoką posadę w zarządzie dróg i mostów lub w sądownictwie. Sama go uczyła czytać, a nawet śpiewać kilka łatwych romansów przy starym fortepianiku. Ale pan Bovary, nie wielki zwolennik piśmiennictwa i sztuk pięknych, powtarzał zawsze że „to się na nic nie zdało!" Czy im kiedykolwiek wystarczy na to, aby go utrzymać w rządowych szkołach, kupić mu dom handlowy? Zresztą mężczyzna z ładnym *tupetem* zawsze będzie miał powodzenie w świecie. Pani Bovary przygryzała sobie usta, a dzieciak wałęsał się po wsi.

Chodził za oraczami i ciskał bryłami ziemi na kruki które odlatywały. Zbierał jarzyny nad rowami, poganiał indyki długo żerdzią, biegał po

lasach, przetrząsał pokosy podczas sianożęcia, w dnie dżdżyste grał w pliszki z wiejskiemi dziećmi, a w wielkie święta prosił bedela, żeby mu pozwolił dzwonić i uwieszał się za wielką linę szczęśliwy jak go dobrze rozbujała.

To też wyrósł jak młody dębczak. Nabrał siły, ręce jego zgrubiały i twarz zdrowiem zakwitła.

Gdy skończył dwanaście lat, matka wymogła żeby się zaczął uczyć. Obowiązku tego podjął się proboszcz. Jednakże lekcye te były tak krótkie i tak nieregularne, że nie wiele przynosić mogły korzyści. Dawane były w wolnych chwilach, w zakrystyi, stojący, na prędce, pomiędzy chrztem a pogrzebem, lub też proboszcz posyłał po swego ucznia o zmierzchu, kiedy już nie miał wychodzić. Szli wtenczas obadwa do jego pokoju i zasiadali do lekcyi. Komary i ćmy nocne latały w około świecy. Powietrze było parne, dzieciak był śpiący, a poczciwy księżyna, złożywszy ręce na brzuchu, wkrótce zaczynał chrapać z otwartemi ustami. Czasem znowu ksiądz proboszcz, powracając od jakiego chorego z okolicy, któremu wiatyk zanosił, spostrzegał Karolka wałęsającego się po wsi, wołał go do siebie, napominał go przez kwadrans, poczem korzystając ze sposobności ka

zał mu odmieniać jakie słowo łacińskie odpoczywając pod drzewem. Nieraz deszcz im przeszkodził, lub przechodzący znajomy. Zresztą, nauczyciel zawsze był ze swego ucznia zadowolony, mówił nawet, że *młody człowiek* dobrą ma pamięć.

Karolek jednak nie mógł na tem poprzestać. Pani okazała się energiczną. Pan zawstydzony, a może tylko zmęczony, uległ po słabym oporze, rok tylko jeszcze poczekano, aż chłopak odbył pierwszą komunię.

Pół roku jeszcze upłynęło, gdy wreszcie oddano Karolka do kolegium w Rouen, dokąd ojciec sam go odwiózł przy końcu października, podczas jarmarku Św. Romana.

Dziś już żaden z nas nic prawie sobie o nim przypomnieć nie może. Był to chłopak łagodnego usposobienia, pilny w uczelni, uważny w klasie, dobry do zabawy, który miał sen i apetyt wyborny. Dano mu za opiekuna hurtownego galanternika z ulicy Rękawiczniczej, który go zabierał raz na miesiąc, w niedzielę, po zamknięciu sklepu, posyłał go na przechadzkę do portu, aby się napatrzył statkom stojącym na kotwicy, potem go odprowadzał do kolegium o siódmej godzinie, przed wieczerzą. Każdego czwartku, pisał wieczorem długo list

do matki czerwonym atramentem, i pieczętował go trzema opłatkami, potem przepowiadał sobie lekcye historyi, lub czytał stary tomik *Anacharisa* poniewierający się po uczelni. Na przechadzce rozmawiał ze służącym, który był ze wsi tak jak on.

Dzięki usilnej pracy, utrzymywał się ciągle pośrodku klasy, raz nawet dostał pierwszą pochwałę za historyę naturalną. Jednakże po ukończeniu trzeciej klasy rodzice odebrali go z kolegium aby się uczył medycyny, przekonani że potrafi sam się przygotować do *baccalaureatu*.

Matka wyszukała mu pokoik na czwartem piętrze, u znajomego sobie farbiarza. Ułożyła się o zapłatę, wystarała się o potrzebne sprzęty, to jest o stolik i dwa krzesła, sprowadziła z domu stare łóżko z drzewa wiśniowego, i kupiła jeszcze piecyk żelazny wraz z odpowiednim zapasem drzewa, który miał podczas zimy ogrzewać jej ukochane dziecię. Wreszcie odjechała po tygodniowej bytności, zaleciwszy chłopcu, aby się dobrze prowadził, teraz kiedy sam sobie zostawionym został.

Program kursów medycznych, który przeczytał na obwieszczeniu, sprawił mu rodzaj zawrotu

głowy: kurs anatomii, kurs patologii, kurs fizyologii, kurs farmakopei, kurs chemii, i botaniki, i kliniki, i terapeutyki, nie licząc już higieny i nauki o substancyach medycznych, wszystkie nazwy, których nie znał źródłosłowu i które mu się przedstawiały jak bramy przybytków pełnych wysokich tajemnic.

Nic tego wszystkiego nie rozumiał; naprożno słuch i uwagę wytężał, nic pojąć nie mógł. Pracował jednak usilnie, miał pooprawiane zeszyty, uczęszczał na wszystkie kursa, nie opuszczał ani jednego wykładu. Spełniał swoje codzienne zadanie na sposób konia w menażu, który chodzi w kółko z zawiązanemi oczyma, nieświadomy dokonywanej pracy.

Dla oszczędzenia wydatku, matka przysyłała mu co tydzień ćwiartkę upieczonej cielęciny, z której miał śniadanie po powrocie ze szpitala. Potem musiał biedz na wykłady, do sali anatomicznej, jeszcze do szpitala, i przez wszystkie ulice miasta powracać do siebie. Wieczorem, po skromnym obiedzie swego gospodarza, zamykał się w swoim pokoju i brał się znowu do pracy w zmoczonej odzieży, która wysychała na nim parując przy rozpalonym do czerwoności piecyku.

Podczas pięknych letnich wieczorów, w porze, kiedy rozgrzane ulice są puste, a służące grają w wolanta przed domami, otwierał okna i łokciami się na niem opierał. Ze stóp jego płynęła rzeka czyniąca z tej dzielnicy Rouen'u niby parodyę Wenecyi — żółtawa, sina lub szara, pośród szluz i mostów. Robotnicy skuleni na brzegu myli ręce w brudnawej wodzie. Na długich żerdziach powystawianych z poddaszy schły pasma bawełny. Wprost, po za dachami, rozciągał się czysty błękit niebios, zarumieniony ostatniemi promieniami zachodniego słońca. Jak tam dobrze być musiało! Co za chłód pod tamtą buczyną! I rozdymał nozdrza dla wciągania w siebie wiejskich zapachów, które do niego nie dochodziły.

Schudł, wyciągnął się, a twarz jego nabrała wyrazu cierpienia, który ją prawie zajmującą uczynił.

Powoli zaczęło go ogarniać lenistwo i wszystkie piękne zamiary po jednemu się rozwiały. Raz opuścił wykład, nazajutrz nie poszedł na kursa, i zasmakowawszy w próżniactwie, zupełnie na nie przestał uczęszczać.

Nawykł chodzić do kawiarni i roznamiętnił się do domina. Wydało mu się to wyzwoleniem któ-

re go w własnych podnosiło oczach, zamykać się co wieczór w brudnej publicznej sali i uderzać w stół białemi czarno kropkowanemi kostkami. Było to niby wtajemniczenie się w życie światowe, zakosztowanie zakazanego owocu, i wchodząc tam, z uczuciem zmysłowej niemal rozkoszy brał za klamkę. Wtenczas rozwinęło się w nim wiele stłumionych dotąd zdolności, nauczył się na pamięć kupletów, które śpiewał przy kieliszku, zapalił się do Bérenger'a, nauczył się przyrządzać ponez, i poznał wreszcie miłość.

Dzięki tym pracom przygotowawczym, egzamina zupełnie mu się nie powiodły. A tego samego wieczoru oczekiwano go w domu aby obchodzić jego powodzenie!

Wyruszył pieszo i zatrzymał się przy wstępie do wioski, kazał poprosić matki, i wszystko jej opowiedział. Ona go wytłumaczyła, przypisując niepowodzenie niesprawiedliwości egzaminatorów i dodała mu odwagi, biorąc na siebie załagodzenie tej sprawy. W pięć lat później dopiero pan Bovary dowiedział się prawdy; zestarzała się przez ten czas, i przyjął ją taką jaką była, nie mogąc, zresztą przypuścić, aby syn jego był głupcem.

Karol tymczasem zabrał się do pracy i przygotował się bezzwłocznie do powtórzenia egzaminu wyuczywszy się na pamięć wszystkich pytań. Został przyjętym z dosyć dobrą notą. Co za piękny dzień dla matki! Uczciła go też sutym obiadem.

Dokądże się uda sztukę swoją praktykować? Do Tostes. Był tam jeden tylko stary już doktór. Pani Bovary oddawna czyhała na śmierć jego, i poczciwiec nie zwinął był jeszcze manatków, kiedy już Karol wprost niego się usadowił, jako jego przyszły spadkobierca.

Ale nie dosyć było wychować syna, zrobić z niego lekarza i wynaleźć mu Tostes na miejsce praktyki: potrzeba mu było żony. Troskliwa matka i tę mu znalazła w osobie wdowy po komorniku z Dieppe, która miała czterdzieści pięć lat wieku i tysiąc dwieście franków renty.

Chociaż brzydka, sucha jak drzazga i krostowata, pani Dubuc miała konkurentów do wyboru. Mama Bovary musiała ich wszystkich odsunąć, chcąc swojego przeprowadzić, i nawet bardzo zręcznie zniweczyła intrygi pewnego kiełbaśnika popieranego przez księży.

Karol widział w małżeństwie wstęp do lepszego bytu, wyobrażając sobie, że będzie swobodniej-

szym i będzie mógł dowolnie rozporządzać własną osobą i pieniędzmi. Tymczasem stało się inaczej: żona była panią w domu; przepisywała mu co miał przy ludziach mówić, czego nie mówić, musiał pościć piątki, ubierać się tak jak mu kazała, naprzykrzać się pacyentom, którzy zwłóczyli zapłatę za lekarskie wizyty. Otwierała jego listy, śledziła jego kroki i podsłuchiwała konsultacyj, jakie dawał w swoim gabinecie, jeżeli tam były kobiety.

Rano musiała zawsze mieć czekoladę i wymagała tysiącznych względów. Narzekała ustawicznie na nerwy, na piersi, na humory. Odgłos kroków drażnił ją, samotności znieść nie mogła, jak kto przychodził do niej to zapewne po to, żeby zobaczyć czy nie umiera. Kiedy Karol wracał do domu wieczorem, wyciągała z pod kołdry długie i chude ramiona, zarzucała mu je na szyję i posadziwszy go na brzegu łóżka, zaczynała mu opowiadać o swych zmartwieniach: on ją zaniedbywał, kochał inną! Przepowiedziano jej, że będzie nieszczęśliwą; na zakończenie zwykła była żądać jakiego syropu na piersi i trochę więcej miłości.

II.

Jednej nocy obudził ich tentent konia, który się przed drzwiami ich domu zatrzymał. Sługa otworzyła okienko na poddaszu i rozmówiła się z człowiekiem stojącym na dole na ulicy. Przyjechał po pana doktora, miał list do niego. Nastusia, drżąc z zimna, zbiegła ze wschodów i poszła otworzyć zamek i zasuwki, jedne po drugich. Nowo przybyły zostawił konia, i poszedł za służącą aż do sypialni. Wyjął z czapki wełnianej z szaremi kwastami list owinięty gałgankiem, i podał go ostrożnie Karolowi, który wsparł się łokciem o poduszkę aby go przeczytać. Pani przez skromność została obrócona twarzą do ściany a tyłem do pokoju.

List ten zapieczętowany niebieskim lakiem, błagał pana Bovary, żeby się natychmiast udał do folwarku Bertaux, dla nastawienia złamanej nogi. Owóż, z Tostes do Bertaux jest dobrych sześć mil francuzkich bocznemi drogami, przez Longueville i St. Victor. Noc była ciemna zupełnie. Pani Bovary lękała się dla męża wypadków. Postanowiono zatem, że chłopiec stajenny pojedzie przodem.

Karol miał wyruszyć dopiero w trzy godziny później, jak księżyc zejdzie. Miano wyprawić na przeciwko niego parobczaka, aby go do folwarku doprowadził i wrota mu otworzył.

Około czwartej godziny rano Karol dobrze płaszczem otulony ruszył w drogę do Bertaux. Rozespany jeszcze, dawał się kołysać powolnemu truchcikowi spokojnego zwierzęcia. Ilekroć się zatrzymywało z własnego natchnienia przed dołkami opasanemi cierniem, które rolnicy zwykli tu wykopywać przy bruzdach, Karol oprzytomniał na chwilę, przypominał sobie złamaną nogę, i usiłował odświeżyć w pamięci wszystkie tego rodzaju wypadki. Deszcz przestał padać, a na ogołoconych z liści gałęziach jabłoni, siedziały nieruchomie ptaszki, jeżąc piórka na chłód poranny. Płaska równina ciągnęła się jak oko sięgnąć mogło, a kępy drzew otaczające folwarki tworzyły w znacznych odstępach ciemno-fioletowe plamy na tem wielkiem tle szarem, które zlewało się na widnokręgu z posępną barwą nieba. Karol od czasu do czasu otwierał oczy; potem znowu umysł jego znużony powracał do stanu półsennego w którym gdy obecnie doznawane wrażenia łączyły się ze wspomnieniami, sam siebie dwoi-

ście pojmował, razem uczniem i człowiekiem żonatym, leżącym w łóżku jak przed chwilą, i w sali kliniki jak niegdyś. Czuł małą woń kataplazmów razem ze świeżym wyziewem rosy, słyszał skrzypienie żelaznych łóżek i sapanie żony... Przejeżdżając przez Vassonvile spostrzegł wiejskiego chłopaka siedzącego nad rowem.

— Czy pan jesteś lekarzem? zapytał go tenże.

Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, dzieciak wziął w ręce swoje saboty i zaczął biedz naprzód.

Przez drogę lekarz zrozumiał z mowy swego przewodnika, że pan Rouault musiał być jednym z zamożniejszych rolników. Złamał sobie nogę poprzedniego dnia, powracając od sąsiada. Żona jego przed dwoma laty umarła. Miał przy sobie tylko swoją *panienkę*, która mu w domu gospodarowała.

Wyboje stawały się coraz głębszemi. Przybliżano się do Bertaux. Chłopak prześliznąwszy się przez dziurę w płocie, zniknął, a za chwilę nadbiegł z podwórza otworzyć wrota. Koń ślizgał się po wilgotnej trawie, Karol musiał się schylać dla przejechania pod gałęziami drzew. Psy podwórzowe szczekały zajadle rwąc się na swych łańcu-

chach. Gdy wjechał do Bertaux, koń jego spłoszył się i w bok uskoczył.

Był to porządny na oko folwark. Przez otwarte drzwi stajen widzieć się dawały tęgie robocze konie przy nowych żłobach. Wzdłuż budynków ciągnęło się długie dymiące gnojowisko, a pośród kur i indyków przechadzało się z powagą kilka pawi — ulubiony zbytek normandzkich podwórz. Owczarnia była długa, stodoła wysoka, o ścianach gładkich jak dłoń. Pod szopą stały dwa wielkie wozy i cztery pługi, z całemi zaprzęgami, biczami i t. p. Dziedziniec podnosił się zwolna, wysadzony regularnie drzewami, a wesoły gwar stada gęsi rozlegał się w około sadzawki.

Młoda kobieta w niebieskiej merynosowej sukni z trzema falbanami wyszła na próg domu na przyjęcie pana Bovary, którego wprowadziła do izby kuchennej gdzie płonął wielki ogień. Śniadanie dla ludzi gotowało się w mniejszych i większych garnkach. Wilgotne ubrania suszyły się w głębi komina. Łopatka, szczypce i rurka mieszka, wszystko olbrzymich rozmiarów, błyszczały jak stal wypolerowana, podczas gdy pod ścianami piętrzyła się obfita baterya naczyń kuchennych, w których także połyskiwał jasny płomień

ogniska, łącznie z pierwszemi promieniami słońca wpadającemi przez szyby okien.

Zaprowadzono Karola na pierwsze piętro do chorego. Zastał go w łóżku, spoconego pod kołdrami, z odrzuconą precz bawełnianą czapeczką. Był to gruby pięćdziesięcioletni człowieczek, biały i rumiany, o błękitnem oku z łysą czaszką i kolczykami w uszach. Obok niego stała na krześle karafka z wódką, z której nalewał po trochu dla dodania sobie odwagi; lecz zobaczywszy doktora zmiękł, i zamiast kląć jak to czynił od dwunastu godzin, zaczął jęczeć żałośnie.

Złamanie było proste, bez żadnej komplikacyi. Karol nie mógł sobie życzyć lepszego. Przypomniawszy sobie w samą porę obejście swych profesorów przy łożu ranionych, pokrzepił swego pacyenta dobremi słowy, które to chirurgiczne pieszczoty są nakształt oliwy do smarowania lancetów. Na łubki przyniesiono z wozowni pęk łat. Karol wybrał z nich jedną, połupał i wygładził kawałkiem szkła, podczas gdy sługa darła prześcieradła na bandaże, a panna Emma wzięła się do uszycia materacyków. Ponieważ nie mogła zaraz znaleźć naparstka, ojciecza czął się niecierpliwić, nic nie odpowiedziała, lecz szyjąc kłuła się w palce które potem wysysała.

Karol był zdziwiony białością jej paznokci. Były gładkie, cienko zakończone jak kość słoniowa i owalnie przycięte. Ręka młodej panny jednak piękną nazwać się nie mogła... może nie była dosyć bladą, i w stawach trochę za grubą; była także za długą i nie dosyć zaokrągloną. Najpiękniejszemi w niej były oczy: chociaż piwne, wydawały się czarnemi z powodu długich rzęsów, a spojrzenie ich miało coś otwarcie śmiałego.

Po opatrzeniu chorej nogi, lekarz zaproszonym został przez samego pana Rouault'a, aby „coś przekąsił" przed odjazdem.

Karol więc zeszedł na dół do sali jadalnej. Dwa nakrycia ze srebrnemi kubkami położone były na małym stoliku przy łóżku z perkalikową kotarą przedstawiającą turków. Czuć tu było woń korzenia fijałkowego i wilgotnych prześcieradeł, która się dobywała z wysokiej dębowej szafy, wprost okna stojącej. W kątach stały rzędem na ziemi worki ze zbożem. Było to ziarno które się nie pomieściło w sąsiednim śpichrzu, do którego prowadziły trzy kamienne stopnie. Jako ozdoba zawieszony tu był na gwoździu, pośrodku ściany z której opadało zielone malowanie, rysunek czarną kredą, przedstawiający Minerwę, oprawny

w złotą ramkę, z podpisami u dołu gotyckiemi głoskami: „Memu ukochanemu ojcu".

Rozmawiano zrazu o chorym, potem o pogodzie, o wielkich mrozach, o wilkach, które nocami włóczyły się po polach. Panna Rouault wcale nie była zadowoloną z pobytu na wsi, teraz szczególnie, kiedy sama prawie zajmować się musiała całem gospodarstwem folwarcznem. Ponieważ sala była chłodną, trzęsła się cała jedząc, co odkrywało trochę mięsiste jej wargi, które zwykła była przygryzać kiedy milczała.

Szyja jej wychyliła się z białego odkładanego kołnierzyka. Włosy czarne, starannie ugładzone, rozdzielone były na środku głowy wązką białą linijką, dając ledwie koniec ucha dostrzedz i łączyły z tyłu głowy w bogaty warkocz, z lekkiem wydęciem ku skroniom, jakie nasz wiejski lekarz pierwszy raz w życiu widział. Policzki panny Rouault były świeże i rumiane. Pomiędzy jednym a drugim guzikiem stanika miała założoną lornetkę w szyldkretowej oprawie, jak mężczyzna.

Kiedy Karol, pożegnawszy ojca Rouault wstąpił jeszcze do sali przed odjazdem, zastał ją stojącą, z czołem wspartem o szybę, i patrzącą w ogród, gdzie wiatr powywracał tyki od fasoli. Odwróciła się.

— Czy pan czego szuka? zapytała.

— Mojej szpicruty, z przeproszeniem pani, odpowiedział.

I zaczął szperać po łóżku, za drzwiami, pod krzesłami, szpicruta tymczasem leżała na ziemi, pomiędzy ścianą a workami zboża. Spostrzegła ją panna Emma, i pochyliła się ku workowi. Karol przez grzeczność chciał ją uprzedzić, i wyciągając rękę w tym samym kierunku, dotknął piersiami pleców młodej dziewczyny. Wyprostowała się cała zarumieniona i spojrzała na niego przez ramię podając mu jego pejcz rzemienny.

Zamiast za trzy dni jak był obiecał, Karol Bovary zaraz nazajutrz powrócił do Bertaux, potem dojeżdżał tam regularnie dwa razy na tydzień, nie licząc przypadkowych odwiedzin, które nie szły w rachubę.

Zresztą wszystko szło jak najlepiej; wyzdrowienie zestawionej nogi odbyło się prawidłowo, a kiedy po upływie czterdziestu sześciu dni ujrzano ojca Rouault'a probującego chodzić o własnej sile, zaczęto uważać pana Bovary za człowieka wielkich zdolności. Ojciec Rouault powtarzał że najpierwsi doktorzy z Yvetot a nawet z Rouen lepiejby go nie byli wyleczyli.

Co do Karola, ten nie probował nawet badać samego siebie dla czego z taką przyjemnością jeździł do Bertaux. Gdyby był o tem pomyślał, byłby zapewne przypisał gorliwość swoją ważności wypadku, lub może spodziewanym z tej kuracyi zyskom. Czy dla tego jednak, wycieczki na folwark Bertaux stanowiły dlań pożądany wyjątek pośród nędznych jego codziennych zatrudnień? W te dni wstawał raniej niż zwykle, popędzał swego wierzchowca, siadał aby sobie obuwie oczyścić na trawie, i przed wejściem wkładał na ręce czarne rękawiczki. Lubił wjeżdżać w podwórze, słyszeć skrzypienie wrot, pianie koguta, widzieć chłopaków, którzy wybiegali na jego spotkanie. Lubił stodołę i stajnię; lubił ojca Rouault'a, który go w dłoń uderzał, nazywając go swym zbawcą; lubił stukanie obcasków panny Emmy po wymytej kamiennej podłodze kuchennej; koreczki podwyższały ją trochę, a kiedy szła przed nim, drewniane jej podeszwy z suchym odgłosem ocierały się o skórę obuwia.

Odprowadzała go zawsze aż do pierwszego stopnia ganeczku. Jeżeli jeszcze nie przyprowadzono jego konia, czekała. Pożegnano się już, nie rozmawiano; wiatr rozrzucał drobne kędziorki na jej

karku lub igrał z szarfami jej fartuszka, które skręcały się jak wstążki. Jednego razu podczas wiosennej odwilży, kora na drzewach pociła się w podwórzu, i śnieg topniał na dachach. Emma stała na progu; słońce ją raziło i poszła do pokoju po parasolkę, którą otworzyła. Mieniona materya parasolki odbijała się w połyskliwych barwach na białej twarzyczce młodej dziewczyny. Ona sama uśmiechała się do ciepła i słońca, a krople wody kapały po jednej na rozpostartą morę.

W pierwszych czasach bywania Karola w Bertaux, pani Bovary młodsza nie omieszkiwała nigdy zapytywać o zdrowie chorego, i nawet w księdze którą na swoją rękę utrzymywała, zachowała czystą kartkę dla pana Rouault'a. Lecz gdy się dowiedziała że miał córkę, zaczęła bliższych zasięgać wiadomości, i dowiedziała się że panna Rouault wychowana w klasztorze Urszulinek, odebrała *piękną edukacyę*, uczyła się geografii, tańca i rysunku, umiała haftować i grać na fortepianie. Tego już było za nadto!

— Więc on dla tego ma twarz tak rozpromienioną kiedy tam jedzie, i kładzie nową żakietę, narażając ją na zamknięcie! Ach! ta kobieta! ta kobieta!...

I znienawidziła ją instynktownie. Zrazu pozwalała sobie tylko ogólnikowych przymówek, Karol ich wcale nie rozumiał, następnie szukała ulgi w ostrych przycinkach, które puszczał mimo uszu w obawie burzy; wreszcie uciekła się do stanowczych wyrzutów, na które nie wiedział co odpowiedzieć. Po co jeździ ciągle do Bertaux, kiedy pan Rouault już wyzdrowiał? Ci ludzie nawet mu jeszcze nie zapłacili! A! bo tam jest *jedna osoba*, która umie prowadzić rozmowę, haftarka, literatka! To mu się podobało: potrzeba mu miejskich panienek! I zaraz dodawała:

— Córka starego Rouault'a, miejską panienką! Boże dobry! dziadek ich był pastuchem, i mają krewnego, który o mało co pod sąd się nie dostał za karczemną burdę. Jest też komu tony pokazywać, i pojawiać się w niedzielę w kościele w jedwabnej sukni, jak jaka hrabina! To biedaczysko zresztą, i gdyby nie przeszłoroczny rzepak, byłby miał niemały kłopot zkąd wziąść pieniędzy na zapłacenie zaległych rat dzierżawnych!

Dla miłości pokoju, Karol przestał jeździć do Bertaux. Heloiza kazała mu przysiądz, że więcej tam nie pojedzie, z ręką na mszalnej książce, po gwałtownej scenie łez i pocałunków, w chwili

wielkiego wybuchu miłości. Zrobił więc co chciała, lecz samą siłą pragnienia protestował przeciwko służalstwu swego postępowania; i przez rodzaj naiwnej hipokryzyi osądził, że ten zakaz jej widywania upoważniał go poniekąd do kochania jej. Nadto, wdowa była chuda jak drzazga; miała długie zęby, w każdej porze roku nosiła mały czarny szalik, którego końce spadały jej pomiędzy łopatki; kibić jej sztywna uwięzioną zawsze była w sukni podobnej do futerału, krótkiej do kostek, z pod której wyglądały wstążeczki szerokich jej trzewików, skrzyżowane na popielatych pończochach.

Matka Karola odwiedzała ich niekiedy; lecz po niejakim czasie, synowa zdawała się przerabiać ją na swoje kopyto, i wzięły go we dwa ognie swemi uwagami i przestrogami. Po co tak wiele jadł? Po co pierwszego lepszego wódką częstował? Co za upór, żeby nie chcieć nosić flanelowego kaftnika!

Trafiło się, że z początkiem wiosny notaryusz z Ingouville, u którego złożone były fundusze wdowy Dubuc, z pomyślnym wiatrem uleciał zabrawszy z sobą wszystkie pieniądze. Heloiza posiadała wprawdzie jeszcze, oprócz udziału w stat-

ku ocenianego na 6,000 franków, dom przy ulicy Św. Franciszka; jednakże z całego tego tak wygłaszanego majątku, nic prócz trochy sprzętów i gałganów nie weszło do wspólnego gospodarstwa. Należało rzecz tę wyjaśnić. Dom w Dieppe pokazał się przeciążony długami hipoteczymi, Bogu tylko było wiadomo co złożyła u notaryusza, a udział w wartości statku nie przenosił 1,000 franków. Jejmość skłamała więc! Pan Bovary w słusznem oburzeniu rozbił krzesło o podłogę i oskarżył żonę, że uczyniła syna nieszczęśliwym sprzęgając go z tą starą szkapą, której skóra nie starczyła za wyprawę. Udali się oboje do Tostes. Nastąpiły objaśnienia, a po nich sceny gwałtowne. Heloiza łzami zalana rzuciła się w objęcia męża, zaklinając go aby ją bronił przed rodzicami. Karol sprobował za nią przemówić. Pogniewali się i odjechali.

Ale cios był zadany. W tydzień później rozwieszając bieliznę na podwórzu, Heloiza dostała krwotoku płucnego, i nazajutrz, w chwili gdy Karol odwrócił się dla spuszczenia firanki, wyrzekła: — Ach mój Boże! westchnęła i omdlała... Juz nie żyła. Co za dziwo!

Gdy wszystko ukończone zostało na cmentarzu, Karol powrócił do siebie. Nie zastał nikogo

na dole; wszedł na pierwsze piętro do sypialni, zobaczył jej suknię zawieszoną jeszcze u drzwi alkowy, wtedy wsparłszy się o biurko, pozostał aż do wieczora pogrążony w bolesnej zadumie. Ona go jednak kochała!...

III.

Jednego poranku ojciec Rouault przyniósł Karolowi zapłatę za zestawioną nogę siedmdziesiąt pięć franków samemi czterdziestówkami i tucznego indyka. Dowiedział się o jego nieszczęściu i starał się pocieszyć go jak mógł najlepiej.

— Ja wiem co to jest! mówił uderzając go po ramieniu, ja też przez to samo przechodziłem! Gdym stracił moją biedną nieboszczkę, chodziłem po polach szukając samotności; rzucałem się pod drzewo, płakałem, wzywałem Pana Boga, gadałem Mu głupstwa, byłbym chciał schować się pod ziemię jak kret, pragnąłem śmierci. A pomyślawszy, że w tej samej chwili drudzy mają obok siebie ukochane żoneczki, które mogą ściskać kiedy chcą, uderzałem laską w ziemię, byłem jak obłąkany, jeść nie mogłem, sama myśl pójścia do kawiarni

wstrętem mnie przejmowała... I cóż powiesz? powoli, dzień za dniem upływał, wiosna następowała po zimie i jesień po lecie, wszystko to rozeszło się po trochu, po odrobinie... to jest zmniejszyło się, bo zawsze pozostało cóś w głębi... niby ciężar... to na piersiach! Ale ponieważ wszyscy temu samemu losowi podlegamy, nie trzeba się oddawać zbytniej żałości i chcieć umierać dla tego że drudzy umierają... Trzeba się z tego otrząsnąć, panie Bovary, to przejdzie... Przyjdź pan do nas; moja córka nieraz pana wspomina i mówi żeś pan o nas zapomniał. Wkrótce nadejdzie wiosna, puścimy panu dla rozrywki królika.

Karol usłuchał przyjacielskiej rady. Pojechał w odwiedziny do Bertaux; zastał wszystko tak samo jak było wczoraj! to jest przed pięcioma miesiącami. Drzewa gruszkowe już kwitły, a poczciwiec Rouault, ciągle na nogach, cały folwark ożywiał czynnością swoją.

Uważając za swój obowiązek jak najwięcej grzeczności okazywać lekarzowi, ze względu na jego smutne położenie, mówił do niego zniżonym głosem jak do chorego, i nawet rozgniewał się niby za to, że nie przysposobiono na cześć jego cóś wy-

kwintniejszego, jak ubitej śmietany lub kompotu z gruszek. Opowiadał zajmujące historye. Karol rozweselił się na chwilę, wspomnienie żony zasępiło go. Przyniesiono kawę, zapomniał znowu o swem zmartwieniu.

Coraz mniej o niem myślał, w miarę jak się przyzwyczajał żyć samym. Nieznana mu dotąd przyjemność niezależności uczyniła samotność znośniejszą. Mógł teraz dowolnie zmieniać swoje godziny obiadowe, wychodzić i powracać bez opowiadania się nikomu i wyciągać swobodnie na łóżku, kiedy był zmęczonym. Pieścił się więc, dogadzał sobie i przyjmował pociechy jakich mu udzielano. Z drugiej strony, śmierć żony nie zaszkodziła mu w jego zawodzie, gdyż powtarzano przez cały miesiąc: „Biedny człowiek co za nieszczęście!" Imie jego nabrało rozgłosu, praktyka się zwiększyła; nadto, mógł odwiedzać Bertaux ile mu się razy podobało. Miał jakąś niewyraźną nadzieję, jakiś rodzaj wewnętrznego zadowolenia, znajdował się przystojniejszym przyczesując faworyty przed zwierciadłem.

Jednego dnia przybył do Bertaux około trzeciej godziny po południu; wszedł do kuchni, lecz zrazu nie spostrzegł Emmy, gdyż okiennice były

przymknięte. Przez szpary w drzewie słońce wyciągało na podłodze długie wązkie smugi, które się załamywały na sprzętach i drżały na suficie. Muchy na stole właziły na szklanki i brzęczały, topiąc się w resztkach jabłecznika na dnie pozostałych. Światło wpadające przez komin nadawało aksamitny połysk sadzom osiadłym na blasze i niebieskawy odcień zimnym popiołom. Emma szyła pomiędzy oknem a kominem; nie miała chusteczki na szyi dla upału, a na obnażonych jej ramionach błyszczały drobne kropelki potu.

Zobaczywszy gościa, chciała go zaraz czem poczęstować, podług wiejskiego obyczaju. Podziękował, ona nalegała, wreszcie ofiarowała mu że się z nim napije likieru. Poszła więc do szafy po butelkę kiurasao, przyniosła dwa małe kieliszki, jeden napełniła po same brzegi, do drugiego wlała parę kropel i trąciwszy się nim poniosła go do ust. Ponieważ był prawie próżny, przechyliła w tył głowę i z wyciągniętemi usty śmiała się że nic nie czuje, podczas gdy końcem języka wysuniętego z pomiędzy drobnych ząbków, dotykała spodu kieliszka.

Usiadła wreszcie i wzięła porzuconą na chwilę robotę; była to biała bawełniana pończoszka

którą cerowała; pracowała ze spuszczoną głową i milczała; Karol także nic nie mówił. Przeciąg powietrza z podedrzwi pędził atomy kurzu po kamiennych płytach, Karol im się przypatrywał machinalnie, słuchając tylko bicia własnych pulsów i gdakania kury, która się niosła gdzieś w podwórzu. Emma od czasu do czasu chłodziła sobie policzki dłonią, którą pierwej przykładała do żelaznych gałek wilków z komina.

Skarżyła się że od początku wiosny cierpi zawrót głowy i zapytywała czyby jej nie służyły morskie kąpiele, rozpowiadała mu potem o swym klasztorze, on jej nawzajem o swoich szkolnych czasach i rozgadali się. Zaprowadziła go do swego pokoju. Pokazała mu swoje nuty, książki które otrzymała za nagrodę i wieńce z dębowych liści na dole w szafie schowane. Rozpowiadała mu jeszcze o swej matce, o cmentarzu i pokazała nawet w ogrodzie grządkę z której zrywała kwiaty — pierwszego piątku każdego miesiąca, dla strojenia nimi grobu matki. Lecz ogrodnik nic się na tem nie znał, ci ludzie tak byli niezręczni! Bardzoby chciała chociaż przez zimę mieszkać w mieście, jakkolwiek długość pięknych dni czyni wieś jeszcze nudniejszą w porze letniej; — a sto-

sownie do tego co mówiła, głos jej był czysty, przenikliwy, lub nagle stając się omdlewającym, nabierał modulacyj przechodzących w szept prawie, kiedy jakby sama do siebie mówiła, — albo wesoła, otwierała zaciekawione oczy i znowu przymykając powieki, patrzyła znudzonym wzrokiem, myślą daleko gdzieś wybiegając.

Powróciwszy do domu wieczorem, Karol przechodził myślą wszystkie jej słowa, usiłując je sobie przypomnieć, dopełnić ich znaczenie, aby sobie zrobić wyobrażenie o sposobie życia jakie prowadziła wtenczas, kiedy jej jeszcze nie znał. Lecz zawsze wyobraził sobie albo taką jaką ją pierwszy raz zobaczył, albo taką jaką ją przed chwilą pożegnał. Potem zadawał sobie pytanie co się z nią stanie jeżeli pójdzie za mąż, i za kogo? niestety! ojciec Rouault był bardzo bogatym, a ona... ona tak piękną! Lecz twarz Emmy stawała mu ciągle przed oczyma, a głos monotonny jak brzęczenie bąka powtarzał mu ustawicznie: „A gdybyś ty się z nią ożenił? gdybyś ty się z nią ożenił?" W nocy spać nie mógł, w gardle go ściskało, pragnienie mu dokuczało, wstał żeby się napić i otworzył okno; niebo zasiane było gwiazdami, wiatr ciepły powiewał, z daleka słychać było

psów szczekanie. Obrócił głowę w stronę folwarku Bertaux.

Pomyślawszy, że wreszcie nie miał nic do stracenia, Karol postanowił się oświadczyć gdy się trafi sposobność; lecz ilekroć się trafiła, obawa żeby słów nie znaleźć stosownych zamykała mu usta.

Ojciec Rouault nie był wcale od tego żeby się pozbyć córki, która mu nie wielką była w domu pomocą. Tłumaczył ją w duchu tem że za zbyt miała wiele ukształcenia do gospodarstwa, które to rzemiosło było najnędzniejszem w świecie, ponieważ nie widziano nigdy rolnika milionerem. Zamiast się zbogacić, przeciwnie tracił z każdym rokiem; bo jeżeli celował w handlach, mając upodobanie w kupieckich wykrętach, za to do właściwego gospodarstwa oraz do wewnętrznego zarządu folwarkiem, mniej od kogokolwiek był sposobnym. Lubił trzymać ręce w kieszeni i nie żałował pieniędzy na wydatki domowe, chcąc dobrze zjeść, dobrze się wyspać, mieć ciepło w mieszkaniu. Lubił mocny jabłecznik, tłustą baraninę, dobrze ubitą *glorię*. Jadał zwykle w kuchni, sam jeden, wprost komina, na stoliku który mu przynoszono już zastawionym, jak w teatrze.

Gdy więc pomiarkował, że Karol czerwienił się przy córce jego, co znaczyło że lada dzień poprosi o jej rękę, naprzód obmyślił całą sprawę. Znajdował go wprawdzie trochę chuderlawym, wolałby był innego zięcia; lecz mówiono że się dobrze prowadzi, że jest rozsądny, ukształcony, i zapewne nie będzie wymagającym pod względem posagu. Owóż, ponieważ ojciec Rouault zmuszony był sprzedać dwadzieścia dwa akry swego „majątku", ponieważ winien był dosyć murarzowi, nie mniej wymarzone, ponieważ stępor w tłokarni trzeba było odnowić, powiedział sobie.

— Jeżeli się o nią oświadczy, to mu ją dam.

Około Św. Michała, Karol na trzy dni przyjechał do Bertaux. Ostatni dzień upłynął jak pierwsze, na odkładaniu stanowczej rozmowy od kwadransa do kwadransa. Ojciec Rouault odprowadzał go, postępowali obok siebie głęboką drogą: chwila była sposobna. Karol naznaczył sobie termin u końca płotu, gdy go wyminęli:

— Panie Rouault, wyszeptał, chciałbym wam coś powiedzieć...

Stanęli. Karol milczał.

— Ale mówić! czy to nie wiem o co ci chodzi? rzekł ojciec Rouault uśmiechając się filuternie.

— Ojcze Rouault... ojcze Rouault... jąkał Karol...

— Ja nie mam nic przeciwko temu, ciągnął dalej robotnik. Chociaż mała zapewne myśli tak samo, trzeba jej przecież zapytać o zdanie. Idźże sobie teraz, ja powrócę do domu. Jeżeli powie *tak*, nie potrzebujesz się wracać... dla ludzi... zresztą, toby ją nadto wzruszyło. Żebyś sobie jednak krwi nie psuł, otworzę całą okiennicę od kuchni; będziesz to mógł zobaczyć wychyliwszy się trochę za płot.

I oddalił się.

Karol przywiązał konia do drzewa, a sam stanął na czatach na ścieżce i czekał. Upłynęło pół godziny... potem doliczył na zegarku do dziewiętnastu minut. W tem coś stuknęło; okiennica się otworzyła i uderzyła aż o ścianę.

Nazajutrz Karol o dziewiątej godzinie już był na folwarku. Emma zarumieniła się skoro wszedł, uśmiechając się jednak dla formy. Ojciec Rouault uściskał swego przyszłego zięcia. Wszelkie układy na później odłożono; było jeszcze dosyć czasu do obmyślenia wszystkiego, gdyż ślub nie mógł nastąpić przed ukończeniem żałoby Karola, to jest wiosną roku przyszłego.

Zima przeszła na tem oczekiwaniu. Panna Rouault zajmowała się swoją wyprawą. Część jej obstalowano w Rouen, sama zaś szyła sobie koszule i czepeczki, podług pożyczonych wzorów. Podczas odwiedzin Karola, rozmawiano o przygotowaniach weselnych, układano w którym pokoju nakryje się do stołu, ile trzeba będzie podać półmisków i jakie wety.

Emma byłaby wolała brać ślub o północy, przy pochodniach; lecz ojciec Rouault pojąć nie mógł tej zachcianki. Wyprawiono więc wesele na które przybyło czterdzieści trzy osoby; siedziano szesnaście godzin przy stole, którą to ucztę powtórzono po trochu nazajutrz i dni następnych.

IV.

Zaproszeni przybyli wcześnie, powozami, jednokonnemi karyolkami, dwukonnymi wózkami, starymi karyklami bez budy, brykami o skórzanych firankach, a młodzież z sąsiednich wiosek na drabiniastych wozach z rękami opartemi o drążki, żeby nie upaść przy silnem trzęsieniu. Nazjeżdżali się z dziesięciomilowego obwodu; z Goder-

ville, z Normanville i z Cauy. Pospraszano wszystkich krewnych obudwu rodzin, pogodzono się z poróżnionymi przyjaciołmi, porozpisywano listy do znajomych oddawna z oczu straconych.

Od czasu do czasu słyszano trzaskanie z bicza za płotem; niebawem otwierały się wrota i wjeżdżała karyolka. Pędząc galopem aż do pierwszego stopnia ganku, stawała nagle i wyrzucała napełniającą ją publikę, która ze wszystkich stron wysiadała rozcierając sobie kolana i prostując ramiona. Panie w czepeczkach, miały suknie kroju miejskiego, złote łańcuszki przy zegarkach, pelerynki z końcami u pasa skrzyżowanemi, lub kolorowe chusteczki szpilką z tyłu przypięte. Małe chłopcy, podobnie do swych ojców ubrani, zdawali się skrępowani w nowych kurtkach, niektórzy z nich nawet pierwszy raz w życiu mieli buty na nogach, — obok nich widziano milczącą i nieśmiałą, w białej sukience od pierwszej komunii, przydłużonej na tę uroczystość, czternasto lub czesnastoletnią dziewczynkę, zapewne kuzynkę ich lub starszą siostrę, czerwoną, zalęknioną, z włosami wysmarowanemi różaną pomadą, i w ciągłej obawie żeby nie zbrudzić świeżych rękawiczek. Ponieważ nie było dosyć parobków

ków do wyprzęgania wszystkich koni, panowie zawijali rękawy i sami czynność tę spełniali. Stosownie do swego położenia towarzyskiego, mieli na sobie fraki, tużurki, kapoty, kurtki: — wszystko to świeże, otoczone poważaniem całej rodziny, tylko na wielkie uroczystości na świat boży występujące: surduty z wielkiemi połami na wiatr rozwianemi, z okrągłym kołnierzem, z kieszeniami szerokiemi jak worki, żakiety z grubego sukna, zwykle w parze z czapeczką o miedzianej opasce nad daszkiem; kurtki bardzo krótkie, z dwoma guzikami na tyle, świecącemi jako para oczu, które zdają się jakby z jednej sztuki ciesielskim toporem wykrojone. Niektórzy jeszcze (ale ci, zapewne, musieli na szarym końcu obiadować) mieli na sobie bluzy odświętne, to jest z kołnierzem wyłożonym na ramiona, ufałdowanemi drobno plecami i szytym pasem bardzo nizko przepięte.

A gorsy od koszul na piersiach wydymały się jak pancerze! Wszyscy panowie byli na świeżo wystrzyżeni, uszy odstawały im od głowy, byli czysto ogoleni; niektórzy nawet wstawszy przed świtem i goląc się przez pół po ciemku mieli kresy pod nosem, lub na policzkach skórę pozdrapywaną miejscami, co zaczerwienione od chłodnego

wiatru podczas drogi, upstrzyło w różowe kółka wszystkie te pilne i rozpromienione oblicza.

Ponieważ merostwo znajdowało się tylko o pół milki od folwarku, pieszo się tam udano po dopełnieniu kościelnego ślubu. Orszak weselny, zrazu jednolity jak różnobarwna wstęga wijąca się przez pole wzdłuż wązkiej ścieżki pośród zbóż zielonych, porozrywał się niebawem na pojedyncze gromadki, które się opóźniały rozmawiając. Muzykant szedł naprzód, ze skrzypcami ustrojonemi we wstęgi barwiste; za nim postępowali nowożeńcy, krewni, przyjaciele i znajomi, a dzieci pozostawały w tyle, bawiąc się zrywaniem kwiatków z pomiędzy owsa lub goniąc się za plecami starszych. Suknia Emmy, trochę powłóczysta, zaczepiała się o trawy; od czasu do czasu młoda oblubienica, unosiła ją nieco i delikatnie oczyszczała z kolców ostu i innego zielska, podczas gdy Karol czekał z próżnemi rękoma aż skończy. Ojciec Rouault, w nowym kapeluszu na głowie, i wyłogami od rękawów spadającemi mu aż do paznokci, podawał ramię starszej pani Bovary. Pan Bovary ojciec, który lekceważąc to całe towarzystwo, przybył sobie w surduciku na jeden rzęd guzików zapiętym, kroju wojskowego, prawił

tymczasem karczemne grzeczności młodej jasnowłosej wieśniaczce. Dziewczyna dygała, rumieniła się i sama nie wiedziała co odpowiadać. Inni rozmawiali o swoich interesach lub sobie płatali wzajemnie figle, zaprawiając się zawczasu do wesołości, a całemu temu gwarowi towarzyszyły ciągle tony skrzypka, który nie przestawał przygrywać. Ilekroć spostrzegł że znacznie wszystkich wyprzedził, zatrzymywał się, nacierał dobrze kalafonią smyczek, żeby lepiej skrobał po strunach, poczem szedł znowu dalej, podnosząc i zniżając kolejno szyjkę swoich skrzypiec, dla lepszego oznaczenia muzycznego rytmu. Dźwięki instrumentu wystraszały ptastwo gnieżdżące się w krzakach przydrożnych.

Stół zastawiono pod szopą wozowni. Podano cztery pieczenie wołowe, sześć półmisków potrawy z kurcząt, duszoną cielęcinę, trzy ćwiartki skopowiny; środek stołu zajmowało tłuste prosię pieczone, ubrane czterma kiełbaskami ze szczawiem. W rogach stołu stały karafki z wódką. Butelki ze słodkim jabłecznikiem miały przy karkach kołnierze z gęstej piany, a wszystkie kieliszki naprzód już napełnione zostały winem po same brzegi. Wielkie półmiski z żółciutką śmietaną,

która się kołysała na wszystkie strony za najlżejszem poruszeniem stołu, przedstawiały na swej gładkiej powierzchni cyfry nowożeńców usypane z maczku kolorowego. Sprowadzono cukiernika z Yvetot, który upiekł torty i placki ze smażonemi owocami. Ponieważ to był pierwszy jego występ w tej okolicy, pracował sumiennie, przyniósł nawet na wety arcydzieło swojej sztuki, które wywołało głośne okrzyki podziwu. Podstawę jego tworzył czworokąt z niebieskiej tektury, przedstawiający świątynię z portykami, kolumnadą i posążkami z gipsu marmurowego w niszach wyklejonych złoconym papierem; na niej stała wieża z ciasta śmietankowego, otoczona pomniejszemi warowniami ze smażonego dzięglu, migdałów, rodzenków i ćwiartek pomarańcz; wreszcie na samym wierzchu, przedstawiającym zieloną łąkę ze skałami i jeziorami z konfitur, po których pływały statki z orzechowych łupin, widziano małego Amorka, bujającego się na czekoladowej huśtawce, której dwa słupki zakończone były w miejscu kulek dwoma naturalnemi pączkami róży.

Uczta trwała do samego wieczora. Kto się zmęczył siedzeniem, szedł się przechadzać po podwórzu lub zagrać w korki w stodole, poczem wracał

do stołu. Niektórzy z gości zdrzemnęli się nawet i chrapali. Przy kawie dopiero wszystko się ożywiło, zaczęto śpiewać piosneczki, mocowano się, podnoszono ciężary, probowano dźwigać wozy na ramionach, dowcipkowano, całowano damy. W chwili odjazdu, konie napasione owsem nie mieściły się w hołoblach; wierzgały, stawały dęba, zaprzęgi się zerwały, panowie klęli lub się śmieli; a przez całą noc, po okolicznych drogach tętniły przy świetle księżyca wozy i wózki pędząc galopem po kałużach i kamieniach, zaczepiając i krzaki przydrożne — pełne kobiet, które się wychylały aby lejce pochwycić.

Ci, którzy pozostali w Bertaux, pili przez całą noc w kuchni folwarcznej. Dzieci pospały się pod ławkami.

Panna młoda uprosiła ojca żeby jej oszczędzono zwykłych przy weselnych uroczystościach żartów i facecyj. Jednakże jeden z ich krewnych, handlarz ryb morskich (który nawet przywiózł parę takowych na ślubny podarunek), zaczynał już wdmuchywać do małżeńskiej komnaty wodę przez dziurkę od klucza, gdy ojciec Rouault nadszedł w sam czas, żeby go powstrzymać i wytłumaczył mu, że poważne stanowisko zięcia jego nie po-

zwalało na takie nieprzyzwoitości. Kuzynek wszakże z trudnością ustąpił tym względom. Nazwał w duchu ojca Rouault dumnym i przyłączył się na uboczu do kilku innych gości, którzy dostawszy przypadkiem przy stole raz po razu gorsze kawałki mięsiwa znajdowali także iż ich źle przyjęto, szydzili po cichu z gospodarza i niemal dwie ruiny mu nie życzyli.

Starsza pani Bovary ani ust przez cały dzień nie otworzyła. Nie zasięgnięto jej rady ani co do ślubnego stroju synowej, ani co do urządzenia weselnej uczty, wcześnie też odjechała. Małżonek zamiast jej towarzyszyć posłał po cygara do St. Victor i palił je do białego dnia popijając grok na wiśniaku, napój nieznany reszcie towarzystwa, co go jeszcze wyżej w oczach tych poczciwców postawiło.

Karol nie był usposobienia jowialnego; nie błyszczał też dowcipem podczas wesela. Odpowiadał z umiarkowaniem na docinki, dwójznaczniki, powinszowania i tłuste żarciki jakiemi go z obowiązku obsypywano od początku obiadu.

Za to nazajutrz, innym się stał człowiekiem. Jego to raczej możnaby było wziąść za wczorajszą dziewicę, podczas gdy nowo zaślubiona nic po

sobie odgadnąć nie dawała. Najprzenikliwsi nie wiedzieli co mówić i wpatrywali się w nią kiedy przechodziła, z niesłychanem wytężeniem umysłu. Lecz Karol z niczem się nie ukrywał. Nazywał ją poufale swoją żoną, ciągle się o nią pytał, wszędzie jej szukał i często pociągał ją z sobą w podwórze, gdzie go widziano z daleka, pomiędzy drzewami, jak ją wpół obejmował i w szyję całował.

Trzeciego dnia po weselu odjechali nowożeńcy; Karol nie mógł na dłużej opuszczać swoich chorych. Ojciec Rouault odesłał ich swoją karyolką i sam ich odprowadził aż do Vassonville. Tam raz jeszcze córkę uściskał, wysiadł i pieszo zawrócił do domu. Uszedłszy ze sto kroków stanął, a spojrzawszy za oddalającą się karyolką, której koła obracały się wśród tumanu kurzu, westchnął głęboko. Potem przypomniał sobie swoje własne wesele, swoje dobre dawne czasy, pierwszą ciążę swej żony; on także bardzo był szczęśliwym w dzień, kiedy ją od ojca jej przywiózł do swego domu po śniegu; było to bowiem około Bożego Narodzenia i pola pokryte były białym całunem; siedziała za nim na koniu i obejmowała go jednem ramieniem, drugą ręką trzymając koszyk;

wiatr powiewał długiemi koronkami jej normandzkiego czepeczka, które muskały go czasem po twarzy, a gdy odwracał głowę, widział tuż przy swem ramieniu różową jej twarzyczkę, która mu się wdzięcznie uśmiechała z pod złotej blachy czepeczka. Żeby sobie ogrzać paluszki, kładła mu je od czasu do czasu na piersiach. Jakież to stare dzieje! Syn miałby dziś trzydzieści lat! Poczciwiec obejrzał się raz jeszcze i nic już nie zobaczył na drodze. Zrobiło mu się smutno jak w opustoszałym domu; a gdy tkliwe wspomnienia połączyły się z czarnemi marami w umyśle jego przyćmionym wyziewami uczty, przyszła mu na chwilę chęć przejścia się w stronę kościoła. Bojąc się jednak aby ten widok bardziej go jeszcze nie zasmucił, powrócił prosto do domu.

Państwo Karolowie przybyli do Tostes około szóstej godziny wieczorem. Sąsiedzi śpieszyli do okien żeby zobaczyć nową małżonkę swego doktora.

Stara sługa wyszła na ich spotkanie, powitała nową panię, przepraszając za to że obiad jeszcze nie gotowy, i prosząc aby pani tymczasem obejrzała swój dom.

V.

Front murowany stał w jednej linii z ulicą, a raczej z drogą. Za drzwiami wchodowemi wisiały na gwoździach płaszcz z wązkim kołnierzem, trzelka, czarny skórzany kaszkiecik, a w kącie na ziemi leżała para kamaszy jeszcze zabłoconych. Po prawej stronie była sala, to jest pokój w którym jadano i siadywano. Papierowe jasnokanarkowe obicie, podniesione w górze jaskrawszym nieco szlaczkiem, odstawało miejscami od ściany, w oknach krzyżowały się białe perkalowe z czerwonym szlakiem firanki, a na wązkim kominku błyszczał pod owalnym kloszem zegar z głową Hippokratesa, pomiędzy dwoma platerowanemi świecznikami. Po drugiej stronie korytarza był gabinet Karola, malutki pokoik, którego całe umeblowanie stanowił stolik, trzy krzesełka i fotel urzędowy. Kilkanaście tomów *Słownika nauk medycznych*, nie poprzecinanych, lecz zniszczonych wszystkiemi sprzedażami przez jakie przechodziły, zajmowały same prawie sześć półek sosnowej biblioteki. Kuchenne zapachy dochodziły tu przez cienką ścianę, a w zamian za to słychać

było w kuchni chorych, którzy opowiadali swoje cierpienia. Dalej następowała wielka zniszczona izba z piecem do chleba, która służyła obecnie za śpiżarnię, drwalnię, skład rozmaitych rupieci, starego żelaztwa, próżnych baryłek, popsutych narzędzi rolniczych, i mnóstwa innych gratów pokrytych grubą warstwą kurzu i pajęczyn.

Ogród długi a wązki, ciągnął się pomiędzy dwoma murami z gliny i słomy, pokrytemi brzoskwiniowemi szpalerami, aż do płotu cierniowego, który go od pola odłączał. Pośrodku znajdował się kompas szyfrowy, umieszczony na murowanej podstawie; cztery grządki zasadzone mizernemi różami otaczały symetrycznie pożyteczniejszą kwaterę warzywną. W głębi gipsowy zakonnik modlił się pod jedlinką.

Emma poszła na pierwsze piętro. Pierwszy z dwóch pokoików nie miał żadnych sprzętów; w drugim, który był małżeńską sypialnią, stało mahoniowe łóżko w alkowie za czerwonemi firankami. Pudełko naklejone muszelkami stało na komodzie, a na biureczku stał w małej karafeczce bukiet kwiatów pomarańczowych związany białą atłasową wstążką. Był to bukiet ślubny, bukiet *tamtej!* Emma spojrzała nań. Karol to spo-

strzegł, wziął niewczesną pamiątkę i odniósł ją pod strych, podczas gdy młoda pani usiadłszy w fotelu i doglądając rozpakowania swoich rzeczy myślała o własnym ślubnym bukiecie, który tu przywiozła w pudełku, i zapytywała sama siebie coby z nim zrobiono, gdyby przypadkiem umarła?

Od pierwszych dni zaraz się zajęła obmyśleniem zmian w swoim domu. Kazała dać nowe obicia, pomalować wschody i porobić ławki w ogrodzie, naokoło kompasu, dowiadywała się nawet jakimby sposobem można mieć basen z wodą i wodotrysk. Wreszcie Karol, widząc że lubiła przejeżdżać się powozem, kupił trafunkiem używany wehikuł, który za dodaniem nowych latarni i skrzydeł ze skóry stębnowanej, wyglądał prawie jak tilbury,

Był więc szczęśliwy i nie troszczył się już o nic w świecie. Obiadek sam na sam, wieczorem przechadzka za miasto, pogładzenie ręką bujnych jej włosów, sam widok słomianego jej kapelusika zawieszonego na klamce i tysiące innych drobnostek w których Karol nie domyślał się nigdy przyjemności, składało obecnie łańcuch jego nieprzerwanej szczęśliwości. Obudziwszy się rano,

patrzał z rozkoszą jak promienie słońca muskały różowe jej policzki, przez pół zasłonięte bandażykami nocnego czepeczka. Oczy jej widziane tak z blizka, wydawały mu się większemi, osobliwie kiedy kilkakrotnie otwierała budząc się ociężałe powieki, czarne w cieniu a szafirowe przy świetle dziennem; oczy te miały jak gdyby pokłady kolejnych barw ciemniejszych w głębi, a coraz jaśniejszych ku powierzchni emalii. Własne jego oko tonęło w tych głębiach, i widział się w nich w miniaturze aż do ramion, z fularem na głowie i otwartą u szyi koszulą. Wstawał. Ona wyglądała za nim oknem kiedy wyjeżdżał; oparta na łokciu wychylała się z pomiędzy dwóch wazoników lewkonii, okryta fałdzistym penioarem. Karol już na ulicy przypinał sobie ostrogi, ona rozmawiała z nim z góry, zrywając ząbkami kwiatek lub listek który mu rzucała, a który kręcąc się w powietrzu i polatując jak ptaszek przyczepiał się wreszcie do splątanej grzywy starej siwej klaczy, stojącej u drzwi nieruchomie. Karol wsiadłszy na konia posyłał jej od ust pocałowanie, ona odpowiadała kiwnięciem głowy, zamykała okna—odjeżdżał. I jechał sobie gościńcem, który w nieskończoność ciągnął swoją długą

wstęgę białego pyłu, parowami gdzie drzewa tworzyły cieniste altany nad głową jego, ścieżkami wśród zbóż sięgających mu aż do kolan, w promieniach słońca, które mu ramiona ogrzewały, oddychając świeżem porannem powietrzem, ze spokojnym umysłem, sercem przepełnionem rozkoszą, zadowolonemi zmysłami i przeżuwając swoje szczęście, jak ci smakosze, którzy po dobrym obiedzie smakują jeszcze trufle już prawie strawione.

Do tego czasu czego dobrego użył w swem życiu? Czy szkolne czasy, kiedy pozostawał zamknięty pośród czterech ścian, sam pomiędzy współuczniami bogatszymi lub mocniejszymi od niego w naukach, których rozśmieszał swoim akcentem, którzy szydzili z jego ubrania, i których matki przynosiły im ciasteczka w mufkach? Czy później, kiedy się uczył medycyny i nie miał nigdy dosyć pieniędzy żeby zaprosić na tańce jaką szwaczkę, którąby mogła zostać jego kochanką? Następnie przeżył czternaście miesięcy z wdową, której nogi zimne były w łóżku jak bryły lodu. Teraz za to posiadał na całe życie tę śliczną kobietkę, którą ubóstwiał. Świat już nie istniał dla niego po za obrębem jej spódniczki; a jeszcze wyrzucał sobie

że ją nie dosyć kocha; zapragnął ją ujrzeć natychmiast: zawracał prędko, wbiegał na wschody z bijącem sercem. Emma się ubierała w swoim pokoju; wchodził na palcach, całował ją w karczek, ona wydawała lekki okrzyk.

Niemógł się wstrzymać żeby nie dotykać ustawicznie jej grzebieni, jej pierścionków, jej chusteczki; czasem wyciskał głośne pocałunki na jej policzkach; czasem znowu delikatnie pieścił obnażoną jej rękę, od końca różowych paluszków aż do ramienia; a ona go z lekka odpychała, przez pół uśmiechnięta i znudzona, jak się pozbywa uprzykrzonego dziecka.

Przed pójściem za mąż zdawało jej się, że jest zakochaną; ponieważ jednak nie przyszło szczęście jakie z tej miłości wyniknąć miało, pomyślała że musiała się pomylić. I Emma usiłowała dociec co właściwie znaczyły w życiu wyrazy *szczęście*, *namiętność*, *upojenie rozkoszy*, które ją tak w książkach zachwycały?

VI.

Czytała niegdyś *Pawła i Wirginię* i marzyła o chatce bambusowej, o murzynie Dominiku,

o psie Fidelu, a nadewszystko o słodkiej przyjaźni jakiego dobrego braciszka, któryby dla niej zbierał czerwone owoce na drzewach wysokich jak dzwonnice, lub biegając boso po piasku przynosił jej gniazdka ptasie.

Gdy skończyła trzynasty rok, ojciec zawiózł ją sam do miasta aby ją umieścić w klasztorze na pensyi. Stanęli w gospodzie cyrkułu Ś. Gerwazego, gdzie do wieczerzy podano im malowane talerze przedstawiające historyę panny de la Vallière. Legendowe objaśnienia, miejscami pokrajane nożami, wszystkie sławiły pobożność, delikatność uczuć i wspaniałość dworu wielkiego króla.

Nie nudziła się wcale pierwszych czasów w klasztorze, i owszem podobało jej się towarzystwo dobrych siostr zakonnych, które dla zabawienia jej, prowadziły do kaplicy, dokąd się szło z refektarza przez długi korytarz. Spokojnie się bawiła podczas rekreacyi, pojmowała dobrze katechizm i najlepiej odpowiadała księdzu wikaremu na zawiłe pytania. Żyjąc tak ciągle w letniej atmosferze klas i pośród tych kobiet o bladych twarzach, z różańcami u pasa, dała się powoli owładnąć mistycznemu omdleniu z kadzideł ołtarzy, z chłodu kropielnic i z świateł gromnic.

Zamiast słuchać mszy oglądała w swojej książeczce pobożne winietki ze złoconą obwódką, lubiła chorą owieczkę, serce przebite ostremi strzałami, lub biednego Jezusa upadającego pod ciężarem krzyża. Probowała dla umartwienia się cały dzień bez jedzenia pozostać. Przemyśliwała jakiby ślub uczynić.

Kiedy szła do spowiedzi, wynajdowała urojone małe grzeszki żeby jak najdłużej pozostawać w cieniu na klęczkach, z twarzą przyciśniętą do kraty, słuchając szeptu księdza. Porównania mistyczne o oblubieńcu, małżonku i małżeństwie niebieskiem, które się powtarzają w kazaniach, niewysłowionemi rozkoszami duszę jej napełniały.

Wieczorami, przed pacierzem, czytano zawsze jaką pobożną książkę. Były to w dnie powszednie *Konferencye* opata Frayssinousa, lub jaki ustęp z Historyi Ś., a w świąteczne dla rozrywki wyjątki z „Ducha Chrystyanizmu". Z jakąż chciwością po raz pierwszy słuchała dźwięcznych lamentacyj romantycznych smutków powtarzanych przez wszystkie echa ziemskie i niebieskie! Gdyby dzieciństwo jej było upłynęło za jakim sklepem w kupieckiej dzielnicy, dusza jej byłaby się może wtenczas otworzyła na liryczne zachwyty

przyrody, które zwykle pojmujemy dopiero przez tłumaczenie pisarzy. Lecz Emma zanadto była oswojona z przyrodą; znała beczenie owiec, pługi, sianożęcia. Przyzwyczajona do spokojnych widoków, zwracała się przeciwnie, do urozmaiconych. Morze lubiła tylko dla burz jego, a zieloność tylko wtenczas, kiedy była pośród zwalisk rozsianą. We wszystkiem szukała osobistej korzyści, i odrzucała jako bezużyteczne wszystko co się nie przyczyniło do bezpośredniego zasiłku jej serca, — będąc usposobienia raczej sentymentalnego niż artystycznego, szukała wrażeń a nie krajobrazów.

Bywała w klasztorze stara panna, która każdego miesiąca przychodziła na tydzień do szycia i naprawiania bielizny. Protegowana przez arcybiskupstwo jako należąca do starożytnej szlacheckiej rodziny zrujnowanej podczas rewolucyi, jadała w refektarzu razem z siostrami zakonnemi, i gawędziła z nimi zawsze trochę po obiedzie, przed powróceniem do roboty. Często pensyonarki wymykały się z uczelni żeby pobiedz do niej. Umiała na pamięć miłosne śpiewki zeszłego wieku, które nuciła półgłosem przy robocie. Opowiadała różne historye, znosiła ploteczki, załatwiała

sprawunki w mieście, i pożyczała pokryjomu starszym panienkom stare romanse, które zawsze nosiła w kieszeniach fartuszka i których sama pochłaniała całe rozdziały w przerwach pomiędzy robotą. Pełno tam było miłości, wielbicieli, kochanek, prześladowanych dziewic które mdlały w ustronnych altanach, pocztylionów zabijanych na każdym przeprzęgu, zamęczonych koni, ponurych lasów, przysiąg, łez, łkań i pocałunków, słowików w gajach, wodnych przejażdżek przy świetle księżyca, rycerzy odważnych jak lwy, łagodnych jak baranki, idealnie cnotliwych, zawsze pięknie ubranych i płaczących jak łzawnice. Przez całe sześć miesięcy Emma w piętnastym roku życia brudziła sobie ręce tym pyłem starych czytelni. Później z Walter Skotem rozmiłowała się w powieściach historycznych, marzyła o tajemniczych marach, starożytnych komnatach i minstrelach. Byłaby chciała zamieszkać w jakim starym zamczysku, jak owe kasztelanki w długich stanikach, które przepędzały dnie pod cieniem swoich rzeźbionych arkad, z łokciem opartym na poręczy a twarzą na dłoni, wyglądając przybycia rycerza na karym koniu, z białą kitą u kapelusza. W tym czasie wielbiła Maryę Stuart i z zapałem czciła

wspomnienie sławnych lub nieszczęśliwych kobiet. Joanna d'Arc, Heloiza, Agnieszka Sorel, Klemencya Isaure, błyszczały w jej oczach jak komety pośród ciemnych przestworów historyi, gdzie jaśniały jeszcze tu i owdzie, lecz bardziej w cieniu i bez żadnego pomiędzy sobą związku,— postacie Świętego Ludwika z jego dębem, Bayarda umierającego, niektóre okrucieństwa Ludwika XI, kilka szczegółów nocy Św. Bartłomieja, pióropusz Bearneńczyka i zawsze wspomnienie owych malowanych talerzy wysławiających Ludwika XIV.

W klasie muzyki i romanse których się uczyła mówiły o skrzydlatych aniołkach, o madonach, gondolierach, lagunach, a wszystkie te mdłe utwory ukazywały jej z po za niedołęztwa słów i harmonii, pociągającą fantasmagoryę sentymentalnych rzeczywistości. Niektóre z jej towarzyszek przynosiły do klasztoru keepsaki, które na gwiazdkę dostały. Trzeba było je ukrywać, oglądano je ukradkiem w sypialni. Dotykając z lubością pięknej atłasowej oprawy, Emma zwracała wzrok olśniony na imiona nieznanych artystów, którzy podpisywali najczęściej tytuły hrabiów lub baronów pod swemi pracami.

Drżała podnosząc swym oddechem jedwabistą bibułkę, którą były przekładane ryciny i która z szelestem na nie opadała. Tu za balustradą balkonu młodzieniec w krótkim płaszczyku ściskał w swem objęciu młodą dziewicę w białej sukni z woreczkiem u pasa, tam znowu wizerunki angielskich ledy o jasnych puklach, spoglądających wielkiemi błękitnemi oczyma z pod okrągłych słomianych kapeluszy. Jedne z nich były wyciągnięte w powozach pędzących przez ulice parku, gdzie ładny charcik biegł obok zaprzęgu kierowanego przez dwóch pocztylionów w białych spodeńkach. Inne, marząc na sofce z rozpieczętowanym liścikiem w ręku, wpatrywały się w tarczę księżyca przez na wpół otwarte i czarną firanką przysłonięte okno. Niewiniątka ze łzą w oku, pieściły turkawkę przez kraty gotyckiej klatki, lub uśmiechając się z główką na bok przechyloną, oskubywały stokrotkę cienko zakończonemi paluszkami. I wyście tam byli, baszowie z długimi cybuchami, otoczeni rozkosznemi bajaderami, tureckimi szablami i kindżałami, i wy urojone krajobrazy, które nam częstokroć ukazujecie jednocześnie palmy, sosny, tygrysa na prawo, lwa na lewo, w głębi tatarskie minarety, na pierw-

szym planie zwaliska rzymskie, tuż obok wielbłądy skulone, — a to wszystko opasane pięknie wyczyszczonym lasem dziewiczym, oświecone prostopadle padającym promieniem słońca, odbitym w wodzie, po której na ciemno-szarem tle migają gdzie niegdzie białe łabędzie.

A reflektor lampki zawieszonej przy ścianie nad głową Emmy oświecał te wszystkie światowe obrazy, przesuwające się kolejno przed jej oczyma wśród ciszy sypialni, przy odgłosie turkotu jakiego powozu zapóźnionego na bulwarach.

Gdy matka jej umarła, Emma bardzo pierwszych dni płakała. Kazała sobie zrobić żałobny obrazek z włosów nieboszczki i w liście napisanym do Bertaux, pełnym smętnych uwag nad życiem w ogólności, prosiła aby ją później w tym samym grobie pochowano. Poczciwy ojciec pomyślał że jest chora i pośpieszył ją odwiedzić. Emma w duszy zadowolona była z tego, że od razu stanęła na wyżynie tego rzadkiego ideału bladych żywotów, którego nie dosięgają nigdy miernego polotu serca. Dała się więc pociągnąć na lamartinowskie manowce, słuchała arf dźwięczących na jeziorze, śpiewu łabędzia konającego, szelestu spadających liści, hymnu czystych dziewic wstę-

pujących na niebiosa, głosu Przedwiecznego brzmiącego po dolinach. Znudziło ją to nakoniec; nie chciała jednak tego przyznać, i trwała dalej z przyzwyczajenia, następnie przez próżność, aż wreszcie z podziwieniem uczuła się uspokojoną, i tak wolną od smutku w sercu jak od zmarszczek na gładkiem czole.

Dobre zakonnice, które tak liczyły na jej powołanie, z wielkiem spostrzegły zdumieniem, że panna Rouault zdawała się wymykać ich staraniom. Bo też w istocie, tak ją przesyciły rekolekcyami, nowennami i kazaniami, tyle jej nagadały o czci winnej świętym i męczennikom, tyle jej dobrych rad nadawały co do skromności ciała i zbawienia duszy, że nakoniec zrobiła tak jak konie szarpane za uzdę, stanęła nagle i wypluła wędzidło. Umysł ten, pozytywny wśród swych uniesień, który się rozmiłował w kościele dla kwiatów i kadzidła, w muzyce dla słów śpiewanych romansów, a w literaturze dla namiętności przez nią rozbudzanych, buntował się w obec tajemnic wiary, i znieść nie mógł karności zakonnej, która mu była wstrętną. Gdy ją ojciec odebrał z klasztoru, nie bardzo jej więc żałowano. Przełożona znajdowała nawet, że panna Rouault

w ostatnich czasach stała się lekceważącą względem zgromadzenia.

Emma powróciwszy do domu, zrazu cieszyła się rozkazywaniem służbie, niebawem jednak sprzykrzyła sobie życie wiejskie i pożałowała swego klasztoru. W czasie kiedy Karol zaczął bywać w Bertaux, uważała się za bardzo rozczarowaną, mniemając, że wszystko już poznała i żadnego już doznać nie może uczucia.

Jednakże niepokój nowego stanu, a może tylko podrażnienie wywołane obecnością tego człowieka, dostatecznem było do przekonania jej, iż poznała wreszcie tę upajającą namiętność, którą dotąd widziała tylko w postaci wielkiego ptaka o różowem upierzeniu, krążącego w niedościgłych przestworach poetycznych wyżyn; — i obecnie uwierzyć nie mogła żeby ten spokój w jakim życie jej upływało, mogło być ową szczęśliwością o której marzyła.

VII.

Przypominała sobie czasem, że to jednak były najpiękniejsze dni jej życia, tak zwane miodowe miesiące. Aby zasmakować w ich słodyczy, trzebaby zapewne było udać się do owych krajów

pięknie brzmiących, gdzie chwile poślubne w najrozkoszniejszem się spędzają próżnowaniu! W pocztowym powozie, za niebieską jedwabną firanką, wjeżdża się stromą drogą pod górę, słuchając śpiewki pocztyliona, którą powtarzają sobie wraz z dzwonkami kóz i głuchym szmerem wodospadu. O zachodzie słońca oddycha się nad brzegami zatok cudną wonią kwiatu pomarańczowego; gdy noc zapadnie, siedząc we dwójkę na tarasie willi, z rękoma splecionemi, wpatruje się w iskrzące gwiazdy tworząc najpiękniejsze na przyszłość projekta. Zdawało jej się, że niektóre miejscowości musiały mieć na szczęście podobny wpływ jak na rośliny im właściwe, które gdzie indziej rosnąć nie mogą. Czemuż nie mogła stanąć na balkonie szwajcarskiego szałasu lub tęsknotę swoją zamknąć w jakim szkockim cottage'u przy boku małżonka w czarnej aksamitnej z długiemi połami, któryby nosił ciżemki, wysoki kapelusz i mankiety!

Może byłaby pragnęła zwierzyć się komuś z tych wszystkich marzeń. Lecz jak tu wyrazić nieokreśloną tęsknotę, która się zmienia jak kształt obłoków wiatrem pędzonych? Brakowało jej słów, sposobności, śmiałości.

Gdyby jednak Karol był chciał, gdyby się był mógł tego domyśleć, gdyby spojrzenie jego choć raz jeden było się z myślą jej spotkało, wtedy zapewne wezbrane jej serce byłoby się wylało jak spada owoc dojrzały ze wstrząśnionego szpaleru. Tymczasem w miarę jak się mocniej ścieśniała zażyłość ich pożycia, jakiś wewnętrzny rozbrat odrywał ją od niego.

Rozmowa Karola była płaska jak chodnik uliczny, a utarte zdania przesuwały się w niej w powszednich barwach, nie wywołując żadnego wrażenia, ani rozśmieszając, ani do zastanowienia pobudzając. Sam powiadał, że mieszkając w Rouen nigdy nie był ciekawy zobaczyć w teatrze paryzkich aktorów. Nie umiał ani pływać, ani się fechtować, ani strzelać i pewnego dnia nie potrafił jej nawet objaśnić technicznego wyrażenia tyczącego się konnej jazdy, na które w pewnym romansie natrafiła.

Czyliż mężczyzna nie powinien był wszystkiego znać, celować we wszystkich ćwiczeniach ciała, umieć wtajemniczyć w porywy namiętności, w subtelności życia, we wszystkie jego tajniki? On zaś niczego nie uczył, nic nie wiedział, niczego nie pragnął. Sądził ją szczęśliwą; a ona mu za

złe miała ten spokój pogodny, tę ociężałą pewność siebie, to szczęście, które mu bezwiednie dawała.

Rysowała czasem, wielką było dla Karola przyjemnością stać i patrzeć na nią pochyloną nad rysunkiem, przymrużając oczy dla lepszego widzenia jej roboty, lub kręcąc gałki z chleba. Co do muzyki, im prędzej paluszki jej biegały po klawiszach, tem więcej się zachwycał. Dotknięcie miała pewne i bez zatrzymywania się przebiegała całą klawiaturę z góry na dół. Tak wstrząsany, stary instrument o pokręconych strunach, dawał się słyszeć aż na końcu wioski jeżeli okno było otwarte i nieraz pisarz komornika, przechodzący gościńcem z gołą głową i w skarpetkach, stawał z papierem w ręku, aby się tej muzyce przysłuchać.

Emma z drugiej strony, musiała domem zarządzić. Posyłała chorym rachunki doktorskich wizyt męża w dobrze napisanych bilecikach, które nie trąciły kupiectwem. Kiedy mieli w niedzielę którego z sąsiadów na obiedzie, znajdowała sposób podania jakiego dodatkowego półmisku, umiała układać na winnych liściach piramidy z renklodów, podawać słoiki konfitur przewrócone na ta-

lerzu, wspominała już nawet o kupieniu szklaneczek do płukania ust przy wetach. To wszystko wielki blask rzucało na dom Bovarych.

Karol wreszcie sam siebie wyżej szacować zaczął dla tego, że taką miał żonę. Z dumą pokazywał w sali dwa szkice ołówkiem jej roboty, które kazał oprawić w szerokie ramki złocone i zawiesił na zielonych sznurkach. W niedzielę po mszy stawał na progu swego domu w pantoflach krzyżową robotą haftowanych.

Powracał późno, około dziesiątej, czasem dopiero o północy. Zwykle bywał głodnym, a ponieważ sługa już spała, Emma mu sama usługiwała. Zdejmował surdut żeby być swobodniejszym. Wymieniał kolejno wszystkie osoby, które przez dzień widział, wioski które objechał, recepty które zapisał i zadowolony sam z siebie, zjadał resztki kotletów, kruszył ser, zapijał lekkiem winem, kładł się do łóżka, i chrapiąc zasypiał.

Ponieważ przyzwyczajony był do bawełnianej czapeczki, fular zsuwał się z głowy i rano włosy spadały mu na czoło potargane i pełne puchu z poduszki, której poszewka rozwiązywała się podczas nocy. Nosił zawsze długie buty pofałdo-

wane przy kostce, podczas gdy reszta cholewy obciągnięta była jak na drewnianej nodze. Mówił że *na wieś nic więcej nie potrzeba.*

Matka pochwalała tę jego oszczędność; odwiedzała go bowiem tak jak dawniej, kiedy jaką gwałtowniejszą burzę przeszła w domu. Jednakże starsza pani Bovary zdawała się nieco uprzedzoną do swej synowej. Znajdowała ją za nadto wykwintną na ich majątkowe położenie; drzewa, cukru i świec wychodziło u nich jak w jakim wielkim domu, a ilość węgla, który się wypalał na kuchni, wystarczyłaby na dwadzieścia pięć potraw! Układała jej w szafach bieliznę i uczyła ją jak ma pilnować rzeźnika kiedy jej mięso przynosi. Emma z uległością przyjmowała te nauki, pani Bovary ich nie szczędziła, a wyrazy *moja matko* i *moja córko* zamieniały się przez cały dzień, wymawiane ustami lekko drgającemi, gdyż jedna i druga wyrażała się łagodnie głosem drżącym od gniewu.

Za czasów nieboszczki pani Dubuc, sędziwa matka czuła się jeszcze pierwszą w sercu Karola, lecz obecnie, miłość jego dla Emmy zdawała jej się od niej samej skradzioną; uważała się za pokrzywdzoną i patrzyła na szczęście syna ze smut-

nem milczeniem, jak bankrut, który się przez kraty przygląda ludziom ucztującym w jego dawnym domu. Przypominała mu nieznacznie własne trudy i ofiary dla niego ponoszone i porównywając je z niedbalstwem Emmy, wnosiła że nie było rzeczą rozsądną tak bezwzględnie ją uwielbiać.

Karol nie wiedział co na to odpowiadać; szanował matkę i kochał czule żonę; uważał zdanie pierwszej za nieomylne, a jednak znajdował drugą wolną od wszelkiego zarzutu. Po odjeździe pani Bovary, probował czasem ostrożnie i z nieśmiałością niektórych uwag jakich się z ust mamy nauczył, lecz Emma dowiódłszy mu jednem słowem że się mylił, odprawiała go do jego pacyentów.

Jednakże młoda kobieta chciała wzbudzić w sobie miłość podług teoryi jakie za dobre uważała. Czasem przy świetle księżyca, w ogrodzie, deklamowała mu wszystkie jakie umiała najtkliwsze poezye i śpiewała omdlewającym głosem tęskne *adagia;* lecz znajdowała go potem równie spokojnym jak poprzednio i Karol nie wydawał się ani bardziej rozkochanym, ani nawet wzruszonym.

Po kilkakrotnych usiłowaniach rozdmuchania w swem sercu miłości, które nie zdołały rozżarzyć ani jednej iskierki, niezdolna zresztą pojąć

tego czego nie czuła, ani uwierzyć w to, co się nie objawiało przyjętemi formami, wmówiła sobie z łatwością, że uczucie Karola było chłodnem i umiarkowanem. Objawy tego uczucia stały się regularnemi jak zegarek: całował ją o pewnych godzinach. Było to przyzwyczajenie tak samo jak inne, niby wety naprzód oczekiwane po jednostajności codziennego obiadu.

Pewien leśniczy uleczony przez Karola z zapalenia płuc, darował żonie jego małą charciczkę angielską; Emma brała ją z sobą gdy szła na przechadzkę, bo teraz wychodziła czasem żeby nie mieć wiecznie przed oczyma nieśmiertelnego ogródka i gościńca pełnego kurzu.

Zachodziła aż do buczyny bannevilskiej, koło pustego pawiloniku tworzącego kąt muru, od strony pola. Rosną tam w rowie pomiędzy zielskiem, długie trzciny z krającemi liśćmi.

Rozglądała się najpierwej w około dla zobaczenia czy nic się nie zmieniło odkąd tu była po raz ostatni. Znajdowała na tem samem miejscu naparstniki, kępy ostu w około drobnych kamieni i bluszcz pnący się wzdłuż trzech okien, których okiennice zawsze zamknięte pruchniały na zardzewiałych zawiasach. Myśl jej błądziła zrazu

bez celu, podobnie jak charciczka, która biegała po polu, szczekała na żółte motyle, polowała na polne myszy, lub gryzła makówki brzegiem pola rosnące. Potem młoda kobieta siadała na murawie i grzebiąc w niej końcem parasolki powtarzała sama do siebie:

— Mój Boże! po co ja też za mąż poszłam?

Zastanawiała się nad tem, czy nie byłaby mogła przez inny zbieg okoliczności innego napotkać człowieka i usiłowała wyobrazić sobie jakie byłyby to niedoszłe wypadki, to życie odmienne, ten mąż którego nie znała. Wszyscy w istocie byli podobni do Karola. Mógł być pięknym, dowcipnym, eleganckim, powabnym, takim zapewne są ci, których pozaślubiały dawne jej towarzyszki z klasztoru. Co też one teraz robiły? W mieście, przy gwarze ulicznym, lampionach teatralnych i balowych, prowadziły życie przy którem serce się rozszerza i zmysły rozkwitają. Jej życie tymczasem, było zimne jak stodoła z oknem od północy, a nuda, jak milczący pająk snuła swe sieci we wszystkich zakątkach jej serca. Przywodziła sobie na pamięć dnie rozdawania nagród w klasztorze, kiedy wstępowała na estradę po swoje wieńce. Tak ładnie wyglądała w bia-

łej sukience, wyciętych prunelowych trzewiczkach, z włosami w dwa warkocze splecionymi! panowie pochylali się ku niej i prawili jej grzeczności gdy wracała na swoje miejsce; dziedziniec klasztorny pełen był powozów, przesyłano jej od drzwiczek pożegnania, nauczyciel muzyki przechodził kłaniając się ze skrzypcami pod pachą. Jakież to dawne dzieje! jakie dawne!

Przywoływała swoją Dżali, brała ją na kolana, głaskała wysmukłą jej główkę i mówiła do niej:

— Pocałuj twoją panią, Dżali, ty, która nie masz żadnych zmartwień.

Potem przypatrując się smętnym oczom wysmukłego zwierzęcia, które powoli ziewało, rozczulała się i porównywając go do samej siebie, mówiła doń głośno, jak do osoby zasmuconej którąby chciała pocieszyć.

Czasem przeciągały chłodne powiewy od morza, które przynosiły z sobą lekką woń słonawą. Wtenczas pochylały się z jękiem, liście buków drżały szeleszcząc, podczas gdy wierzchołki kołysząc się bezustannie, szemrały na jednakową ciągle nudę. Emma otuliła się szalem i wstawała.

W ulicy drzewami wysadzonej, zielonawa jasność dzienna przeciskając się przez liście, oświe-

cała mszystą murawę, która skrzypiała lekko pod jej stopami. Słońce zachodziło, niebo czerwieniło się pomiędzy gałęziami, a jednostajność drzew pod linię sadzonych wydawała się jak ciemna kolumnada odbijająca się na tle złotawem; strach ją ogarniał; przywoływała Dżali, powracała szybko do Tostes gościńcem, rzucała się na fotel i przez cały wieczór już pozostawała milczącą.

Lecz przy końcu Września nadzwyczajny wypadek zaszedł w jej życiu: otrzymała zaproszenie do la Vaubeyssard, do margrabiego, d'Audervillers.

Będąc sekretarzem stanu za Restauracyi, margrabia, chcąc powrócić do życia politycznego, oddawna przygotowywał swoją kandydaturę do Izby deputowanych. Podczas zimy rozdawał ubogim drzewo, a na posiedzeniach rady gminnej, domagał się zawsze natarczywie dróg dla swego okręgu. W porze największych upałów zrobił mu się w ustach wrzód, z którego Karol wyleczył go cudem prawie, przeciąwszy go w samą porę. Pełnomocnik margrabiego posłany do Tostes dla zapłacenia za operacyę, opowiedział wieczorem pryncypałowi, że widział przepyszne wiśnie w ogródku doktora. Że zaś wiśnie nie bardzo się powodziły w la Vaubeyssard, pan margrabia poprosił

Bovarego o kilka szczepów, uważał potem za swój obowiązek podziękować mu osobiście, zobaczył Emmę, znalazł że miała zgrabną figurkę i że nie kłaniała się po wiejsku, tak dalece, że nie sądzono w pałacu przekroczyć granic popularności, ani z drugiej strony popełnić niezręczności, zapraszając młode małżeństwo do zamku.

Jednej środy tedy, o trzeciej godzinie po południu, państwo Bovary pojechali w swoim karyklu do la Vaubeyssard, z walizą przywiązaną z tyłu i pudełkiem od kapelusza postawionym na fartuchu. Karol nadto trzymał jeszcze tekturowe pudło pomiędzy kolanami.

Przybyli o zmierzchu, w chwili kiedy zaczynano zapalać lampiony w parku, dla oświecenia nadjeżdżających powozów.

VIII.

Zamek nowożytnej budowy, w stylu włoskim, z dwoma wystającemi skrzydłami i trzema balkonami, rozpościerał się u skraju rozległego trawnika, na którym pasło się kilka krów pośród rozrzuconych kęp wielkich drzew, podczas gdy

klomby z rozmaitych krzewów, rododendronów, śnieżnic i bzów włoskich, pochylały swoje pęki niejednostajnej zieleni na krętą linię grubym piaskiem wysypanej drogi. Rzeka płynęła pod mostem; wśród zapadającego zmroku dawały się dostrzegać budynki słomą kryte, rozrzucone po łące, zakończonej dwoma lesistemi pagórkami; od tyłu pośród drzew wznosiły się w równoległej linii wozownie i stajnie, jedyne szczątki pozostałe z dawnego zburzonego zamku.

Wehikuł Karola stanął przed środkowym gankiem; służba wybiegła; margrabia sam postąpił i podawszy ramię żonie lekarza, wprowadził ją do przysionku, który był wyłożony marmurowemi płytami, bardzo wysoki, a odgłos kroków rozlegał się w nim jak w kościele. Wprost szły wschody, a na lewo ciągnęła się galerya, która wychodząc na ogród prowadziła do sali bilardowej, zkąd dochodziło stukanie kul z kości słoniowej. Przechodząc przez nią do salonu, Emma zobaczyła przy grze mężczyzn poważnej powierzchowności, w wysokich krawatach, przy orderach, którzy z milczącym uśmiechem swoje kije popychali. Na ciemnem futrowaniu ścian pozawieszane portrety w wielkich złoconych ramach

miały podpisy czarnemi głoskami wyryte. Emma wyczytała pod jednym z nich: „Jan Antoni d'Audervillers d'Yverbouville, hrabia de la Vaubeyssard i baron de la Fresnaye, zabity w bitwie pod Coutras, 20 października 1587". A pod drugim: „Jan Antoni Henryk Guy d'Audervillers de la Vaubeyssard, admirał Francyi i kawaler orderu Św. Michała, raniony w bitwie pod Houghe-Saint-Vaast, 29 maja 1692, zmarły w la Vaubeyssard 23 stycznia 1693". Dalszych trudno już było rozróżnić, gdyż światło lamp zwrócone na zielone sukno bilardu, resztę obszernej sali w pół cieniu zostawiało. Cień ten, mrocząc horyzontalnie zawieszone płótna, rozbijał się o nie podług rysów popękanego werniksu i ze wszystkich tych wielkich czarnych kwadratów złotem oblamowanych, występowały tylko miejscami jaśniejsze części, blade czoło, dwoje oczu patrzących za tobą, upudrowane peruki spadające na ramiona czerwonym płaszczem okryte, lub sprzączka podwiązki powyżej zaokrąglonej łydki.

Margrabia otworzył drzwi salonu; jedna z pań powstała (sama pani margrabina), postąpiła kilka kroków naprzeciwko Emmy i posadziwszy ją obok siebie na kozetce, zaczęła z nią przyjaciel-

ską rozmowę, jak gdyby ją znała od dawna. Była to kobieta lat mniej więcej czterdziestu, o pięknych jeszcze ramionach, orlim nosie, powolnej mowie, w giupiurowej chusteczce zarzuconej na ciemno-kasztanowatych włosach. Młoda jasnowłosa panienka siedziała obok niej na krześle z wysoką poręczą; kilku panów z kwiatkiem zatkniętym w dziurce od guzika, rozmawiało z temi paniami w około kominka.

O siódmej godzinie podano obiad. Mężczyźni, daleko liczniejsi zasiedli do pierwszego stołu, zastawionego w przysionku, panie do drugiego, w sali jadalnej, wraz z panem margrabią i panią margrabiną.

Emmę gdy tam weszła, owionęła ciepła atmosfera, przejęta wonią kwiatów i świeżej bielizny, zapachem mięsiwa i trufli. Woskowe świece w kandelabrach rzucały migotliwe płomyki po srebrnych dzwonach; rznięte kryształy, matowo ługowane, odsyłały sobie wzajemnie blade promyki, bukiety stały rzędem przez całą długość stołu, a na talerzach o szerokich brzegach, serwety poskładane w kształcie biskupiej infuły miały każda w szparze pomiędzy dwoma składami bułeczkę owalną. Czerwone łapki komarów wystawały

z półmisków; piękne owoce w ażurowych koszyczkach piętrzyły się pośród mchu zielonego, przepiórki były podane całe w pierzach, kłęby pary wznosiły się do góry, a marszałek dworu w jedwabnych pończochach, krótkich spodniach, białym krawacie z żabotem, poważny jak sędzia, wsuwając pomiędzy ramiona gości półmiski z pokrajanem mięsiwem, jednym ruchem łyżki oddzielał wybrany przez ciebie kawałek. Na wielkim porcelanowym piecu posąg kobiety udrapowanej po samą szyję, spoglądał w milczeniu na salę pełną gości.

Na najpierwszem miejscu, sam pośród tych wszystkich kobiet, nachylony nad pełnym talerzem, z serwetą zawiązaną pod brodą jak dziecko, jadł starzec, a z ust mu kapały krople sosu. Oczy miał zaropiałe a z tyłu głowy harcap czarną wstążką związany. Był to teść margrabiego, stary książe de Laverdière, dawny ulubieniec hrabiego d'Artois, z epoki myśliwskich wypraw do Vaudreuil i był kiedyś jak mówiono, kochankiem królowej Maryi Antoniny w przerwie pomiędzy panami de Coigny i de Lauzun. Prowadził życie hulaszcze i rozpustne, pełne pojedynków, zakładów, uwiedzionych kobiet, strwonił majątek i nie-

słychanymi zbytkami przeraził swoją rodzinę. Lokaj stojący za jego krzesłem wymieniał mu głośno do ucha potrawy, które starzec palcem wskazywał; a oczy Emmy zwracały się z zajęciem na tę ruinę z obwisłemi wargami, jak na coś nadzwyczajnego i dostojnego. Ten człowiek żył na królewskim dworze i był kochankiem królowej!

Podano wino szampańskie z lodem. Emma uczuła dreszcz w całem ciele, wziąwszy w usta ten mroźny przysmak. Nie jadła jeszcze nigdy ananasów ani widziała granatów. Nawet cukier miałki wydał jej tu się bielszym i delikatniejszym niż gdzie indziej.

Po obiedzie panie i panny udały się do swoich pokoi zmienić toaletę na bal.

Emma zajęła się swym strojem z drobiazgową sumiennością debiutantki. Utrefiła sobie włosy podług zaleceń fryzyera i włożyła na siebie barezową suknię, na łóżku rozpostartą. Karola ściskały nowe pantalony.

— Podpinki przeszkadzać nie będą do tańca, rzekł.

— Do tańca? powtórzyła Emma.

— Zapewne!

— Zwaryowałeś! wyśmianoby ciebie. Siedź spokojnie. Zresztą, to przyzwoiciej dla doktora, dodała.

Karol zamilkł. Chodził wzdłuż i wszerz pokoju, czekając aż Emma się ubierze.

Widział ją z tyłu, w zwierciadle, pomiędzy dwoma świecznikami. Czarne jej oczy wydawały się ciemniejszemi jeszcze niż zwykle. Bujne jej sploty, lekko wydęte ku uszom, błyszczały granatowym odcieniem; róża przy warkoczu drżała na ruchomej łodydze, ze sztuczną rosą na końcach listków. Miała na sobie suknię blado-szafranową, ozdobioną trzema pączkami drobnych różyczek z listkami.

Karol przybliżył się i chciał ją pocałować w ramię.

— Dajże mi pokój, rzekła; pogwstrzym mnie.

W tem dała się słyszeć przegry[illegible]na skrzypcach z towarzyszeniem oboju. [illegible] weszła ze wschodów, wstrzymując się z tr[illegible]. Cią od zbytniego pośpiechu.

Kadryle już były zaczęte. Coraz więcej gości przybywało. Tłoczono się. Pani Bovary usiadła na ławeczce blizko drzwi.

Gdy kończono kontredansa, zrobiło się miejsce dla mężczyzn, którzy stojąc rozmawiali i dla służby w liberyi, która wnosiła wielkie tace. W rzędzie siedzących kobiet poruszały się malowane wachlarze, bukiety przez pół zasłaniały zalotne uśmieszki, a flakoniki ze złotymi korkami poruszały się w dłoniach obciśniętych białemi rękawiczkami, odznaczającemi kształt wypieszczonych paznokci. Koronki, dyamentowe brosze, bransolety z medalionami, drżały przy stanikach, migotały na piersiach, szeleściły na obnażonych ramionach. Włosy odwinięte z czoła i skręcoe z tyłu głowy uwieńczone były lub poprzeplatane jaśminem, niezapominajkami, granatami, kłosami lub bławatkami. Matki nieruchomie siedzące z twarzą nachmurzoną, miały po większej części czerwone turbany na głowach.

Serce Emmy mocniej zabiło gdy tancerz jej ująwszy koniuszczki jej palcy wprowadził ją do szeregu i stanęła czekając na swoją kolej. Niebawem jednak opanowała to pierwsze wzruszenie i kołysząc się odpowiednio do rytmu orkiestry, sunęła naprzód z lekkimi ruchami giętkiej szyi. Chwilami uśmiech igrał na jej ustach kiedy skrzypce grały solo z delikatnością właściwą temu in-

strumentowi; słychać było wtenczas dźwięczny odgłos luidorów przesypujących się tuż obok, na zielonych stolikach; potem cała orkiestra grzmiała znowu, trąbka wydawała świetny ton, nogi w takt się poruszały, suknie się wydymały i szeleściły, dłonie spotykały się i rozłączały, oczy spuszczały się i podnosiły kolejno tonąc jedne w drugich.

Kilkunastu mężczyzn w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lub rozproszonych pomiędzy tancerzami, lub rozmawiających przy drzwiach, wyróżniało się od tłumu pewnem powinowactwem czy wspólnością, niezależną od rysów twarzy, wieku lub odmiennego stroju.

Ubranie ich, lepszego kroju, zdawało się być z miększego zrobione sukna, włosy ku skroniom nagarnięte, wykwintniejszymi woniały olejkami. Mieli oni płeć ludzi bogatych, tę płeć bladawą, uwydatnioną matową białością porcelan, połyskiem atłasów, pięknych mebli, którą utrzymuje wykwintny a umiarkowany sposób życia. Szyja ich poruszała się swobodnie w nizkich krawatach, długie faworyty spadały na odwinięte kołnierzyki; ocierali sobie usta chusteczkami haftowanemi, które wydawały woń delikatną. Podsta-

rzali wyglądali młodo, młodzi zaś mieli w sobie cóś dojrzałego. W ich chłodnych spojrzeniach malował się spokój namiętności codziennie zaspokajanych; a z pod ugrzecznionego ich obejścia przebijało to właściwe grubiaństwo jakie nadaje przewodzenie w łatwych rzeczach, w którem siła się wyrabia i próżność bawi, ujeżdżanie rasowych koni i w towarzystwa kobiet pół światka.

O kilka kroków od Emmy, kawaler w granatowym fraku rozmawiał o Włoszech z młodą bladą kobietą, w perły ustrojoną. Unosili się nad grubością kolumn Św. Piotra, zachwycali się Wezuwiuszem, różami genueńskiemi, wychwalali Tivoli, Castéllamare. Kolizeum przy świetle księżyca. Emma drugiem uchem chwytała urywki rozmowy pełnej niezrozumiałych dla niej wyrazów. Otaczano młodzieńca, który przed tygodniem zwyciężył był *Arabellę* i *Romulusa* i wygrał 2,000 luidorów przesadziwszy rów, w Anglii. Jeden żalił się na swych dżokejów, którzy tyć zaczynali; inny na omyłki druku, które przekręciły nazwę jego konia.

Powietrze w salonie stało się ciężkiem i dusznem, światło lam pobladło. Goście cisnęli się do sali bilardowej. Lokaj wszedł na krzesło i wy-

tłukł dwie szyby, na szczęk rozbitego szkła, pani Bovary obróciła głowę i spostrzegła w ogrodzie, za oknami, twarze wieśniaków, którzy się przyglądali zabawie. Ten widok przypomniał jej folwark Bertaux. Ujrzała w myśli budynki gospodarskie, błotnistą sadzawkę, swego ojca w bluzie pod jabłoniami i siebie samą zbierającą jak niegdyś śmietanę z dzieżek w mleczarni. Lecz przy odurzeniu chwili obecnej, przeszłe jej życie, dotąd tak wyraźne, znikało we mgle i wątpiła prawie, czy ono było rzeczywistością. Znajdowała się tu; po za ścianami tej sali balowej, czarny cień przysłaniał wszystko. Jadła właśnie lody maraskinowe, trzymając w lewej ręce srebrną pozłacaną muszlę i przymrużała oczy z łyżeczką w ustach.

Pani obok niej siedząca upuściła wachlarz. Przechodził właśnie jeden z tancerzy.

Zechciej pan być tak grzecznym i podnieść mój wachlarz, który spadł tu za kanapę! rzekła piękna pani.

Młody człowiek ukłonił się, a podczas gdy wyciągał ramię, Emma zobaczyła rękę pani wrzucającą do jego kapelusza coś białego, w trójkąt złożonego. Mężczyzna podniosłszy wachlarz podał

go z uszanowaniem jego właścicielce; podziękowała mu skinieniem głowy i zaczęła bawić się swoim bukietem.

Po kolacyi, na której była obfitość win hiszpańskich i reńskich, zupy rakowe i migdałowe *à la Trafalgar*, wszelkiego rodzaju zimne mięsiwa i galarety drżące na półmiskach, powozy zaczęły się powoli rozjeżdżać. Uchyliwszy róg muślinowej firanki, można było widzieć przesuwające się w cieniu światła ich latarni. W salonach zrobiło się przestroniej; kilku graczy dotrzymywało jeszcze placu; muzykanci chłodzili sobie palce wilgocąc je na języku; Karol drzemał plecami o drzwi oparty.

O trzeciej rano zaczął się kotylion. Emma nie umiała walcować. Tymczasem wszyscy walcowali, nawet panna d'Audervillers i margrabina, pozostawali już bowiem sami tylko goście zamkowi: nie więcej nad kilkanaście osób.

Jednakże jeden z tancerzy, którego nazywano poufale *wicehrabią* i którego mocno wycięta kamizelka leżała jak ulana na piersiach, przyszedł powtórnie zapraszać panią Bovary, upewniając ją, że ją poprowadzi i wszystko będzie dobrze.

Zaczęli powoli, następnie coraz prędzej. Kręcili się i wszystko kręciło się razem z nimi, lampy i meble i obicia i posadzka, jak tarcza w drążku osadzona. Koło drzwi suknia Emmy oplątała nogi tancerza, on spuścił wzrok na nią, ona podniosła oczy na niego, jakaś niemoc ją ogarnęła: zatrzymała się. Po krótkiem wytchnieniu puścili się znowu; wicehrabia szybkim ruchem pociągnął ją aż w koniec galeryi, gdzie zadyszana, o mało co już nie upadła i na chwilę oparła głowę o piersi jego. Potem wirując ciągle, ale już wolniej, odprowadził ją na jej miejsce; zmęczona i odurzona, oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy.

Gdy je otworzyła, jedna z tancerek siedziała na taburecie postawionym na środku salonu, a przed nią klęczało trzech tancerzy. Wybrała wicehrabiego i skrzypce znowu się ozwały.

Przypatrywano im się. Przebiegali i powracali, ona z pochyloną głową i prawie nieruchoma, on ciągle w jednej pozie, w pół przegięty, z zaokrąglonem ramieniem, twarzą naprzód podaną. Ta umiała walcować! Wirowali długo i wszystkich przetrzymali.

Porozmawiano jeszcze kilka minut, poczem powiedziawszy sobie dobranoc a raczej dzień dobry, goście udali się na spoczynek.

Karol trzymał się poręczy, nogi się pod nim uginały. Przepędził pięć godzin z rzędu stojąc przy zielonych stolikach i przypatrując się wistowi, którego zgoła zrozumieć nie mógł. To też z uczuciem wielkiego zadowelenia ściągnął z nóg buty.

Emma zarzuciła szal na ramiona, otworzyła okno i wsparła się na niem.

Noc była ciemna. Deszcz kropił. Odetchnęła wilgotnem powietrzem, które jej chłodziło rozpalone powieki. Muzyka balowa dźwięczała jej jeszcze w uszach, a usiłowała opierać się senności, aby przedłużyć jeszcze złudzenie tego wystawnego życia, które niebawem porzucić będzie trzeba.

Dnieć zaczęło. Emma wpatrywała się długo w okna zamku, usiłując odgadnąć jakie pokoje zajmowali wszyscy ci, których poznała na balu. Byłaby chciała wiedzieć jakie było ich codzienne życie, przeniknąć je, zlać się z niem.

Tymczasem drżała z zimna. Rozebrała się i położyła do łóżka, obok Karola, który spał jak zabity.

Na śniadanie liczne się zebrało towarzystwo. Pozostawano najdłużej kwadrans przy stole, nie podano żadnego likworu, co wielce zadziwiło doktora. Następnie panna d'Audervillers pozbierała w koszyczek ułamki ciasta, żeby je zanieść łabędziom, pływającym po stawie i wszyscy poszli do cieplarni, gdzie dziwaczne rośliny najeżone kolcami piętrzyły się piramidalnie pod wiszącymi kloszami, z których jak z przepełnionych gwiazd wężowych, spadały długie zielone splątane nici. Pomarańczarnia znajdująca się na końcu, tworzyła kryte przejście aż do zamkowych oficyn. Margrabia, chcąc zabawić młodą żonę lekarza, zaprowadził ją obejrzeć stajnie. Po nad żłobami w kształcie koszów, umieszczone były porcelanowe blachy z wypisanemi na nich nazwami koni. Każdy z rumaków poruszał się, gdy koło niego przechodzono mlaskając językiem. Podłoga w stajni błyszczała jak posadzka w salonie. Zaprzęgi powozowe ułożone były pośrodku na dwóch ruchomych kolumnach, a wędzidła, bicze, strzemiona i łańcuszki, rzędem poukładane pod ścianami.

Wreszcie Karol poprosił jednego z masztalerzy, aby mu zaprzągł do jego karykla. Przyprowadzono przed ganek wehikuł i po upakowaniu wszyst-

kich bagaży, małżonkowie Bovary pożegnali obojga państwa margrabiostwa, wsiedli i odjechali z powrotem do Tostes.

Emma w milczeniu patrzyła na szybki obrót kół. Karol, siedząc na brzeżku ławeczki, powoził z rozstawionemi ramionami, a konik kłusował w hołoblach za obszernych na niego. Lejce uderzały go po grzbiecie wilgotniejąc od pokrywającej go piany, a waliza w tyle przywiązana uderzała ciągle o pudło.

Gdy się znajdowała na wysokości Thibourville. wyminęło ich kilku wesołych jeźdźców na koniach, z cygarami w ustach. Emmie wydało się że poznaje wicehrabiego, odwróciła się, lecz zobaczyła już tylko głowy schylające się i podnoszące, podług nierównej kadencyi kłusa lub galopa.

O ćwierć milki dalej trzeba było się zatrzymać aby sznurkami powiązać zerwany naszelnik.

Lecz Karol, rzucając ostatnie spojrzenie na swój zaprzęg, spostrzegł coś na ziemi, pod nogami konia, schylił się i podniósł cygarnicę haftowaną zielonymi kordonkami, z wyszytym na środku herbem jak na drzwiczkach karety.

— Są tu nawet jeszcze dwa cygara, rzekł, to będzie na wieczór, po obiedzie.

— Alboż ty palisz? zapytała.

— Czasem, gdy się zdarzy sposobność.

Włożył swoją zdobycz do kieszeni i popędził konika.

Gdy przybyli do domu, obiad nie był gotowy. Pani się rozgniewała. Nastusia zuchwale odpowiedziała:

— Wynoś się precz! krzyknęła Emma. Ubliżasz mi. Wypędzam cię.

Na obiad była zupa cebulowa i kawałek cielęciny ze szczawiem. Karol siedząc naprzeciwko Emmy rzekł, zacierając ręce z zadowoleniem:

— Miło jednak powrócić do domu!

Słychać było z kuchni płacz Nastusi. Karol lubił tę dziewczynę. Niegdyś była ona jedynem jego towarzystwem podczas nudów wdowieństwa. Była to pierwsza jego pacyentka, najdawniejsza w kraju znajomość.

— Czy ty ją na prawdę oddaliłaś? zapytał wreszcie.

— Zapewne! Czy mi nie wolno rozporządzać się w moim domu? odpowiedziała.

Potem ogrzeli się w kuchni czekając na uporządkowanie pokoju. Karol zapalił cygaro. Za każdym kłębem dymu spluwał i wstrząsał się.

— Zaszkodzisz sobie, rzekła pogardliwie.

Odłożył cygaro i pobiegł do studni napić się szklankę zimnej wody. Emma pochwyciła cygarnicę i wrzuciła ją prędko do szafy.

Jakże długim jej się wydał dzień następny! Przechadzała się po swoim ogródku, zatrzymując się przed grządkami kwiatowemi, przed szpalerem, przed gipsowym zakonnikiem, przyglądając się z osłupieniem wszystkim tym dawnym rzeczom tak dobrze jej znajomym! Jakże wieczór balowy dalekim już jej się wydawał! Cóż to było, co taki przedział położyło pomiędzy onegdajszym porankiem a dzisiejszym wieczorem? Wycieczka do Vaubeyssard zrobiła wyłom w jej życiu, nakształt owych wielkich rozpadlin, jakie burza wyrywa czasem w ciągu jednej nocy w górach. Poddała się jednak swemu losowi; pochowała ze czcią do komody swoją świetną toaletę, nie wyłączając atłasowych trzewiczków, których podeszwy zażółcone były woskiem z posadzki. Serce jej było do nich podobnem: zetknięcie z bogactwem zostawiło na niem *coś* co się już zatrzeć nie dało.

Wspomnienie tego balu stało się odtąd głównem zajęciem Emmy. Każdej środy mówiła sobie bu-

dząc się zrana: — dziś tydzień,.. dziś dwa tygodnie... dziś trzy tygodnie, byłam tam!.. Z czasem twarze pomieszały się w jej pamięci, zapomniała melodyi kadrylów, zatarły się w jej umyśle barwy liberyi i obić, szczegóły niektóre zginęły, lecz żal pozostał.

IX.

Nieraz po wyjściu Karola dobywała z szafy, z pomiędzy bielizny gdzie ją ukrywała, ową cygarnicę zielonym jedwabiem haftowaną.

Oglądała ją, otwierała, napawała się nawet wonią jej, tytoniu pomieszanego z werweną. Czyją mogła być własnością?.. Wicehrabiego. Był to może podarunek od kochanki. Haft ten robiony był może w jakich palisandrowych krosienkach, wykwintnym sprzęciku starannie przed oczyma wszystkich ukrywanym, nad którym przez wiele godzin pochylały się miękkie sploty pięknej pracownicy. Tchnienie miłości powiało przez oczka kanwy; każdy wyszyty ścieg utrwalił tam jaką nadzieję lub wspomnienie, a wszystkie te pokrzyżowane nitki jedwabiu były tylko jednolitym

wątkiem tej samej cichej namiętności. A potém wicehrabia jednego pięknego poranku zabrał go z sobą. O czem też rozmawiali, podczas gdy siedział przy marmurowym kominku, pośród wazonów z kwiatami i zegarów à la Pompadour?.. Ona była w Tostes. *On* był teraz tam... w Paryżu!.. Jak-że wyglądał ten Paryż? Co za nazwa czarowna! Powtarzała ją półgłosem, dla własnej przyjemności; dźwięczała jej w uszach jak dzwon katedralny, migotała jej przed oczyma nawet na słoikach pomady.

W nocy, kiedy handlarze ryb przejeżdżali w swoich wózkach pod jej oknami śpiewając *Marjolanę*, budziła się ze snu, a słuchając turkotu okutych żelazem kół, który przytłumiał się gdy zjeżdżano z bitego gościńca, mówiła sama do siebie: — Jutro tam będę!

I myślą w ślad za nim dążyła, przez góry i doliny, przez wsie i miasta, przy migotliwem świetle gwiazd na niebie błyszczących, a zawsze u niepewnego celu tej urojonej wędrówki znajdowało się jakieś niewyraźne miejsce, gdzie kończyło się jej marzenie.

Kupiła sobie plan Paryża i wodząc palcem po karcie, odbywała wycieczki po stolicy. Szła na

bulwary, zatrzymując się na każdym rogu, pomiędzy ulicami, przed białemi kwadracikami przedstawiającemi domy. Znużywszy wreszcie oczy, przymykała powieki i widziała płomyki gazowe wijące się pośród ciemności i stopnie karet; spadające z łoskotem pod kolumnadami teatrów.

Zaprenumerowała kobiecy dziennik *la Corbeille* i *le Sylphe des Salons*. Pochłaniała, bez opuszczenia najdrobniejszego szczegółu wszystkie sprawozdania z pierwszych przedstawień, wyścigów i balów, zajmowała się występami śpiewaczek, otwarciem nowego magazynu. Wiedziała o modach paryzkich, znała adresy najlepszych krawców i modniarek, dnie opery i wyścigów. Studyowała w Eugeniuszu Sue opisy umeblowania salonów; czytała Balzaka i Jerzego Sand, szukając tam zaspokojenia osobistych pragnień. Do stołu nawet przynosiła książkę, której przewracała kartki podczas gdy Karol rozmawiał jedząc. Wspomnienie wicehrabiego nie odstępowało jej przy czytaniu. Szukała zbliżenia pomiędzy nim a urojonymi bohaterami. Powoli jednakże, koło którego był środkiem, rozszerzać się zaczęło i promienna aureola jego oddalając się od jego twarzy oświeciła inne jeszcze postacie.

Paryż, bardziej tajemniczy od samego oceanu, migotał przed oczyma Emmy w złocistej atmosferze. Życie wszakże, które się roiło w tem mrowisku, dzieliło się na części, rozklasyfikowane było na osobne obrazy. Emma z pomiędzy nich widziała tylko dwa lub trzy, które jej zasłaniały wszystkie inne i same w sobie całą dla niej ludzkość przedstawiały. Świat ambasadorów stąpał po lśniących posadzkach, w salonach wyłożonych zwierciadłami, w około stołów owalnych przykrytych aksamitnemi kapami ze złotemi frendzlami. Były tam suknie z długiemi trenami, wielkie tajemnice, srogie niepokoje ukryte pod maską udanej wesołości. Dalej następowało społeczeństwo księżnych i hrabin; twarze tam były blade; wstawano o czwartej po południu; kobiety biedne anioły! — nosiły spódniczki oszywane brabanckiemi koronkami, a mężczyźni, geniusze stłumione błahostkami, zajeżdżali konie dla przyjemności, przepędzali lato w Badenie a ku czterdziestce żenili się wreszcie z bogatemi dziedziczkami. W bocznych pokoikach restauracyi gdzie się uczt uje po północy, weselił się przy świetle świec woskowych pstrokaty tłum artystów, literatów i aktorek. Ci ludzie byli hojni jak królowie, pełni

żądz idealnych i fantastycznych upojeń. Było to istnienie od wszystkich innych odmienne, zawieszone pomiędzy niebem a ziemią, burzliwe i zachwycające, cóś prawdziwie szczytnego. Reszta świata nie miała oznaczonego miejsca, jak gdyby wcale nie istniała. Zresztą myśl Emmy odwracała się od tego co jej było najbliższem. Wszystko to, co ją otaczało bezpośrednio, nudna wieś, ograniczone drobne mieszczaństwo, mierność wydawało jej się wyjątkiem na świecie, szczególnym wypadkiem, w który zaplątaną została, podczas gdy po za tem rozciągał się w nieskończoność kraj szczęśliwości i uczuć namiętnych. W nieokreślonej żądzy swej nie złączała materyalnych rozkoszy zbytku od zadowolenia serca, wykwintu przyzwyczajeń od delikatności uczuć. Czyliż miłość, podobnie jak egzotyczne rośliny, nie potrzebowała gruntu stosownie przygotowanego i odpowiedniej temperatury? Westchnienia przy świetle księżyca, długie uściski, łzy spływające na dłonie splecione, wszystkie gorączki zmysłów i omdlewające czułości, nieodłącznemi być musiały od balkonów wielkich zamków bogaczy, od buduaru o niebieskich jedwabnych firankach, wysłanego miękkim kobiercem, ozdobionego koszy-

kami pełnymi kwiatów, z łożem na estradzie wzniesionem, ani od połysku drogich kamieni i galonów liberyi.

Posługacz pocztowy, który każdego rana przychodził obrządzić klaczkę, szedł przez korytarz niosąc w ręku grube saboty; miał na sobie podartą bluzę i brudne skarpetki na nogach. Na takim to *groomie* trzeba było poprzestać! Zrobiwszy to co do niego należało, więcej nie przychodził gdyż Karol powróciwszy ze swego objazdu sam prowadził konia do stajni, zdejmował siodło i zakładał uździennicę, podczas gdy sługa przynosiła pęk słomy i wrzucała go jak mogła do żłobu.

Na miejsce Nastusi, która odjechała wreszcie z Tostes wylewając potoki łez, Emma przyjęła do służby młodą czternastoletnią dziewczynę, sierotę, miłej powierzchowności. Zabroniła jej nosić bawełniane czepeczki, nauczyła ją przemawiać w trzeciej osobie, podawać szklankę na talerzu, zastukać do drzwi przed wejściem do pokoju, krochmalić, prasować, słowem kształciła ją na porządną pokojówkę. Dziewczyna była posłuszną z obawy aby nie zostać odprawioną; a ponieważ pani miała zwyczaj klucz od kredensu zostawiać w zamku, Felicya co wieczór robiła

sobie mały zapas cukru, który chrupała położywszy się do łóżka, po pacierzu.

Po południu szła czasem naprzeciwko, na gawędkę z pocztylionami, podczas gdy pani siedziała u siebie na górze.

Emma nosiła szlafroczek z otwartym przodem, który odsłaniał fałdowaną szmizetkę na trzy złote guziki zapiętą. Przepasywała się grubym sznurem z dużymi kwastami, a u granatowych pantofelków miała wielkie kokardy z szerokich wstążek. Kupiła sobie *presse-papier*, papieru listowego, piór stalowych i kopert, chociaż nie miała do kogo listów pisywać; okurzała swoje pułeczki, przeglądała się w lustrze, brała książkę w rękę i przeczytawszy kilka wierszy kładła ją na kolanach. Byłaby chciała podróżować lub powrócić do swego klasztoru. Pragnęła zarazem umrzeć i mieszkać w Paryżu.

Karol tymczasem po deszczu i śniegu przebiegał okoliczne drogi i manowce. Jadał jajecznicę na stołach folwarcznych, krew puszczał chorym, słuchał rzężenia konających, widział nie mało brudnej bielizny i nie mało rzeczy odrażających; lecz za to wieczorem znajdował w domu ogień płonący na kominku, stół zastawiony, mięki fo-

tel i żonkę wyświeżoną, śliczną i pachnącą, tak że niewiadomo było zkąd woń ta pochodziła, czy nie ona sama użyczała jej bieliźnie.

Zachwycała go tysiącem miłych drobnostek: to profitkami do lichtarzy zręcznie zrobionemi z kolorowego papieru, to falbaną przyszytą do sukni, lub szczególną nazwą nadaną bardzo zwyczajnej potrawie zepsutej przez sługę, którą jednak Karol zjadał ze smakiem co do odrobiny. Zobaczyła w Rouen panie mające breloki u zegarków; zaraz sobie kupiła breloki. Zachciało jej się na kominek dwóch wazonów ze szkła niebieskiego, a wkrótce potem neseserki z kości słoniowej, ze złotym naparstkiem. Im mniej pojmował Karol te wykwinty, tem większy nań urok wywierały. Łechtały przyjemnie jego zmysły i dodawały powabu jego domowemu ognisku. Był to niby złoty piasek, którym wysypaną była ścieżka jego życia.

Był zdrów, dobrze wyglądał; opinia jego była ustaloną. Wieśniacy kochali go za to że nie był dumnym. Pieścił dzieci, nie wchodził nigdy do karczmy, zresztą, wzbudzał zaufanie swoją moralnością. Szczególnie był szczęśliwym w leczeniu katarów i chorób piersiowych. W obawie żeby

nie zabijać swoich chorych, Karol w istocie zalecał tylko uspakajające środki, niekiedy emetyk, kąpiel na nogi lub pijawki. Nie żeby go chirurgia przestraszała; puszczał ludziom krew obficie, jak koniom, a do wyrywania zębów miał *żelazną rękę*.

Wreszcie, żeby w tyle nie pozostać, zaprenumerował *Ul medyczny*, nowy dziennik, którego mu prospekt przysłano. Czytywał go trochę po obiedzie; lecz ciepło w pokoju, łącznie z procesem trawienia, sprawiało, że po upływie pięciu minut zasypiał, z brodą opartą na dłoniach i włosami rozrzuconemi jak grzywa po stole. Emma spoglądała na niego wzruszając ramionami. Czemuż nie miała za męża jednego z tych zawziętych pracowników, którzy noce nad księgami spędzają i na starość, kiedy przychodzi pora reumatyzmów, przypinają sobie na czarnym źle skrojonym fraku krzyżyk świecący! Byłaby chciała żeby to nazwisko Bovary, które nosiła, zasłynęło, żeby jaśniało na wystawach księgarskich, żeby je powtarzały dzienniki, żeby je cała Francya znała. Lecz Karol niemiał wcale ambicyi! Doktór z Yvetot, z którym odbywał konsultacyę ostatniemi czasy, upokorzył go trochę, przy łożu chorego, w obec zgromadzonej rodziny. Gdy jej Karol opowiedział

wieczorem tę przygodę, Emma uniosła się gniewem przeciwko niegrzecznemu koledze. Karol się rozrzewnił. Pocałował ją w czoło ze łzą w oku. Lecz ona była przejęta wstydem i oburzeniem; miała ochotę go wybić i poszła otworzyć okno, żeby ochłonąć odetchnąwszy świeżem powietrzem wieczoru.

— Co za niedołęga! co za niedołęga! powtarzała pół głosem, zagryzając usta.

Więcej jeszcze dawał jej powodów do rozdrażnienia. Z wiekiem nabierał prostackich nawyknień; przy stole, krajał korki od wypróżnionych butelek; po jedzeniu oblizywał sobie usta, przełykając zupę wydawał gardłem rodzaj gdakania, a ponieważ tyć zaczynał, oczy jego, z natury małe, zdawały się uciekać ku skroniom przed wydętością policzków.

Niekiedy Emma chowała mu pod kamizelkę czerwony brzeg jego trykotów, poprawiała mu krawat, lub odrzucała precz zniszczone rękawiczki, które chciał wciągać na ręce, lecz nie czyniła tego wszystkiego dla niego jak sobie wyobrażał; czyniła to dla siebie samej, z nerwowego rozdrażnienia. Czasem także mówiła mu o tem co czytała, opowiadała mu ustępy z romansów, szcze-

góły o nowej sztuce, skandalik wielkoświatowy w felietonie ogłoszony, bo wreszcie Karol był *kimś*, uchem zawsze otwartem, pochwałą zawsze gotową. Przecie i charciczce swojej robiła zwierzenia! Byłaby je robiła kłodom drzewa na kominie leżącym i zegarowi ściennemu.

W głębi serca jednak zawsze oczekiwała na jakiś wypadek. Tak jak to czynią żeglarze w niebezpieczeństwie, wodziła zrozpaczonym wzrokiem po pustyni obszaru samotnego życia swego, upatrując jakiego żagla na mglistym horyzoncie. Nie wiedziała jaki będzie ten wypadek, jaki wiatr go do niej przyniesie, do jakiego ją portu popchnie, czy będzie szalupą czy okrętem trzymasztowym, czy ładunek jego składać się będzie z trosk czy ze szczęśliwości. Każdego rana budziła się z nadzieją, że ten wypadek nastąpi i przez cały dzień przysłuchiwała się wszystkim odgłosom, zrywała się z miejsca, dziwiła się że nie przychodził, a gdy słońce zaszło, z każdym dniem smutniejsza, pragnęła żeby już było jutro.

Nadeszła wiosna. Pierwsze ciepła sprowadziły jej duszność w piersiach.

Od początku lipca liczyła na palcach ile jeszcze tygodni pozostawało do października, my-

śląc, że może margrabia d'Audervillers da znowu bal w Vaubeyssard. Lecz cały wrzesień upłynął bez żadnego listu ani wizyty.

Po tym zawodzie serce Emmy znowu pustka zaległa i rozpoczął się dla niej szereg dni jednostajnych i bezbarwnych.

Miały więc teraz tak po sobie następować, jedne do drugich podobne, niezliczone i nic z sobą nowego nie przynoszące! Inni, jakkolwiek może nudne prowadzili życie, mogli przynajmniej spodziewać się jakiego wypadku. Nagła przygoda sprowadzała czasem nieskończone koleje i zupełną zmianę położenia. Ale dla niej, nic! Bóg tak chciał. Przyszłość jej podobną była do ciemnego korytarza, z zamkniętemi na końcu drzwiami.

Zarzuciła muzykę. Dla kogo miała grać? kto jej słuchał? Ponieważ nigdy nie zasiądzie w sali koncertowej do fortepianu Erarda, w sukni aksamitnej z krótkimi rękawami i nie będzie nigdy słyszała, przebiegając palcami po klawiszach z kości słoniowej, pochlebnego szmeru pochwał, nie warto było męczyć się egzercytowaniem. Nie tykała również ołówków ani igły. Na co się to zdało? Szycie ją drażniło.

— Wszystko już czytałam, mówiła sobie.

I siedziała całemi godzinami grzejąc w ogniu szczypce, lub przypatrując się jak deszcz padał. Jakże smutną się czuła w dnie świąteczne, kiedy dzwoniono na nieszpory! Słuchała w błędnem osłupieniu pojedynczych dźwięków pękniętego dzwonu. Czasem kot łażąc po dachu, wygrzewał w bladych promieniach jesiennego słońca swój grzbiet zaokrąglony. Wiatr pędził na drodze tumany białego pyłu. Niekiedy pies zawył z daleka, a dzwon w równych odstępach dźwięczał jednostajnie i żałośnie.

Ludzie zaczynali wychodzić z kościoła. Kobiety w wyczernionych sabotach, wieśniacy w nowych kapotach, dzieci biegnące naprzód z gołemi głowami, wszystko to powracało do domu. A kilku mężczyzn pozostawało aż do zmierzchu przed drzwiami gospody, grając w korki.

Zima była mroźna. Co rano szyby pokryte były szronem, a blade światło jakie przepuszczały niby szkło matowe przez cały dzień czasem jednostajnem pozostawało. O czwartej godzinie po południu trzeba już było lampy zapalać.

W dnie pogodne Emma schodziła do ogródka. Zmarznięta rosa pozostawiała na kapuścianych liściach srebrne gipiury połączone długiemi białe-

mi nitkami. Nie słychać było świergotu ptasząt, wszystko zdawało się uśpione, szpaler okryty był słomą, a winne krzaki wyglądały jak ogromny wąż wtulony pod daszkiem muru, gdzie się roiły brzydkie stonogi. Pod jedlinką przy płocie, zakonnik w trójgraniastym kapeluszu nad brewiarzem, stracił prawą nogę, a gips popękany od mrozu porobił mu białe trędy po twarzy.

Powracała potem na górę, zamykała drzwi, rozniecała ogień na kominku, a ogarnięta denerwującem ciepłem, czuła nudę, która ją coraz cięższem przygniatała brzemieniem. Miała nieraz ochotę iść na gawędkę do służącej, lecz wstyd ją wstrzymywał.

Każdego wieczoru, o jednej godzinie, nauczyciel szkółki miejscowej otwierał okiennice swego domu i przechodził strażnik polowy z pałaszem na bluzie. Rano i wieczorem prowadzono konie pocztowe parami przez ulicę do sadzawki. Od czasu do czasu dawał się słyszeć dzwonek u drzwi której karczmy, a podczas wiatru słyszano nawet skrzyp metalowych miseczek służących za szyld perukarzowi, które się obracały na swoich żelaznych pręcikach. Wystawę sklepu tego stanowiła stara rycina mód przyklejona do szyby i wo-

skowe popiersie kobiety z żółtymi włosami. Perukarz także ubolewał nad chybionem powołaniem swojem, nad zmarnowaną przyszłością, i marząc o pięknym sklepie w jakiem wielkiem mieście, np. w Rouen, blizko portu i teatru, spędzał całe dnie na przechadzaniu się ustawicznem od merostwa aż do kościoła, w oczekiwaniu gości. Ilekroć pani Bovary podnosiła oczy, widziała go zawsze przed sobą, jak wartę na stanowisku, w greckiej czapeczce na głowie i nankinowej kurtce.

Czasem po południu ukazywała się za szybami sali głowa mężczyzny ogorzałej cery, z czarnymi faworytami, której stereotypowy uśmiech odkrywał dwa rzędy białych zębów. Zaczynała się zaraz nuta walca i w malutkim saloniku tancerze wielkości małego palca, kobiety w różowych zawojach, tyrolczycy w swoich narodowych strojach, małpy w czarnych frakach, panowie w krótkich spodniach, kręcili się pomiędzy fotelami, kanapami, konsolami, odbijając się w lusterkach oblepionych na rogach złotą bordiurką. Kataryniarz obracał korbą, oglądając się na prawo i na lewo po wszystkich oknach. Od czasu do czasu splunąwszy na bok podpierał kolanem swój in-

strument, którego twarda szelka ramię mu ugniatała, a muzyka, już to smętna i rozwlekła, już to żywa i wesoła, wychodziła z pudła przedzierając się przez różową kitajkową firankę, przytrzymaną szponami mosiężnemi. Były to melodye grywane po teatrach, śpiewane w salonach, po których tańczono przy jarzącem świetle żyrandoli, a które przychodziły do uszu Emmy jak echa światowe. Nieskończone sarabandy rozwijały się w jej głowie i podobnie jak bajadera po kwiatach kobierca, tak myśl jej bujając na skrzydłach melodyi, przeskakiwała z jednego marzenia w drugie, z jednego smutku w drugi. Kataryniarz zebrawszy datki w skórzaną czapeczkę, okrywał swój instrument starą wełnianą derką, zawieszał go na plecach i ciężkim krokiem odchodził. Emma ścigała go wzrokiem.

Lecz najnieznośniejszemi dla niej były godziny obiadowe, spędzane w małej salce na dole z dymiącym piecem, skrzypiącemi drzwiami, wilgocią na ścianach i podłodze; zdawało jej się, że ma przed sobą na talerzu podaną całą gorycz swego istnienia i wraz z parą rosołu podnosiły się z głębi jej duszy mdlące jakieś wyziewy. Karol jadł powoli; czekając aż skończy, gryzła orzechy, lub

wsparta na łokciu rysowała końcem noża na ceracie.

Zaniedbała teraz zupełnie swoje gospodarstwo, a starsza pani Bovary, przyjechawszy na część wielkiego postu do Tostes, bardzo się tą zmianą zadziwiła. W samej rzeczy, Emma, niegdyś tak staranna i wykwintna, zostawała nieraz całe dnie nieubrana, nosiła szare bawełniane pończochy, paliła świece łojowe. Powtarzała że trzeba oszczędzać, ponieważ nie byli bogaci, dodając że jest bardzo zadowoloną, bardzo szczęśliwą, że Tostes bardzo jej się podoba i tysiączne inne rzeczy, któremi zamykała usta teściowej. Zresztą, Emma wcale się już niezdawała gotową słuchania rad mężowskiej matki; raz nawet, gdy pani Bovary zaczęła dowodzić że obowiązkiem państwa jest czuwać nad religią swoich domowników, odpowiedziała jej tak gniewnem spojrzeniem i tak oschłym uśmiechem, że zacna starowina więcej już tego przedmiotu nie poruszyła.

Emma stawała się kapryśną i wymagającą. Kazała sobie robić osobne potrawy, których potem w usta nie brała; jednego dnia piła samo tylko mleko, drugiego po kilkanaście filiżanek herbaty. Czasem nie chciała wcale wychodzić; dostawszy

potem duszności, otwierała wszystkie okna i ubierała się letnio. Łajała bez słusznego powodu sługę, a potem dawała jej podarunki lub pozwalała jej iść do sąsiadek, tak jak czasem oddawała wszystkie drobne z woreczka ubogim, chociaż wcale nie była bardzo czułą, ani łatwo przystępną wzruszeniom drugich, jak większa część osób wiejskiego pochodzenia, które zachowują w duszy odrobinę szorstkości rąk ojcowskich.

Ku końcowi lutego, ojciec Rouault na pamiątkę swego wyzdrowienia sam przywiózł zięciowi tucznego indyka i trzy dni zabawił w Tostes. Ponieważ Karol musiał objeżdżać swoich chorych, Emma dotrzymywała ojcu towarzystwa. Palił fajkę w jej pokoju, pluł w ogień, rozprawiał o gospodarstwie, o krowach, cielętach, drobiu i radzie gminnej, tak że kiedy wreszcie odjechał, zamknęła za nim drzwi z uczuciem zadowolenia, któremu się sama dziwiła. Zresztą, nie ukrywała swej pogardy dla nikogo ani dla niczego i czasem pozwalała sobie wyrażać osobliwsze zdania, ganiła to co wszyscy chwalili, a pochwalała rzeczy przewrotne i niemoralne: co słuchając mąż wielkie oczy otwierał.

Czy ta nędza wiecznie trwać miała? czy nie było już dla niej żadnego wyjścia? A przecież,

nie gorszą była od tych wszystkich, które żyły szczęśliwe! Widziała w la Vaubeyssard księżne, które mogły jej pozazdrościć kibici i nie odznaczały się wcale wytwornem obejściem i zżymała się na niesprawiedliwość Boga; opierała głowę o ścianę i płakała rzewnie; zazdrościła życia burzliwego; nocy balowych, tajemniczych i zakazanych rozkoszy ze wszystkiemi upojeniami jakich nie znała, a jakie one dawać musiały.

Pobladła i cierpiała na bicie serca. Karol przepisał jej waleryanę i kamforowe kąpiele. Wszystko co jej radzono, drażniło ją bardziej jeszcze.

Bywały dnie w których rozprawiała z gorączkową gadatliwością; po tych wybuchach wpadała nagle w stan odrętwienia, podczas którego ani mówiła ani się poruszała. Orzeźwiało ją wtenczas tylko oblewanie ramion kolońską wodą.

Ponieważ ciągle wyrzekała na Tostes, Karol wyobraził sobie, że przyczyna jej choroby leżała zapewne w jakim wpływie miejscowym i uczepiwszy się tej myśli, zajął się na seryo przeniesieniem w inną okolicę.

W tym czasie Emma zaczęła pić ocet, żeby schudnąć, dostała suchego kaszlu i straciła zupełnie apetyt.

Przykro było Karolowi opuszczać Tostes po czteroletnim pobycie, właśnie w chwili kiedy już sobie wyrobił stanowisko. Jeżeli jednakże tak być musiało! Zawiózł żonę do Rouen, do swego dawnego profesora. Była to choroba nerwowa: zmiana powietrza najlepszem na to lekarstwem.

Zasięgając tu i owdzie wiadomości, Karol dowiedział się że w okręgu Neufchatelskim znajdowało się spore miasteczko zwane Yonville-l'Abbaye, z którego lekarz, polski emigrant, wyniósł się zeszłego tygodnia. Napisał zaraz do miejscowego aptekarza z zapytaniem jaka była cyfra ludności miasteczka, jak daleko mieszkał najbliższy kolega, ile miał rocznego dochodu poprzedni lekarz, etc., a po odebraniu zadawalniających odpowiedzi, postanowił przenieść się tam na wiosnę, jeżeliby się stan zdrowia Emmy nie poprawił.

Pewnego dnia porządkując w szufladzie w przewidywaniu blizkiego wyjazdu, młoda kobieta pokłuła sobie palce o cóś ostrego. Był to drucik od jej ślubnego bukietu. Pączki pomarańczowego kwiatu żółte były od kurzu, a wstążeczki atłasowe srebrem przetykane, powystrzępiały się na brzegach. Rzuciła go w ogień. Zajął się płomieniem prędzej od suchej słomy. Niebawem wygłą-

dał jak czerwony krzaczek na popiele, trawiący się powoli. Patrzyła na to zniszczenie. Kuleczki tekturowe pękały, druciki się skręcały, szych topniał, a papierowe listki, zwęglone, zakołysawszy się po nad płomieniem jak czarne motylki, uleciały w górę przez komin.

Kiedy wyjechali w miesiącu marcu z Tostes, pani Bovary była przy nadziei.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Yonville l'Abbaye (tak zwane z powodu dawnego opactwa Kapucynów, którego ślady nawet już zaginęły) jest miasteczkiem leżącem w odległości ośmiu mil od Rouen, na drodze z Abbeville do Beauvais, w głębi doliny oblanej rzeczką Rieule, która wpada do Andelle, zasiliwszy trzy młyny u swego ujścia. Lubownicy rybołówstwa łowią w niej pstrągi każdej niedzieli.

Pod la Boissière zjeżdża się z gościńca i jedzie bocznemi drogami aż do wysokości kraju Leue, zkąd otwiera się widok na dolinę. Przerzynająca rzeka dzieli ją na dwie odmienne strefy: po lewej stronie same pastwiska, po prawej same

grunta orne. Łąka wydłuża się pod osłoną szeregu nizkich pagórków, łącząc się od tyłu z pastwiskami kraju Bray, podczas gdy od strony wschodniej, równina podnosząc się zwolna, rozszerza się i jak wzrok dosięgnąć może rozpościera płowe pola zbożowe. Woda płynąca na skraju zieleni, białą smugą oddziela barwę łąk od zagonów, przez co krajobraz podobnym jest do wielkiego rozpostartego płaszcza z zielonym aksamitnym kołnierzem, obszytym srebrnym galonem.

Na krańcach widnokręgu widnieją dęby lasu Argueilskiego, wraz z pochyłościami wybrzeża St. Jean, poprzerzynanemi z góry na dół długimi nierównymi czerwonymi pasami; są to ślady deszczów, a te ceglaste odcienia, odbijając wązkiemi smugami od szarej barwy góry, pochodzą od mnóstwa żelaznych źródeł, w które ta okolica obfituje.

Znajdujemy się tu na granicy Normandyi, Pikardyi i Ile-de-France, kraj niema wyraźnego charakteru, ani mieszkańcy właściwego akcentu. Tu robią najgorsze z całego okręgu sery neufszatelskie; a z drugiej strony uprawa roli bardzo jest kosztowną, gdyż potrzeba wiele nawozu dla użyznienia tych gruntów miałkich, pełnych piasku i kamyków.

Aż do roku 1835 nie było wcale znośnej drogi do Yonville; około tego czasu dopiero zaprowadzono drogę gminną pierwszej klasy, która łączy gościniec abbevilski z amieńskim i bywa czasem używaną przez furmanów udających się z Rouen do Flandryi. Yonville jednakże nie podniosło się, pomimo nowo otworzonych dróg zbytu. Zamiast ulepszać uprawę gruntów, rolnicy trzymają się traw, pomimo spadania cen tychże, a leniwe miasteczko rozszera się powoli w stronę rzeki. Widać je z daleka rozłożone wzdłuż wybrzeża, jak pastuch wypoczywający nad brzegiem wody.

Poniżej mostu poczyna się bity gościniec wysadzony młodą osiczyną, który prowadzi prosto do pierwszych zabudowań. Są one opasane płotami, otoczone podwórzami, w środku których się mieszczą gospodarskie budynki, tłokarnie, wozówki i stodoły, rozrzucone pod drzewami, których gałęzie służą za wieszadła na drabiny, kosy i żerdzie. Dachy słomą kryte, nakształt czapek futrzanych na oczy nasuniętych, spuszczają się aż na nizkie okienka, których grube wypukłe szyby mają po środku węzły, jak spody butelek. Przy tynkowanej ścianie czarnemi belkami pokrajanej, czepia się czasem nędzna grusza, a dolne izby mają u wejścia ruchome barierki dla ochrony od

kurcząt, które przychodzą na próg dziobać środek chleba maczanego w jabłeczniku. Im dalej, tem podwórza stają się ciaśniejsze, płoty znikają, pęk paproci kołysze się nad oknem na kiju od szczotki; jest już kuźnia kowala i szopa kołodzieja, przed którą parę nowych wozów zawala drogę. Dalej ukazuje się za sztachetami biały domek a przed nim okrągły trawnik ozdobiony gipsowym amorkiem trzymającym palec przy ustach; dwa wazony z lanego metalu zdobią ganek; tarcze błyszczą przed drzwiami: to dom notaryusza, najpiękniejszy w całem mieście.

Kościół znajduje się po drugiej stronie ulicy, o dwadzieścia kroków dalej, u wejścia na rynek. Cmentarzyk który go otacza, nizkim murem opasany, tak jest pełen grobów, że stare kamienie zrównane z ziemią tworzą jeden ciąg płyt kamiennych, pośród których trawa porobiła miarowe kwadraty. Kościół odbudowany został na nowo w ostatnich latach panowania Karola X. Drewniane jego sklepienie zaczyna pruchnieć od góry i dostaje miejscami czarnych wklęsłości na swem tle szafirowem. Po nad drzwiami jest rodzaj chóru dla mężczyzn, dokąd prowadzą kręte wschodki.

Światło dzienne, wpadając przez wielkie podłużne okno, oświeca ławki umieszczone bokiem do ścian, miejscami słomą wysłane, po nad któremi umieszczone są napisy: „Ławka pana takiego a takiego". Dalej, w miejscu gdzie nawa się zwęża, konfesyonał odpowiada posążkowi Najświętszej Panny, w sukni atłasowej, w welonie z tiulu w srebrne gwiazdy, z policzkami czerwonymi jak u bożyszcza z wysp Sandwich, wreszcie zakończa perspektywę kopia *Św. Rodziny ofiarowana przez pana ministra spraw wewnętrznych*, umieszczona po nad wielkim ołtarzem, pomiędzy czterma świecznikami. Sosnowe stalle chóru zostały niepomalowane.

Targowisko, to jest pokrycie z dachówek oparte na kilkunastu słupkach, samo zajmuje blizko połowę wielkiego rynku Yonville. Merostwo, zbudowane podług planu *paryzkiego architekta*, ma kształt greckiej świątyni, tworzącej róg obok domu aptekarza. Ma na dole trzy kolumny jońskie, a na pierwszem piętrze galeryę sklepioną, której szczyt wieńczy kogut gallijski oparty jedną łapą na karcie konstytucyjnej, a w drugiej trzymający wagi sprawiedliwości.

Najbardziej jednak każdego uderza apteka pana Homais wprost zajazdu pod „Złotym lwem"! Szczególnie wieczorem, kiedy lampy są pozapalane, a słoje czerwone i zielone, które zdobią wystawę sklepu rzucają daleko na ulicę swoje kolorowe światła, wtenczas daje się spostrzegać, jak w ogniach bengalskich, cień aptekarza wspartego o pulpit. Cały dom jego od góry do dołu pokryty jest ogłoszeniami wypisanemi charakterem angielskim, okrągłym, lub drukowanym: „Wody Vichy, Salcerskie i Barége, soki przeczyszczające, leki Raspaila, rakahu arabskie, pastylki Darceta, ciasto Regnaulta, bandaże, kąpiele, czekolada zdrowia i t. d." A na szyldzie, zajmującym całą szerokość sklepu, czytamy napis złotemi głoskami: „*Homais, aptekarz*, w głębi sklepu, za wielkiemi wagami wmurowanemi nad kantorem, rozwija się napis *laboratoryum* po nad szklannemi drzwiami, które na połowie swej wysokości powtarzają jeszcze raz nazwisko *Homais*, złotemi głoskami na tle czarnem.

Więcej już niema co widzieć w Yonville. Jedyna ulica, długa na odległość strzału i posiadająca kilka sklepów, kończy się nagle na zakręcie drogi. Zostawiwszy ją na prawo i udawszy się wy-

brzeżem Św. Jana, dochodzi się niebawem do cmentarza.

Podczas cholery zwalono część opasującego muru i dokupiono sąsiednie trzy akry gruntu dla powiększenia siedziby umarłych, lecz cała ta część nowa pozostaje prawie niezajętą, gdyż groby, jak dawniej cisną się wszystkie ku bramie. Stróż, który jest zarazem grabarzem i bedelem przy kościele (podwójną tym sposobem odnosząc korzyść z nieboszczyków parafii), skorzystał z próżnego gruntu, aby na nim zasadzić kartofle. Pole jego wszakże zmniejsza się z każdym rokiem, a w razie wybuchnięcia epidemii, sam nie wie czy ma się radować z pogrzebów, czy smucić z przybywających grobów.

— Żywisz się zmarłymi, Lestiboudois! rzekł mu raz proboszcz.

To ponure słowo zastanowiło go; zaprzestał na czas jakiś swego przemysłu, lecz dziś sadzi znowu swoje tuberkuły, a nawet bez zająknienia utrzymuje, że same wyrastają.

W samej rzeczy, nic się nie zmieniło w Yonville od czasu wypadków jakie tu opowiedzieć zamierzamy. Trójkolorowa blaszana chorągiewka obraca się zawsze na wierzchu kościelnej dzwon-

nicy; na wystawie kupca *nowości* powiewają te same wstążki; foctusy aptekarza, jak kawałki białej hubki, gniją w mętnym spirytusie, a po nad główną bramą zajazdu stary lew złoty, wyblakły od deszczów, pokazuje zawsze przechodniom swoją kędzierzawą grzywę.

Wieczorem tego dnia, kiedy państwo Bovary mieli przyjechać do Yonville, pani Lefrançois wdowa, właścicielka tego zajazdu, tak mocno była zajęta, że cała w potach ustawiała swoje rądle. Nazajutrz był dzień targowy w miasteczku. Trzeba było zawczasu pokrajać mięsiwa, oczyścić kurczęta, przyprawić zupę i ugotować kawę. Musiała nadto myśleć o obiedzie dla swoich stołowników, doktora, jego żony i służącej; w sali bilardowej rozlegały się głośne śmiechy; trzej młynarze w pierwszej sali wołali o wódkę; drzewo trzaskało na kominie, a na długim stole kuchennym, pomiędzy ćwiartkami surowej baraniny, piętrzyły się stosy talerzy drżące od uderzeń tasaka, którym siekano szpinak. Z podwórza dochodził krzyk kur, które służąca goniła w celu pozbawienia ich życia.

Mężczyzna w zielonych skórzanych pantoflach, z twarzą ospowatą, w czapeczce aksamitnej ze złotym kwastem na głowie, grzał sobie plecy

przy kominie. Twarz jego wyrażała zupełne z siebie samego zadowolenie i wydawał się tak spokojnie pędzić życie jak szczygieł zawieszony nad głową jego w klatce drucianej: był to aptekarz.

— Artemizo! wołała gospodyni zajazdu, latawcze ty! napełnij karafki, przynieś wódki, pośpiesz się! Gdybym chociaż wiedziała jakie wety ofiarować tym oczekiwanym gościom!.. Miłosierny Boże! Komisanci od przeprowadzek zaczynają znowu swoje hałasy w bilardzie! A bryka ich stoi pod bramą! *Jaskółka* gotowa ją rozbić jak nadjedzie! Zawołaj Polita, żeby ją do wozówki wprowadził!.. Niech pan sobie tylko wyobrazi, panie Homais, że ci ludzie od rana przegrali z piętnaście partyj i wypili ośm kwart jabłeczniku!.. Ależ poniszczą mi bilard!.. mówiła dalej patrząc na nich z daleka z warząchwią w ręku.

— Nie byłoby to tak wielkie nieszczęście, odparł pan Homais, kupiłabyś pani inny.

— Inny bilard! wykrzyknęła wdowa.

— Bo ten już się nie trzyma, pani Lefrançois; powtarzam pani, że sama sobie szkodzisz, bardzo sobie szkodzisz. A potem, widzisz pani, dziś amatorowie przekładają wązkie torebki i ciężkie kije. Nie grają już teraz kulami, czasy się zmieniły

Trzeba iść z postępem wieku! Zapatruj się pani na Telliera...

Oberżystka zaczerwiniła się z gniewu. Aptekarz powiedział jeszcze:

— Mów pani co chcesz, jego bilard ładniejszy jest od twego; a niechby mu tylko przyszła myśl urządzić patryotyczną składkę na korzyść polskich wychodźców lub dotkniętych powodzią lyończyków.

— Takich łapserdaków nie potrzebujemy się obawiać! przerwała oberżystka wzruszając grubemi ramionami. Daj pan pokój, panie Homais, dopóki żyć będzie *Złoty Lew*, dopóty ludzie odwiedzać go nie przestaną. Na mocnych my nogach stoimy, panie Homais! To nie tak jak *Francuzka kawiarnia*, którą lada dzień zobaczycie zamkniętą, z obwieszczeniem na okiennicy przybitem!.. Miałabym zmienić mój bilard... ciągnęła dalej jakby sama do siebie, — który mi tak jest dogodny do układania bielizny i na którym w porze łowieckiej dla sześciu myśliwych urządziłam posłanie!... A ten bałwan Hivert nie przyjeżdża!

— Czy pani czekasz na niego z obiadem swoich stołowników? zapytał aptekarz.

— Gdzież znowu? A cóżby na to powiedział pan Binet? Zobaczysz go pan razem z pierwszem uderzeniem szóstej godziny, bo ten człowiek niema sobie podobnego na świecie pod względem punktualności. Musi mieć zawsze swoje miejsce w małej salce! Dałby się raczej zabić aniżeli gdzie indziej do stołu posadzić! a jaki wybredny! jak trudno mu dogodzić! To nie to co pan Leon; ten przychodzi czasem o siódmej, czasem o wpół do ósmej i nie patrzy nawet na to co je. Co za nieoszacowany młody człowiek! Nigdy głosu nie podniesie.

— Bo to widzisz pani, jest różnica pomiędzy człowiekiem, który odebrał staranne wychowanie, a dawnym karabinierem zrobionym poborcą.

Szósta godzina wybiła. Wszedł Binet.

Miał na sobie surdut granatowy, luźno wiszący na chudem jego ciele; z pod skórzanej czapeczki a podniesionym daszkiem i patkami spiętemi na wierzchu, widać było łyse czoło wklęsłe od noszenia ciężkiego kasku. Nosił zwykle czarną sukienną kamizelkę, szare pantalony i o każdej porze roku czysto wyglansowane buty z równoległemi wydęciami na wystających kościach wielkich palcy. Ani jeden włosek nie wystę pował na

linię płowych jego faworytów, które okalając dolną szczękę, tworzyły starannie utrzymaną ramę dla jego długiej wyblakłej twarzy o małych oczkach i garbatym nosie. Wprawny we wszystkie gry w karty, zawołany myśliwy i dobry kaligraf, miał u siebie toczydło i bawił się toczeniem kółek do serwet, któremi zarzucał dom swój z zazdrością artysty i samolubstwem mieszczanina.

Zwrócił się prosto do małej salki, lecz trzeba było najpierwej wyprowadzić z niej trzech młynarzy; przez cały czas póki nakrywano dla niego, Binet stał milczący przy piecu, potem zamknął drzwi i zdjął czapkę, jak zwykle.

— Ten przynajmniej nie zużyje sobie języka na grzeczności! powiedział aptekarz zostawszy sam z oberżystką.

— Nigdy nie bywa rozmowniejszym, odrzekła; przeszłego tygodnia było tu dwóch podróżujących sukienników, dowcipne chłopaki, naopowiadali wieczorem tysiące zabawnych rzeczy, z których do łez się uśmiałam; on tymczasem siedział milczący jak ryba.

— Tak jest, potwierdził aptekarz,— umysł ciasny, żadnego dowcipu, żadnej cechy człowieka towarzyskiego.

— Mówią jednak, że ma zdolności, zarzuciła oberżystka.

— Zdolności? odparł pan Homais; — on, zdolności? Chyba w swoim fachu, dodał z większym spokojem. Po chwili mówił dalej: — Jeżeli taki np. kupiec, mający rozległe stosunki, prawnik, lekarz, aptekarz, tak są *zaabsorbowani*, że się stają roztargnionymi, czasem nawet opryskliwymi, to pojmuję; mamy tego przykłady w historyi! Ale przynajmniej ci ludzie myślą o czemśkolwiek. Mnie samemu, ileż razy się zdarzyło szukać pióra na biurku dla napisania etykiety, kiedy je miałem zatknięte za ucho!

Jednakże pani Lefrançois wyszła na próg zobaczyć czy nie nadjeżdża *Jaskółka*. Wtem drgnęła i cofnęła się. Mężczyzna czarno ubrany wszedł nagle do kuchni. W pół cieniu zapadającego zmroku można było dostrzedz tylko twarz jego rumianą i atletyczną postawę.

— Czem służyć można księdzu proboszczowi? zapytała oberżystka, biorąc z komina jeden z ustawionych tam rzędem mosiężnych świeczników, może szklaneczką wiśniaku, albo kieliszkiem wina?

Ksiądz grzecznie za wszystko podziękował. Przyszedł po swój parasol, który zapomniał wczoraj w klasztorze Ennemont i poprosiwszy pani Lefrançois, żeby mu go odesłała wieczorem do probostwa, udał się do kościoła gdzie właśnie dzwoniono na *Anioł Pański*.

Skoro znikł już odgłos kroków duchownego, aptekarz zwrócił uwagę na niestosowność jego znalezienia się przed chwilą. Odmowa jego przyjęcia czegokolwiek wydawała mu się szkaradną obłudą; wiadomo przecie było że księża spijali dobrze pokryjomu i radziby byli powrócić czasy dziesięcin.

Oberżystka stanęła w obronie swego proboszcza.

— Zresztą, dodała, czterech takich jak pan przełożyłby przez kolano. Przeszłego roku pomagał naszym ludziom do znoszenia słomy; brał po sześć więzi na raz, tak jest silnym!

— Brawo! wykrzyknął aptekarz. Posyłajże tu córki do spowiedzi do tak zbudowanych chłopów! Ja gdybym był rządem, wydałbym rozporządzenie żeby księżom raz na miesiąc krew puszczano. Tak jest, pani Lefrançois, co miesiąc dobrą dozę krwi, w interesie policyi i dobrych obyczajów!

— Dałbyś też pokój, panie Homais! pan jesteś bezbożnikiem! pan niemasz religii!

Aptekarz odpowiedział:

— I owszem, mam religię, mam moją religię, a nawet mam jej więcej od nich wszystkich. Ja wielbię Boga! Wierzę w Istność Najwyższą, w Stwórcę, kimkolwiek On jest zresztą, który nas tu umieścił abyśmy spełniali nasze obowiązki obywatela i ojca rodziny; lecz nie uważam za potrzebne całować po kościołach srebrne blachy i groszem krwawo zapracowanym tuczyć stado darmozjadów, którzy lepiej żyją od nas! Albowiem można Mu cześć składać zarówno w lesie i na polu, albo wpatrując się w sklepienie gwiaździste, jak to czynili starożytni. Mój Bóg jest Bogiem Sokratesa, Franklina, Woltera i Berangera! Jestem zwolennikiem *Wyznania wiary wikarego sabaudzkiego* i nieśmiertelnych zasad 89 roku!

Zamilkł szukając wzrokiem słuchaczy w około siebie, gdyż wpadłszy w zapał, aptekarz sądził przez chwilę, że się znajduje na posiedzeniu rady municypalnej. Lecz oberżystka go już nie słuchała; była cała zajęta dosłyszanym z daleka odgłosem. Niebawem dał się słyszeć turkot powo-

zu z towarzyszeniem brzęku łańcuchów po bruku i wreszcie *Jaskółka* stanęła przed bramą zajazdu.

Było to żółte pudło zawieszone na dwóch kołach, które sięgając aż do wysokości budy, przeszkadzały podróżnym patrzyć na drogę i walały im ramiona. Małe szybki po bokach drżały w swej oprawie kiedy powóz był zamknięty i miały na sobie plamy błota zaschłego na pokładzie kurzu, którego nawet ulewne deszcze zmyć nie mogły zupełnie. Wehikuł ten zaprzężony był w trzy konie, z których jeden szydłem, a zjeżdzając z góry uderzał dnem wstrząsając pudłem.

Kilku mieszczan pośpieszyło na plac; mówili wszyscy razem, pytając o nowiny, objaśnienia i sprawunki: Hivert nie wiedział komu najpierwej odpowiadać. On to załatwiał w mieście wszystkie interesa miejscowe. Chodził do sklepów, kupował skóry dla szewca, żelazo dla kowala, baryłkę śledzi dla swojej pani, czepeczki od modniarki, czuby od fryzyera; po drodze rozdawał swoje paczki gdzie należało, przerzucając je z kozła przez ogrodzenie i krzycząc na całe gardło, podczas gdy konie szły sobie same.

Wypadek spowodował spóźnienie *Jaskółki:* charciczka pani Bovary uciekła w pole. Gwizdano na nią przez cały kwadrans. Hivert zawrócił nawet kilka staj, bo mu się co chwila zdawało, że ją spostrzega; wreszcie trzeba było jechać dalej. Emma płakała, uniosła się nawet oskarżając Karola o to nieszczęście. Pan Lheureux, kupiec bławatny, razem z nią podróż odbywający, próbował ją pocieszyć przytaczaniem licznych przykładów o zgubionych psach, które po długich latach wróciły do swego pana. Opowiadano, że jedno z tych zmyślnych zwierząt powróciło z Konstantynopola do Paryża. Inny pies zrobił pięćdziesiąt mil drogi w prostej linii i cztery rzeki wpław przebył; własny jego (pana Lheureux) ojciec miał pudla, który po dwunastoletniej nieobecności wskoczył mu na plecy, wieczorem, na ulicy, kiedy szedł na obiad do miasta.

II.

Emma wysiadła najpierwsza, potem Felicya, pan Lheureux, jakaś bona, Karola zaś musiano obudzić, tak mocno zasnął w swoim kąciku, skoro się tylko zciemniło.

Aptekarz Homais się przedstawił; złożył swoje uszanowanie pani, powitał pana, oświadczył im, że bardzo mu było przyjemnie im się przysłużyć i dodał z pewną serdecznością, że ośmielił się sam zaprosić, gdy zresztą żona jego była nieobecną.

Pani Bovary wszedłszy do kuchni przybliżyła się zaraz do komina. Ujęła dwoma paluszkami suknię na wysokości kolana i podniosłszy ją aż do kostek, wystawiła na działanie ognia przy którym się piekła ćwierć baraniny— nóżkę w czarny bucik obutą. Blask płomienia oświecił ją całą, przenikając żywą światłością tkaninę jej sukni, pory białej jej skóry i nawet powieki, które przymrużała od czasu do czasu. Chwilami obejmowała ją czerwona łuna, w miarę jak powiał ciąg powietrza przez drzwi otwarte.

Od drugiej strony komina przyglądał jej się w milczeniu młody człowiek jasnowłosy.

Ponieważ się bardzo nudził w Yonville, gdzie był dependentem u pana Guillaumin, pan Leon Dupuis często odwlekał godzinę swego obiadu, w nadziei że przybędzie do zajazdu jaki podróżny, z którym będzie można pogawędzić. W dniu kie-

dy ukończył swoje zajęcie, musiał się stawić na przeznaczoną godzinę, bo nie wiedział co począć z sobą i znosić od zupy aż do wetów miłe towarzystwo Bineta. Z radością więc przyjął propozycyę oberżystki, żeby obiadować w towarzystwie nowo przybyłych i wszyscy przeszli do wielkiej sali, gdzie pani Lefrançois dla *szyku* kazała nakryć na cztery osoby.

Homais poprosił o pozwolenie zatrzymania na głowie greckiej czapeczki, z obawy kataru.

Potem, zwracając się do swej sąsiadki, grzecznie przemówił:

— Pani zapewne zmęczona? nasza *Jaskółka* trzęsie tak straszliwie!

— To prawda, odparła Emma; lecz ruch zawsze mnie bawi, lubię zmieniać miejsce pobytu.

— Nic w świecie nudniejszego, westchnął dependent, jak być ciągle do jednych stron przykutym!

— Gdybyś pan musiał być tak jak ja, ciągle prawie na koniu... wtrącił Karol,

— Ależ to rzecz bardzo przyjemna, odparł Leon patrząc na panią Bovary; jeżeli komu to służy, dodał.

— Zresztą, mówił aptekarz, praktyka lekarska wcale nie jest w naszych stronach uciążliwą; gdyż stan dróg miejscowych pozwala na użycie kabrioletu i w ogóle płacą dobrze, bo rolnicy nasi są zamożni. Miewamy tu pod względem medycznym, oprócz pospolitych wypadków kataralnych, zapalnych, cierpień żółciowych i wątrobianych, etc., od czasu do czasu gorączki peryodycznie powracające w porze żniw, w ogóle jednak mało się trafia chorób ważnych, nic prawie specyalnego, wyjąwszy często zimne febry, które są zapewne wynikiem opłakanego stanu hygienicznego mieszkań naszych wieśniaków. Ach! znajdziesz pan tu wiele przesądów do zwalczenia, panie Bovary; wiele rutynicznych uporów, o które potykać się będą codziennie wszystkie usiłowania pańskiej nauki, albowiem ci ludzie wolą jeszcze uciekać się do nowenn, do relikwij, do proboszcza, aniżeli pójść się poradzić doktora i wziąść lekarstwo z apteki. Klimat jednak nie jest właściwie złym, mamy nawet w naszej gminie kilku dziewięćdziesięcioletnich. Ciepłomierz stustopniowy, który sumiennie badałem—w porze zimowej opada do czterech stopni, latem zaś dochodzi dwudziestu pięciu, najwyżej trzydziestu, co czyni dwadzieścia cztery

Réaumura, inaczej pięćdziesiąt cztery Fahrenheita (miara angielska), nic więcej! — to też w istocie z jednej strony osłania nas od wiatrów północnych las Argueilski, z drugiej od wiatrów zachodnich górzyste wybrzeże Św. Jana; ten upał jednak, który — z powodu pary wodnej jaką wydziela rzeka i ciągła obecność bydła na łące wydającego z siebie, jak panu wiadomo, wiele amoniaku, to jest azotu, wodorodu i kwasorodu — nie, tylko azotu i wodorodu i który, wciągając w siebie cały humus z ziemi, łącząc w sobie wszystkie te różnorodne wyziewy, wiążąc je w jeden pęk niejako i jednocząc się zarazem z elektrycznością w powietrzu rozlaną, — mógłby z czasem, podobnie jak w krajach podzwrotnikowych, wytworzyć niezdrowe miazmaty, — ten upał, powiadam, miarkowanym zostaje od strony, z której przychodzi, czyli raczej z którejby przychodził, to jest od strony południa, wiatrowi południowo-wschodniemu, które, samo się ochłodziwszy nad Sekwaną, wpadają na nas czasem nagle, jak sybirskie powiewy!

— Czy macie tu państwo przynajmniej jakie przechadzki w okolicy? pytała dalej pani Bovary, zwracając się do młodego człowieka.

— O! prawie żadnych! odpowiedział. Jest tu jedna miejscowość, którą nazywają Pastewnikiem, na wysokości wybrzeża, pod lasem. Chodzę tam czasem w niedzielę, i siadam z książką w ręku, przypatrując się zachodowi słońca.

— Niemasz nic pyszniejszego nad zachód słońca, odparła, ale szczególnie, nad brzegiem morza.

— O! ja uwielbiam morze! westchnął pan Leon.

— Nieprawdaż panie, rzekła pani Bovary, że zdaje się jakoby umysł bujał swobodniejszy po tej przestrzeni bez granic, której widok podnosi duszę, dając jej pojęcie nieskończoności?

— Tak samo dzieje się z górskimi krajobrazami, odpowiedział Leon. Mam kuzyna, który podróżował zeszłego roku po Szwajcaryi i który mi opowiadał, że trudno sobie wyobrazić całą poezyę jezior, powab wodospadów, olbrzymie wrażenie lodników. Są tam sosny niesłychanej wysokości, po nad szumiącymi potokami, chatki zawieszone nad przepaściami, a o tysiąc stóp poniżej, ukazują się całe doliny, ilekroć wiatr chmury rozedrze. Takie widoki muszą egzaltować, usposabiać do modlitwy, do zachwytu. To też nie dziwię się

owemu sławnemu muzykowi, który dla lepszego rozbudzenia w sobie artystycznego zapału, zwykł był grywać wobec jakiego wspaniałego widoku.

— Pan muzykalny? zapytała Emma.

— Nie, lecz bardzo lubię muzykę, odpowiedział.

— Ach! niech mu pani nie wierzy, pani Bovary! przerwał Homais pochylając się nad talerzem, to czysta skromność! Mój drogi! śpiewałeś przecie wczoraj w swoim pokoju *Aniele Stróżu!* w sposób zachwycający. Słyszałem cię z laboratoryum; oddawałeś tę melodyę jak artysta z teatru.

Leon w istocie mieszkał u aptekarza, gdzie zajmował mały pokoik na drugiem piętrze, z oknem na plac wychodzącem. Zarumienił się na ten komplement swego gospodarza, który już był się zwrócił napowrót do doktora i wymieniał mu jednego po drugim wszystkich mieszkańców Yonville. Opowiadał różne anegdoty, dawał objaśnienia: nie wiedziano właściwie jaki majątek posiadał notaryusz, a dom mera Tuvache w wielkich był kłopotach.

Emma zagadnęła:

— Jaką pan muzykę przekładasz?

— O! pani! muzykę niemiecką, tę która usposabia do marzenia.

— Czy pan znasz operę włoską?

— Jeszcze nie; lecz ją zobaczę w przyszłym roku, skoro zamieszkam w Paryżu dla ukończenia kursów prawnych.

— Otóż jak już miałem zaszczyt oświadczyć mężowi pani, — wtrącił aptekarz, — co do tego biednego Yanody, który uciekł; dzięki popełnionym przez niego szaleństwom, będziecie państwo mieli jeden z najporządniejszych domów w Yonville. Co w nim jest najdogodniejszego dla lekarza, to że ma wyjście na drogę, które pozwala wychodzić nie będąc widzianym. Zresztą, zaopatrzony jest we wszystko co może być potrzebnem w gospodarstwie, jest pralnia, kuchnia z izbą czeladnią, salon familijny, sad, etc. Ten człowiek nie pytał o wydatek! Kazał sobie urządzić w końcu ogrodu, lecz przy wodzie, altankę, żeby w niej podczas lata piwem się chłodzić, a jeżeli pani lubi ogrodnictwo, to będzie mogła...

— Moja żona tem się wcale nie zajmuje, wtrącił Karol; woli zawsze siedzieć w pokoju i czytać, chociaż ma ruch zalecony.

— To tak jak ja, dorzucił Leon; co milszego w istocie, jak usiąść wieczorem przy kominku z książką w ręku, podczas gdy wiatr wstrząsa szybami i lampa płonie na stole?..

— Wszak prawda? podchwyciła, wlepiając w niego szeroko rozwarte czarne swoje oczy.

— Nie myśli się o niczem, mówił dalej, godziny upływają. Przechadzamy się nieruchomie po krajach, które nam się widzieć zdaje, a myśl łącząc się z fikcyą, igra ze szczegółami lub śledzi zarysy przygód opisywanych.

— To prawda! to prawda! potwierdzała Emma.

— Czy się pani kiedykolwiek nie zdarzyło, mówił jeszcze Leon, napotkać w książce rozwiniętą własną myśl niepewną, jakiś zaćmiony obraz, który się niby przypomina i jakby całkowite przedstawienie najsubtelniejszych własnych uczuć?

— Doświadczałam tego, odpowiedziała.

— Dla tego też ja najlepiej lubię poetów, rzekł. Wiersze wydają mi się tkliwszymi od prozy i bardziej do łez pobudzającymi.

— Jednakże nużą w końcu, odparła Emma, ja teraz największe znajduję upodobanie w długich historyach, które strachem przejmują. Nienawidzę

pospolitych bohaterów i uczuć umiarkowanych, jakie się w codziennem życiu napotykają.

— W samej rzeczy, zauważył dependent, ponieważ takie dzieła nie wzruszają serca, oddalają się mojem zdaniem, od prawdziwego celu sztuki. Tak błogo jest, wśród rozczarowania życia, módz spocząć myślą na slachetnych charakterach, czystych uczuciach i obrazach prawdziwego szczęścia. Dla mnie przynajmniej, żyjącego tu, zdala od świata, jedyną to jest rozrywką, lecz Yonville tak mało przedstawia pod tym względem zasobów!

— Zapewne tak jak Tostes, odparła Emma, dla tego też ja zawsze prenumerowałam książki w czytelni.

— Gdyby pani chciała mi zrobić ten zaszczyt i korzystać z mojej biblioteki, wtrącił aptekarz usłyszawszy te ostatnie wyrazy, mam na jej usługi wybór najlepszych autorów: Voltaire, Rousseau, Delille, Walter S tt, *Echo felietonów*, etc.; odbieram także kilka pism peryodycznych, między innemi *Fanal de Rouen*, gazetę codzienną, mając zaszczyt być pośrednikiem tego wydawnictwa dla miejscowości Buchy, Forges, Neufchatel, Yonville i okolic.

Siedziano już półtrzeciej godziny przy stole, gdyż służąca Artemiza, wlokąc niedbale po podłodze swoje krajczaki, znosiła po jednemu talerze, o wszystkiem zapominała, nic nie rozumiała i ciągle zostawiała uchylone drzwi sali bilardowej, które stukały bezustannie.

Leon sam nie wiedząc o tem, w zapale rozmowy postawił nogę na drążku poprzecznym krzesła, na którym siedziała pani Bovary. Emma miała na szyi niebieski jedwabny krawacik, który podtrzymywał prosto do góry batystowy rurkowany kołnierzyk, a w miarę poruszeń jej głowy, dolna część twarzy tonęła w puszystej bieli lub się z niej łagodnie wychylała. W ten sposób, siedząc obok siebie, zapuścili się, oddzielnie od gawędki jaką Karol prowadził z aptekarzem, w jedną z tych poufnych a nieokreślonych rozmów, w których oderwane zdania dążą zawsze do środkowego punktu wspólnej sympatyi. Widowiska paryzkie, tytuły nowych romansów, świeżo wyszłe kadryle, świat którego oboje nie znali, Tostes z którego ona przybywała, Yonville gdzie się obecnie znajdowali, wszystko to rozpatrywali, o wszystkiem mówili aż do końca obiadu.

Gdy podano kawę, Felicya poszła przygotować pokój dla swych państwa w nowym domu i niebawem wstano od stołu. Pani Lefrançois drzemała przy ciepłym popiele, podczas gdy chłopak stajenny czekał z latarnią w ręku na państwa Bovary, aby ich odprowadzić do ich mieszkania. Rude jego włosy pełne były słomy i kulał na lewą nogę. Wziął w drugą rękę parasol księdza proboszcza i ruszono w pochód.

Miasteczko już spało. Słupki na rynku długie cienie rzucały. Na ziemi było szaro, jak podczas letniej nocy.

Ponieważ jednak dom lekarza znajdował się nie dalej jak o pięćdziesiąt kroków od zajazdu, wkrótce trzeba było powiedzieć sobie dobranoc i towarzystwo się rozeszło.

Emma już w sieni uczuła na ramionach chłód świeżego tynku, nakształt wilgotnej bielizny. Ściany były nowe, a drewniane schody trzeszczały pod nogami. W pokoju na pierwszem piętrze, bladawa jasność przebijała się przez okna bez firanek. Dostrzegano szczyty drzew i w oddaleniu łąkę, na wpół zatopioną w mgle nocnej, która dymiła przy świetle księżyca. Pośrodku pokoju leżały w nieładzie szuflady od komód, butelki, że-

lezne pręty do firanek, złocone kije, materace na krzesłach i miednice na posadzce — dwaj ludzie bowiem, którzy te rzeczy znosili, wszystko niedbale porzucali.

Emma po raz czwarty w życiu w nieznanem miejscu noc przepędzała. Pierwszy raz gdy ją odwieziono do klasztoru, drugi za przybyciem do Tostes, trzeci w la Vaubeyssard, czwarty obecnie; a zawsze ta zmiana okazała się być jakby wstępem do nowej fazy jej życia. Nie przypuszczała aby rzeczy mogły się przedstawiać w jednakowy sposób w miejscach odmiennych, a ponieważ część przeżyta była złą, to co pozostawało będzie zapewne lepszem.

III.

Obudziwszy się nazajutrz, Emma spostrzegła na placu dependenta. Była w białym negliżu. On podniósł głowę i ukłonił się. Ona lekko kiwnęła mu głową i zamknęła okno.

Leon przez cały dzień oczekiwał nadejścia szóstej godziny, lecz przyszedłszy do zajazdu zastał samego tylko pana Binet przy stole.

Ten obiad dnia poprzedzającego stał się ważnym w życiu jego wypadkiem; do tego czasu nie rozmawiał nigdy przez parę godzin z rzędu z *damą*. Jakże więc mógł przed nią rozwijać i w takim języku mnóstwo rzeczy, które nie byłby tak dobrze pierwej powiedział? zwykle bywał nieśmiałym i zachowywał to powstrzymywanie się, które wyradza jednocześnie wstydliwość i skrytość. W Yonville miał opinię człowieka *comme il faut*. Umiał przysłuchiwać się uważnie ludziom dojrzałym i nie zdawał się krańcowym w polityce, przymiot ważny dla młodego człowieka. Nadto posiadał talenta, malował wodnemi farbami, znał nuty skrzypcowe, a w godziny poobiednie zajmował się chętnie piśmiennictwem jeżeli nie grał w karty. Pan Homais cenił go dla jego ukształcenia, pani Homais lubiła go za jego uprzejmość, gdyż często towarzyszył do ogrodu małym Homais, dzieciakom zawsze zamorusanym, bardzo źle wychowanym i trocha limfatycznym, podobnie jak ich matka. Oprócz bony, opiekował się niemi Justyn, uczeń aptekarski, daleki krewny pana Homais, którego z łaski wzięto do domu, posługując się nim jak służącym.

Aptekarz okazał się najlepszym z sąsiadów. Dawał pani Bovary objaśnienia o kupcach i dostarczycielach, sprowadził umyślnie swego handlarza jabłeczniku, sam kosztował przyniesiony napój i dopilnował w piwnicy, aby dobrze poustawiano antałki, nauczył jeszcze jak trzeba postąpić, żeby tanim kosztem zrobić zapas masła na zimę i zawarł układ z zakrystyanem Lestiboudois, który obok swych obowiązków kościelnych i grabarskich, pielęgnował głównie ogrody Yonville, rocznie lub na dniówkę, jak się komu podobało.

Nie sama jednak tylko chęć przysłużenia się bliźniemu skłaniała aptekarza do tak nadskakującej grzeczności, miał w tem i własny inreres.

Przekroczył artykuł I prawa z 19 ventôsa roku XI, który zabrania każdemu nie posiadającemu dyplomu, praktykowania medycyny, tak dalece, że w skutek podstępnej denuncyacyi, wezwany zastał do miasta Rouen, do pana prokuratora królewskiego. Dostojnik sądownictwa przyjął go w swoim gabinecie, stojący, w swojej todze urzędowej i berecie na głowie. Było to rano, przed posłuchaniem. Słychać było w korytarzu stąpanie ciężkich butów żandarmów i jakby daleki odgłos

zamykanych wielkich zasuwek. Biednemu aptekarzowi w uszach zaszumiało, jak gdyby go krew zalać miała; mignęły mu przed oczyma więzienne otchłanie, rodzina jego łzami zalana, apteka sprzedana, wszystkie słoje poroztrącane; wyszedłszy z tej łaźni musiał wstąpić do kawiarni i napić się szklankę musującej wody selcerskiej, aby wstrząśniony umysł do równowagi przywrócić.

Z czasem osłabło wrażenie tego napomnienia i pan Homais znowu dawał jak dawniej, tajemne konsultacye w swoim pokoju za apteką. Lecz pan mer miał do niego urazę, koledzy zazdrościli, wszystkiego należało się obawiać; zjednawszy sobie pana Bovary grzecznościami, mógł liczyć na jego wdzięczność i zapobiedz tym sposobem żeby milczał w przyszłości, jeżeliby co zmiarkował. Dla tego też co rano Homais zanosił mu *gazetę* i często w porze popołudniowej opuszczał na chwilę aptekę, żeby pogawędzić z doktorem.

Karol był smutny: klientela dawała czekać na siebie. Siedział czasem godzinami nieporuszony i milczący, spał w swoim gabinecie lub patrzył jak żona szyje. Dla rozrywki zajął się porządkowaniem domu; sprobował nawet pomalować poddasze farbami pozostawionemi przez malarzy. Kło-

potały go jednak sprawy pieniężne. Tyle miał wydatków na odświeżanie domu w Tostes, na stroje pani i na przeprowadzenie, że cały posag Emmy, przeszło trzy tysiące trzyfrankowych talarów, stopniał w przeciągu dwóch lat. A ileż to rzeczy popsuło się lub straciło w przewózce z Tostes do Yonville, nie licząc już gipsowego zakonnika, który spadłszy z bryki przy zbyt silnem stuknięciu potłukł się na drobne kawałki na bruku Quincampoix!

Przyjemniejsza wszakże troska przyniosła mu pożądaną rozrywkę, a mianowicie ciąża małżonki. Zdawało mu się, że ją kochał coraz więcej, w miarę jak się zbliżał termin jej rozwiązania. Było to ścieśnienie związku cielesnego i jakoby nieustanne uczucie doskonalszego zjednoczenia. Kiedy widział z daleka chód jej leniwy i kibić nie skrępowaną sznurówką, kiedy stanąwszy przed nią wpatrywał się w nią do woli, lub kiedy siedząc, przybierała w fotelu pozy omdlewające, wtenczas szczęście jego granic nie miało; podnosił się, całował ją, głaskał po twarzy, nazywał ją *mamusią*, chciał z nią tańcować i na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc, powtarzał wszystkie żartobliwe pieszczoty, jakie mu na myśl przycho-

dziły. Nadzieja ojcowstwa napełniała go niewymowną rozkoszą. Niczego mu już teraz nie brakowało. Poznał wszystkie tajniki życia ludzkiego i spokojnie się z nimi lubował.

Emma zrazu doznawała wielkiego zdziwienia, potem pragnęła już urodzić, aby się dowiedzieć co to jest być matką? Ponieważ jednak nie miała środków na sprawienie kolebki z różowemi jedwabnemi firankami i haftowanych czepeczków, wyrzekła się wyprawki w przystępie złego humoru i obstalowała ją ogółem u wiejskiej szwaczki, nic nie wybierając ani targując. Nie bawiła się zatem temi przygotowaniami, które zaostrzają czułość i okoliczność ta stępiła może nieco przywiązanie jej macierzyńskie w samym zarodzie.

Gdy jednak Karol przy każdym obiedzie mówił zawsze o spodziewanem dziecięciu, wreszcie i ona więcej myśleć o niem zaczęła.

Pragnęła syna, byłby silny i ciemnowłosy, nazwałaby go Jerzym, a sama ta myśl, że dziecię jej będzie mężczyzną była dla niej jakby spodziewanem wynagrodzeniem za wszystkie jej minione zawody. Mężczyzna, przynajmniej, jest swobodnym; może folgować namiętnościom, zwiedzać obce kraje, zwalczać przeszkody, kosztować naj-

niedostępniejszych rozkoszy. Kobieta, przeciwnie, zawsze jest skrępowaną. Zarazem bezwładna i wpływowa, ma przeciwko sobie pokusy ciała z zależnością prawną. Wola jej, jak woalka przyczepiona do kapelusza chwieje się za każdym powiewem wiatru, zawsze ją pociąga jakieś pragnienie, wstrzymuje jakiś wzgląd przyzwoitości.

Zległa jednej niedzieli, około szóstej godziny rano, o wschodzie słońca.

— Córka! rzekł Karol.

Odwróciła głowę i omdlała.

Niebawem nadbiegła pani Homais i uściskała młodą matkę, również jak pani Lefrançois z pod *Złotego Orła*. Aptekarz, jako człowiek delikatny przesłał jej tylko tymczasowe powinszowanie przez drzwi uchylone. Prosił aby mu pokazano dziecię, które znalazł dobrze zbudowanem.

Przychodząc do zdrowia, pani Bovary zajmowała się wyszukaniem imienia dla córki. Najpierwej przechodziła wszystkie te, które mają włoskie zakończenia, jak Klara, Amanda, Atala, podobały jej się także imiona Galsuind, Yscult i Leokadya. Karol życzył sobie aby dziecię nosiło imię matki, lecz Emma stanowczo się temu oparła. Przeglądano cały kalendarz od początku do końca i radzono się znajomych.

— Pan Leon, mówił aptekarz, z którym wczoraj o tem rozmawiał, dziwi się, że państwo nie obraliście imienia Magdaleny, będącego teraz w modzie.

Lecz starsza pani Bovary oburzyła się na to imię grzesznicy. Pan Homais ze swej strony, miał upodobanie do imion przypominających jakiego wielkiego człowieka, sławny czyn lub szlachetny pomysł i w takim też duchu ochrzcił swoje czworo dzieci. I tak, Napoleon przedstawiał sławę a Franklin swobodę, Irma, była może ustępstwem zrobionem romantyzmowi, Atala zaś, hołdem złożonym nieśmiertelnemu arcydziełu sceny francuzkiej. Bo przekonania jego filozoficzne nie przeszkadzały artystycznym zachwytom: myśliciel nie zabijał w nim człowieka uczuciowego, umiał odróżnić zalety umysłu i wyobrażeń od fanatyzmu. W tej tragedyi np. naganiał pomysły, lecz uwielbiał styl; potępiał całość, lecz przyklaskiwał szczegółom i oburzał się na działające w niej osoby, zachwycając się ich mową. Unosił się czytając najwybitniejsze ustępy, lecz pomyślawszy że klechy wyzyskują takowe na swoją korzyść, był w rozpaczy i zaplątany w taką sprzeczność uczuć, byłby chciał obiema rękami uwieńczyć Racine'a i porozprawiać z nim choć przez pół godziny.

Emma przypomniała sobie wreszcie, że w zamku Vaubeyssard słyszała jak margrabina jedną młodą kobietę Bertą nazywała; to wspomnienie rozstrzygnęło wszystkie wątpliwości, wybrano to arystokratyczne imię, a ponieważ ojciec Rouault nie mógł przyjechać, zaproszono pana Homais na ojca chrzestnego. Aptekarz ofiarował w podarunku same wyroby swego zakładu, jako to sześć pudełek ślazowego ciasta, cały słoik rakahu, pudełko *boule de gomme* i nadto, sześć lasek lodowatego cukru. W dzień chrztu był wielki obiad u państwa Bovary, proboszcza także zaproszono. Przy wetach panowie sobie podchmielili. Pan Homais zaśpiewał *Pana Boga dobrych ludzi* [1]), pan Leon barkarolę, a starsza pani Bovary, która była matką chrzestną, romans z czasów pierwszego cesarstwa; wreszcie starszy pan Bovary kazał przynieść dziecko i zaczął je chrzcić szampańskiem winem, które mu lał na głowę. To parodyowanie najpierwszego z sakramentów oburzyło księdza Bouruisien; ojciec Bovary odpowiedział ustępem z *Wojny Bogów*, proboszcz chciał wychodzić, panie go błagały aby został; Homais

[1]) *Le Dieu des bonnes gens* Beranger'a, p. t.

użył swego pośrednictwa i udobruchano wreszcie duchownego, który powrócił do swej niedopitej filiżanki czarnej kawy.

Starszy pan Bovary pozostał jeszcze miesiąc w Yonville, którego mieszkańców olśnił przepyszną czapeczką ze srebrnym galonem, w której co rano palił fajkę na placu. Mając także zwyczaj pić dużo wódki, posyłał często służącą pod „Złotego Lwa", gdzie wziętą butelkę zapisywano na rachunek syna jego; do swoich fularów zaś wypotrzebował cały zapas kolońskiej wody synowej.

Emma dosyć lubiła jego towarzystwo. Stary zwiedził był kawał świata: rozprawiał o Berlinie, o Wiedniu, o Strasburgu, o swoich oficerskich czasach, o swoich kochankach, o wielkich bankietach w jakich uczestniczył; potem stawał się bardzo uprzejmym, czasem nawet w ogrodzie lub na wschodach obejmował ją wpół wołając:

— Karolu, strzeż się!

Wtenczas starsza pani zatrwożyła się o szczęście syna swego, a lękając się aby mąż jej wreszcie nie wpłynął szkodliwie na moralne pojęcia młodej kobiety, przyśpieszyła powrót do domu. Może nawet ważniejsze jeszcze miała obawy. Pan Bovary nie miał zwyczaju cokolwiek uszanować.

Jednego dnia Emma zapragnęła zobaczyć swoją małą, którą oddano na mamki do żony stolarza i nie zajrzawszy do kalendarza czy upłynęły już obowiązkowe sześć tygodni, udała się do mieszkania Rolletów, będącego na końcu wsi, pomiędzy gościńcem a łąkami.

Było to w porze południowej; okiennice wszystkich domów były pozamykane, a szyfrowe dachy błyszczące w promieniach słońca, zdawały się sypać iskry ze szczytu swych wieżyczek. Duszący wiatr powiewał, Emma czuła się osłabioną; kamyki na drodze urażały ją w nogi; zawahała się czy nie zawrócić do domu lub wstąpić gdziekolwiek żeby odpocząć.

W tej chwili pan Leon wyszedł z sąsiednich drzwi z pękiem papierów pod pachą. Ukłonił się pani Bovary i stanął pod sklepem pana Lheureux, w cieniu markizy z szarego płótna.

Pani Bovary powiedziała mu, że się wybrała odwiedzić swoją małą, lecz że się czuje zmęczoną.

— Gdyby pani,... zaczął nieśmiało Leon.

— Czy pan masz chwilę wolnego czasu?

A otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź dependenta, poprosiła go aby jej towarzyszył. Tego samego wieczoru wiedziano już o tem w Yonville,

a pani Tuvache, żona mera, oświadczyła w przytomności służącej, że *pani Bovary się kompromituje.*

Żeby się dostać do mamki, potrzeba było doszedłszy do końca ulicy zwrócić się na lewo, w stronę cmentarza i pójść ścieżką pomiędzy domkami i ogródkami, wysadzoną ligustrowemi krzakami. Kwitły one właśnie, jak również weroniki, głogi, ciernie i jerzyny nad rowami rosnące. Przez szczerby w płotach spostrzegano tu wieprzaka na gnojowisku, tam krowę wycierającą rogi o drzewo. Szli tak oboje, Emma wsparta o ramie młodego człowieka, który krok swój do jej chodu stosował; przed nimi rój owadów brzęcząc unosił się w rozgrzanem powietrzu.

Poznali dom szukany po starym kasztanie, który go ocieniał. Nizki i ciemną dachówką kryty, obwieszony był pod dymnikiem wiankami z cebuli. Chruściany płotek otaczał kwaterę sałaty, kilka grządek lawendy i groszku pachnącego na łyczkach. Przez środek przechodził ściek brudnej wody, a na płocie wisiało kilka szmat niepewnego kształtu, para pończoch, czerwony perkalowy kaftan i grube płócienne prześcieradło. Na skrzyp baryerki ukazała się mamka z dzieckiem przy piersi. Drugą ręką ciągnęła nędznego malca

z obrzękłą skrofuliczną twarzą, syna czapnika z Rouen, którego rodzice zbyt handlem zajęci, na wieś oddali.

— Niech pani wejdzie, rzekła zobaczywszy panią Bovary; malutki śpi.

Jedyna dolna izba zawierała w głębi przy ścianie szerokie łóżko bez firanek, podczas gdy dzieża od chleba stała pod oknem, którego wybita szyba zalepiona była niebieskim papierem. W kącie za drzwiami stały kamasze podbite świecącemi gwoździami, obok butelki z olejem i piórem wetkniętem w szyjkę; *Maciej Laensberg* poniewierał się na zakurzonym kominie pośród skałek, świec niedopalonych i kawałków hubki. Wreszcie ostatnim zbytkiem tego apartamentu była *Sława* dmąca w trąbę, rycina wycięta zapewne z jakiego fryzyerskiego prospektu, czterma gwoździkami do ściany przybita.

Dziecię Emmy spało w kolebce uplecionej z łoziny. Wzięła je na ręce wraz kołderką, w którą było owinięte i zaczęła nucić półgłosem kołysząc się zwolna.

Leon tymczasem przechadzał się po izbie, zdawało mu się dziwnem widzieć tę piękną panią w kitajkowej sukni pośród całej tej nędzy. Pani

Bovary się zaczerwiniła, odwrócił głowę, sądząc że może oczy jego wypowiedziały jaką niegrzeczność. Zaraz też położyła napowrót do kolebki małą, która zwymiotowała jej na kołnierzyk. Stolarka przyszła go zaraz obetrzeć, zapewniając że „tego znać nie będzie".

— Inaczej ona mnie jeszcze urządza! mówiła, i ciągle ją tylko muszę obmywać! Możeby pani była łaskawa polecić korzennikowi Camusoni, żeby mi wydał mydła jak mi będzie potrzeba? to nawet dla pani samej byłoby dogodniej, bobym już pani nie trudziła.

— Dobrze, dobrze! powiedziała Emma. Do widzenia, matko Rollet.

I wyszła ocierając nogi na progu.

Poczciwa kobiecina wyprowadziła ją aż na koniec podwórza, żaląc się ciągle na trud wstawania w nocy.

— Tak jestem czasem znużona, mówiła, że zasypiam na krześle; mogłaby pani dać mi chociaż funcik zmielonej kawy, którąby mi wystarczyła na miesiąc i którąbym rano z mlekiem pijała.

Pozbywszy się nakoniec podziękowań stolarki, pani Bovary odeszła, lecz zaledwie kilkanaście

kroków zrobiła, gdy usłyszała za sobą stukanie sabotów; odwróciła głowę: jeszcze mamka!

— Czegóż chcecie?

Wtedy kobieta, biorąc ją na bok, za drzewo, zaczęła prawić jej o swym mężu, który z pomocą swego rzemiosła i sześciu franków rocznie, które pan kapitan...

— Kończcież prędzej! przerwała Emma zniecierpliwiona.

— Otóż mówiła mamka wzdychając za każdem słowem, boję się, żeby mu nie było markotno jak jabym sama kawę piła; wiadomo pani, ci mężczyzni...

— Przecież będziecie mieli kawę, powtarzała Emma, ja wam dam!.. nudzicie mnie!

— Bo to, widzi kochana pani, on w skutek swoich ran miewa straszne kurcze w piersiach. Powiada nawet że jabłecznik go osłabia.

— Spieszcież, moja pani Rollet!

— Otóż, odparła stolarka dygając, gdyby to nie było żądać za wiele... tu powtórnie dygnęła, — jak pani będzie mogła, — z błagalnem spojrzeniem, — dzbanuszek wódki, — wyjąkała wreszcie, — a ja będę nią nacierać nóżki malutkiej, która je ma tak delikatne jak skóra na języku.

Uwolniwszy się nareszcie od natrętnej mamki, Emma wzięła pod rękę pana Leona. Szła szybko z początku; potem zwolniła kroku i wzrok jej padł na ramię młodego człowieka, którego palto miało aksamitny kołnierz. Ciemne jego włosy spadały nań lśniące i gładko uczesane. Zwróciła uwagę na jego paznokcie, dłuższe aniżeli je noszono w Yonville. Utrzymywanie ich było jednem z głównych zajęć dependenta; miał nawet w biurku osobny na ten cel scyzoryk.

Powrócili do Yonville brzegiem wody. W porze letniej poszerzone wybrzeże odsłaniało aż do dołu mury ogrodów, od których po kilka stopni prowadziło do rzeki. Płynęła cicho, zimna i bystra na pozór; wysokie i cienkie trawy pochylały się nad nią miarowo i niby włosy zielone przeglądały się w jej przezroczu. Czasem owad o cienkich nóżkach siadał na czubkach trzcin lub na liściach wodnych lilij. Promienie słońca odbijały się w błękitnych bąbelkach, które powstawały i pękały na wodzie, stare spruchniałe wierzby przeglądały się w wodzie; wokoło pusto było na łące. Po folwarkach ludzie obiadowali, młoda kobieta i jej towarzysz słyszeli tylko odgłos własnych kroków na ścieżce, szelest sukni Emmy i słowa, które do siebie mówili.

Mury ogrodów najeżone u szczytu potłuczonemi butelkami, rozgrzane były jak szyby cieplarni. W szparach pomiędzy cegłami rosły dzikie kwiatki, a pani Bovary przechodząc strząsała parasolką zeschłe ich listki, lub czasem gałązka kaprifolii przyczepiała się do jej sukni.

Rozmawiali o truppie hiszpańskich tancerzy, których oczekiwano w teatrze w Rouen.

— Pan pojedziesz? zapytała.

— Jeżeli będę mógł, rzekł.

Czy nic więcej nie mieli do powiedzenia sobie? Jednakże oczy ich wymowniejszemi były i podczas gdy się wysilali na wynalezienie zdań pospolitych, czuli jednakową niemoc, która ich oboje ogarniała, był to niby szept dumy, głęboki, nieustanny, który górował po nad głosami. Zdjęci podziwieniem na tę rozkosz sobie nieznaną, nie pomyśleli nawet o zdaniu sobie z niej sprawy lub zbadaniu jej przyczyny. Przyszłe szczęśliwości, niby podzwrotnikowe wybrzeże, rzucają na poprzedzającą je nieskończoność swój wdzięk rodzimy, wonne tchnienie, które pozwala zasypiać w błogiem upojeniu, bez troski o niedostrzeżony jeszcze widnokrąg.

W jednem miejscu ziemia rozryta była kopytami bydląt; trzeba było stąpać po dużych zielonych kamieniach z błota wystających. Czasem zatrzymywała się przez chwilę namyślając się gdzie ma stopę postawić i chwiejąc się na niepewnym kamyku z odstawionymi łokciami, naprzód pochylona, śmiała się z obawy żeby nie wpaść w kałużę.

Stanąwszy przed swoim ogrodem, pani Bovary popchnęła baryerkę, wbiegła na stopnie i znikła.

Leon powrócił do swej kancelaryi. Pryncypał jego wyszedł; młody człowiek rzucił pobieżne spojrzenie na leżące papiery, zatemperował sobie pióro, nakoniec wziął za kapelusz i wyszedł.

Udał się na Pastewnik, na skraj lasu; położył się na ziemi pod sosnami i patrzył w niebo przez palce.

— Jak ja się nudzę! mówił sam do siebie, jak okropnie się nudzę!

Ubolewał nad sobą, że musi żyć w tym zapadłym kącie, mając pana Homais za przyjaciela i pana Guillaumin za przełożonego. Ten ostatni, cały zajęty interesami, w złotych okularach na nosie i rudych faworytach na białym krawacie, nie miał żadnego pojęcia o delikatnościach serca

i umysłu, chociaż przybierał sztywny ton angielski, którym zaimponował w początkach dependentowi. Żona zaś aptekarza, była najlepszą w świecie normandką małżonką, łagodną jak baranek, kochała męża i dzieci, ojca, matkę, krewnych, płakała nad cudzemi nieszczęściami, nie wiele się troszczyła o gospodarstwo i nienawidziła sznurówek; — lecz tak powoli się poruszała, tak była nudną, tak pospolitą miała powierzchowność i tak ograniczony umysł, że nigdy mu na myśl nie przyszło, chociaż nie miała więcej nad trzydzieści lat a on dwadzieścia, chociaż przez drzwi tylko sypiali i codzień ją widywał, żeby mogła być kobietą dla kogokolwiek, ani żeby z własności płci swojej co więcej niż suknię posiadała.

I któż tu był jeszcze? Binet, kilku kupców, dwóch czy trzech oberżystów, ksiądz proboszcz, wreszcie pan Tuvache, mer miejscowy ze swymi dwoma synami, wszystko ludzie prości, zacofani, którzy sami swoją rolę uprawiali, bankietowali między sobą, zresztą nabożnisie i zgoła nieznośni w towarzystwie.

Lecz na tle pospolitem tych ludzkich twarzy, postać Emmy odznaczała się wybitnie chociaż

w pewnem oddaleniu, gdyż czuł pomiędzy sobą a nią jak gdyby niewyraźne jakieś otchłanie.

W początkach bywał u niej czasem w towarzystwie aptekarza. Karol nie zdawał się bardzo pragnąć jego odwiedzin, a Leon sam nie wiedział jak pogodzić obawę stania się natrętnym z pragnieniem zażyłości, która mu się prawie niepodobną wydawała.

IV.

Skoro tylko pierwsze nastały zimna, Emma opuściła swój pokój na górze i umieściła się w dolnej sali o nizkim suficie, gdzie na kominku rozłożysty kaktus stał wprost zwierciadła. Siedząc tam przy oknie w fotelu, przypatrywała się przechodzącym.

Leon dwa razy na dzień udawał się ze swej kancelaryi do zajazdu pod *Złotym Lwem*. Emma słyszała go zdaleka jak nadchodził; pochylała się nadstawiając ucha, a młody człowiek przesuwał się koło firanki nie podnosząc głowy, zawsze jednakowo ubrany. Lecz o zmierzchu, kiedy oparłszy podbródek na lewej dłoni, złożyła na kolanach

zaczętą robotę, często drgnęła za zjawieniem się tego milczącego cienia. Wtenczas podnosiła się i kazała nakrywać do stołu.

Pan Homais przybywał podczas obiadu. Trzymając w ręku swoją grecką czapeczkę, wchodził po cichu, żeby nikomu nie przeszkodzić i zawsze jednakowo powtarzał powitanie — Dobry wieczór całemu towarzystwu! Potem zasiadłszy na swem miejscu przy stole, pomiędzy dwojgiem małżonków, zapytywał doktora o jego chorych, a ten ze swej strony radził go się co do możliwej wysokości honoraryów. Następnie rozmawiano o tem co było w *gazecie*. Homais o tej porze, wiedział to już prawie na pamięć i powtarzał sumiennie, wraz z uwagami dziennikarzá i wszystkiemi doniesieniami o katastrofach wydarzonych we Francyi lub za granicą. Wyczerpawszy ten przedmiot, nieomieszkał robić spostrzeżeń tyczących się potraw jakie widział na stole. Czasem nawet podnosząc się trochę wskazywał pani najkruchszy kawałek, lub zwracając się do sługi, udzielał jej niektórych rad co do przyrządzania legumin i hygieny przypraw, w olśniewający sposób rozprawiał o aromatach, korzeniach, pierwiastkach mięsnych; sokach i żelatynach. Ponieważ w głowie jego więcej było

przepisów niż w aptece słojów, Homais celował w robieniu rozmaitych konfitur, octów i słodkich likierów, znał także wszystkie nowe wynalazki aparatów oszczędzających paliwo, jakoteż sztukę przechowywania serów i poprawiania zepsutego wina.

O ósmej godzinie Justyn przychodził po niego, żeby zamknąć aptekę. Wtedy pan Homais figlarnie na niego spoglądał, szczególnie jeżeli Felicya była obecną; zauważył bowiem, że uczeń jego wielki miał pociąg do domu doktora.

— Mój chłopak zaczyna się *budzić*, mówił i zdaje mi się dalipan, że się kocha w waszej dziewczynie!

Ważniejszy jednak ciężył na nim zarzut, a mianowicie że lubił przysłuchiwać się rozmowom.

W niedzielę np., nie można go było wyprawić z salonu, dokąd pani Homais wzywała go dla zabrania dzieci, które się rozsypiały w fotelach, ściągając zbyt obszerne perkalowe pokrowce.

Niewiele osób bywało na tych wieczorkach aptekarza, gdyż złośliwość jego i polityczne opinie odsunęły od niego powoli różne szanowne osoby. Dependent jednak nie opuszczał ich nigdy. Skoro tylko usłyszał dzwonek, biegł naprzeciwko

pani Bovary, odbierał od niej szal i stawiał na boku pod kantorem aptecznym grube krajczaki. które kładła na wierzch obuwia kiedy śnieg padał.

Grano najpierwej w trzydzieści jeden; potem pan Homais siadał do ekarte z Emmą, Leon dawał jej rady. Stojąc z ręką opartą o poręcz jej krzesła, rozpatrywał się w zęby grzebienia, którym włosy jej były przypięte. Za każdą razą kiedy kartę rzucała, poruszała się suknia jej z prawej strony. Podniesiony jej warkocz rzucał na plecy odcień, który blednąc powoli zlewał się w ogólną czarną barwą. Dalej suknia spadała po obudwu stronach krzesła, układając się w bufiaste fałdy i leżąc aż na ziemi. Ilekroć Leon przypadkiem dotknął jej butem, cofał się jak gdyby na kogoś nadeptał.

Po skończeniu partyi, aptekarz grał z doktorem w domino, Emma zaś przesiadłszy się, przerzucała *Illustracyę*. Przynosiła zwykle swój dziennik mód. Leon siadał obok niej, oglądali razem ryciny i czekali na siebie przy końcu stronnic. Czasem go prosiła, żeby jej przeczytał jakie wiersze; Leon wypowiadał je rozwlekle, zniżając głos omdlewająco przy miłosnych ustępach. Przeszkadzało mu tylko stukanie domina; pan Homais

wprawnie grał i zawsze pobijał Karola. Skończywszy trzy setki, wyciągali obadwa nogi przed kominkiem i niebawem zasypiali. Ogień dogasał; herbaty już nie było w imbryczku; Leon czytał jeszcze. Emma słuchała go machinalnie obracając na lampie *abat-jour*, który przedstawiał arlekinów na wozach i tancerki na linie. Leon przestawał czytać, wskazując ręką na uśpionych słuchaczy, wtedy zaczynali mówić przytłumionym głosem, a rozmowa wydawała im się tem milszą, że jej nikt nie słyszał.

Tym sposobem zawiązał się pomiędzy nimi pewien stosunek, ciągła zamiana książek i romansów; pan Bovary, mało zazdrosny nie dziwił się temu wcale.

Na imieniny dostał śliczną głowę frenologiczną, poznaczoną cyframi aż do jamy ocznej i na niebiesko pomalowaną. Była to uprzejmość dependenta. Nie poprzestał na tem: załatwiał nawet interesa jego w Rouen; a gdy nowy romans wprowadził modę tłustych roślin, Leon skupował je dla pani i przywoził na kolanach w *Jaskółce*, raniąc sobie palce o ich kolczaste liście.

Emma kazała sobie przybić do okna deseczkę z galeryjką na wazoniki. Dependent także sobie

urządził wiszący ogródek; tym sposobem mogli się wzajemnie widzieć jak pielęgnowali swoje kwiaty.

Z pomiędzy okien miasteczka, jedno jeszcze bywało najczęściej zajętem; każdej niedzieli bowiem, od rana aż do północy i codzień popołudniu jeżeli była pogoda, widziano w okienku poddasza chudy profil pana Bineta pochylonego nad toczydłem, którego monotonne mruczenie słychać było aż koło *Złotego Lwa*.

Jednego wieczoru, Leon wracając do siebie zastał w swoim pokoju kobierczyk aksamitny w liście haftowane na tle jasnem; przywołał pana i panią Homais, Justyna, dzieci, nawet kucharkę, powiedział o tem swemu pryncypałowi, wszyscy pragnęli oglądać kobierczyk; z jakiego powodu żona doktora robiła dependentowi *prezenta?* To wydało się dziwnem i zaczęto przypuszczać, że musiała być jego „przyjaciołką".

Sam potwierdzał to przypuszczenie, gdyż przed każdym kto tylko chciał słuchać wychwalał rozum i wdzięki pani Bovary tak dalece, że wreszcie Binet odpowiedział mu raz dosyć niegrzecznie.

— Co mię to obchodzi, kiedy nie należę do jej towarzystwa!

Przemyśliwał nad tem jakimby sposobem zrobić jej *swoje oświadczenie* i zawsze wahając się pomiędzy obawą obrażenia jej a wstydem za własne tchórzostwo, płakał miotany żądzą i rozpaczą. Potem robił energiczne postanowienia, pisał i darł listy jeden po drugim, naznaczał sam sobie termina, które ciągle odraczał. Czasem wychodził już z zamiarem odważenia się na wszystko; lecz na widok Emmy odstępowała go odwaga i gdy Karol nadszedłszy zapraszał go, żeby wsiadł z nim do karykla i pojechał odwiedzić razem którego z chorych w okolicy, przyjmował bez wahania, żegnał *panią* i odjeżdżał z *panem*. Mąż jej, nie byłażto cząstka jej samej?

Emma ze swej strony nie badała samej siebie czy kocha Leona. Ona wierzyła że miłość przychodzić musi nagle, z wielkim wybuchem i błyskawicami — niby uragan, który spada na życie, wzburza je do gruntu, tamuje wolę i całe serce w otchłań pociąga. Nie wiedziała że na tarasach domów deszcz tworzy jeziora jeżeli rynny są zatkane i byłaby tak spokojną pozostawała nie domyślając się niebezpieczeństwa, gdyby nagle nie była odkryła szpary na fundamentowej ścianie.

V.

Było to jednej niedzieli w miesiącu lutym. Śnieg padał.

Oboje państwo Bovary, aptekarz Homais i pan Leon udali się wszyscy po południu zwiedzić nową przędzalnię lnu jaką zakładano w dolinie, o pół milki od Yonville. Aptekarz zabrał z sobą Napoleona i Atalię, żeby się dzieci przeszły; Justyn im towarzyszył niosąc na ramieniu parasole.

Nic jednak nie mogło być mniej godnego widzenia. Znaczna przestrzeń gruntu, zawalona zardzewiałemi już kołami porzuconemi w nieładzie pośród stosów piasku i żwiru, otaczała długi kwadratowy budynek o licznych małych okienkach. Nie był jeszcze ukończony i niebo przeświecało przez belki w dachu. Pęk słomy z kłosami uwiązany u belki szczytowej, szeleścił na wietrze trójkolorowemi wstążkami.

Homais rozprawiał. Tłumaczył przyszłą ważność tego zakładu, obliczał siłę podłóg, grubość murów i bardzo żałował, że niemiał laski metrycznej, jaką posiadał pan Binet do swego wyłącznego użytku.

Emma, którą prowadził, wspierała się na jego ramieniu i wpatrywała się w tarczę słoneczną świecącą zdaleka, we mgle, swą olśniewającą bladością; odwróciła głowę: Karol tam był. Miał czapkę nasuniętą na brwi a grube wargi jego drgały, co nadawało twarzy jego głupowaty jakiś wyraz, sam widok spokojnego grzbietu jego był drażniącym i cała nędzota tej pospolitej osobistości zdawała się rozpostartą na paltocie.

Podczas gdy mu się tak przyglądała, lubując się w swem głuchem rozdrażnieniu pewną występną rozkoszą, zbliżył się Leon. Przejmujące zimno zdawało się twarz jego powlekać większą bladością, z pod odłożonego kołnierzyka widać było kawałek gołej szyi, koniec ucha wyglądał z pod pukla włosów, a wielkie jego błękitne oko wzniesione ku obłokom, wydało się Emmie czystszem i piękniejszem od owych jezior górskich, w których niebo się przegląda.

— Niegodziwiec! wykrzyknął nagle aptekarz.

I pobiegł na ratunek swego syna, który wszedł w wapno, żeby sobie trzewiki ubielić. Zgromiony za tę psotę, pan Napoleon zaczął wrzeszczeć ile mu sił starczyło, podczas gdy Justyn ocierał mu obuwie słomianym wiechciem. Potrzeba było jednak noża; Karol ofiarował swój.

— Ach! poszepnęła Emma, nosi nóż w kieszeni, zupełnie jak chłop!

Szron padać zaczął i powrócono do Yonville.

Tego wieczoru pani Bovary nie poszła do swych sąsiadów, a po odejściu Karola, gdy została samą, zaczęła zbierać wspomnienia z dokładnością świeżo doznanego wrażenia i tem przedłużeniem perspektywy jakiego pamięć użycza przedmiotom. Wpatrując się ze swego łóżka w ogień płonący na kominku, widziała wyraźnie Leona, jak stał zginając jedną ręką laseczkę, a drugą trzymając Atalię, która smuktała kawałek lodu. Znajdowała go prześlicznym; nie mogła oczu odeń oderwać, przypominała sobie inne jego pozy, zdania przez niego wyrzeczone, dźwięk jego głosu, całą jego osobę; i powtarzała, składając usta jakby do pocałunku.

— Tak jest, śliczny! prześliczny!.. — Czy on kocha? pytała sama siebie — Zapewne! ale kogo?.. mnie przecie!

Tysiączne się na to znalazły dowody i serce jej podskoczyło z radości. Płomień rzucał na sufit wesołą światłość; wyciągnęła się na łóżku i ręce splotła nad głową.

A wtenczas zaczęło się wiecznie jednostajne wyrzekanie: — O! gdyby to Bóg pozwolił! Dla czego tak nie jest? Coby to szkodziło?

Gdy Karol powrócił o północy, udała że się przebudziła, a że hałasował rozbierając się., narzekała na migrenę, potem zapytała obojętnie jak przepędzono wieczór?

— Pan Leon wcześnie odszedł do siebie, rzekł Karol.

Uśmiechnęła się mimowolnie i usnęła kołysana rozkosznym zachwytem.

Nazajutrz odwiedził ją ku wieczorowi pan Lheureux, kupiec bławatny. Był to człowiek umiejący chodzić koło swoich interesów.

Rodem Gaskończyk, zostawszy Normandczykiem połączył gadatliwość południową z przebiegłością północną. Twarz jego tłusta, pulchna i bez zarostu, zdawała się być pociągniętą lekkim odwarem z lukrecyą, a włosy białe uwydatniały jeszcze ostry blask jego małych czarnych oczu. Niewiadomo było czem się dawniej zajmował, jedni mówili że był tragarzem, drudzy że bankierem w Routôt. To tylko pewna, że rozwiązywał na pamięć najzawilsze rachunki, co sam Binet podziwiał. Grzeczny aż do uniżoności, trzymał się zawsze

w postawie na wpół zgiętej osoby, która kogoś wita lub zaprasza.

Zostawiwszy przy drzwiach kapelusz opasany krepą, postawił na stole zielone pudło i zaczął od robienia delikatnych wymówek pani, że dotąd nie raczyła go zaszczycić swem zaufaniem. Chociaż tak mizerny sklep — jak jego nie miał czem zwabić do siebie *elegantki* (z przyciskiem) niechby tylko rozkazała, on postara się dostarczyć jej wszystkiego czegoby tylko żądała, tak z bielizny jak z kramarszczyzny, wstążek, nowości i t. p. Miał stosunki z najpierwszymi handlowymi domami! Dzisiaj więc, wstąpił przechodząc, aby pani pokazać niektóre nowości szczęśliwym trafem otrzymane. I wydobył z pudła pół tuzina haftowanych kołnierzyków.

Pani Bovary je obejrzała.

— Niczego teraz nie potrzebuję, rzekła.

Pan Lheureux jednakże wyjął ostrożnie trzy szarfy algierskie, kilka paczek angielskich igieł, parę słomkowych pantofelków, wreszcie cztery kubeczki do jaj na miękko, wyrobione ażurowo z łupiny orzecha kokosowego przez więźniów. Potem, oparłszy o stół ręce, pochylony i z wyciągniętą szyją, śledził uważnie wzrok Emmy, który

błądził niepewny pośród tych skarbów. Od czasu do czasu paznokciem uderzał w rozłożone szarfy jedwabne, niby kurz z nich strzepując, co sprawiało lekki szelest jedwabiu, na którem przy zielonkowatem świetle, błyszczały jak gwiazdeczki złote nitki w tkaninę wmieszane.

— Ileż to kosztuje? zapytała.

— Bagatelę! odpowiedział, drobnostkę! ale niema nic pilnego, pani zapłaci jak zechce, nie jesteśmy żydami!

Zamyśliła się przez chwilę, lecz w końcu raz jeszcze podziękowała panu Lheureux, który niezmieszany odpowiedział:

— No, to się później porozumimy; ja się zawsze umiem pogodzić z paniami z moją tylko zgodzić się nie mogę!

Emma się uśmiechnęła.

— Chciałem pani tylko powiedzieć, rzekł dobrodusznie po tym żarciku, że nie o pieniądze mi chodzi... Sambym ich pani dał, gdyby tego była potrzeba.

Spojrzała na niego zdumiona.

— O! rzekł prędko i głosem zniżonym, nie potrzebowałbym daleko szukać, żeby ich dla pani znaleźć, to pewna!

A zmieniając przedmiot rozmowy zapytał o zdrowie ojca Tellier, właściciela „kawiarni francuzkiej", którego pan Bovary miał w kuracyi.

— Co mu jest takiego?... Kaszle że aż się cały dom trzęsie i boją się bardzo czy prędzej nie będzie potrzebował sosnowego pudełka aniżeli flanelowego kaftanika? Nahulał się też za młodu, nahulał! Ci ludzie, pani łaskawa, żyli tak nieporządnie! wódka go spaliła!.. Zawsze to przykro widzieć jak się ktoś znajomy wynosi.

I podczas gdy układał napowrót w pudełku, rozprawiał dalej o klienteli doktora.

— Teraźniejsza to pora jest zapewne powodem tych chorób, mówił patrząc z niechęcią na szronem okryte szyby. Ja także nie czuję się zupełnie dobrze; będę nawet musiał poradzić się w tych dniach pana doktora na ból, który mi w krzyżu dokucza. Do widzenia pani Bovary! najniższy sługa!

I na palcach wyszedłszy, ostrożnie drzwi zamknął.

Emma kazała sobie obiad podać w swoim pokoju, przy kominku; jadła powoli; wszystko jej smakowało.

— Dałam jednak dowód wielkiego rozsądku! mówiła sama do siebie, myśląc o szarfach algierskich.

Usłyszała kroki na wschodach: był to Leon. Powstała i wzięła z komody chusteczkę do obrąbiania. Gdy wszedł, zdawała się bardzo zajętą.

Rozmowa szła opieszale; pani Bovary zrywała ją co chwila, dopendent zaś sam był jakoś zakłopotany. Siedząc na taburecie przy kominku, obracał w palcach igielnik z kości słoniowej, ona szyła pilnie, lub od czasu do czasu paznokciem zaciskała obrębek. Nic nie mówiła; on też cicho siedział, zniewolony jej milczeniem, jakby najwymowniejszemi słowy.

— Biedny chłopiec! myślała w duchu.

— Czem jej się tak niepodobam? pytał sam siebie.

Nakoniec ośmielił się powiedzieć, że musi w tych dniach pojechać do Rouen, w interesie swego pryncypała.

— Abonament nut pani się skończył, dodał, czy mam go odmówić?

— Nie potrzeba, odpowiedziała.

— Dla czego?

— Dla tego...

A przygryzłszy usta, wyciągnęła powoli długą szarą nitkę.

Ta jej robota drażniła Leona. Grube płótno zdawało się drapać paluszki Emmy; przyszła mu na myśl jakaś pospolita grzeczność, lecz się nie odważył jej wypowiedzieć.

— Pani więc zarzuca muzykę? zapytał.

— Czy zarzucam muzykę? Naturalnie! Mój Boże! czyż niemam mego gospodarstwa, mego męża, którym się muszę zajmować, tysiączne rzeczy zresztą, wiele obowiązków, którym należy się pierwszeństwo!

Spojrzała na zegar. Karol się spóźnił. Zaczęła się niby niepokoić. Powtórzyła nawet kilka razy: — On jest tak dobrym!

Dependent lubił pana Bovary. Lecz ta troskliwość Emmy o niego, nieprzyjemnie go zadziwiła; wszelako potwierdził oddawane mu pochwały, które słyszał z ust wszystkich, powiadał, a szczególnie aptekarza.

— O! to bardzo zacny człowiek! rzekła Emma.

— W samej rzeczy, potwierdził dependent.

I zaczął mówić o pani Homais, której zaniedbana toaleta rozśmieszała ich często.

— Co to szkodzi? przerwała Emma. Dobra matka rodziny nie zajmuje się swoim strojem.

I znowu zamikła.

To samo się powtórzyło następnych dni; obejście jej, mowa, wszystko się zmieniło. Wzięła się znowu do gospodarstwa, zaczęła pilnie uczęszczać do kościoła i w większej surowości trzymać sługę.

Odebrała Bertę od mamki. Felicya przyprowadzała ją kiedy byli goście, a pani Bovary rozbierała dziecinę, ażeby pokazać jej członeczki. Oświadczała że przepada za dziećmi, że to była cała jej pociecha, jej radość, jej rozkosz, a pieszczotom tym towarzyszyły liryczne uniesienia, które śmiesznemi wydawaćby się musiały ludziom więcej światowym niż mieszkańcy Yonville.

Karol, powracając do domu, znajdował teraz zawsze pantofle wygrzane przy popiele. Nie brakowało podszewki u jego kamizelek, ani guzików u koszul, z przyjemnością nawet patrzeć można było na stosy bielizny jego porządnie w szafie poukładanej. Nie wzdragała się już, jak dawniej, przechadzki po ogrodzie; przystawała na wszystkie jego życzenia, chociaż nie odgadywała jakiej woli tak bez szemrania ulegała; — a gdy Leon patrząc na Karola jak siedział przy kominku po

obiedzie, z rękami na brzuchu, nogami opartemi o wilki, z policzkami zarumienionymi trawieniem i oczyma zwilżonemi uszczęśliwieniem, na dziecię pełzające po kobiercu i tę wysmukłą kobietę, która z za poręczy krzesła przychodziła pocałować go w czoło myślał sobie,

— Co za szaleństwo! jak tu do niej przystąpić?

Tak mu się wydała cnotliwą i nieprzystępną że stracił wszelką nadzieję, nawet najbardziej oddaloną,

Lecz tem wyrzeczeniem się stawiał ją w szczególniejszych warunkach. Wyzwoliła się dla niego z przymiotów cielesnych, które mu nic dać nie mogły i wzniosła się w sercu jego coraz wyżej, oddalając się coraz bardziej od ziemi, nakształt wspaniałej apoteozy, która w niebo ulatuje. Było to jedno z tych czystych uczuć, które nie zakłócają codziennych spraw życia, które się pielęgnuje dla ich rzadkości i których utrata więcejby urządziła żalu, niżeli posiadanie ich przynosi radości.

Emma schudła, lica jej zbladły, twarz się wyciągnęła. Ze swymi czarnymi włosami, wielkiemi oczami, greckim noskiem, lekkim chodem i zawsze milcząca, nie zdawałaż się przesuwać przez

życie zaledwie go dotykając i nosić na czele niewyraźne piętno jakiegoś wzniosłego przeznaczenia? Była tak smutną i tak spokojną, tak zarazem łagodną i zrezygnowaną, że się czuło przy niej jakiś zachwyt lodowaty, tak jak w kościołach dreszczem przejmuje woń kwiatów połączona z chłodem marmurów. Inni także ulegali temu dziwnemu urokowi. Aptekarz mawiał:

— To jest kobieta wielkich zdolności, którąby nawet w podprefekturze dobrze się wydała.

Mieszczanki podziwiały jej oszczędność, pacyenci jej uprzejmość, ubodzy jej dobroczynność.

Ona tymczasem pożerana była złemi żądzami, nienawiścią, wściekłością. Ta suknia fałdzista ściskała serce wzburzone, a te wstydliwe usta nie opowiadały jego burz szalonych. Była zakochaną w Leonie i szukała samotności, aby swobodniej się lubować jego obrazem. Widok jego osoby zakłócał rozkosz tej miłosnej zadumy. Emma drżała na odgłos jego kroków; potem, w jego obecności, wzruszenie znikało i pozostawało jej tylko wielkie zdumienie, które się kończyło smutkiem.

Leon nie wiedział o tem, że gdy odchodził od niej zrozpaczony, ona ścigała za nim wzrokiem przez okno. Troszczyła się o każdy krok jego;

śledziła wyraz jego twarzy, wymyśliła całą historyę, żeby znaleźć pozór odwiedzenia jego pokoju. Żona aptekarza wydawała jej się bardzo szczęśliwą, że pod jednym dachem z nim mieszkała; a myśli jej krążyły bezustannie pod tym domem, razem z gołębiami z pod „Złotego Lwa", które w rynnach jego kąpały swoje różowe nóżki i białe skrzydełka. Im więcej jednak miłość swoją spostrzegała, tem silniej ją tłumiła z obawy aby nikt jej nie poznał. Byłaby jednak chciała żeby jej się Leon domyślił i wynajdowała nadzwyczajne wypadki, katastrofy, któreby to porozumienie ułatwić mogły. Wstrzymywało ją zapewne lenistwo lub obawa i także wstydliwość. Myślała że go zbyt daleko odepchnęła, że już było za późno, że wszystko było stracone. Wreszcie, duma, przyjemność powiedzenia sobie: „jestem cnotliwą", i przeglądania się w zwierciadle z miną zrezygnowaną, pocieszała ją nieco za spełnione — jak mniemała poświęcenie.

Natenczas żądze cielesne, pragnienie bogactw i smutki niezadowolonej namiętności, wszystko to połączyło się u niej w jednem cierpieniu; — a ona zamiast myśl swoją odeń odrywać, czepiała go się uporczywie, drażniąc swoją boleść i szu-

kając wszędzie dla niej żywiołów. Gniewała ją potrawa źle podana lub drzwi niedomknięte, ubolewała nad aksamitem, którego nie miała, nad szczęściem, którego jej brakowało, biadała nad swemi marzeniami zanadto wybujałemi, nad swym domem za ciasnym.

Oburzało ją to, że Karol nie zdawał się ani domyślać jej męczarni. Przekonanie, że ją czynił szczęśliwą, wydawało jej się głupią zarozumiałością, a jego pewność siebie pod tym względem, niewdzięcznością. Dla kogóż więc była cnotliwą? Czyliż nie on był przeszkodą do jej szczęścia, przyczyną wszystkich jej cierpień i jak gdyby ostrym kolcem tego twardego rzemienia, którym była na wsze strony skrępowaną?

Na niego jednego więc złożyła całą niechęć, całą złość, jaką w niej wzbudzały niezadowolone żądze i pragnienia, a każde usiłowanie czynione w celu przekonania takowej, zwiększały ją przeciwnie, gdyż ten trud bezużyteczny pomnażał jeszcze ogólną sumę powodów jej do żalu i odpychał coraz więcej od męża. Własna jej łagodność do oporu ją podniecała. Mierność domowa popychała ją do zbytkownych fantazyj, tkliwość małżeńska do żądz cudzołożnych. Byłaby

chciała żeby ją Karol bił, aby mieć prawo znienawidzić go, zemścić się nad nim. Sama się czasem dziwiła dzikim pomysłom, jakie jej do głowy przychodziły; a tu trzeba było wciąż się uśmiechać, udawać szczęśliwą, słuchać jak wszyscy tę jej szczęśliwość sławili i w nią wierzyli!

Jednakże ta obłuda wstręt w niej wzbudzała. Brała ją czasami chęć uciekania z Leonem, dokądkolwiek, byle jak najdalej, aby nowego życia sprobować; lecz znowu otwierała się w jej duszy otchłań pełna ciemności.

— Zresztą, on mnie już nie kocha, myślała sobie; co począć? zkąd oczekiwać pomocy, ulgi, pociechy?

Zostawała złamaną, zadyszaną, bezwładną, łkania ją dusiły i łzy oczy jej zalewały.

— Dla czego pani tego nie powie panu? pytała służąca, jeżeli przypadkiem weszła podczas takiego przesilenia.

— To cierpienie nerwowe, odpowiadała Emma; nie wspominaj mu o tem, zasmuciłabyś go niepotrzebnie.

— Ach tak! przytwierdzała Felicya, pani tak zupełnie jest jak Maciejka, córka Macieja rybaka z Dieppe, którą znałam niżelim się do pani zgo-

działa. Była tak smutną, tak smutną, że kiedy stała na progu swego domu, robiła wrażenie pogrzebowego całunu rozpostartego przed drzwiami. Chorobą jej zdaje się, był rodzaj mgły jaką miała w głowie, a doktorzy nic na to poradzić nie umieli, ani nawet ksiądz proboszcz. Kiedy jej to za nadto dokuczało, szła sama jedna nad brzeg morza i strażnik celny znajdował ją nieraz leżącą na brzuchu i zlewającą łzami kamienie, Potem jej to podobno przeszło, jak wyszła za mąż.

— Mnie zaś przeciwnie, odpowiadała Emma, przyszło to dopiero po za mąż pójściu.

VI.

Jednego wieczoru Emma siedziała przy otwartem oknie i przypatrywała się jak Lestiboudois obcinał krzaki bukszpanowe, gdy w tem zadzwoniono na *Anioł Pański*.

Było to na początku kwietnia, kiedy kwitną pierwiosnki, ciepły wietrzyk wygrzewa świeżo uprawione grządki, a ogrody, podobnie jak kobiety zdają się stroić na letnie uroczystości. Przez szczeble altanki widać było rzekę, której kręty

bieg rysował fantastyczne arabeski na zielonem tle łąki. Mgła wieczorna podnosiła się pośród topoli, z liści jeszcze ogołoconych, cieniując zarysy ich lekko fioletową barwą, bledsza i przejrzystsza od najcieńszej gazy. W oddali bydło wracało z pola; nie było słychać ani kroków jego ani ryczenia, a dzwon kościelny napełniał ciągle powietrze swymi żałosnymi tony.

Te powtarzane dźwięki zwróciły myśl młodej kobiety ku odległym wspomnieniom pierwszej młodości i klasztoru. Przypomniała sobie wielkie świeczniki, które na ołtarzu wznosiły się po nad wazonami pełnymi kwiatów. Byłaby chciała, jak niegdyś zajmować jeszcze swoje miejsce w długim szeregu białych welonów, pośród których czerniły się miejscami sztywne kaptury dobrych siostr zakonnych pochylonych nad klęcznikami; w niedzielę, po mszy, widziała słodkie oblicze Najświętszej Panny, które się do niej uśmiechało z po za niebieskich kłębów dymu kadzidła. Ogarnęło ją dziwne rozrzewnienie, uczuła się bezbronną i opuszczoną, jak piórko wiatrem pędzone; bezwiednie prawie, udała się w stronę kościoła, usposobiona do jakiegokolwiek nabożeństwa, byleby w niem zatopić mogła swoją duszę i całą swoją istność pogrążyć.

Spotkała na placu bedela Lestiboudois, który ztamtąd powracał; gdyż aby nie zepsuć sobie dnia, przerywał swoją czynność i powracał do niej, dzwoniąc jak mu było dogodniej. Zresztą, wcześniejsze dzwonienie przypominało malcom ich lekcyę katechizmu. Kilku już przybyłych grało w kręgle na cmentarnych kamieniach. Inni siedząc na murze jak na koniu, zbijali swemi robotami wielkie osty rosnące pomiędzy ogrodzeniem a ostatniemi grobami. To jedno miejsce tylko było zielonem; reszta cmentarza składała się z samych kamieni, zawsze pokrytych miałkim pyłem, pomimo miotły zakrystyana.

Dzieci biegały tam jak po posadzce umyślnie dla nich położonej, a wesołe ich śmiechy łączyły się z odgłosem dzwonu. Odgłos ten słabnął wraz z kołysaniem wielkiego sznura, którego koniec spadał z wysokości dzwonnicy aż na ziemię. Jaskółki przelatywały wydając lekkie krzyki, szybkim lotem przerzynały powietrze i śpiesznie dążyły do swych gniazd pod gzemsem przylepionych. W głębi kościoła płonęła lampa, to jest knot bawełniany w szklance zawieszony. Światło jej wydawało się z daleka jak biała plamka drżąca na oliwie. Długi promień słońca przerzynał

całą nawę uwydatniając jeszcze mocniej ciemność boków i kątów.

— Gdzie jest ksiądz proboszcz? zapytała pani Bovary młodego chłopaka, który się bawił kręceniem kołowrota w zbyt luźnym jego otworze.

— Zaraz przyjdzie, odpowiedział.

Niebawem też w istocie skrzypnęły drzwi probostwa i ukazał się ksiądz Bournisien, dzieci popychając się uciekły do kościoła.

— Swawolniki! pomruknął duchowny, zawsze ci sami!

A podnosząc z ziemi porozdzierany katechizm, który nogą potrącił:

— To nic nie uszanuje! dodał.

Spostrzegłszy jednak panią Bovary:

— Przepraszam panią, rzekł, nie widziałem pani.

Włożył katechizm do kieszeni i stanął, bujając w dwóch palcach ciężki klucz od zakrystyi.

Blask zachodzącego słońca, który padał prosto na niego, oświecał jego sutannę błyszczącą na łokciach, wystrzępioną u dołu. Plamy tłustości i tabaki szły na szerokiej piersi jego w równej linii z guziczkami i stawały się coraz liczniejszemi im dalej od rabatu, na którym spoczywały fałdy

czerwonego jego podbródka; żółte plamy na skórze znikały pod twardym włosem siwiejącego zarostu. Wielebny tylko co był wstał od obiadu i sapał głośno.

— Jakże się pani miewa? zapytał.

— Źle, odrzekła Emma, cierpię.

— I ja także cierpiący jestem, mówił duchowny. Te pierwsze ciepła dziwnie człowieka osłabiają, nieprawdaż? Ale cóż robić! urodziliśmy się po to żeby cierpieć, jak mówi Ś. Paweł. Cóż pan Bovary na to?

— On? skrzywiła się z pogardliwym gestem.

— Jakto? rzekł ksiądz zdziwiony, czy pan Bovary nie daje pani żadnego lekarstwa?

— Ach! odpowiedziała z westchnieniem Emma, mnieby nie ziemskiego lekarstwa było potrzeba.

Proboszcz jednak od czasu do czasu spoglądał w stronę kościoła, gdzie chłopaki ukląkłszy popychali się łokciami i przewracali jak żołnierze z kart.

— Chciałabym wiedzieć... zaczęła.

— Czekaj-no ty, czekaj, Riboudecie! wykrzyknął duchowny gniewnym głosem, zaraz ja ci natrę uszu, ty hultaju!

A obróciwszy się do Emmy, dodał:

To syn cieśli Boudeta, rodzice jego są zamożni i pobłażają wszystkim jego wybrykom. Jednakże uczyłby się dobrze, gdyby tylko chciał, bo ma wiele zdolności. A ja nazywam go czasem żartami Riboudet (jak wybrzeże, którem się idzie do Maromme); mówię nawet: mój Riboudet! — A pan Bovary, czy zdrów jest?

Emma nic nie odpowiedziała. Ksiądz mówił dalej:

— Zawsze mocno zajęty, nieprawdaż? Bo my dwaj, on i ja, mamy bez wątpienia najwięcej do czynienia w całej parafii. Lecz on jest lekarzem ciała, dodał śmiejąc się rubasznie, a ja jestem lekarzem dusz!

Młoda kobieta błagalne spojrzenie zwróciła na księdza.

— Tak jest... rzekła, pan dajesz ratunek wszystkim niedolom...

— Ach! nie mów nic o tem, pani Bovary. Nie dawniej jak dziś rano musiałem chodzić do Diauville dla krowy, która się rozdęła; oni myśleli że to urok. Wszystkie ich krowy, nie wiem jakim sposobem... Ale przepraszam panią... Longuemarre i Boudet! skórka na buty! czy wy raz skończycie?

I jednym skokiem był już w kościele.

Chłopaki tłoczyli się koło ambony, wspinali się na ławkę kantora, otwierali mszał; niektórzy nawet zaglądali aż do konfesyonału. Proboszcz obdzielił znienacka niesfornych dzieciaków gradem policzków. Podnosząc ich za kołnierz rzucał ich na kolana na płyty kamienne, jak gdyby ich chciał tam powbijać.

— Wierzaj mi pani, rzekł powróciwszy do Emmy i rozwijając wielką bawełnianą chustkę, której jeden róg wziął w zęby, — rolnicy są bardzo pożałowania godni!

— Więcej jest takich, odparła nieśmiało.

— Zapewne! naprzykład miejscy robotnicy.

— Nie oni...

— Przepraszam panią! znałem tam biedne matki rodzin, kobiety cnotliwe, upewniam panią, prawdziwie święte niewiasty, które chleba nawet nie miały.

— Ale te, księże proboszczu, odparła Emma boleśnie usta ściskając, te, które chleba mają podostatkiem, a nie mają...

— Drzewa na zimę? podchwycił proboszcz.

— Cóż mnie to może obchodzić?

— Jakto? co panią może obchodzić? Mnie się zdaje, że kiedy kto ma co jeść, czem się ogrzać... bo wreszcie...

— Mój Boże! mój Boże! wzdychała.

— Pani jest niedobrze? powiedział ksiądz przystępując do niej z troskliwością; zapewne niestrawność? Trzeba powrócić do domu, pani Bovary, napić się filiżankę herbaty, lub szklankę wody świeżej z melissą.

— Po co?

I wyglądała jak gdyby nagle ze snu przebudzona.

— Bo pani przesuwałaś rękę po czole. Myślałem że pani zawrotu głowy dostała.

A przypomniawszy coś sobie, dodał:

— Ale pani chciałaś czegoś odemnie? Czego pani sobie życzysz? Ja sam niewiem...

— Ja? nic... nic... powtarzała Emma.

I wzrok jej błądzący w około, zniżył się powoli na starca w sutannie. Stali naprzeciwko siebie oko w oko, nic nie mówiąc.

— W takim razie, daruj pani, rzekł wreszcie, lecz obowiązek przedewszystkiem, pani Bovary, muszę się ułatwić z moimi urwisami. Zbliża się czas pierwszych kommunij. Boję się, że jeszcze

nie będziemy dostatecznie przygotowanymi! To też, począwszy od Wniebowstąpienia, wytrzymuję ich *recta* każdej środy godzinę dłużej. Biedne dzieciaki! nie można ich zawcześnie wprowadzać na ścieżki pańskie, jak to nam zresztą zalecił Zbawiciel. Życzę pani dobrego zdrowia, pani Bovary; moje uszanowanie mężulkowi!

I wszedł do kościoła, przyklękając już od samych drzwi.

Emma patrzyła za nim jak znikał pomiędzy dwoma szeregami ławek, stąpając ciężko, z głową nieco na ramię przechyloną i rękami rozłożonemi.

Potem zawróciła jak automat sprężyną poruszony i machinalnie skierowała kroki ku domowi. Dochodził uszu jej wszakże gruby głos proboszcza i cienkie głosiki chłopców.

— Czy jesteś chrześcianinem?

— Tak, jestem chrześcianinem.

— Kto jest chrześcianinem?

— Ten, który będąc ochrzczonym,... ochrzczonym,... ochrzczonym...

Emma weszła na wschody trzymając się poręczy, a znalazłszy się w swoim pokoju, padła znękana na fotel.

Zmrok powoli zapadał. Sprzęty zdawały się znikać w półcieniu jak w tajemniczej otchłani. Na kominku wygasło, zegar na ścianie tykotał jednostajnie, a Emma mimowolnie dziwiła się tej ciszy wszystkich rzeczy, podczas gdy w łonie jej burza szalała. Lecz pomiędzy oknem a stolikiem była malutka Berta, która chwiejąc się w swych włóczkowych bucikach, probowała zbliżyć się do matki i uchwycić za wstążki jej fartuszka.

— Daj mi pokój! rzekła odsuwając ją ręką.

Dziewczynka niebawem bliżej jeszcze przypełzała i oparłszy drobne rączki o kolana matki, wlepiła w nią swe duże niebieskie oczy, a czysta ślina z ustek jej aż na fartuszek spływała.

— Daj mi pokój! powtórzyła młoda kobieta rozdrażniona.

Wyraz jej twarzy przestraszył dziecię, które zaczęło płakać.

— A dajże mi raz pokój! wykrzyknęła odpychając ją łokciem.

Berta potoczyła się i upadła pod samą komodę, uderzyła się o brązową rączkę i krew popłynęła ze zranionego czoła dzieciny. Pani Bovary przelękniona rzuciła się ku niej, podniosła ją, zerwała sznur od dzwonka, wołała na cały głos służącej

i już miała samą siebie przeklinać, gdy wszedł Karol. Była to godzina obiadowa, powracał do domu.

— Patrz mój drogi, rzekła Emma nagle uspokojona: mała bawiąc się upadła i zraniła sobie czoło.

Karol zapewnił ją że to drobnostka i poszedł po plaster.

Pani Bovary nie zeszła na obiad; nie chciała odstąpić dziecka. Gdy spłakana dziewczynka zasnęła, patrząc na nią uspokoiła się stopniowo zupełnie i pomyślała, że trzeba być bardzo głupią i naiwną, żeby się zmartwić o taką drobnostkę. Berta już łkać przestała. Oddech jej spokojny lekko poruszał bawełnianą kołderkę. Łezki drżały jeszcze na końcach długich rzęsów, a przez niedomknięte powieki przezierały blade i zaklęśnięte źrenice; plaster do policzka przylepiony ściągał na nim skórę.

— Szczególna rzecz, myślała Emma, jak to dziecię jest brzydkie!

Gdy Karol około jedenastej wieczorem powrócił z apteki, dokąd po obiedzie poszedł odnieść resztę plastra, zastał żonę stojącą przy kolebce.

— Ależ ja cię upewniam że to nic, rzekł całując ją w czoło, nie dręcz się kochanko, bo sama zachorujesz!

Zabawił dłużej niż myślał u aptekarza. Chociaż nie chciał okazać mu zbytniego wzruszenia, pan Homais jednak starał się go uspokoić i dodać mu ducha. Rozmawiali o różnych niebezpieczeństwach, na jakie narażony jest wiek dziecinny i o niedbalstwie służących. Pani Homais znała to z doświadczenia, miała bowiem jeszcze na piersiach znaki od ukropu, jakim ją niegdyś oparzyła roztrzepana kucharka. To też u niej zachowane były tysiączne ostrożności. Noże nigdy nie były wyostrzone, ani posadzki nawoskowane. Okna opatrzone były kratami żelaznemi, a kominki mocnemi sztabami. Dzieci jej, pomimo swej samowoli, ruszyć się nie mogły bez dozoru; w razie najlżejszego kataru, ojciec karmił je ziółkami, a do czterech lat nosiły bezwarunkowo, wywatowane opaski na głowach. Było to, prawdę rzekłszy, dziwactwo pani Homais, mąż jej nierad był temu, obawiając się dla organów pojęcia możliwych skutków podobnego ściskania, pozwalał sobie nawet czasem powiedzieć żonie: — Czy chcesz zrobić z nich Karaibów albo Botokudosów?

Karol jednak kilkakrotnie probował przerwać rozmowę.

— Chciałbym z panem mówić, szepnął do ucha dependenta, który szedł przed nim na wschodach.

— Czyliżby się czego domyślał? pomyślał Leon. Serce bić mu zaczęło mocniej i gubił się w przypuszczeniach.

Wreszcie Karol, zamknąwszy drzwi, poprosił go żeby pojechał do Rouen dowiedzieć się ile mógł kosztować piękny dagerotyp; chciał na *siurpryzę* dla żony kazać zrobić swój portret w czarnym fraku. Ale trzeba było naprzód wiedzieć *czego się trzymać;* panu Leonowi to nie zrobi wiele kłopotu, ponieważ co tydzień prawie jeździł do Rouen.

Po co właściwie? Homais podejrzywał w tych podróżach jaką miłosną intrygę. Mylił się jednak, Leon nie prowadził żadnych miłostek. Był smutniejszym niż kiedykolwiek; co pani Lefrançois poznawała po ilości jedzenia, jaką teraz zostawiał na talerzach. Chcąc się czegoś więcej dowiedzieć, probowała wybadać poborcę, Binet odpowiedział opryskliwie, że *nie jest policyantem.*

Wszakże towarzysz jego dziwnym mu się nieraz wydawał: często bowiem Leon przechylał się

na krześle rozkładając ramiona i użalał się na ciężar życia.

— Bo pan nie dosyć szukasz rozrywek, mówił poborca.

— Jakich naprzykład?

— Ja, na pańskiem miejscu, kupiłbym sobie toczydło!

— Ależ ja toczyć nie umiem, odpowiedział dependent.

— Tak, to prawda! potwierdzał tamten gładząc się po brodzie z wyrazem wzgardy połączonej z wewnętrznem zadowoleniem.

Przykrzyło się Leonowi kochać bez następstw, nadto, zaczynał doznawać tego znużenia, jakie sprawia jednostajność życia, nie podtrzymywanego żadną nadzieją, ani żywszem zajęciem. Był tak znudzony Yonvillem i jego mieszkańcami, że sam widok niektórych domów i niektórych ludzi drażnił go niewypowiedzianie; aptekarz nawet, jakkolwiek najlepszy w świecie człowiek, stawał mu się z każdym dniem bardziej nieznośnym. Z drugiej strony, perspektywa nowego położenia zarówno go trwożyła jak zachwycała.

Niepokój ten przeszedł niebawem u niego w niecierpliwość i z Paryża dolatywały do uszu

jego dźwięki orkiestry balów maskowych, wraz ze śmiechami gryzetek. Ponieważ miał tam kończyć naukę prawa, dla czego nie wyjeżdżał? co go wstrzymywało? I zaczął w myśli robić przygotowania do wyjazdu; układał naprzód porządek swoich zajęć. Urządzał sobie kawalerskie mieszkanie. Będzie prowadził życie artysty! Będzie brał lekcye gitary! Sprawi sobie szlafrok, czapeczkę baskijską, pantofle niebieskie aksamitne! Podziwiał już nawet na swym kominku dwa florety, a nad nimi trupią główkę i gitarę.

Najtrudniejszą sprawą było otrzymać pozwolenie matki; nic jednak nie zdawało się rozsądniejszem. Pan Guillemin nawet namawiał go aby się przeniósł do innej kancelaryi, gdzieby mógł więcej skorzystać. Chwytając się tymczasem drogi pośredniej, Leon szukał w Rouen miejsca młodszego dependenta, którego nie znalazłszy, napisał do matki długi list szczegółowy, w którym wyłuszczał jej powody jakie go skłaniały do natychmiastowego przeniesienia się do Paryża. Matka się przychyliła do życzenia syna.

Leon się jednak nie śpieszył. Codzień przez cały miesiąc Hivert przewoził dla niego z Yonville do Rouen i z Rouen do Yonville kufry, paki,

walizy; a Leon odnowiwszy swoją garderobę, nakupiwszy fularów, narobiwszy więcej przygotowań aniżeli ich było potrzeba do podróży naokoło świata, od tygodnia do tygodnia odkładał swój wyjazd, aż wreszcie otrzymał drugi list macierzyński, w którym naglono go do wyjazdu kiedy sobie życzył zdać egzamin przed feryami.

Gdy przyszła chwila pożegnań, pani Homais się napłakała, Justyn głośno szlochał; Homais, jako mąż silny, tłumił swoje wzruszenie, sam chciał zanieść palto swego przyjaciela aż do bramy notaryusza, który swoim powozem odwoził Leona do Rouen. Ten ostatni miał zaledwie czas pożegnać pana Bovary.

Gdy wszedł na wschody stanął, tak był wzruszony. Pani Bovary, ujrzawszy go, powstała z żywością.

— To jeszcze ja! przemówił Leon.

— Byłam tego pewną!

Przygryzła usta i strumień krwi różową barwą oblał całą twarz jej od skroni aż do szyi. Stała opierając się ramieniem o lamperyę

— Pana Bovary niema w domu? zapytał.

— Niema go.

Powtórzyła raz jeszcze.

— Niema go w domu.

Nastała chwila milczenia. Spojrzeli na siebie, a myśli ich; zjednoczone we wspólnem cierpieniu, cisnęły się do siebie, jak dwa serca drgające.

— Chciałbym uściskać Bertę, rzekł Leon.

Emma zeszła kilka stopni i zawołała Felicyi.

Leon rzucił w około siebie głębokie spojrzenie, które spoczęło na ścianach, na etażerkach, na kominku, jak gdyby chciał wszystko objąć, wszystko sobie upamiętnić.

Pani Bovary powróciła, a służąca przyprowadziła małą Bertę, która się bawiła wiatraczkiem do sznurka przywiązanym.

Leon ucałował dziewczynkę kilkakrotnie w czoło, w szyjkę i policzki.

— Bądź zdrowa, lube dziecię! bądź zdrowa, kochanko miła, bądź zdrowa!

I oddał ją matce.

— Odprowadź ją! rzekła Emma.

Pozostali sami.

Pani Bovary tyłem odwrócona, twarz miała przyciśniętą do szyby; Leon trzymał w ręku czapeczkę i uderzał nią lekko po nodze.

— Deszcz będzie padał, rzekła Emma.

— Mam płaszcz, odpowiedział.

— A!

Odwróciła się ze spuszczoną na dół głową. Światło padało na marmurowe jej czoło aż do łuku brwi, nie pozwalając odgadnąć co upatrywała na horyzoncie, ani co w głębi serca myślała.

— Żegnam więc panią! westchnął.

Ona szybkim ruchem głowę podniosła.

— Tak, bądź pan zdrów i jedź!

Postąpili ku sobie, on wyciągnął rękę, ona się zawahała.

— Po angielsku więc! rzekła podając swoją rękę i zmuszając się do uśmiechu.

Leon ujął podaną sobie rękę i wydała mu się jakoby cała istność jego przelewała się w tę dłoń miękką i delikatną.

Wreszcie ją puścił, oczy ich spotkały się raz jeszcze... i zniknął.

Stanąwszy na rynku, zatrzymał się i za słupka spojrzał raz jeszcze na ten dom biały z czterema zielonemi zazdrostkami. Zdało mu się spostrzegać cień za oknem, w pokoju; lecz firanka odczepiwszy się powoli z patery, poruszyła zwolna swoje długie fałdy, które gdy się nagle rozsunęły, utworzyła niby ścianę nieprzejrzystą. Leon biedz zaczął.

Ujrzał z daleka, na drodze kabryolet swego pryncypała, a przy nim człowieka w skórzanym fartuchu, który trzymał konia. Panowie Homais i Guillemin rozmawiali z sobą. Czekano na niego.

— Uściskaj mnie, rzekł aptekarz ze łzami w oczach. Oto twoje palto, drogi przyjacielu, strzeż się zaziębić! Szanuj się! ochraniaj się!

— Dalejże Leonie, wsiadaj! rzekł notaryusz.

Homais pochylił się na skrzydło kabryoletu i głosem od łkań przerywanym wyjąkał te smutne wyrazy.

— Szczęśliwej podróży!

— Dobranoc, odpowiedział pan Guillemin. Ruszaj!

Odjechali. Homais powrócił do domu.

Pani Bovary otworzyła okno od ogrodu i wpatrywała się w chmury wiatrem pędzone.

Gromadziły się ku zachodowi w stronie Rouen, bałwaniąc swoje czarniawe kłęby, z po za których wystrzelały promienie słońca, jak złote strzały zawieszonych w przestrzeni trofei, podczas gdy reszta wolnego nieba miała matową białość porcelany. W tem silniejszy podmuch wiatru pochylił wierzchołki topoli i nagle deszcz zaczął padać szeleszcząc po zielonych liściach. Za chwilę

słońce wyjrzało znowu, koguty zapiały, wróble zatrzepotały skrzydłami w krzakach wilgotnych, a kałuże wody po piasku spływając unosiły różowe listki akacyowego kwiecia.

— Ach! jak on już musi być daleko! pomyślała Emma.

Pan Homais przyszedł podług zwyczaju pomiędzy szóstą a siódmą, podczas obiadu.

— A cóż? rzekł siadając, wyprawiliśmy więc naszego młodzieńca?

— Tak się zdaje! odparł doktór.

A poprawiwszy się na krześle, dodał:

— Cóż tam u was nowego?

— Nie wiele co. Moja żona tylko, była dziś trochę wzruszona. Pan wiesz, kobiety, jedno nic je porusza! szczególnie moją! A niesłusznie by było mieć im to za złe, ponieważ system ich nerwowy daleko jest wrażliwszym od naszego.

— Ten biedny Leon! mówił Karol, jak on tam żyć będzie w Paryżu?.. Czy się tam przyzwyczai?

Pani Bovary westchnęła.

— Ba! rzekł aptekarz miasnąwszy językiem, będą kolacyjki w restauracyach, bale maskowe, szampan, wszystkiego sprobuje, słowo na to daję!

— Ja zaś nie myślę, żeby się rozbałamucił, wtrącił Bovary.

— Ani ja! dorzucił z żywością Homais, chociaż będzie musiał stosować się trochę do drugich, żeby go nie wzięli za jezuitę! A! pan nie wiesz, jak żyją te łotry, w dzielnicy łacińskiej, z aktorkami! Zresztą, studenci dobrze są widziani w Paryżu. Byleby który posiadał jaki talencik salonowy, przyjmują go w najlepszych towarzystwach, czasem nawet wpadnie w oczko jakiej damie z przedmieścia S. Germain, co mu w przyszłości nastręcza sposobność bogatego ożenienia.

— Obawiam się jednak dla niego, rzekł doktór, żeby... żeby tam...

— Masz pan słuszność, przerwał aptekarz, to odwrotna strona medalu! trzeba ciągle trzymać rękę w kieszeni. I tak, jesteś naprzykład w publicznym ogrodzie, przedstawia ci się jegomość porządnie ubrany, czasem nawet przy orderze, wyglądający na dyplomatę; rozmawiacie z sobą; on częstuje cię tabaką lub podnosi twój kapelusz. Znajomość się zabiera; on cię prowadzi do kawiarni, zaprasza do siebie na wieś, robi ci tysiące stosunków, a to wszystko najczęściej dla wyzyskania twej kieszeni lub wciągnięcia cię w jakie zgubne przedsięwzięcie.

— To prawda, odrzekł Karol, lecz ja myślałem głównie o chorobach, o tyfusie szczególnie, któremu podlegają studenci z prowincyi...

Emma drgnęła.

— Z powodu zmiany sposobu życia, mówił dalej aptekarz i zamieszania, jakie z tego powodu w całym organizmie powstaje. Nadto, widzisz pan, woda paryzka, obiady restauracyjne, wszystkie te korzenne potrawy zaostrzają w końcu krew i bądź co bądź, nie warte są gospodarskiego rosołu. Ja z mej strony zawsze przekładałem kuchnię mieszczańską: to daleko zdrowsze! To też gdym chodził na kursa farmaceutyczne w Rouen, stołowałem się na pensyi; jadałem razem z profesorami.

W ten sposób pan Homais rozwijał swój pogląd ogólny i swoje upodobania osobiste, aż do chwili gdy Justyn przyszedł po niego dla mikstury, którą potrzeba było zrobić.

— Ani chwili wytchnienia! wykrzyknął, zawsze na uwięzi! Na jedną minutę wyjść nie mogę! Trzeba jak koń juczny, krwawym potem się oblewać. Co za niewola!

A wychodząc już, na progu rzekł jeszcze:

— Ale, ale czy wiesz pan nowinę?

— Jaką?

— Bardzo jest prawdopodobnem, powiedział Homais podnosząc brwi i przybierając wyraz twarzy wielce poważny, że komisye towarzystwa rolniczego departamentu Niższej Sekwany odbywać się będą tego roku w Yonville. Tak słychać przynajmniej. Była nawet dziś o tem wzmianka w gazecie. Byłaby to rzecz wielkiej wagi dla naszego okręgu! Ale innym razem pomówimy jeszcze o tem... Dziękuję panu; widzę dobrze, Justyn ma latarnię.

VII.

Dzień następny był dla Emmy dniem żałoby. Wszystko jej się wydało otoczone czarną atmosferą, która niby grobowym całunem przysłoniła świat cały, a żal wciskał się w jej duszę z łagodnym jękiem, jak wiatr dmący podczas zimy po korytarzach starych opuszczonych zamków. Była to owa tęsknota za tem co już nie powróci, znużenie, które nas ogarnia po każdym fakcie spełnionym, owa boleść wreszcie, jaką przynosi przerwa zwykłego ruchu, nagłe ustanie przeciągłej wibracyi miłego dźwięku.

Podobnie jak po powrocie z la Vaubeyssard, kiedy jaszcze kadryle dźwięczały jej w uszach, ogarniała ją ponura melancholia, czarna rozpacz. Widziała Leona większym, piękniejszym, bardziej eterycznym i czystym; chociaż z nią rozłączony, był ciągle blizko niej, a ściany jej pokoju zdawały się cień jego odbijać. Nie mogła oczu oderwać od tego kobierca po którym stąpał, od tych próżnych foteli na których siadywał. Rzeka płynęła nieustannie i falowała powoli wzdłuż ślizkiego wybrzeża. Ileż to razy przechadzali się przy odgłosie tego samego szmeru, po kamykach mchem pokrytych. Jak miłe chwile razem przepędzali! jak przyjemne popołudnie, sami, w cienistej głębi ogrodu! On czytał na głos, z odkrytą głową, siedząc na ogrodowem krzesełku, wiatr świeży od łąki szeleścił kartkami z książki i nasturcyami altanki... Ach! on odjechał! a razem z nim znikł cały powab jej życia, jedyna nadzieja możliwej szczęśliwości! Jak mogła nie pochwycić tego szczęścia, kiedy ono się samo jej nastręczało! Czemuż go nie przytrzymała obiema rękami, choćby na klęczkach, kiedy uciekać chciało? I przeklinała sama siebie za to, że nie zachęciła miłości Leona; paliło ją pragnienie pocałunków jego.

Brała ją chęć pobiedz za nim, rzucić się w jego objęcia, powiedzieć mu: — To ja, twoją jestem! Lecz naprzód już przerażały ją trudności podobnie szalonego kroku, a żądze jej, spotęgowane bezsilnością, tem gwałtowniejszemi się stawały.

Odtąd wspomnienie Leona stało się niby środkowym punktem jej żalów; iskrzyło się ono w sercu jej mocniej od ognia w stepach ruskich przez podróżnych pozostawionego. Tuliła się ku niemu, rozniecała to ognisko blizkie wygaśnięcia, szukała wokoło siebie wszystkiego co tylko podtrzymać go mogło, najodleglejsze wspomnienia, najbliższe fakty, swoje pragnienia rozkoszy na wiatr rozwiane, to, czego doznawała i to, co sobie wyobrażała, swoje marzenia szczęścia kruche jak suche gałęzie wichrem łamane, swoją jałową cnotę, swoje zawiedzione nadzieje, jarzmo domowe— wszystko zbierała, wszystko gromadziła i obracała na żywienie smutku swego.

Jednakże w końcu płomienie przygasły, czy to z wyczerpania żywiołów, czy też ze zbytniego ich nagromadzenia. Miłość ostygła powoli przez oddalenie swego przedmiotu, żal stępił się przez przyzwyczajenie, a łuna pożaru, oświecająca blady horyzont jej życia, ciemniała coraz bardziej i za-

tarła się stopniowo. W uśpieniu sumienia swego brała nawet wstręt do męża za tęsknotę do kochanka, żar nienawiści za ciepło kochania, lecz ponieważ burza ciągle szalała, namiętność strawiła się na popiół i żaden nie przyszedł ratunek, żaden promień słońca nie zajaśniał, ponura ciemność otoczyła ją ze wszystkich stron, i przenikało ją zimno straszliwe.

Wtedy powróciły najgorsze dni Tostes. Uważała się teraz za daleko jeszcze nieszczęśliwszą, gdyż doświadczała zgryzoty, mając pewność, że ona trwać będzie wiecznie.

Kobieta, która tak wielkie zrobiła poświęcenie, mogła sobie przecie pozwolić jakiej fantazyi. Emma kupiła sobie klęcznik gotycki i w ciągu jednego miesiąca wydała czternaście franków na cytryny do czyszczenia paznokci; obstalowała sobie w Rouen niebieską kaszmirową suknię, wybrała u Lheureux najpiękniejszą z jego szarf, którą przepasywała ranną suknię, w takim stroju leżała całemi godzinami na kanapie z książką w ręku, przy zamkniętych zazdrostkach.

Często zmieniała układ włosów; czesała się po chińsku, w loki, w warkocze, przedzielała włosy przez środek głowy i skręcała je na wierzchu.

Zachciało jej się uczyć po włosku: kupiła sobie gramatykę tego języka, słownik, zapas czystego papieru. Probowała czytać poważniejsze dzieła, historyę i filozofię. Nieraz w nocy Karol przebudzał się nagle, sądząc że go do chorego wzywają.

— Idę, idę, mówił niewyraźnie.

A to był trzask zapałki, którą Emma pocierała, aby zapalić zgaszoną lampę. Lecz jej czytanie ulegało podobnemu losowi co hafty, które pozaczynane poniewierały się po szafach, przerzucała się od jednych książek do drugich, żadnej nie kończąc.

Miewała przystępy, w których gotowa była do spełnienia niewiedzieć jakiego wybryku. Jednego dnia dowodziła mężowi, że wypiłaby duży kieliszek wódki, a gdy Karol był tyle nierozsądnym, że się z nią drażnił, wychylała do dna kieliszek.

Pomimo swego *rozrzuconego* obejścia (wyrażenie mieszczek yonvillskich), Emma wcale nie była wesołą i miała zwykle usta zaciśnięte w kątach nakształt starych panien, lub zawiedzionych pyszałków. Była zawsze blada, biała jak bielizna; skóra na nosie jej ściągnęła się ku nozdrzom, oczy błędnie spoglądały. Znalazłszy na skroniach trzy siwe włosy, rozwodziła się o swej starości.

Miewała częste osłabienia. Raz nawet wypluła trochę krwi, a gdy Karol wielką z tego powodu okazał niespokojność.

— Ach! mniejsza o to! odpowiedziała.

Karol zamknął się w swoim gabinecie i płakał siedząc na fotelu przy biurku, z głową opartą na dłoniach, pod główką frenologiczną.

Wypłakawszy się, napisał do matki prosząc ją aby przyjechała i naradzali się długo we względzie Emmy.

Co postanowić? co począć, kiedy żadnej kuracyi brać nie chciała?

— Czy wiesz coby potrzeba było twojej żonie? mówiła starsza pani Bovary. Oto zajęcia obowiązkowego, ręcznej pracy! Gdyby była tak jak wiele innych, zmuszona na chleb zarabiać, nie miałaby *waporów*, wytworzonych przez niedorzeczne rojenia i bezczynność w jakiej żyje.

— Jednak ona się zajmuje, odpowiedał Karol.

— Czem ona się zajmuje? Czytaniem romansów, lichych piśmideł, dzieł, które powstają na religią i wyszydzają księży w słowach zapożyczonych od Voltaire'a. To wszystko daleko zaprowadzić może, biedny mój chłopcze, a kto niema religii, ten zawsze źle skończyć musi.

Uradzono więc, że się wzbroni Emmie czytać romanse. Nie było jednak rzeczą łatwą wykonać to postanowienie. Zacna jejmość podjęła się tego: przejeżdżając przez Rouen miała sama wstąpić do czytelni i powiedzieć księgarzowi, że Emma dalej abonować książek nie będzie. Czyby nie można w ostatnim razie odwołać się do policyi, gdyby księgarz upierał się przy swem rzemiośle truciciela?

Pożegnanie teściowej z synową chłodno się odbyło. Przez trzy tygodnie razem spędzone nie mówiły wcale do siebie, wyjąwszy obowiązkowych grzeczności rano i wieczór, przed udaniem się na spoczynek i zwykłych zapytań przy obiedzie.

Starsza pani Bovary odjechała jednej środy, w dzień targowy.

Od samego rana rynek był zapchany mnóstwem owoców, których szereg ciągnął się pod ścianami domów od kościoła aż do zajazdu. Po drugiej stronie były płócienne budy, gdzie sprzedawano bawełniaki, kołdry i pończochy wełniane, uzdy na konie i niebieskie wstążki, których końce wiatr rozwiewał. Rrzmaite żelaztwa leżały na ziemi, pomiędzy stosami jaj i koszami serów słomą poprzekładanych, obok narzędzi rolniczych kury

gdaczące w płaskich klatkach wyciągały szyje przez drewniane szczeble. Tłum cisnący się w jedno miejsce, zagrażał czasem rozbiciem wystawy aptecznej. We środy apteka pełną była zawsze; tłoczono się tam nie tyle dla kupowania lekarstw co dla szukania porady, tak głośną była sława imćpana Homais po wioskach okolicznych. Pewność jego niezachwiana podbijała wieśniaków. Uważali go za większego doktora od wszystkich doktorów na świecie.

Emma wyglądała oknem — na prowincyi okno zastępuje teatra i przechadzki,—i bawiła się przypatrywaniem tłumowi prostaczków, gdy wtem spostrzegła *pana* ubranego w zielony aksamitny surducik. Na rękach miał żółte glansowane rękawiczki, chociaż na nogach grube kamasze. Szedł ku mieszkaniu doktora, a za nim postępował wieśniak z głową smutnie spuszczoną.

— Czy można widzieć się z panem? zapytał Justyna, który na progu rozmawiał z Felicyą.

A biorąc go za domownika, dodał:

— Proszę mu powiedzieć, że tu jest pan Rudolf Boulanger, z la Huchette.

Nie przez szlachecką próżność nowo przybyły dodał do swego nazwiska nazwę terytoryalną,

lecz dla bliższego objaśnienia swej osoby. La Huchette, w istocie, była to posiadłość blizko Yonville, w której nabył niedawno zamek wraz z dwoma folwarkami i sam nimi zarządzał, nie trudząc się jednak zbytecznie. Żył sobie po kawalersku i uchodził za mającego *najmniej piętnaście tysięcy dochodu!*

Karol wszedł do sali. Pan Boulanger przedstawił mu swego parobka, który chciał sobie krew puścić dla tego, że *mrówki chodziły mu po ciele.*

— To mię *przeczyści*, odpowiadał na wszystkie zarzuty.

Pan Bovary kazał tedy przynieść bandaż i miednicę, Justyna poprosił zaś aby ją potrzymał. Potem zwróciwszy się do zbladłego już wieśniaka, dodał:

— Nie bójcie się, mój człowieku.

— Nie, nie, odparł tamten, niech pan swoje robi.

I z rodzajem pychy wyciągnął żylaste ramię. Za zakłuciem lancetu krew trysnęła i opryskała zwierciadło.

— Przybliż miednicę! zawołał Karol.

— Hi! hi! mówił wieśniak, to wygląda jak strumyczek płynący! Jaką to ja mam krew czerwoną! to musi być dobry znak, nieprawdaż?

— Czasem nic się nie czuje z początku, rzekł doktór, potem dopiero następuje zemdlenie, szczególnie u ludzi dobrze zbudowanych, tak jak ten.

Na te słowa wieśniak puścił trzymane w palcach pudełko. Poruszył ramionami tak że poręcz krzesła zatrzeszczała. Kapelusz jego upadł na ziemię.

— Przeczuwałem że tak będzie, rzekł Bovary przykładając palec do otwartej żyły.

Miednica drżeć zaczęła w rękach Justyna, pobladł, kolana mu się zachwiały.

— Żono! żono! zawołał Karol.

Emma jednym skokiem zbiegła ze wschodów.

— Octu! wołał Karol, octu! Ach! mój Boże! dwóch naraz!

I z wielkiego wzruszenia kompresu przyłożyć nie mógł.

— To nic, mówił najspokojniej w świecie pan Boulanger, biorąc na ręce Justyna, którego posadził na stole i plecami oparł o ścianę.

Pani Bovary zaczęła mu rozwiązywać krawat. Zrobił się węzeł przy tasiemce od koszuli, przez chwilę lekkie jej paluszki dotykały szyi młodego chłopaka, następnie zmoczyła octem swoją batystową chusteczkę i przyciskała mu ją do skroni, dmuchając delikatnie.

Wieśniak przyszedł do siebie, lecz zemdlenie Justyna dłużej trwało, a źrenice jego tonęły w swej bladej rogówce, jak bławatki w mleku.

— Trzebaby to usunąć z przed oczu jego, rzekł Karol.

Pani Bovary wzięła miednicę. Gdy się schylała aby ją wstawić pod stół, suknia jej — a była to suknia letnia z czterema falbanami żółtego koloru, długa w stanie i szeroka u dołu rozpostarła się w około niej na posadzce sali; — a gdy Emma, pochylona, zachwiała się nieco wyciągając ręce, wydęcie lekkiej tkaniny zapadało się miejscami, podług ruchu jej stanika. Następnie przyniosła karafkę z wodą i rozpuszczała w niej kawałki cukru, gdy nadszedł aptekarz. Służąca posłaną została po niego do laboratoryum; odetchnął ujrzawszy swego ucznia z otwartemi oczyma. Potem obchodząc go dokoła, oglądał od stóp do głowy.

— Głuptas! mówił, mały głuptas, na honor! głuptas przez dwa *g!* Wielkie rzeczy, trochę krwi! a chłopak niczego się nie boi! jak prawdziwa wiewiórka wdrapuje się na sam wierzchołek drzewa zrywać orzechy włoskie. Masz się z czem chwalić! niema co mówić! dobry z ciebie będzie apte-

karz; ani słowa! bo wiedz o tem, że możesz być wzywanym w ważnych okolicznościach do sądu, dla objaśnienia sumienia sędziów, a w takim razie trzeba umieć zachować zimną krew i przytomność umysłu; pokazać się mężczyzną, albo uchodzić za idiotę!

Justyn nic nie odpowiadał. Aptekarz mówił dalej:

— Kto cię prosił żebyś tu przychodził? Zawsze się naprzykrzasz państwu Bovary! Zresztą, we środy, jesteś mi najpotrzebniejszym. W tej chwili ze dwadzieścia osób jest w aptece. Wszystko porzuciłem przez życzliwość dla ciebie. Ruszajże teraz! biegaj żywo! czekaj tam na mnie i pilnuj moich słoików!

Gdy Justyn ubrawszy się napowrót wyszedł, rozmawiano o zemdleniach. Pani Bovary nigdy tego nie doświadczyła.

— To dziwne jak na *damę!* rzekł pan Boulanger. Zresztą, bywają ludzie bardzo delikatni. Sam widziałem, jak przy pojedynku jeden ze świadków zemdlał, usłyszawszy odgłos nabijania pistoletów.

— Na mnie, rzekł aptekarz, widok cudzej krwi żadnego nie robi wrażenia, ale sama myśl żeby

moja popłynąć miała sprawiłaby mi mdłości, gdybym się nad tem zastanowił.

Jednakże pan Boulanger odprawił swego parobka, zalecając mu aby już był teraz spokojny, kiedy stało się zadość jego zachceniu.

— Ono mi nastręczyło sposobność poznajomienia się z panem, dodał, patrząc przytem na Emmę.

A położywszy trzy firanki na rogu stołu, skłonił się niedbale i wyszedł.

Niebawem znalazł się po drugiej stronie rzeki — tędy prowadziła droga do la Huchette — i Emma zobaczyła go przez okno, jak szedł łąką w cienie topoli, zwalniając niekiedy kroku, jak gdyby był zamyślony.

— Wcale ładna! mówił sam do siebie; wcale ładna ta żona doktora! Piękne zęby, oczy czarne, nóżka zgrabna i szyk paryżanki. Zkąd on ją wyrwał, ten gruby prostak?

Pan Rudolf Boulanger miał lat trzydzieści cztery; był temperamentu sangwinicznego i pojęcie miał bystre, zresztą, znał się na kobietach bo wiele miał z niemi stosunków. Pani doktorowa mu się podobała; marzył więc o niej i o jej mężu.

— Wydał mi się bardzo głupim. Musi być nim znudzona. Ma brudne paznokcie i brodę od trzech

dni nie goloną. Podczas gdy on odwiedza swych chorych, ona siedzi w domu i ceruje jego skarpetki. I nudzi się biedactwo! chciałoby się to mieszkać w mieście, tańczyć w wieczór poleczkę! Biedna kobiecina! Tęskni to za miłością, jak karp za wodą gdy leży na kuchennym stole. Żeby temu trzy grzeczności powiedzieć, toby się zakochała po uszy! ani wątpić! byłoby to czułe, rozkoszne... tak, ale jak się tego pozbyć w danym czasie?

Wtedy kłopoty nieodłączne od przyjemności, widziane w perspektywie, przywiodły mu na pamięć obecną kochankę. Była to aktorka z Rouen, którą utrzymywał, a gdy mu stanął w myśli obraz jej, którego samo wspomnienie przesyt w nim budziło:

— O! pani Bovary jest daleko ładniejsza od niej, pomyślał; nadewszystko świeższa. Wirginia zaczyna się zanadto rozrastać. A jaka nudna ze swemi czułościami!

Pusto było na polu i Rudolf słyszał tylko wokoło siebie miarowy szelest trawy ocierającej się o jego obuwie, z towarzyszeniem ćwierkania koników polnych przytulonych w owsie; widział

przed sobą Emmę w sali doktora, tak ubraną jak tam była i bawił się rozbieraniem jej wdzięków.

— O! ja będę ją miał! wykrzyknął nagle, rozbijając grudkę ziemi laską.

Tu zastanowił się nad stroną polityczną przedsięwzięcia. Pytał sam siebie:

— Gdzie ją widywać? w jaki sposób? Będzie się miało ustawicznie na karku dzieciaka i niańkę, i sąsiadów i męża: same nieprzyjemności! Ach! dodał, za wieleby to czasu zabrało!

Po chwili zaczął znowu:

— Kiedy bo ona ma oczy, które jak świdrem wkręcają się w serce... A ta jej płeć blada!.. Ja tak uwielbiam blade kobiety!

Na wysokości wybrzeża Argueil, postanowienie jego było zrobione.

— Chodzi tylko o znalezienie sposobności... A cóż? wstąpię czasem do nich, poszlę im zwierzyny, drobiu; każę sobie choćby krew puścić jeżeli tego będzie potrzeba, zaprzyjaźnimy się, zaproszę ich do siebie... Ale!.. zbliżają się komisye... ona tam będzie, zobaczę ją! Weźmiemy się ostro do rzeczy, bo to droga najpewniejsza.

VIII.

Nadeszły wreszcie owe sławne *Komisye!* W dzień tej uroczystości wszyscy mieszkańcy Yonville od samego rana stojąc we drzwiach swoich domów rozmawiali o poczynionych na ten cel przygotowaniach: uwieńczono zielonym bluszczem fronton merostwa; na łące urządzono namiot na ucztę, a pośrodku rynku, przed samym kościołem, rodzaj kuszy miał oznajmiać wystrzałami przybycie pana prefekta i nazwiska uwieńczonych wystawców. Gwardya narodowa z Buchy (w Yonville jej nie było) połączyła się z oddziałem strażaków, którym przewodniczył Binet. Zacny poborca miał tego dnia kołnierzyk wyższy jeszcze niż zwykle, a ściśnięty w swej tunice, tak sztywny był i nieruchomy, że cała żywotność jego osoby zdawała się streszczać w nogach, które się miarowym ruchem podnosiły. Ponieważ istniało współzawodnictwo pomiędzy poborcą a dowódzcą gwardyi narodowej, obadwa, dla popisania się, oddzielnie szykowali swych ludzi. Widziano przechodzące kolejno czerwone szlify i czarne kirysy. Końca temu nie było! Nigdy jeszcze

w Yonville nie oglądano takiej parady! Niektórzy z mieszczan pobielili na nowo swoje domy; trójkolorowe chorągwie powiewały w otwartych oknach; wszystkie karczmy były napełnione, a przy pięknej pogodzie krochmalne czepeczki, złote krzyżyki i różnobarwne chusteczki lśniły białością, migotały w promieniach słońca i jaskrawością swoją urozmaicały ponurą jednostajność surdutów i granatowych płóciennych kurtek. Okoliczne czynszowniczki zsiadając z konia wyciągały duże szpilki, któremi podpięte miały suknie z obawy zabłocenia, mężowie ich zaś okrywali dla ochrony kapelusik chustką, której jeden róg trzymali w zębach.

Tłum schodził się na główną ulicę z dwóch kończyn miasteczka. Płynęła fala ze wszystkich uliczek, zaułków, ze wszystkich domów, od czasu do czasu słyszano stuknięcie ciężkich drzwi, które się zamykały za mieszczkami w nicianych rękawiczkach, wychodzących dla przypatrzenia się uroczystości. Najwięcej podziwiano dwa podłużne trójkąty pokryte lampami, po dwóch stronach estrady, którą zajmować miały władze, nadto, przy czterech słupach merostwa zatknięto cztery proporce z małemi zielonemi chorągiewkami, na

których były napisy złotemi głoskami. Na jednej z nich czytano: „Handlowi", na drugiej: „Rolnictwu", na trzeciej: „Przemysłowi", a na czwartej: „Sztukom pięknym".

Lecz radość rozpromieniająca wszystkie twarze zdawała się zasępiać panią Lefrançois, oberżystkę. Stojąc na wschodach swojej kuchni pomrukiwała półgłosem:

— Co za głupcy! co za głupcy ze swoją płócienną budą! Myślą zapewne, że panu prefektowi bardzo będzie przyjemnie obiadować pod namiotem, jak jaki komediant! I oni to wszystkie niedorzeczności nazywają pracą dla dobra kraju! Wartoż było sprowadzać traktyernika z Neufchatelu! I dla kogo? dla pastuchów! dla parobków!

Przechodził aptekarz. Był w czarnym fraku, nankinowych pantalonach, filcowych ciżemkach i rzecz nadzwyczajna — w nizkim kapeluszu na głowie.

— Kłaniam uniżenie! rzekł; przepraszam, ale się bardzo śpieszę.

A gdy gruba wdowa zapytała go dokąd idzie:

— To panią dziwi, nieprawdaż? odparł; ja, który siedzę zawsze zamknięty w mojem laboratoryum jak szczur w serze.

— W jakim serze? zagadnęła oberżystka.

— Nic, nic! powiedział Homais. Chciałem pani tylko wyrazić, że zwykle nie ruszam się z domu. Dziś jednak, ze względu na szczególną okoliczność, muszę przecie...

— A! pan także *tam* idzie? rzekła, pogardliwie krzywiąc usta.

— Tak jest, idę tam, pani Lafrançois, odparł aptekarz zdziwiony; wszakże jestem członkiem komisyi doradczej!

Pani Lefrançois popatrzyła przez chwilę na niego, potem rzekła z uśmiechem:

— To co innego! Ale cóż pana obchodzi rolnictwo? czy pan się na tem znasz?

— Naturalnie że się znam, ponieważ jestem aptekarzem, to znaczy kuchcikiem! a że chemia, pani Lefrançois, zajmuje się rozpoznawaniem wzajemnego i atomowego działania na siebie wszystkich ciał w przyrodzie, idzie zatem, że rolnictwo w jej zakres wchodzi! Bo w samej rzeczy; skład nawozów, fermentacya płynów, ruchów gazów i wpływ miazmatów, cóż to jest innego, pytam, jeżeli nie czysta chemia?

Oberżystka nic nie odpowiedziała. Homais mówił dalej:

— Czy pan myślisz, że aby być agronomem, potrzeba samemu za pługiem chodzić lub drób tuczyć? Bynajmniej. Trzeba raczej znać skład danych substancyj, pokłady geologiczne, wpływy atmosferyczne, własności gruntów, minerałów, wód, gatunkową ciężkość rozmaitych ciał i ich rozciągłość! I trzeba posiadać gruntownie zasady hygieny, żeby umieć kierować stawianiem budynków, karmieniem zwierząt, żywieniem ludzi! trzeba jeszcze, kochana pani Lefrançois, znać botanikę, umieć rozróżnić rośliny, rozumiesz pani, odróżnić pożyteczne od szkodliwych, nieprodukcyjne od pożywnych, gdzie trzeba wyrywać jedne a siać drugie, rozprzestrzeniać jedne, a zagładzać drugie, słowem, trzeba iść z postępem nauki za pośrednictwem broszur i pism publicznych, być zawsze czujnym, aby korzystać ze wszystkich wynalezionych ulepszeń...

Oberżystka nie spuszczała oczu ze drzwi *kawiarni francuzkiej*, a Homais mówił dalej:

— Dałby to Bóg, aby nasi rolnicy byli chemikami, a przynajmniej żeby więcej słuchali rad nauki! I tak, ja, napisałem ostatniemi czasy dziełko, broszurkę o siedmdziesięciu dwóch stronnicach pod tytułem: *O jabłeczniku, jego wyrobach*

i skutkach, wraz z niektóremi nowemi w tym względzie uwagami, którą posłałem Towarzystwu agronomicznemu w Rouen, co mi nawet przyniosło zaszczyt zostania zaproszonym do grona członków tegoż towarzystwa, w sekcyi rolniczej, wydziale pomologii, owóż, gdyby dziełko moje było wydane na widok publiczny...

Tu aptekarz zatrzymał się, tak pani Lefrançois wydała mu się roztargnioną.

— Patrzcież państwo! zawołała, to nie do pojęcia! taka garkuchnia!

I silnie poruszając ramionami, wskazywała obiema wyciągniętemi rękami zakład swego współzawodnika, zkąd dochodziły śpiewy.

— Zresztą, dodała, nie długo tego będzie; zaczem tydzień upłynie, wszystko to się skończy.

Homais cofnął się zdumiony. Oberżystka zeszła ze swoich trzech wschodków i szepnęła mu do ucha:

— Jakto! pan tego nie wiesz? Zlicytują go w tym tygodniu. To Lheureuxgo sprawka. Ma na nim masę wierzytelności.

— Co za straszna katastrofa! wykrzyknął aptekarz, który miał zawsze w pogotowiu zapas

dosadnych wyrażeń, zastosowanych do każdej okoliczności.

Oberżystka zaczęła mu opowiadać całą tę historyę, której się dowiedziała od Teodora, służącego pana Guillaumina i chociaż nienawidziła Telliera, potępiała jednak postępowanie Lheureuxgo. Nazywała go podstępnym obłudnikiem, szachrajem.

— Patrzno pan! mówiła, oto idzie tam na placu, kłania się pani Bovary, która ma zielony kapelusz. Prowadzi ją pod rękę pan Boulanger.

— Pani Bovary! powtórzył Homais. Śpieszę złożyć jej moje uszanowanie. Może będzie sobie życzyła dostać miejsce w obwodzie, pod galeryą.

I nie słuchając już pani Lafrançois, która chciała mu więcej jeszcze opowiadać, aptekarz oddalił się szybko, uśmiechnięty i wyprostowany, rozdzielając na prawo i na lewo liczne ukłony i zajmując wiele miejsca połami swego czarnego fraka, które wiatr za nim rozrzucał.

Rudolf, spostrzegłszy go z daleka, przyśpieszył kroku, lecz pani Bovary się zadyszała; zwolnił go więc i rzekł jej śmiejąc się rubasznie:

— Chciałem umknąć przed tym *grubasem* aptekarzem.

Ona trąciła go łokciem.

— Co to ma znaczyć!? pomyślał w duchu,

I spojrzał na nią z pod oka, nie zatrzymując się wcale.

Profil jej tak był spokojny, że nic odgadnąć nie pozwalał. Odbijał się w pełnem świetle; w owalu kapelusika z blado zielonemi wstążkami. Oczy jej długiemi przysłonięte rzęsami, patrzyły prosto przed siebie, chociaż szeroko otwarte, wydawały się nieco zmniejszone przez policzki, zarumienione krwią, która żywiej krążyła pod cienką skórą. Różowy odcień barwił delikatne jej nozdrza. Pochylała główkę na ramię i perłowe koniuszczki jej białych ząbków przezierały przez wpół otwarte usta.

— Czy ona sobie ze mnie żartuje? myślał Rudolf.

Zresztą, owo poruszenie Emmy było tylko ostrzeżeniem; gdyż towarzyszył im pan Lheureux i przemawiał do nich od czasu jakby dla zawiązania rozmowy:

— Co za przepyszny dzień!.. wszyscy z domów powychodzili!.. wiatr mamy wschodni!

A pani Bovary, podobnie jak Rudolf, nie odpowiadali mu wcale, podczas gdy za najmniejszem

którego z nich poruszeniem przybliżał się mówiąc: — Co pani rozkaże? i podnosił rękę do kapelusza.

Gdy doszli do domu kowala, zamiast iść dalej główną ulicą aż do rogatki, Rudolf zwrócił się nagle na boczną ścieżkę, pociągając za sobą panią Bovary i zawołał:

— Do widzenia, panie Lheureux!

— Jak gładko go pan odprawiłeś! rzekła śmiejąc się Emma.

— Po co się dać zajmować drugim? odparł; a ponieważ dziś mam szczęście znajdować się z panią...

Emma się zarumieniła. Nie dokończył zaczętego zdania. Zaczął mówić o pogodzie i o przyjemności przechodzenia się po trawie. Kwiatki barwiły łąkę.

— Oto ładne stokrotki, rzekł, mogące dostarczyć materyału na wyrocznie dla wszystkich zakochanych w okolicy.

Po chwili dodał:

— Możeby urwać kilka? Jak pan myśli!

— Czy pan jesteś zakochany? zapytała pokaszlując lekko.

— Kto wie? odparł Rudolf,

Łąka zaczynała się zaludniać. Gosposie potrącały się wielkimi parasolami, koszami i dziećmi. Nieraz trzeba było usuwać się przed długim szeregiem wieśniaczek, folwarcznych drzewek w niebieskich pończochach, grubych trzewikach, srebrnych na palcach pierścionkach, od których czuć było oborę i mleczywo. Szły trzymając się za ręce, przez co zajmowały całą szerokość łąki, od linii osiczyny do namiotu biesiadnego. Była to właśnie chwila egzaminu, rolnicy jeden po drugim wchodzili w obręb hippodromu zamkniętego długim sznurem na palikach opartym.

Znajdowały się tam zwierzęta, nosami zwrócone do sznura. Ociężałe wieprze ryje zagłębiały w ziemię; cielęta ryczały, owce beczały, krowy się wyciągały na trawie i przeżuwając powoli zmrużały ciężkie powieki przed komarami, które wokoło nich brzęczały. Stajenni z obnażonemi ramionami trzymali na uzdach wspinające się ogiery, które rżały, zwracając rozdęte nozdrza w stronę gdzie stały klacze. Te ostatnie zachowywały się spokojnie, podczas gdy źrebięta ich obok spoczywały, lub od czasu do czasu ssać je przychodziły; a po nad tą całą falą cial nagromadzonych, wznosiła się miejscami, tu biała grzywa

którą wiatr powiewał, tam rogi zakręcone, lub ludzkie uwijające się głowy. Na uboczu, o sto kroków dalej, stał wielki czarny byk z kagańcem na pysku, z żelaznem kółkiem przez nozdrza przeciągniętem, nieruchomy jakby był z brązu ulany. Obdarty chłopak trzymał go na postronku.

Pomiędzy dwoma temi szeregami postępowali ciężkim krokiem panowie, oglądając każde zwierzę, poczem naradzali się z sobą półgłosem. Jeden z nich, jak się zdawało najważniejszy, robił jakieś notatki w pugilaresie. Był to prezes przysięgłych: pan Deroserays de la Pauville. Poznawszy Rudolfa, postąpił i rzekł do niego z uprzejmym uśmiechem:

— Jakto? pan nas opuszczasz, panie Boulanger?

Rudolf oświadczył, że zaraz przyjdzie. Gdy jednak prezes się oddalił:

— Nie będę się śpieszył, rzekł, przekładam towarzystwo pani nad jego.

A żartując sobie z komisyi, Rudolf dla swobodniejszego krążenia pośród tłumu, pokazywał tylko żandarmowi swoją niebieską kartę; zatrzymywał się nawet czasem przed jakim pięknym *okazem*, którym jednak pani Bovary wcale się nie

zachwycała. Pomiarkował to niebawem i zaczął żartować z toalety dam yonvillskich; poczem tłumaczył się z zaniedbania własnej. Było w niej to pomieszanie rzeczy pospolitych z wyszukanemi, które w oczach gminu uchodzi za cechę bytu ekscentrycznego, nieładu uczuć i pewnej pogardy form towarzyskich, co zachwyca lub oburza. I tak, batystowa jego koszula z fałdowanymi mankietami wydymała się na wiatr w wykroju szarej dymkowej kamizelki, a pantalony w szerokie pasy odsłaniały przy kostce dymkowe ciżemki lakierowaną skórą oblamowane. Były tak błyszczące, że trawa się w nich odbijała. Kapelusz słomkowy na bakier miał wsadzony i rękę trzymał w kieszonce od kamizelki.

— Zresztą, dodał, kiedy się mieszka na wsi...

— Nie warto sobie trudu zadawać, dokończyła Emma.

— To prawda! potwierdził Rudolf. Pomyśleć tylko, że ani jeden z tych poczciwców nie umie się nawet poznać na kroju ubrania!

Rozmowa toczyła się dalej o mierności prowincyonalnej, o straconych złudzeniach życia w ciasnem kółku spędzanego.

— Ja też, mówił Rudolf, pogrążam się w smutnem odrętwieniu...

— Pan? podchwyciła zdumiona. Ależ ja sądziłam pana bardzo wesołym?

— Ach, tak! na pozór, bo dla ludzi umiem twarz ubierać w maskę szyderczą; a jednak... ileż to razy, na widok cmentarza oblanego światłem księżyca, sam siebie zapytywałem czy nie lepiejby było pójść połączyć się z tymi, którzy tam zasypiają...

— O!.. A pańscy przyjaciele? rzekła. Pan zapominasz o nich.

— Moi przyjaciele? jacyż to? gdzież oni są? Kto dba o mnie?

Tym ostatnim wyrazom towarzyszył rodzaj bolesnego syknięcia.

Tu musieli rozłączyć się chwilowo, aby przepuścić człowieka niosącego ogromny stos krzeseł. Tak był niemi obładowany, że widać było tylko jego saboty i koniec rozpostartych ramion. Był to grabarz Lestiboudois, który wlókł dla wygody publiczności krzesełka z kościoła. Pomysłowy, gdy chodziło o własny interes, odkrył ten sposób skorzystania z komisyi i powiodło mu się, bo nie wiedział komu pierwej usłużyć. W samej rzeczy,

wieśniacy znużeni upałem, wyrywali sobie te krzesełka przesiąkłe wonią kadzidła i z pewną czcią opierali się o ich poręcze zalane woskiem gromnicznym.

Pani Bovary ujęła znowu pod rękę Rudolfa, on mówił dalej jak gdyby sam do siebie:

— Tak, zaiste! tylu rzeczy byłem pozbawiony! sam, zawsze sam! Ach! gdybym był miał cel w życiu, gdybym był spotkał jedno serce życzliwe... gdybym był znalazł kogoś... O! jak byłbym spożytkował całą energię do jakiej jestem zdolny! byłbym wszystko pokonał, wszystko przełamał:

— Nie zdaje mi się jednak, abyś pan był tak bardzo pożałowania godnym, wtrąciła Emma.

— Tak pani sądzisz?

— Bo wreszcie... mówiła dalej, pan jesteś wolnym... Zawahała się i dodała:

— I bogatym.

— Nie żartuj pani sobie ze mnie, odpowiedział.

Emma się zaklinała że wcale nie żartuje, gdy w tem rozległ się huk wystrzału; wszyscy zaczęli się tłoczyć ku wsi.

Był to fałszywy alarm. Pan prefekt nie przybywał jeszcze, a członkowie przysięgli bardzo

byli zakłopotani, nie wiedząc czy należało rozpocząć posiedzenie, czy też jeszcze zaczekać.

Nakoniec w głębi rynku ukazała się wielka najemna kareta, ciągniona dwoma chudymi końmi, które popędzał biczem woźnica w białym kapeluszu. Binet miał zaledwie czas krzyknąć: — „Do broni!" co też powtórzył dowódzca gwardyi narodowej. Rzucono się do kozłów. Z wielkiego pośpiechu, niektórzy zapomnieli swoich kołnierzy. Lecz ekwipaż prefekta zdawał się odgadywać ten kłopot i dwie zaprzężone szkapiny, kołysząc się na swych łańcuszkach, przybyły drobnym truchcikiem przed krużganek merostwa, właśnie w chwili, kiedy gwardya narodowa i strażacy rozwijali się przed nim przy odgłosie bębnów, takt nogami wybijając.

— *Na prawo!* krzyknął Binet.

— *Stój!* krzyknął dowódzca gwardyi. *Lewo zwrot!*

I po sprezentowaniu broni, przy czem zadźwięczało jak kiedy kociołek miedziany ze wschodów spada, wszystkie strzelby na dół opadły.

Natenczas ujrzano wysiadającego z karety jegomościa w srebrem haftowanym mundurze, z czołem wyłysiałem, kępkę włosów na wierzchu gło-

wy, wybladłej cery i dobrodusznej powierzchowności. Okrągłe jego oczy, przysłonięte gęstemi brwiami, przymrużały się dla lepszego przyjrzenia się zebranemu tłumowi, podczas gdy jednocześnie podnosił śpiczasty nos i do uśmiechu składał zaklęsłe usta. Poznał mera po jego szarfie i objaśnił go, że pan prefekt nie mógł sam przybyć. On sam był radzcą prefektury, przedstawiając się dodał jeszcze kilka słów przeproszenia. Tuvache odpowiedział na nie grzecznościami, tamten się znowu tłumaczył i tak stali naprzeciwko siebie, oko w oko, otoczeni członkami przysięgłymi, radą miejską znaczniejszymi obywatelami, gwardyą narodową i całym tłumem. Pan radzca, przyciskając do piersi swój mały trójkątny kapelusik, kłaniał się raz po razu, podczas gdy Tuvache, zgięty jak łuk, uśmiechał się także, jąkał się, słów znaleźć nie mógł, upewniał o swem poświęceniu dla monarchii i o zaszczycie jaki spotkał Yonville.

Hipolit, kulawy posługacz z zajazdu, przyszedł odebrać konie od woźnicy i utykając odprowadził je za uzdę pod bramę *Złotego Lwa*, gdzie zaraz tłum wieśniaków zgromadził się oglądać karetę. Uderzono w bębny, kusza zagrzmiała i panowie

rzędem poszli zasiąść na estradzie, w fotelach pokrytych czerwonym utrechtem, przez panią Tuvache pożyczonych.

Wszyscy ci ludzie podobni byli do siebie. Ich pulchne twarze jasnymi ocienione włosami, nieco od słońca ogorzałe, miały barwę słodkiego jabłecznika, a ich gęste faworyty wyłaniały się z wysokich, sztywnych kołnierzyków, podpartych białymi krawatami o szerokich kokardach. Wszyscy mieli szalowe aksamitne kamizelki i przy zegarkach jaką owalną kornalinową lub opalową pieczątkę; siedząc opierali obie dłonie na udach, a sukno niższego ich ubrania, nie zstępowane, lśniło się niemniej świetnie jak skóra ich botfortów.

Panie tego towarzystwa siedziały nieco w tyle, pomiędzy kolumnami, podczas gdy reszta tłumu stała na przodzie, lub siedziała na krzesłach. W istocie, Lestiboudois poznosił tam wszystkie z łąki i jeszcze co chwila biegał po więcej takowych do kościoła, i takie sprawiał zamieszanie swoim przemysłem, że trudno było się docisnąć do wschodków prowadzących na estradę.

— Ja znajduję, mówił pan Lheureux zwracając się do aptekarza, który przychodził dążąc do

swego miejsca — że należało umieścić tam dwa weneckie maszty: z dodaniem czegoś bogatego w surowym guście, toby bardzo dobry sprawiało efekt.

— Zapewne, przytwierdził Homais. Ale co pan chcesz! to mer wszystko pod swój zarząd zagarnął. Poczciwy Tuvache nie odznacza się wielkim smakiem; on nawet zupełnie pozbawiony jest tego co się nazywa poczuciem piękna w sztuce.

Rudolf tymczasem wraz z panią Bovary poszedł na pierwsze piętro merostwa, do *sali rozpraw*, a ponieważ była pustą, oświadczył, że ztamtąd będzie można bardzo wygodnie się przypatrywać całemu widowisku. Wziął trzy taburety z tych co otaczały stół owalny umieszczony pod popiersiem monarchy i przysunąwszy je do okna, zasiedli obok siebie.

Na estradzie zrobił się ruch, szepty, umowy. Wreszcie powstał pan radzca. Wiedziano już że się nazywał Lieuvain i nazwisko jego z ust do ust w tłumie przechodziło. Poukładawszy kilka zapisanych kartek i przyjrzawszy im się bliżej, pan radzca zaczął w te słowa:

„Panowie!

„Niech mi wolno będzie — przed zagajeniem przedmiotu, dla którego dziś tu zgromadzeni jesteśmy — a uczucie to, nie wątpię, wszyscy ze mną podzielicie, niech mi wolno będzie, powiadam, oddać sprawiedliwość najwyższej administracyi, rządowi, monarsze, naszemu władzcy, panowie, temu ukochanemu królowi, któremu żadna gałąź publicznego lub prywatnego dobra nie jest obojętną i który dłonią równie silną jak mądrą kieruje nawą państwa pośród nieustannych niebezpieczeństw burzliwego morza, umiejąc zresztą nakazać poszanowanie tak podczas wojny jak pokoju, dla handlu, przemysłu, rolnictwa i sztuk pięknych."

— Powinienbym się cofnąć nieco, rzekł Rudolf.

— Dla czego? zapytała Emma.

Lecz w tej chwili głos pana radzcy wzniósł się do nadzwyczajnej wysokości. Deklamował z zapałem:

„Minął już ten czas, panowie, kiedy rozterki domowe zakrwawiały nasze place publiczne, kiedy obywatel ziemski, kupiec, nawet robotnik, zasypiając spokojnie wieczorem, lękać się musiał

aby go nie przebudził nagle dzwon pożarny, kiedy najprzewrotniejsze zasady podkopywały zuchwale podstawy..."

— Bo mogliby mnie zobaczyć z dołu, rzekł Rudolf, potem przez dwa tygodnie musiałbym się przed nimi tłumaczyć, a przy mojej niegodziwej *reputacyi*...

— O! pan się spotwarzasz! rzekła Emma.

— Nie, nie, haniebną mam opinię, słowo pani daję.

„Lecz panowie, — mówił radzca, — jeżeli, usuwając z pamięci te ponure obrazy, zwrócę oczy na obecne położenie naszej pięknej ojczyzny, jaki widok mi się przedstawia? Wszędzie kwitną sztuki piękne i handel, wszędzie nowe drogi komunikacyjne, jak potężne arterye państwowego ciała, tyleż nowych zaprowadzają stosunków, wielkie nasze punkta rękodzielnicze z podwojoną działają czynnością; religia wzmocniona, do wszystkich serc się uśmiecha, porty nasze są napełnione, zaufanie się odradza i Francya wreszcie swobodnie oddycha!.."

— Zresztą, dodał Rudolf, może i mają słuszność, ze światowego punktu widzenia?

— Jakto? zapytała.

— Czyliż pani nie wiesz, że są dusze zawsze udręczone? odpowiedział. Potrzeba im kolejno marzeń i działania, najczystszych uczuć i najwyuzdańszych rozkoszy, a te pragnienia popychają człowieka do wszelkiego rodzaju wybryków i szaleństw.

Emma spojrzała na niego jak się patrzy na podróżnika, który zwiedził nadzwyczajne kraje, i rzekła:

— My biedne kobiety nawet tej niemamy rozrywki!

— Smutna rozrywka, bo szczęścia nie daje.

— Ale czy ono się gdziekolwiek znajduje? zagadnęła.

— Można je spotkać w tem życiu, odpowiedział.

„I wy to zrozumieliście, mówił radzca. Wy, rolnicy i wiejscy pracownicy; wy, pokojowi pionierzy dzieła czysto cywilizacyjnego! wy, mężowie postępu i moralności! zrozumieliście, mówię, że polityczne burze groźniejszemi są jeszcze od wstrząśnień atmosferycznych....“

— Można je spotkać czasem, powtórzył Rudolf, niespodzianie, kiedy go już przestaliśmy oczeki-

wać. Natenczas niebo się otwiera, zdaje nam się słyszeć głos wołający: „oto jestem!". Czujesz potrzebę zwierzenia się tej osobie ze swego życia; oddania jej wszystkiego; poświęcenia jej całej istności swojej! Nie potrzeba tu słów, spojrzenia same się rozumieją. Widziano się już w marzeniach... (Tu spojrzał na nią). Masz nakoniec ten skarb tak szukany, stoi tu, przed tobą jasny i promienny. Jednakże, wątpisz jeszcze, nie śmiesz temu uwierzyć, stoisz olśniony, jak człowiek, który z ciemności na światło wyjdzie.

Tych słów domówiwszy, Rudolf dołączył do nich pantominę. Przysłonił dłonią oczy, jak gdyby go światło raziło, potem spuścił ją na rękę Emmy. Ona swoją usunęła. Radzca tymczasem czytał ciągle:

„I któżby się temu dziwił, panowie? Ten chyba, ktoby był tak dalece zaślepionym, tak dalece — śmiem powiedzieć — pogrążonym w przesądach innej epoki, żeby się jeszcze nie umiał poznać na duchu ludności rolniczych. Gdzież znajdziemy w istocie, więcej patryotyzmu niż po wsiach, więcej poświęcenia dla sprawy publicznej, więcej inteligencyi, jednem słowem. A nie mówię

tu, panowie, o tej inteligencyi powierzchownej, nędznej ozdobie próżniaczych umysłów, lecz raczej o tym głębokim i umiarkowanym rozumie, który dąży przedewszystkiem do celów pożytecznych, przykładając się tym sposobem do powszechnego dobrobytu, do ulepszeń ogólnych i do podtrzymywania państwa, który jest owocem poszanowania dla praw i spełnienia obowiązków..."

— Ach! jeszcze! powiedział Rudolf. Wszędzie tylko obowiązki! mam już tego po uszy. Gromada starych durniów w kaftanikach flanelowych i podżyłych bigotek z fajerkami i różańcami u pasa, powtarza nam na wszystkie tony: „obowiązek! obowiązek!" Do licha! obowiązkiem jest umieć czuć wszystko co wielkie, kochać co piękne, a nie, przyjmować ślepo wszystkie formy towarzyskie, wraz ze sromotami, jakie na nas wkładają.

— Jednakże... jednakże... — mówiła pani Bovary.

— O! nie zaprzeczaj mi pani! poco powstawać na namiętności? Nie sąż one jedyną piękną rzeczą na tej ziemi, źródłem bohaterstwa, zapału, poezyi, muzyki, geniuszu, słowem wszystkiego co wzniosłe i szlachetne?

— Zawsze jednak trzeba, rzekła Emma, stosować się trochę do opinii świata i do wymagań jego moralności.

— Ach! bo tych moralności jest dwie, odpowiedział. Jedna ciasna, ludzka, która się nieustannie zmienia i hałasuje, trzyma się przy ziemi i nią zajęta, jak owa rzesza głupców, która się tam roi na dole. Druga zaś, wieczysta i nieodmienna, otacza nas i unosi się nad nami, jak ten błękit niebieski, który nam przyświeca.

Tu pan Lieuvain otarł sobie chustką spoconą twarz i mówił dalej:

„Czyliż potrzebuję wam dowodzić pożyteczności rolnictwa, panowie? Kto zaspakaja nasze potrzeby? kto nam dostarcza pożywienia? Czyliż nie rolnik? Tak jest, panowie, rolnik, który zasiawszy pracowitą dłonią żyzne zagony pól naszych, produkuje zboże, które starte na proch za pomocą dowcipnych przyrządów, wychodzi z nich pod nazwą mąki, a ztamtąd do miast sprowadzone, oddane zostaje piekarzowi, który zeń wyrabia zdrowe pożywienie dla bogacza i dla ubogiego. Nie rolnik-że to jeszcze tuczy na pastwiskach swe liczne trzody na odzież naszą? Jakżebyśmy

się mogli odziewać, jakżebyśmy się mogli wyżywić gdyby nie rolnik? A nawet, panowie, potrzebaż tak daleko szukać przykładów? Któż się nie zastanowił kiedykolwiek nad całą korzyścią, jaką przynosi ów skromny ptak domowy, ozdoba naszych folwarcznych podwórz, który jednocześnie dostarcza miękkiego puchu na nasze posłania, soczystego mięsa na stół nasz i jaj pożywnych? Ale nie skończyłbym dziś, gdybym chciał wyliczyć po kolei rozmaite płody, jakie dobrze uprawna ziemia, jak hojna matka, dzieciom swym dostarcza. Tu, winnica, tam znowu jabłonie; gdzie indziej tłusty szpak, dalej, sery; owdzie, lecz, panowie! nie zapominajmy o lnie, który w ostatnich latach przybrał znaczne rozmiary i na który szczególnie pragnę zwrócić waszą uwagę."

Nie potrzebował jej zwracać: gdyż usta całego tłumu były otwarte, jak gdyby pochłaniać chciały jego wyrazy. Tuvache, stojący obok pana radzcy, słuchał słów jego z szeroko rozwartemi oczyma; pan Deroserays od czasu do czasu przymykał lekko powieki; nieco dalej aptekarz ze swym synem Napoleonem pod nogami, przykładał do ucha dłoń w trąbkę złożoną, aby nie stracić ani jednego

wyrazu. Inni członkowie przysięgli kiwali potwierdzająco głowami. Strażacy, u stóp estrady, odpoczywali wsparci na swych bagnetach; Binet, nieruchomy jak posąg, stał z odstawionym łokciem i końcem pałasza do góry wzniesionym. Słyszał on może, lecz zapewne nic nie widział, bo przyłbica kasku całe oczy mu zasłaniała. Porucznik jego, młodszy syn imćpana Tuvache, przeszedł go jeszcze pod tym względem: miał bowiem na głowie kask olbrzymi, który chwiał się na wszystkie strony, a z pod niego wyglądał fular kolorowy. Chłopak uśmiechał się pod tym ciężarem z dziecięcą uległością, a blada jego twarzyczka potem oblana, miała wyraz zadowolenia, znękania i senności.

Cały plac aż do samych domów pełen był ludzi. Okna także były natłoczone, niektórzy stali we drzwiach swych domów, a Justyn, pilnując wystawy aptecznej, zdawał się cały zatopiony w podziwianiu tego co widział. Pomimo panującej ciszy, głos pana Lieuvain gubił się w przestrzeni. Dochodziły uszu słuchaczy tylko urywki zdań, przerywane tu i owdzie ruchem krzeseł w tłumie; czasem dawało się słyszeć znienacka przeciągłe ryczenie wołu, lub beczenie owiec odpowiadają-

cych sobie z rogów ulic. Bo w istocie pastuchy aż tam zagnali byli swoje zwierzęta, które się niekiedy odzywały, skubiąc gałązki na głowy im się zwieszające.

Rudolf przysunął się do Emmy i mówił prędko, stłumionym głosem:

— Czyliż pani nie oburza sprzysiężenie świata? Jestże jedno uczucie, któregoby on nie potępiał? Najszlachetniejsze popędy, najczystsze sympatye są prześladowane, spotwarzone i jeżeli dwie biedne pokrewne dusze spotkają się przypadkiem, wszystko jest obrachowane na przeszkodzenie ich połączeniu. Będą jednak probowały, będą trzepotały skrzydłami, będą się wzajemnie przyzywały. O! bądź co bądź, prędzej czy później, za pół roku, za dziesięć lat może, połączą się one, pokochają, bo fatalność tego wymagała i stworzone były jedne dla drugiej.

Ręce trzymał skrzywione na kolanach i podnosząc wzrok na Emmę, wpatrywał się w nią z blizka, oko w oko. Ona dostrzegała w oczach jego złotawe błyski, rzucające promienie wokoło czarnych źrenic, czuła nawet woń pomady, jaką wysmarowane były jego włosy. Wtedy ogarnęła ją jakaś miękka niemoc; stanął jej w myśli ów wice-

hrabia, z którym walcowała w la Vaubeyssard, a którego wypieszczona broda wydawała tę samą co te włosy, woń cytryny i wanilii i mimowolnie przymknęła oczy, żeby lepiej się nią napawać. Lecz przechyliwszy się na poręcz krzesła, spostrzegła z daleka, na widnokręgu, starą *Jaskółkę*, która się spuszczała powoli ze wzgórza Leux, wlokąc za sobą długą smugę szarego pyłu. W tej to żółtej karecie Leon tak często do niej powracał i tą samą drogą odjechał na zawsze! Wydało jej się, że go widzi przed sobą, w swem oknie, potem obłok zakrył ten obraz, zamęt powstał w jej umyśle; zdawało jej się że jeszcze walcuje oparta na ramieniu wicehrabiego, przy blasku żyrandoli, i że Leon jest blizko i ma przyjść... a pomimo tego czuła ciągle obok siebie głowę Rudolfa! Tak słodycz tego uczucia zlewała się z dawnemi jej pragnieniami, które jak ziarnka piasku wiatrem podniesione, wirowały w kłębach subtelnej woni, jaka duszę jej napełniała. Rozdęła kilkakrotnie nozdrza, aby wciągnąć mocniej świeże powietrze wiejące od bluszczów, które się wiły wokoło gzemsu. Zdjęła rękawiczki, otarła chusteczką ręce, poczem wachlować się nią zaczęła, podczas gdy pośród bicia pulsów w skroniach, uszu jej do-

chodził gwar tłumu i głos radzcy, który wygłaszał swoje wyuczone zdania.

Mówił:

„Nie ustawajcie w tych szlachetnych dążeniach! nie słuchajcie ani podszeptów rutyny, ani rad niewczesnych zuchwałego empiryzmu. Przykładajcie się nadewszystko do ulepszenia gruntów, do wytwarzania użyźniających nawozów, ras, bydląt, owiec, trzody chlewnej i ptastwa domowego! Niechaj te komisye będą dla was jakby pokojowemi szrankami, w których zwyciężony poda rękę zwycięzcy i pobrata się z nim, w nadziei lepszego na przyszłość powodzenia! A wy, pracownicy! których ciężkich prac nie uwzględniał dotąd żaden z rządów poprzednich, przyjdźcie odebrać nagrodę waszych cnót cichych i bądźcie przekonanymi, że odtąd państwo ma oczy zwrócone na was, że was zachęca, że się wami opiekuje, że uwzględni słuszne wasze zażalenia, i o ile w mocy jego będzie, postara się ulżyć brzemię ciężkich trudów waszych!"

Pan Lieuvain usiadł nakoniec; na jego miejsce powstał pan Deroserays, inną rozpoczynając mowę. Nie była ona może tak kwiecistą jak mowa

radzcy; lecz się zalecała stylem zwięźlejszym i pozytywniejszym, to jest bardziej specyalnemi wiadomościami i podnioślejszymi poglądami. Pochwały rządu mniej zajmowały w niej miejsca, więcej za to religia i rolnictwo. Widziano w niej związek pierwszej z drugiem i jak dwa te czynniki wspólnie dążyły zawsze do rozwoju cywilizacyi. Rudolf tymczasem rozmawiał z panią Bovary o marzeniach, przeczuciach, magnetyzmie. Mówca cofając się do kolebki społeczeństw, skreślał owe czasy pierwotne, kiedy ludzie żywili się żołędziami, w głębi lasów. Później zerwali z siebie skóry zwierzęce, okryli się suknem, wyorali bruzdy, zasadzili winnice. Byłoż to bezwzględnem dobrem? i czy te postępy nie więcej szkody niż korzyści dla ludzkości przynosiły? Pan Deroserays stawiał sobie to zagadnienie. — Rudolf od magnetyzmu przeszedł do powinowactw i podczas gdy pan prezes cytował Cyncynnatusa chodzącego za pługiem, Dyoklecyana sadzącego kapustę i cesarza chińskiego rozpoczynającego rok siewem, młody człowiek tłumaczył Emmie, że te nieodparte sympatye brały początek w jakimś poprzednim bycie.

— My, naprzykład, mówił, dla czegóż się poznaliśmy? jaki wypadek spotkanie nasze sprowadził? Zapewne w przestrzeni czasów, jak dwie rzeki płynące ku sobie, popchnięci zostaliśmy na wspólne tory, po odpowiednich naszych pochyłościach.

Tu pochwycił jej rękę, ona jej nie usunęła.

„Za dobrą uprawę ziemi!" wykrzyknął prezes.

— Wtenczas, naprzykład, kiedym przyszedł do państwa...

„Panu Bizet, z Quincampoix".

— Mógłżem przeczuć że będę pani towarzyszył?

„Siedmdziesiąt franków!"

— Sto razy chciałem odjechać, uciekać, a tymczasem zostałem i poszedłem za panią.

„Nawozy!"

— Tak jak dziś zostałbym, jutro, codzień przez całe życie moje.

„Panu Caron, z Argueil, medal złoty!

— Bo nigdy jeszcze nie znalazłem w niczyjem towarzystwie tak doskonałego powabu...

„Panu Bain, z Givry-Saint-Martin!"

— Ja też w sercu mojem uniosę wspomnienie pani.

„Za tryką merynosa..."

— Ale pani o mnie zapomnisz... zniknę jak cień...

„Panu Belotowi, z Notre Dame..."

— Lecz nie... wszak prawda? będę czemś we wspomnieniu pani, w jej życiu?

„Trzoda chlewna, nagroda *ex oequo*: panom Lehérissé i Cullemburg; sześćdziesiąt franków!"

Rudolf ściskał jej rękę i czuł ją ciepłą i drżącą jak złapaną turkawkę, która uciec pragnie; lecz czy to chcąc się uwolnić, czy odpowiadając na ten uścisk, poruszyła palcami, on zawołał:

— O! dzięki ci pani! Nie odpychasz mnie! Jesteś dobrą! pojmujesz że do ciebie należę! Pozwól mi patrzeć na ciebie!

Silniejszy powiew wiatru, wchodząc przez otwarte okno, poruszył kobiercem na stole, a na placu wszystkie czepki wieśniaczek uniosły się jak skrzydła białych motyli.

„Użytek makuch z ziarn oleistych", ciągnął dalej prezes.

I śpiesznie dodał:

„Nawozy flamandzkie, uprawa lnu, — drenowanie, — długoletnie drzierżawy, — służba folwarczna".

Rudolf nic już nie mówił. Patrzyli sobie w oczy. Usta ich spieczone drżały żądzą tajemną i nieznacznie, bez wysiłku, palce ich splotły się wzajemnie.

„Katarzyna Elżbieta Leroux, z Sassetôt, — la Guerrière, za pięćdziesiąt cztery lata nieprzerwanej służby w tym samym folwarku, srebrny medal — wartości dwudziestu pięciu franków!

„Gdzież ona jest, ta Katarzyna Leroux? pytał prezes.

Wezwana nie występowała: słyszano tylko szepty:

— Idźcież!

— Nie pójdę!

— Na lewo!

— Nie bójcie się!

— Ach! jakaż głupia!

— Przyszła nareszcie? zawołał Tuvache.

— Jest, jest!

— Niechże się przybliży!

Natenczas ujrzano występującą na estradę małą staruszkę lękliwego obejścia, która zdawała się kurczyć w swej nędznej odzieży. Miała na nogach grube drewniane saboty i opasana była wielkim niebieskim fartuchem. Twarz jej chuda, otoczona szlarką wiejskiego czepca, była bardziej zmarszcz-

kami pofałdowaną od zwiędłej renetki, a rękawy czerwonego kaftana spadały na długie i kościste jej ręce. Kurz stodół, ług pralni i wydzieliny wełny, taką na nich wytworzyły skorupę, tak je porysowały i wysuszyły, że wydawały się brudnemi chociaż były w czystej wodzie opłukane, a wskutek nie ustannej pracy zawsze były przez pół otwarte, jakby dla dania pokornego świadectwa tylu przebytych cierpień. Jakaś klasztorna surowość podnosiła wyraz jej twarzy. Nic smętnego ani tkliwego nie łagodziło bladego jej spojrzenia. W ciągłem obcowaniu ze zwierzętami, przejęła ich milczącą odrętwiałość. Pierwszy to raz w życiu widziała się w tak licznem towarzystwie; a onieśmielona powiewającymi sztandarami, hukiem bębnów, widokiem panów w mundurach i czarnych frakach, orderu pana radzcy, stała nieruchoma, nie wiedząc sama czy miała postąpić dalej czy uciekać, ani dla czego tłum ją popychał, a przysięgli uśmiechali się dobrotliwie do niej. Tak stało to pół wiekowe służebnictwo, w obec rozpromienionych mieszczan.

— Przybliżcie się, szanowna Katarzyno Elżbieto Leroux! rzekł pan radzca, wziąwszy z rąk prezesa listę laureatów.

A wpatrując się kolejno w arkusz papieru i w twarz starej kobiety, powtarzał dobrotliwie:

— Przybliżcie się, przybliżcie!

— Czyś głucha? rzekł Tuvache podskakując niecierpliwie na swym fotelu.

I krzyknął jej w same ucho.

— Pięćdziesiąt cztery lat służby! Srebrny medal! Dwadzieścia pięć franków! Dla ciebie!

Otrzymawszy wreszcie swój medal, zaczęła mu się przyglądać. Uśmiech zachwytu rozpromienił pergaminową twarz jej i usłyszano jak szeptała odchodząc:

— Dam go naszemu księdzu proboszczowi, żeby na moją intencyę msze odprawiał!

Co za fanatyzm! wykrzyknął aptekarz, pochylając się ku notaryuszowi.

Posiedzenie było skończone; tłum się rozszedł; po odczytaniu wszystkich mów, każdy powracał na swoje miejsce i do swoich zwyczajów: panowie krzyczeli na sługi, a ci bili zwierzęta, bezwiednych tryumfatorów, dążących do obór z zielonymi wieńcami na rogach.

Gwardziści narodowi weszli na pierwsze piętro, merostwa z bułeczkami zatkniętemi na bagnetach, mając na czele batalionowego dobosza, który niósł

kosz butelek. Pani Bovary przyjęła ramię Rudolfa; odprowadził ją do mieszkania; rozłączyli się przy drzwiach, poczem młody człowiek przechadzał się sam po łące, oczekując na zapowiedziany obiad.

Uczta była długa, hałaśliwa, nieporządna, tłoczono się tak, że trudno było łokciem poruszyć, a wązkie deski zastępujące ławki, o mało że się nie połamały pod ciężarem biesiadników. Jedli obficie. Każdy chciał część swoją odjeść. Pot spływał po wszystkich czołach, a biaława para, nakształt mgły nadrzecznej w jesienne poranki unosiła się po nad stołem, pomiędzy zawieszonymi lampionami. Rudolf plecami oparty o namiot, tak był zajęty wspomnieniem Emmy, że nic nie słyszał. Za nim, na trawniku, służba szczękała talerzami; sąsiedzi jego rozprawiali, nie odpowiadał im wcale; napełniano mu kieliszek, a w duszy jego cisza się rozpościerała, pomimo ciągle wzrastającego gwaru. Myślał o tem co mu powiedziała żona lekarza i o kształcie ust jej; twarz młodej kobiety, jak w zwierciadle czarnoksięzkiem, odbijała się w błyszczącej stali kasków; fałdy jej sukni spływały po ścianach i długi peryod miło-

ści rozciągał się w nieskończoność w perspektywie przyszłości jego.

Zobaczył ją znowu wieczorem, podczas puszczania sztucznych ogni; lecz była ze swoim mężem, panią Homais i aptekarzem, który się bardzo niepokoił niebezpieczeństwem chybionych rac i co chwila opuszczał towarzystwo dla zalecania ostrożności Binetowi.

Pojedyncze części fajerwerków, przysłane na ręce pana Tuvache, zamknięte zostały przez zbytek ostrożności do piwnicy; to też proch zwilgotniały nie chciał się wcale zapalać i główna sztuka, która miała przedstawiać smoka gryzącego swój ogon, zupełnie chybiła. Od czasu do czasu wystrzelała biedna świeczka rzymska; natenczas tłum wydawał szalone wrzaski, do których mieszały się krzyki kobiet, zaczepionych przez rozswawoloną młodzież pod zasłoną wieczornych ciemności. Emma w milczeniu tuliła się do ramienia Karola, potem podnosząc głowę, śledziła wzrokiem świetlane smugi rac przerzynających czarny horyzont. Rudolf wpatrywał się w nią przy świetle płonących lampionów.

Powoli światła pogasły. Upadło kilka kropel deszczu. Emma zawiązała chusteczkę na głowę.

W tej chwili najemna kareta pana radzcy wyjechała z bramy oberży. Woźnica pijany, zadrzemał; i widziauo z daleka, pomiędzy dwiema latarniami, grubą masę jego ciała, kołyszącą się odpowiednio do bujania rzemiennych pasów.

— W istocie, rzekł aptekarz, należałoby karcić pijaństwo! Chciałbym, aby każdej niedzieli wystawiano na drzwiach merostwa wypisane imiona tych wszystkich, którzy się w ciągu tygodnia upili spirytusowymi napojami. Zresztą, ze względów statystycznych, byłby to rodzaj jawnych roczników, do których możnaby się uciekać w potrzebie... Ale przepraszam państwa.

I znowu pobiegł do kapitana.

Ten powracał do siebie.

— Możeby nie zawadziło, rzekł mu Homais, żebyś pan posłał którego ze swych ludzi, albo poszedł...

— Dajże mi pan pokój, odparł poborca, kiedy nic niema!

— Bądźcie państwo spokojni, rzekł aptekarz, powróciwszy do swego towarzystwa. Pan Binet upewnił mnie, że wszystkie środki ostrożności były zachowane. Żadna iskra nigdzie nie padła. Pompy są pełne wody. Możemy spać spokojnie.

— Ja też bardzo już snu potrzebuję! rzekła pani Homais, ziewając szeroko, jakkolwiek bądź, piękny mieliśmy dzień na naszą uroczystość.

Rudolf potwierdził półgłosem i z tkliwem spojrzeniem.

— O tak! bardzo piękny!

I pożegnawszy się, poszedł każdy w swoją stronę.

We dwa dni później ukazał się w dzienniku *Fanal de Rouen* długi artykuł o komisyach w Yonville. Homais go ułożył, jednym tchem, pod świeżem wrażeniem:

„Po co te festony, te kwiaty, te wieńce? Dokąd biegł ten tłum różnobarwny, jak fale wzburzonego morza, pod żarem podzwrotnikowego słońca, które promieniami swymi wygrzewa nasze skiby?"

Mówił następnie o stanie naszych włościan. Rząd bezwątpienia robił wiele, ale jeszcze nie dosyć! „Odwagi!" wołał; „tysiączne reformy są niezbędne, dopełniajmy ich!" Dalej, wspominając o przybyciu pana radzcy, nie zapominał o „marsowej postawie naszej milicyi", ani o „naszych powabnych włościankach", ani o „starcach siwowłosych, niby patryarchach, z których kilku, —

szczątki naszych nieśmiertelnych zastępów, — czuło jeszcze silniejsze bicie serca na wojowniczy odgłos bębna". Wymieniał samego siebie w pierwszym rzędzie członków przysięgłych, przypominał nawet w dołączonym przypisku, że pan Homais, aptekarz, doręczył Towarzystwu agronomicznemu broszurkę o jabłeczniku. Doszedłszy do rozdawnictwa nagród, malował radość laureatów w sposób prawdziwie dytyrambiczny. „Ojciec ściskał syna, brat brata, mąż żonę. Nie jeden z dumą pokazywał swój skromny medal i zapewne powróciwszy do siebie, do swojej ukochanej gosposi, zawiesił go ze łzami w oczach na cichych ścianach swej chatki.

„Około szóstej wieczorem, uczta zastawiona na łąkach pana Leigearda, zgromadziła głównych uczestników tej pamiętnej uroczystości. Najszczersza serdeczność towarzyszyła biesiadzie. Wzniesiono kilka toastów: pan Lieuvain pił zdrowie monarchy! pan Tuvache, prefekta! pan Derosrays, wzniósł toast na cześć rolnictwa; pan Homais, na cześć przemysłu i sztuk pięknych, tego nierozdzielnego rodzeństwa; pan Leplichey, na cześć mających się dokonać ulepszeń. Wieczorem świetne ognie sztuczne zajaśniały nagle w powie-

trzu. Był to niby wielki kalejdoskop, prawdziwa dekoracya opery i przez chwilę, mała nasza miejscowość mogła się sądzić przeniesioną w czarodziejską sferę *Tysiąca i jednej nocy*.

„Zaznaczmy, że żaden nieszczęśliwy wypadek nie zakłócił tego rodzinnego zgromadzenia".

Przy końcu, pan Homais dodawał jeszcze:

„Zauważono tylko nieobecność duchowieństwa. Zapewne zakrystye w inny sposób postęp rozumieją. Jak się wam podoba, panowie bractwa Lojoli!"

IX.

Upłynęło sześć tygodni. Rudolf się nie pokazywał. Jednego wieczoru, przyszedł nakoniec.

Powiedział sobie nazajutrz po komisyach:

— Nie śpieszmy się; to byłoby błędem.

Po tygodniu wybrał się na polowanie. Po polowaniu pomyślał, że już za późno; jednak tak sobie wyrozumował:

— Jeżeli mnie od pierwszego dnia pokochała, powinna mnie bardziej jeszcze pokochać przez samą niecierpliwość ujrzenia mnie znowu. Bądźmy więc dobrej myśli!

I zrozumiał że wyrachowanie jego trafnem było, skoro wchodząc do sali ujrzał Emmę bledniącą.

Była sama. Zmrok zapadał. Firanki muślinowe zapuszczone u okien, resztę światła dziennego tłumiły, a złocenia barometru, na które padał ostatni promień słońca, odbijały ognie ich w zwierciedle, pośród załamów kaktusa.

Rudolf stał, Emma zaledwie odpowiadała na pierwsze jego grzeczności.

— Miałem interesa, mówił. Zresztą, byłem chory.

— Ciężko? podchwyciła troskliwie.

— Otóż! rzekł Rudolf siadając obok niej na taburecie, nie!.. nie byłem chory, ale nie chciałem tu przyjść!

— Dla czego?

— Pani się nie domyślasz?

Spojrzał na nią powtórnie, lecz w sposób tak namiętny, że spuściła głowę, rumieniąc się. On wyrzekł:

— Emmo!..

— Panie Boulanger!..

— Ach! widzisz pani, powiedział smętnym głosem, iż miałem słuszność nie chcąc tu przychodzić; gdyż to imię... to imię, które duszę moją

przepełnia i które mi się wymknęło, pani mi go wzbraniasz! Pani Bovary!.. Ależ tak każdy panią nazywa!.. Zresztą, to nie jest nazwisko pani, to nazwisko innego!

Raz jeszcze powtórzył:

— Innego!

I zakrył sobie twarz rękami.

— Tak jest, mówił jeszcze, ja nieustannie myślę o pani! Wspomnienie twoje do rozpaczy mnie przyprowadza! Ach przebacz pani!.. Oddalę się!.. Żegnam panią!.. Pójdę daleko... tak daleko, że pani już więcej o mnie nie usłyszysz!.. A jednakże... dziś... sam nie wiem jaka siła popchnęła mnie tutaj! Bo nie można walczyć z przeznaczeniem, ani się opierać uśmiechom aniołów! to co jest pięknem, czarującem, cudnem, pociągać musi koniecznie!

Pierwszy to raz w życiu Emma słyszała takie rzeczy do siebie zwrócone i zadowolona jej miłość własna lubowała się w dźwiękach tych słów pochlebnych, jak znużone członki w ciepłej wannie.

— Lecz jeżeli tu nie bywałem, mówił dalej, jeżeli nie mogłem widzieć pani, ach! przynajmniej się przypatrywałem wszystkiemu temu co panią otacza. Każdej prawie nocy wstawałem, przycho-

dziłem aż tu, przyglądałem się temu domowi, dachowi, który błyszczał w świetle księżyca, drzewom ogrodu, których gałęzie kołyszą się pod oknami twemi pani i małej lampce, której światełko przez szyby jaśniało. Ach! pani się nie domyślałaś, że tam... blizko ciebie, był nieszczęśliwy...

Emma zwróciła ku niemu oczy zwilżone łzami.

— Jak pan dobrym jesteś! rzekła.

A Rudolf nieznacznie, zsunął się z taburetu na ziemię, lecz w kuchni dało się słyszeć stukanie drewnianych sabotów i spostrzegł, że drzwi sali nie były zamknięte.

— Jak pani byłabyś łaskawą, rzekł powstając, gdybyś zadość chciała uczynić prośbie mojej.

Chodziło o zwiedzenie całego domu; pragnął go poznać po szczególe, a gdy pani Bovary nic przeciwko temu nie miała, powstali oboje, gdy w tem nadszedł Karol.

— Dobry wieczór, panie doktorze, powitał go Rudolf.

Lekarz, nieprzyzwyczajony do tego tytułu, przyjął gościa z najuniżeńszą grzecznością, z czego tamten skorzystał, żeby trochę oprzytomnieć.

— Pani właśnie mówiła mi o swem zdrowiu... rzekł śmiało.

Karol przerwał mu: był o nią w rzeczy samej bardzo niespokojny; często znowu duszność cierpiała. Rudolf nadmienił czyby konna przejażdżka nie była w takim razie skuteczną.

— Zapewne! zapewne... wyborna myśl? powinnabyś sprobować.

A gdy Emma zrobiła uwagę, że niema wierzchowca, Rudolf ofiarował swego; ona podziękowała; on więcej nie nalegał, a dla upozorowania swych odwiedzin, oświadczył że parobek jego — ów, któremu krew puszczano, cierpiał jeszcze zawrót głowy.

— Wstąpię tam, rzekł Bovary.

— Nie, nie, ja go panu przyślę; przyjdziemy sami; to będzie dla pana dogodniej.

— A! to i owszem. Dziękuję panu.

A gdy zostali sami, Karol rzekł do żony:

— Dla czego nie przyjęłaś uprzejmej ofiary pana Boulanger?

Ona zrobiła minkę zadąsaną, wynajdywała różne powody, wreszcie oświadczyła, że to może *wyglądałoby niestosownie.*

— Ach! ja sobie z tego żartuję! rzekł Karol wykręcając się na pięcie. Zdrowie przedewszystkiem. Niemasz słuszności!

— Zresztą, jakże chcesz żebym jeździła konno, kiedy niemam amazonki?

— Każ sobie zrobić! odpowiedział.

Amazonka zwalczyła skrupuły młodej kobiety.

Gdy strój był gotowy, Karol napisał do pana Boulanger, oświadczając mu, że żona jego gotową jest do konnej przejażdżki i że liczy na jego, pana Boulanger, uprzejmość.

Nazajutrz, w samo południe, Rudolf stanął przed domem Karola z dwoma pięknymi wierzchowcami. Jeden z nich miał różowe kokardy przy uszach i dźwigał kobiece siodło z danielej skóry.

Rudolf włożył długie palone buty, myśląc że zapewne nigdy jeszcze takich nie widziała, w istocie, Emma zachwyconą została jego postawą, gdy stanął przed sienią w aksamitnej kurtce i białych trykotach. Była gotową i czekała na niego.

Justyn wybiegł z apteki żeby ją zobaczyć; sam pan aptekarz na próg wyszedł. Dawał przestrogi panu Boulanger.

— O nieszczęście nie trudno! Bądźcie państwo ostrożni! Konie może są bystre!

Emma usłyszała hałas nad głową: to Felicya bębniła w szyby dla zabawienia małej Berty. Dziewczynka przesłała jej od ust pocałowanie; matka nań odpowiedziała kiwnięciem szpicruty.

— Wesołej przejażdżki! zawołał pan Homais. A nadewszystko, ostrożnie! ostrożnie!

I dziennikiem w ręku trzymanym przesłał im ostatnie pożegnanie.

Koń Emmy puścił się zaraz kłusem. Rudolf jechał obok niej. Od czasu do czasu kilka słów z sobą zamienili. Z głową nieco pochyloną, ręką podniesioną i prawem ramieniem w łuk zgiętem, Emma poddawała się miarowym ruchom kołyszącym ją na siodle.

U stóp wzgórza Rudolf puścił cugle, popędzili razem i zatrzymali się dopiero na szczycie pagórka.

Było to w pierwszych dniach października. Mgła unosiła się nad polami. Lekkie pary gromadziły się na krańcach widnokręgu, pośród zarysów pagórków; miejscami rozdarte wzbijały się w górę i nikły zupełnie. Czasem promień słońca, z za chmur wyglądając, ukazywał z daleka dachy Yonville, wraz z ogrodami nad wodą, murami

i dzwonnicą kościoła. Emma przymrużała powieki, żeby rozpoznać swój dom i nigdy nędzna mieścina, w której życie pędziła, tak małą jej się nie wydała. Z wysokości, na jakiej się znajdowali, cała dolina wyglądała jak ogromne blade jezioro, parujące w powietrze. Kępy drzew występowały miejsami jak czarne skały; a wysokie szeregi topoli wystające po nad mgłę, przedstawiały niby nadbrzeżne skały wiatrem poruszane.

Z boku, na łące, przyćmiony blask napełniał letnią atmosferę. Ziemia, żółtawa jak sproszkowany tytoń, tłumiła stąpanie koni, które potrącały podkowami spadłe szyszki sosnowe.

Rudolf i Emma jechali skrajem lasu. Ona się od czasu do czasu odwracała unikając jego spojrzenia i wtedy widziała tylko szereg pni sosnowych, których jednostajność wzrok jej męczyła. Konie sapały. Skóra na siodłach skrzypiała.

W chwili kiedy do lasu wjeżdżali, słońce w całym blasku zajaśniało.

— Niebo nam sprzyja, rzekł Rudolf.

— Tak pan sądzisz? odparła.

— Jedźmy dalej, jedźmy! dodał.

Cmoknął językiem. Wierzchowce żwawo popędziły.

Rozwlekłe paprocie zaczepiały się o strzemię Emmy. Rudolf jadąc obok niej schylał się i odczepiał je. Czasem, aby odsunąć gałęzie, tuż przy niej przejeżdżał i Emma czuła jak kolano jego ocierało się o jej nogę. Niebo jaśniało czystym błękitem. Najlżejszy wietrzyk liśćmi nie poruszał. Były tam wielkie przestrzenie kwitnącego wrzosu, całe pokłady jesiennych fijołków odbijały od gąszczu liści, które były szare, żółtawe lub czerwonawe, stosownie do gatunku drzew. Czasem dawało się słyszeć pomiędzy krzakami lekkie trzepotanie skrzydeł, lub ostry krzyk kruków odlatujących w dębinę.

Zsiedli z koni. Rudolf uwiązał obadwa wierzchowce. Emma postępowała naprzód, po mchu, pomiędzy wyjeżdżonemi kolejami.

Lecz suknia za długa przeszkadzała jej, chociaż trzymała tren jej podniesiony, a Rudolf idąc za nią wpatrywał się w białą pończoszkę, która migała pomiędzy czarnem suknem amazonki, a lakierowaną skórą bucika.

Emma stanęła.

— Zmęczona jestem, rzekła.

— Jeszcze trochę! sprobuj pani! odpowiedział. Śmiało!

O sto kroków dalej zatrzymała się znowu; za niebieską woalką, która z męzkiego jej kapelusza spadała ukośnie aż na biodra, twarz jej wydawała się jak gdyby w przezroczu fal lazurowych.

— Dokądże idziemy? zapytała.

On nic nie odpowiedział. Emma z ciężkością oddychała. Rudolf oglądał się wokoło siebie i przygryzał wąsy.

Tak doszli do miejsca przestronniejszego, gdzie robiono wręby. Usiedli na obalonym pniu drzewa i Rudolf zaczął mówić o swej miłości.

Emma słuchała go ze spuszczoną głową, poruszając nogą wióry ziemię zaścielające.

Lecz gdy powiedział:

— Czyliż losy nasze nie są odtąd wspólnymi?

— O nie! odrzekła. Pan wiesz o tem dobrze. To jest niepodobieństwem.

I powstała chcąc odejść. On pochwycił ją za rękę. Stanęła. Potem wpatrzywszy się przez długą chwilę w niego wilgotnem i romansowem okiem rzekła z żywością:

— Ach! nie mówmy już o tem... Gdzie są konie? Wracajmy do domu!

Rudolf zrobił gniewne poruszenie zniecierpliwienia. Ona powtórzyła:

— Gdzie są konie? gdzie są konie?

Natenczas on, uśmiechając się dziwnie ze ściśniętymi zębami i wytężoną źrenicą, postąpił ku niej wyciągając ramiona. Ona cofnęła się cała drżąca. Wyjąkała:

— O! pan mnie przestraszasz! pan mi przykrość wyrządzasz. Jedźmy do domu!

— Jedźmyż kiedy tak być musi, rzekł zmieniając nagle wyraz twarzy.

I stał się zaraz pełnym uszanowania, nieśmiałym, pieszczotliwym. Podał jej ramię. Przyjęła i poszli razem. Mówił:

— Co pani się zrobiło? Ja nic zrozumieć nie mogłem. Pani się zapewne mylisz co do moich uczuć. Pani w sercu mojem jesteś jak Madona na piedestale wysokim; silnym i niepokalanym. Lecz ja żyć bez ciebie nie mogę! Potrzebuję twych oczu, twego głosu, twej duszy! Bądź pani przyjaciołką moją, siostrą, aniołem moim!

I ramieniem kibić jej obejmował. Ona probowała uwolnić się z tego objęcia. Tak szli obok siebie.

W tem usłyszeli stąpanie koni, które obgryzały liście.

— O jeszcze nie! rzekł Rudolf. Nie odjeżdżajmy jeszcze. Zostań pani!

Pociągnął ją dalej, ku małej sadzawce, gdzie wodne rośliny zielenią wodę pokrywały. Powiędłe lilie tkwiły nieruchomie pomiędzy trzciną. Na odgłos ich kroków, żaby wskakiwały do wody.

— Ja źle robię, źle robię, mówiła Emma. Szaloną jestem, że słucham słów pańskich.

— Dla czego?... Emmo! ukochana Emmo!...

— O!... Rudolfie!... wyrzekła przeciągle młoda kobieta, pochylając się na jego ramię.

Sukno amazonki zaczepiało się o aksamit kurtki. Przechyliła białą szyję, wydętą westchnieniem, i, zalana łzami, przez pół omdlała, twarz sobie zasłaniając... oddała się.

Wieczorne cienie zapadać zaczynały, promienie słońca padając ukośnie, w oczy ją raziły. Tu i owdzie na ziemi, pomiędzy liśćmi zeschłymi, drżały świetlane plamki, jak gdyby przelatujące kolibry piórka swoje rozsypały. Milczenie panowało wokoło, jakaś woń miękka zdawała się z drzew wydzielać. Emma czuła krew krążącą w żyłach nakształt mlecznej rzeki. I z daleka usłyszała, z po za gąszczu leśnego, krzyk jakiś

przeciągły, i niewyraźny i słuchała go w milczeniu, jak się łączył niby oddalona muzyka z ostatniemi drganiami jej poruszonych uczuć. Rudolf, z cygarem w ustach, naprawiał scyzorykiem jeden z zerwanych lejców.

Powrócili tą samą drogą do Yonville. Na błotnistej ścieżce zobaczyli ślady podków swoich koni, te same kamyki w trawie. Nic się wokoło nich nie zmieniło, dla niej wszakże, stało się cóś ważniejszego niż gdyby góry się były na inne miejsce przeniosły. Rudolf od czasu do czasu pochylał się ku niej i brał jej rękę do pocałowania.

Ślicznie wyglądała na koniu! Prosta jak trzcina i wysmukła, zarumieniona świeżem powietrzem, w różowym brzasku wieczornym.

Wjeżdżając do Yonville, zatoczyła koniem na bruku. Przyglądano jej się z okien.

Mąż, przy obiedzie, znajdował iż dobrze wyglądała; lecz ona nie zdawała się słyszeć gdy zapytał jak jej się powiodła przejażdżka; siedziała z łokciem o brzeg talerza opartym, pomiędzy dwiema świecami.

— Emmo! rzekł Karol.

— Czego chcesz?

— Otóż powiem ci, że wstąpiłem dziś po południu do pana Aleksandra; ma on nie młodą ale bardzo jeszcze piękną klacz, trochę tylko ochwaconą, którą możnaby dostać za jakie sto talarów.

I dodał:

— Myśląc, że to ci sprawi przyjemność, zamówiłem ją... kupiłem nawet. Czy dobrze zrobiłem? Powiedz Emmo.

Ona kiwnęła głową na znak potwierdzenia; a po chwili zapytała:

— Czy wychodzisz dziś wieczór?

— Wyjdę. Dla czego się pytasz?

— O! tak tylko, mój drogi.

A pozbywszy się Karola, pobiegła zamknąć się w swoim pokoju.

Zrazu czuła się jakby odurzoną; widziała krążące przed sobą drzewa, drogę, rowy, krzaki i Rudolfa, czuła jeszcze uścisk jego, podczas gdy liście szumiały a trzciny przeciągły jęk wydawały.

Spojrzawszy w zwierciadło, zadziwiła się własnej twarzy. Nigdy nie miała tak wielkich, tak czarnych i głębokich oczu. Cóś niedoścignionego a subtelnego po całej osobie jej rozlanego, przemieniło ją zupełnie.

Powtarzała sobie: „Mam kochanka!.. kochanka!" lubując się tą myślą, jak gdyby nowem jakiemś dostojeństwem. Posiędzie więc nakoniec te rozkosze miłości, tę gorączkę szczęścia, o której już była zwątpiła. Wstępowała w jakąś cudowną fazę życia, w której wszystko miało być zachwytem, upojeniem, namiętnością; otaczała ją lazurowa nieskończoność, niedościgłe wyżyny uczucia jaśniały przed oczyma duszy jej, a życie codzienne przedstawiało jej się gdzieś daleko, w cieniu, w przerwach pomiędzy temi wyżynami.

Natenczas przypominała sobie bohaterki czytanych romansów i cały liryczny zastęp cudzołożnych kobiet zaśpiewał w pamięci jej głosami pokrewnymi, które ją zachwycały. Stawała się sama niby żyjącą częścią tych rojeń i urzeczywistniała długie marzenia swej młodości, widząc w samej sobie typ kochanki, którego tak zazdrościła. Nadto, Emma doznawała przyjemnego uczucia zadowolonej zemsty. Czyliż nie dosyć wycierpiała? Teraz za to tryumfowała, a miłość, tak długo tłumiona, wybuchała w całej pełni z radosnem wrzeniem. Poiła się też nią bez wyrzutów sumienia, bez niepokoju, bez trwogi.

Dzień następny nowe przyniósł słodycze. Złożyli sobie wzajemnie przysięgi. Ona mu opowiadała swoje smutki dawniejsze. On przerywał jej pocałunkami, a ona wpatrując się w niego na wpół przymrużonemi oczyma, prosiła aby ją nazwał jeszcze po imieniu i powtórzył że ją kocha. Było to w lesie, tak jak dnia poprzedniego, pod szałasem drwali. Ściany szałasu były ze słomy, a dach schodził tak nizko, że nie można się było w nim wyprostować. Siedzieli obok siebie, na posłaniu z suchych liści.

Od tego dnia pisywali do siebie co wieczór. Emma list swój zanosiła na koniec ogrodu, nad rzekę i kładła go w szparę tarasu. Rudolf przychodził po niego i zastępował innym, który dla niej zawsze był za krótkim.

Jednego rana, kiedy Karol wyszedł z domu przed świtem, przyszła jej chęć zobaczenia natychmiast Rudolfa. Można było pobiedz do la Huchete, zabawić tam godzinkę i powrócić do Yonville zaczemby wszyscy powstawali. Myśl ta rozpłomieniła ją, niebawem znalazła się pośrodku łąki i biegła śpiesznie po rosie, nie oglądając się za siebie.

Dnieć zaczynało. Emma rozpoznawała z daleka dom swego kochanka, którego wieżyczki w kształcie jaskółczego ogona rysowały się czarno na bladem tle porannego świtania.

Za folwarcznem podwórzem znajdował się korpus budynku, który musiał być zamkiem. Weszła tam, jak gdyby ściany same przed nią się otwierały. Szerokie wschody prowadziły do kurytarza. Emma otworzyła drzwi z klamki i w głębi pokoju ujrzała śpiącego mężczyznę. Był to Rudolf. Krzyknęła radośnie.

— To ty Emmo! To ty Emmo! powtarzał zdumiony. Jakżeś tu przyszła?.. Ach! jakżeś się zarosiła!

— Kocham cię! odpowiedziała, zarzucając mu na szyję ramiona.

Gdy jej się to pierwsze zuchwalstwo udało, odtąd ile razy Karol wcześnie wychodził, Emma prędko się ubierała i po cichutku zbiegała ze wschodków prowadzących na brzeg wody.

Kiedy jednak zdjętą była kładka, musiała iść pod murami wzdłuż brzegu rzeki, wybrzeże było ślizkie; żeby nie upaść, chwytała się rękami za łodygi zeschłych roślin. Potem szła przez zorane pola; potykała się o kamienie, nogi jej grzęzły

w spulchnioną ziemię, która oblepiała cienkie jej buciki. Wiatr powiewał fularem, który miała zawiązany na głowie; bała się wołów, przyśpieszała kroku i przybywała do la Huchette zadyszana, zarumieniona, cała przesiąkła świeżą jakąś wonią zieleni i czystego powietrza. Rudolf spał jeszcze o tej godzinie. Był to niby wiosenny poranek do pokoju jego wchodzący.

Okna zasłonięte żółtemi firankami przepuszczały przyćmione płowe światło. Emma postępowała lekkim krokiem przymrużając oczy, podczas gdy krople rosy do włosów jej uczepione tworzyły niby aureolę z topazów wokoło jej twarzy. Rudolf śmiejąc się, przyciągał ją do siebie i przytulał do serca swego.

Potem oglądała pokój kochanka, wyciągała wszystkie szufladki, czesała się jego grzebieniem i przeglądała się w jego lusterku od golenia. Często nawet brała w zęby cybuch wielkiej fajki, która leżała na nocnym stoliku, pomiędzy cytrynami i kawałkami cukru, obok karafki z wodą.

Pożegnania trwały najmniej kwadrans czasu. Emma zwykle płakała; byłaby chciała nigdy nie opuszczać Rudolfa. Jakaś nieprzeparta siła popychała ją ku niemu, tak że jednego dnia, ujrzawszy

ją przybywającą niespodzianie, zmarszczył brwi, jak gdyby był z tego niezadowolony.

— Co ci jest? zapytała. Czyś cierpiący? Powiedz mi!

Wreszcie oświadczył jej bez ogródki, że wycieczki jej stawały się zbyt częstemi i że się *kompromitowała*.

X.

Powoli sama zaczęła podzielać obawy Rudolfa. Z początku czuła się upojona miłością i o niczem więcej nie myślała. Teraz jednak, gdy miłość ta stała się niezbędną dla jej życia, lękała się aby z niej nic nie uronić, aby nawet zakłóconą nie została. Gdy powracała od kochanka, rzucała trwożne spojrzenia w około siebie, śledząc niespokojnie każdą postać, która się przesuwała po widnokręgu i każde okienko, z którego mogła być dostrzeżoną. Słuchała odgłosu kroków, nawoływania oraczy, szmeru pługów i stawała blada i drżąca jak zżółkłe liście topoli szeleszczące nad jej głową.

Jednego rana, gdy tak do domu śpieszyła, zdało jej się że spostrzega długą lufę strzelby na siebie

wycelowaną, wystającą po nad brzeg beczułki przez pół ukrytej w trawie, nad samym rowem. Emma zdrętwiała prawie ze strachu, postąpiła jednak dalej, a wtem z beczki ukazał się mężczyzna, tak jak owe figurki, które nagle wyskakują z dna pudełek. Miał kamasze pozapinane do samych kolan, czapkę naciśniętą na uszy, nos czerwony i wargi drżące z zimna. Był to kapitan Binet, czatujący na dzikie kaczki.

— Czemuż się pani z daleka nie odezwałaś! wykrzyknął. Kiedy się zobaczy strzelbę, to zawsze należy ostrzedz.

Poborca usiłował tym sposobem ukryć własną obawę, gdyż z uwagi że rozporządzenie prefektoralne zakazywało polować na kaczki inaczej jak z czółna, pan Binet pomimo całego swego poszanowania dla prawa, był z niem w niezgodzie. To też każdej chwili obawiał się ukazania strażnika polnego, chociaż z drugiej strony ten niepokój dodawał pieprzyku jego przyjemności i sam w swej beczce, winszował sobie swego powodzenia i dowcipu.

Poznawszy Emmę, ochłonął z wielkiego strachu i rzekł zaraz rozpoczynając rozmowę:

— Nie bardzo ciepło, aż *szczypie!*

Emma nic nie odpowiedziała. Poborca mówił dalej:

— I pani tak rano się wybrała?

— Tak jest, odrzekła jąkając się, powracam od mamki gdzie umieszczone moje dziecko.

— A! bardzo pięknie! bardzo pięknie! Ja zaś tak jak mnie pani widzisz, od świtu jestem tu; lecz powietrze tak jest mgliste, że trzebaby mieć pióra na końcu...

— Żegnam pana! przerwała mu Emma, idąc dalej w swoją drogę.

— Najniższy sługa pani dobrodziejki! odparł sucho.

I powrócił do swej beczki.

Emma zaraz pożałowała że tak niegrzecznie pożegnała poborcę. Będzie zapewne robił niekorzystne dla niej wnioski. Powieść o mamce była najniewłaściwszą w świecie, gdyż całe Yonville wiedziało, że mała Bovary od roku już powróciła do rodziców. Zresztą, nikt nie mieszkał w pobliżu miasteczka, ta droga prowadziła tylko do la Huchette; Binet zatem mógł się domyśleć zkąd powracała i nie będzie milczał, rozgada o tem wszędzie, to rzecz pewna! Do samego wieczora Emma wysilała umysł na wynalezienie jakiego prawdo-

podobnego kłamstwa, mając ciągle przed oczyma niefortunnego myśliwca.

Po obiedzie, Karol widząc ją zamyśloną, zaprowadził do państwa Homais, aby się rozerwała; pierwszą osobę, którą ujrzała wchodząc do apteki, był znowu on, poborca! Stał przed kantorem, oświecony blaskiem czerwonej bani i mówił:

— Proszę o pół uncyi witryoleju.

— Justynie! zawołał aptekarz, przynieś tu kwas siarczany.

Potem dodał, zwracając się do Emmy, która chciała pójść na górę do pokoju pani Homais:

— Nie, nie, niech się pani nie trudzi, moja żona zaraz przyjdzie. Niech się pani tymczasem ugrzeje przy piecu... za pozwoleniem... Dobry wieczór, doktorze (aptekarz lubił wymawiać ten wyraz, jak gdyby nawet zwrócony do drugiej osoby część blasku swego zlewał na niego)... Uważaj tylko żebyś nie poprzewracał moździerzy!.. przynieś lepiej krzesełka z małej salki; wiesz przecie, że nie wolno ruszać foteli z salonu:

I Homais zerwał się, żeby odnieść na miejsce nietykalny fotel, gdy Binet zażądał jeszcze pół uncyi kwasu cukrzanego.

— Kwasu cukrzanego? powtórzył wzgardliwie aptekarz. Nie znam tego! Pan chcesz może kwasu cytrynowego? Cytrynowego, nieprawdaż?

Binet objaśnił, że potrzebował jakiego płynu ostrego dla przyrządzenia *miedzianej wody* do czyszczenia myśliwskich przyborów. Emma zadrżała. Aptekarz powiedział:

— W istocie, pogoda nie sprzyja, z powodu wilgoci.

— Jednakże, odparł poborca z lekkim odcieniem ironii, są osoby, którym to nie przeszkadza.

Emma dusiła się.

— Daj mi pan jeszcze...

— Kiedyż on raz sobie pójdzie! myślała.

— Pół uncyi olejku terpentynowego, cztery uncye żółtego wosku i półtorej uncyi kości zwęglonych, jeżeli łaska, do wyczyszczenia lakierowanej skóry moich przyrządów.

Aptekarz zaczynał kruszyć wosk, gdy pani ukazała się z Ireną na rękach, Napoleonem obok siebie i Atalią z tyłu. Usiadła na ławeczce pod oknem, utrechtem pokrytej, chłopczyk wlazł na taburet, podczas gdy siostrzyczka jego kręciła się koło pudła ze ślazowem ciastem, przy swoim tatuniu. Ten zaś napełniał lejki, korkował flaszki,

przylepiał etykietki, robił paczki. Nie przeszkadzano mu; od czasu do czasu tylko słychać było dźwięk mosiężnych ciężarków na wagach i kilka słów półgłosem wymówionych przez aptekarza dającego polecenia swemu uczniowi.

— Jakże się ma córeczka pani? zapytała z nienacka pani Homais.

— Cicho tam; krzykął mąż jej piszący rachunek w brulionowej książce.

— Dla czego jej pani z sobą nie przyprowadziła? rzekła jeszcze półgłosem pani Homais.

— Sza! sza! ozwała się Emma wskazując palcem na aptekarza.

Lecz Binet, cały zajęty rachunkiem, który miał zapłacić, zapewne nic nie słyszał. Nakoniec wyszedł z apteki. Emma pozbywszy się poborcy, głęboko westchnęła.

— Jak pani ciężko oddycha! rzekła pani Homais.

— Ach! bo tu trochę duszno! odpowiedziała.

Kochankowie tedy zaraz nazajutrz pomyśleli o urządzeniu sobie schadzek; Emma chciała przekupić swoją sługę podarkiem; lecz bezpieczniej było wynaleźć w Yonville jakie tajemnicze ustronie. Rudolf przyrzekł się tem zająć.

Przez całą zimę, najmniej trzy razy w tydzień przychodził Rudolf do ogrodu. Emma umyślnie wyjęła klucz z baryerki, Karol myślał że go zgubiono.

Aby ją uprzedzić, Rudolf rzucał garść piasku w zazdrostki. Ona zrywała się natychmiast; lecz czasem musiała czekać, bo Karol lubił gawędzić przy kominku. Niecierpliwość ją pożerała, gdyby oczy jej miały tę władzę, byłyby go pewnie przez okno wyrzuciły. Wreszcie zaczynała się rozbierać; potem brała książkę i czytała najspokojniej w świecie, jak gdyby ją czytanie zajmowało. Tymczasem Karol, położywszy się do łóżka, wołał na nią żeby szła spać.

— Chodźże Emmo, mówił, już późno.

— Zaraz idę! odpowiadała.

Ponieważ go światło raziło, obracał się do ściany i zasypiał. Natenczas ona wymykała się dech wstrzymując, uśmiechnięta, drżąca, na wpół rozebrana,

Rudolf miał na sobie obszerny płaszcz; otulał ją nim całą i objąwszy jej kibić, pociągał w milczeniu w głąb ogrodu.

Siadali w altance, na tej samej ławeczce ze spruchniałych żerdzi, gdzie kiedyś Leon tak mi-

łośnie na nią spoglądał podczas cichych letnich wieczorów. Nie myślała już o nim teraz.

Gwiazdy błyszczały przez gałęzie ogołoconego z liści jaśminu. Słyszeli za sobą szmer płynącej rzeki i od czasu do czasu trzeszczenie suchych trzcin na wybrzeżu. Ciemne masy wyłaniały się tu i owdzie z nocnych cieni; niekiedy mocniejszym podmuchem wiatru poruszone, pochylały się i prostowały jak olbrzymie czarne fale. Nocnym chłodem przejęci, mocniej się tulili do siebie, westchnienia wydawały im się głębsze, oczy, które zaledwie dojrzeć mogli, wydawały im się większemi, a pośród ciszy dokoła panującej, niektóre wyszeptane wyrazy padały im na serce z krystalicznym dźwiękiem i odbijały się w niem w tysiącznych drganiach.

Gdy noc była dżdżysta, chronili się do gabinetu konsultacyjnego, pomiędzy szopą a stajnią. Emma zapalała jeden z kuchennych kagańców, który stawiała za książkami. Rudolf zasiadał tam jak u siebie. Rozśmieszał go widok biblioteki, biurka, całego tego pokoju wreszcie; pozwalał sobie z Karola tysiącznych żartów, które nieprzyjemne robiły na Emmie wrażenie. Byłaby wolała widzieć go poważniejszym, a nawet w danym ra-

zie dramatyczniejszym, jak naprzykład wtenczas, kiedy jej zdało się, że słyszy w ulicy odgłos zbliżających się kroków.

— Ktoś idzie! rzekła.

Rudolf zdmuchnął światło.

— Czy masz pistolety? zapytała.

— Po co?

— Ależ.... dla twojej obrony, odparła Emma.

— Czy od twojego męża? Biedaczysko!..

I Rudolf dokończył zdania ruchem, który miał znaczyć: „Zgniótłbym go jednym palcem!"

Emma zdumioną została jego walecznością, chociaż odczuła w niej pewien brak delikatności i rodzaj naiwnego brutalstwa, który ją zgorszył.

Ten ustęp o pistoletach, dał wiele do myślenia Rudolfowi. Jeżeli mówiła na seryo, to było śmiesznem, nawet ohydnem, myślał, gdyż on ze swej strony, niemiał żadnego powodu nienawidzenia tego poczciwego Karola, nie będąc właściwie *pożeranym zazdrością*, — a pod tym względem Emma złożyła mu dobrowolnie wielką przysięgę, której także nie znajdował w dobrym guście.

Zresztą, zaczynała się stawać ckliwie sentymentalną. Trzeba było zamienić miniatury, ucięto sobie włosów na pamiątkę, a teraz zachciało jej

się pierścionka, prawdziwej obrączki ślubnej, na znak wieczystego związku. Często mu prawiła o wieczornych dzwonach lub o *głosach natury;* potem rozmawiała z nim o swojej i o jego matce. Rudolf stracił swoją przed dwudziestoma laty. Emma wszakże, pocieszała go pieszczoną mową, jak gdyby był osieroconym malcem. Raz mu nawet powiedziała, wpatrując się w księżyc:

— Pewną jestem, że one tam z wysokości cieszą się z miłości naszej.

Ale tak ładną była! Mało ich posiadał tak szczerze naiwnych! Ta miłość bez rozwiązłości była dla niego czemś nowem, co wyprowadzając go z jego zwyczajów, pochlebiało zarazem jego miłości własnej i zmysłowości. Egzaltacya Emmy, z której szydził jego prozaiczny rozsądek, w duszy go zachwycała, dla tego, że do jego osoby zwróconą była. Pewny, że jest kochanym, przestał się krępować i obejście jego zmieniło się nieznacznie.

Nie znajdował już, jak dawniej, tych słów pieszczotliwych, które do łez ją poruszały, ani tych pieszczot gwałtownych, które ją do szału doprowadzały, tak że wielka ta miłość, w jakiej żyła

pogrążona, zdała się uciekać z pod niej, jak woda w rzece, któraby wsiąkała w swoje łożysko i muł na dnie jej dostrzegła. Zrazu uwierzyć temu nie chciała; podwoiła czułości, a Rudolf coraz mniej zobojętnienie swoje ukrywał.

Sama już nie wiedziała, czy żałuje, że mu uległa, czy też przeciwnie, pragnie więcej go jeszcze kochać. Upokorzenie, wywołane uczuciem własnej słabości, zamieniało się w urazę, którą łagodziła rozkosz. Nie było to już przywiązanie, ale raczej ciągłe uwodzenie. On miał nad nią władzę nieograniczoną. Bała go się prawie.

Na pozór jednak wszystko było spokojniej niż kiedykolwiek, gdy Rudolf cudzołożny swój stosunek potrafił według swego upodobania prowadzić i po upływie sześciu miesięcy, gdy nadeszła wiosna, znajdowali się względem siebie w położeniu dwojga małżonków spokojnie domowy płomień żywiących.

O tej porze ojciec Rouault zwykł był przysyłać swego indyka, na pamiątkę uleczonej nogi. Podarunkowi towarzyszył zawsze list. Emma odcięła szpagat, którym przywiązany był do koszyka i przeczytała co następuje:

„Moje drogie dziecię!

„Spodziewam się, że list mój w dobrem was zastanie zdrowiu i że dołączony ptaszek wart będzie poprzednich; bo mi się zdaje być jeszcze tłuściejszym i, że tak powiem, mięsistszym. Na przyszły rok, przyślę wam dla odmiany kapłona, a odeślejcież mi kosz, razem z dwoma dawniejszymi. Miałem wypadek z moją wozówką, której dach uleciał pomiędzy drzewa jednej nocy, kiedy wiatr dął silny. Zbiory także nie bardzo świetnie wypadły. Wreszcie, nie wiem kiedy będę mógł was odwiedzić. Tak mi teraz trudno z domu się oddalić, odkąd sam zostałem, kochana moja Emmo!

Tu była przerwa w wierszach, jak gdyby poczciwiec złożył był pióro dla podumania przez chwilę.

„Co do mnie, zdrów jestem, dzięki Bogu, mam tylko katar, który nabyłem w tych dniach na jarmarku w Yvetôt, dokąd poszedłem dla zgodzenia nowego pastucha, odprawiłem bowiem mojego, z powodu zbytniej wybredności jego. Ileż to człowiek nadręczyć się musi z tymi łotrami! Zresztą, był to chłopak nieuczciwy.

„Dowiedziałem się od wędrownego kramarza, który przechodząc tej zimy przez waszą okolicę, kazał sobie ząb wyrwać, że Bovary, ciągle pracuje.

Nie dziwi mnie to; kramarz pokazał mi swój ząb i poczęstowałem go kawą. Pytałem go czy ciebie widział? odpowiedział mi że nie; ale że widział w stajni dwa konie, z czego wniosłem, że praktyka dobrze idzie. Tem lepiej, moje drogie dzieci, niech wam Bóg zsyła wszelkie możliwe pomyślności.

„Przykro mi, że dotąd jeszcze niemam szczęścia znać mojej ukochanej wnuczki, Berty Bovary. Zasadziłem dla niej, w ogrodzie, tuż pod oknem twego pokoju, śliwkowe drzewka i nie pozwolę z niego ruszać owocu, aż później na kompoty dla niej, które chować będę w szafie, aż do jej przyjazdu.

„Bądźcie mi zdrowi, kochani moi. Całuję cię serdecznie, droga córko moja i ciebie także, mój zięciu, malutką, w obadwa policzki.

„Wasz na zawsze przywiązany ojciec

„Teodor Rouault."

Emma przez kilka minut trzymała w ręku ten gruby papier. Pełno tam było błędów pisowni, a w duszy jej ozwała się z pośród nich słodka nuta, która świergotała jak kurka ukryta w ciemniowym płocie. Pismo zasypywane było popiołem z kominka, gdyż nieco szarego pyłu spadło z listu

na jej suknię i zdało jej się niemal, że widzi swego ojca schylającego się po szczypce. Ileż to czasu upłynęło odkąd nie jest już przy nim, kiedy siedząc na drewnianym stołeczku przy kominku, bawiła się upalaniem końca długiego kija przy wielkim płomieniu trzaskających trzcin wodnych!.. Stanęły jej w pamięci letnie wieczory pełne światła i woni. Źrebięta rżały, kiedy obok nich przechodzono i brykały, a brykały!.. Pod oknem jej był ul; nieraz pszczoły krążąc w promieniach słońca uderzały o szyby jak złote kulki. Jak szczęśliwą była wtenczas! jak swobodną! jak pełną nadziei! ileż słodkich marzeń roiła! Dziś nic z tych złudzeń nie pozostawało, rozwiały się wszystkie! Potraciła je w różnych przygodach duszy swojej, w kolejnych fazach życia swego, w dzieciństwie, małżeństwie i miłości,—gubiąc je tak jak podróżny, który zostawia cząstkę swych bogactw w każdej oberży na drodze.

Ale któż ją tak nieszczęśliwą uczynił? jakaż nadzwyczajna katastrofa tak nią wstrząsnęła? I podniosła głowę, rozglądając się w około siebie, jak gdyby chciała znaleźć przyczynę wszystkich cierpień swoich.

Promień kwietniowego słońca połyskiwał na porcelanach etażerki, ogień płonął wesoło, pod nogami czuła delikatną miękkość kobierca; dzień był jasny, powietrze ciepłe, uszu jej dochodziły srebrzyste śmiechy małej Berty.

W istocie, dziewczynka igrała na trawniku, pomiędzy sianem, które przetrząsano. Położyła się na brzuszku, na kopczyku siana. Felicya trzymała ją za sukienkę. Lestiboudois grabił wokoło niej, a ile razy się przybliżył, klaskała w rączki z radosnym okrzykiem.

— Przyprowadź ją tu do mnie! zawołała Emma, rzucając się ku dziecięciu, aby go uściskać. Jak ja ciebie kocham, biedna moja dziecino! jak ja ciebie kocham!

A spostrzegłszy że miała uszki trochę brudne, kazała zaraz przynieść ciepłej wody, mydła, umyła ją, zmieniła jej bieliznę, pończoszki, zadawała słudze tysiączne pytania co do jej zdrowia, jak gdyby po powrocie z podróży, wreszcie ucałowawszy ją raz jeszcze i popłakawszy nawet trochę, oddała ją w ręce Felicyi, wielce zdumionej tym wybuchem nadzwyczajnej czułości.

Wieczorem tego samego dnia, Rudolf znalazł ją poważniejszą niż zwykle.

— To przejdzie, pomyślał. To kaprys kobiecy.

I opuścił trzy schadzki z kolei.

Gdy znowu przyszedł, okazała się oziębłą i niemal wzgardliwą.

— O! na nic ci się to nie przyda, kochanko...

I udał że nie spostrzega jej smętnych westchnień, ani chusteczki, którą dobywała.

Wtenczas dopiero Emma żałować poczęła.

Zapytywała nawet sama siebie za co tak nienawidziła Karola i czy nie lepiej byłoby módz go pokochać. Lecz Bovary nie nastręczał sposobności do podobnego zwrotu uczuć i Emma była w kłopocie co robić z swoją chęcią poświęcenia, gdy w tem aptekarz w samą porę dostarczył jej tak pożądanej sposobności.

XI.

Wyczytał był ostatniemi czasy pochwałę nowej metody leczenia zboczeń stopowych, a ponieważ był stronnikiem postępu, powziął myśl patryotyczną, że Yonville, aby *nie zostać w tyle*, powinno było mieć u siebie operacye *strephopodyczne*.

— Albowiem, mówił do Emmy, cóż się ryzykuje? Zważ pani tylko (tu wyliczał na palcach wszystkie korzyści przedsięwzięcia); powodzenie prawie niezawodne, ulga fizyczna i moralna dla chorego, sława prędko nabyta dla operatora. Dla czegoby mąż pani, naprzykład, nie podjął się zoperowania tego biednego Hipolita z pod *Złotego Lwa?* Zważ pani, że nie omieszkałby opowiadać o swem uleczeniu wszystkim podróżnym, a zresztą (tu Homais głos zniżał i oglądał się naokoło), któżby mi zabronił posłać do dziennika mały artykulik *exre* tego? Mój Boże! dziennik przechodzi z ręki do ręki... artykuł nadesłany się czyta... mówią o nim... kula śniegowa rośnie! I kto wie? kto wie?...

W samej rzeczy, mogło się powieść Bovaremu; nic nie dowodziło Emmie, żeby nie miał być zręcznym chirurgiem, a jakaż radość dla niej gdyby go skłoniła do kroku od którego zależeć mogła sława jego i majątek? Pragnęła usilnie oprzeć się na czemś trwalszem od miłości.

Karol naglony przez nią i przez aptekarza, dał się nakoniec przekonać. Sprowadził sobie z Rouen książkę doktora Duvala i co wieczór zatapiał się w niej, oparłszy łokcie na stole a głowę ująwszy w dłonie.

Podczas gdy pan Bovary studyował *equiny varusy* i *valgusy*, to jest *strephocadopię*, *strephendopodię* i *strephexopodię* — czyli mówiąc innemi słowy, rozmaite zboczenia stopy, na dół, na zewnątrz lub na wewnątrz — oraz *strephypopodię* i *strephanopodię* — inaczej, wykręcenie na wewnątrz i sprostowanie do góry — pan Homais używał wszelkich środków wymowy dla skłonienia posługacza, żeby się poddał operacyi.

— Zaledwie może tylko lekki ból uczujesz, dowodził mu, będzie to proste ukłucie jak przy puszczenie krwi, mniej niż przy wyrzynaniu niektórych nagniotków.

Hipolit otwierał szeroko swoje głupowate oczy.

— Zresztą, dodawał aptekarz, mnie to nie obchodzi, mówię to dla ciebie! przez ludzkość! Chciałbym cię widzieć, mój chłopcze, uwolnionym od twego szkaradnego kalectwa, z tem kołysaniem lędźwi, które bądź co bądź, musi ci bardzo przeszkadzać przy spełnianiu twych obowiązków.

I Homais przedstawiał mu o ile czułby się następnie żwawszym i bardziej rzeźkim, dawał mu nawet do zrozumienia, że miałby więcej *szansy* podobania się kobietom, a chłopak uśmiechał się dobrodusznie. Wreszcie Homais uderzał w jego próżność;

— Nie jesteśże mężczyzną, u kaduka! Cóżby to było, gdybyś musiał służyć wojskowo, walczyć pod sztandarami?... O! Hipolicie, Hipolicie!

I Homais oddalał się, oświadczając że nie pojmował tego uporu, tego zaślepienia, żeby odrzucać dobrodziejstwa nauki.

Nieszczęśliwy ustąpił wreszcie, gdyż formalne sprzysiężenie utworzono przeciwko niemu. Binet, który się nigdy do spraw cudzych nie mieszał, pani Lefrançois, Artemiza, sąsiedzi, sam nawet mer, pan Tuvache, wszyscy go namawiali, przekonywali, wstydzili, to go jednak ostatecznie zdecydowało, że *nic nie zapłaci!* Bovary zobowiązywał się nawet dostarczyć przyrządu potrzebnego do operacyi, Emma powzięła myśl tej hojności; Karol przystał na to, mówiąc sobie w duchu, iż żona jego była aniołem.

Za radą aptekarza i po trzykroć zaczynając, kazał sporządzić u stolarza, któremu dopomógł ślusarz, rodzaj pudełka ważącego około ośmiu funtów, gdzie oprócz drzewa, nie brakowało żelaza, blachy, skóry, szrubek i zawias.

Jednakże aby wiedzieć, które ścięgno przeciąć Hipolitowi, potrzeba było najpierwej rozpoznać jakiego rodzaju było zboczenie nogi jego.

Miał stopę tworzącą linię prawie prostą z piszczelem, a pomimo tego wykręconą wewnątrz co tworzyło przez pół *equin* przez pół *varus*. Ale z tym *equinem*, szerokim jak końskie kopyto, o twardych ścięgnach, chropawej skórze, grubych palcach, których czarne paznokcie podobne były do gwoździ podkowy, *strephopod* biegał jak jeleń od rana do późnej nocy. Widziano go ustawicznie na rynku, jak podskakując wokoło wozów, wysuwał naprzód swoją niekształtną podporę. Zdawało się nawet jakoby tę nogę silniejszą miał od zdrowej. Przez używanie, nabyła przymiotów energii i cierpliwości i jeżeli miał jaką ciężką pracę, wolał się na niej opierać.

Owóż, kiedy to był *equin*, trzeba było najpierwej przeciąć ścięgno Achilesa, a potem dopiero przystąpić do tylnego piszczelowego muskułu, żeby się pozbyć *varusa*; gdyż lekarz nie śmiał za jednym razem odważyć się na dwie operacye; już nawet drżał z obawy, żeby nie urazić jakiej ważnej sfery, którejby nie znał.

Ani Ambroży Paré, zastosowując po raz pierwszy od czasów Celsyusza, po piętnastu wiekach przerwy, natychmiastowe podwiązanie arteryi; ani Dupuytren przystępując do otworzenia wrzodu

przez gruby pokład encefalów; ani Gensoul, kiedy poraz pierwszy odejmował górną szczękę, nie doznawali takiego bicia serca, nie drżała im tak ręka, nie mieli umysłu tak wytężonego jak pan Bovary, kiedy przystąpił do Hipolita ze swym *tenotomem* w palcach. A na stole przy łóżku widziano, jak w szpitalach, stos szarpi, woskowane nici i mnóstwo bandaży — wszystkie bandaże, jakie się tylko znalazły w domu aptekarza. To pan Homais od samego rana poczynił te wszystkie przygotowania, tak dla olśnienia tłumu, jak dla własnego złudzenia. Karol zakłuł skórę; usłyszano suche chrupnięcie. Ścięgno zostało przecięte, operacya była skończona. Hipolit wyjść nie mógł z podziwienia; chwytał ręce Bovarego i okrywał je pocałunkami.

— Uspokójno się, mówił mu aptekarz; później będziesz miał czas okazać wdzięczność dobroczyńcy twojemu!

I poszedł opowiadać o skutku operacyi kilku ciekawym, którzy stali na ulicy, wyobrażając sobie, że ujrzą zaraz Hipolita prosto chodzącego. Karol zaś, pozapinawszy swego pacyenta w mechaniczny przyrząd, powrócił do siebie, gdzie Emma w największej niespokojności na niego czekała.

Rzuciła mu się na szyję; usiedli do stołu. Karol jadł z apetytem, zażądał nawet przy wetach filiżanki kawy, którego to zbytku pozwalał sobie tylko w niedzielę, przy gościach.

Wieczór zeszedł im przyjemnie, na rozmowie i wspólnych marzeniach. Mówili o przyszłem powodzeniu, o ulepszeniach, jakie zaprowadzą w domu; Karol widział już jak wzrastało jego znaczenie, dobrobyt się podnosił, żona kochała go ciągle; Emma ze swej strony czuła się szczęśliwą, że mogła się odświeżyć uczuciem nowem; zdrowszem, lepszem, że mogła wreszcie doznać trochę czułości dla tego biedaka, który ją uwielbiał. Przypomniała sobie na chwilę Rudolfa; lecz spojrzała na Karola: zauważyła nawet z podziwieniem, że miał wcale niebrzydkie zęby.

Byli już w łóżku kiedy pan Homais, pomimo oporu służącj, wpadł nagle do ich pokoju, trzymając w ręku kartkę świeżo zapisanego papieru. Była to reklama, którą przeznaczał do gazety *Fanal de Rouen*. Przyniósł ją aby pierwej przeczytali.

— Przeczytaj pan sam, rzekł Bovary.

Pan Homais czytał co następuje:

„Pomimo przesądów, które, jak siecią pokrywają jeszcze znaczną część powierzchni Europy, światło jednak przenikać już zaczyna do wiosek naszych. I tak, we wtorek, małe nasze miasteczko Yonville było widownią chirurgicznej operacyi będącej zarazem czynem wysokiej filantropii. Pan Bovary, jeden z najznakomitszych naszych lekarzy..."

— O! to za nadto! za nadto! mówił Karol, którego wzruszenie dławiło.

— Ależ bynajmniej! jakto!... „dopełnił operacyi na skrzywionej od urodzenia stopie"... nie użyłem tu wyrażenia naukowego, ponieważ, wiadomo panu w dzienniku... nie każdyby może zrozumiał; potrzeba aby ogół publiczności...

— Rozumiem, rzekł Bovary. Czytaj pan dalej.

... „Pan Bovary, jeden z naszych najznakomitszych lekarzy, uskutecznił operacyę na skrzywionej od urodzenia stopie Hipolita Tautain, posługacza stajennego od lat dwudziestu pięciu w zajeździe pod *Złotym Lwem*, trzymanym przez panią Lefrançois, wdowę, na placu Broni. Nowość tej próby i ogólne współczucie dla operowanego, sprowadziły taki napływ ludności, że tłoczono

się u wejścia do zajazdu. Operacya, zresztą, powiodła się nadspodziewanie, zaledwie kilka kropel krwi wystąpiło na wierzch, jak gdyby dla zaświadczenia, że oporne ścięgno musiało wreszcie uledz pod naciskiem sztuki. Pacyent — rzecz szczególna (a patrzyliśmy na to własnemi oczami) wcale na ból się nie uskarżał. Stan jego, aż dotąd nic do życzenia nie pozostawia. Wszystko każe przypuszczać, że wyzdrowienie szybko postępować będzie, i kto wie nawet, czy na pierwszej wiejskiej uroczystości, nie zobaczymy poczciwego naszego Hipolita biorącego udział w skocznych tańcach, pośród grona wesołych towarzyszy i dającego przez swe raźne hołupce, świadectwo zupełnego swego uleczenia. Cześć więc szlachetnym ludziom nauki! cześć tym niestrudzonym umysłom, które bezsenne noce poświęcają na prace, mające na celu przyniesienie ulgi bliźnim swoim! Cześć, potrzykroć cześć! Nie jestże to właściwa pora powiedzieć, że ślepi widzieć będą, głusi słyszeć, a chromi chodzić! Tylko że to co niegdyś fanatyzm przyrzekał swoim wybranym, to dziś nauka dopełnia dla wszystkich!.. Nie omieszkamy czytelników naszych powiadamiać o kolejnym przebiegu tej tak zajmującej kuracyi."

Niemniej przeto w pięć dni później, pani Lafrançois przybiegła cała przerażona wołając:

— Ratunku! ratunku! on umiera!... Głowę tracę!

Karol pośpieszył pod *Złotego Lwa*, a pan Homais spostrzegłszy go biegnącego przez rynek bez kapelusza, za nim podążył. Przybył sam, zadyszany, czerwony, niespokojny, zapytując każdego kogo spotkał na wschodach:

— Co się stało naszemu zajmującemu *strephopodowi?*

Zajmujący *strephopod* wił się w srogich boleściach, tak że przyrząd mechaniczny, w którym ściśnięta była jego noga, uderzał w ścianę, jak gdyby chciał ją rozwalić.

Z wielką ostrożnością przeto, aby nie zepsuć położenia chorego członka, odjęto pudełko i ujrzano straszny widok. Kształty stopy znikały pod taką puchliną, że skóra zdawała się blizką pęknięcia, nadto, występowały na niej sine plamy spowodowane przez sławny przyrząd. Hipolit poprzednio już narzekał na ból dotkliwy, lecz na to nie zważano, wreszcie trzeba było przyznać, że niezupełnie się mylił i zostawiono go przez kilka godzin w spokoju. Zaledwie jednak wydęcie trochę

się zmniejszyło, dwaj uczeni osądzili za stosowne włożyć napowrót nogę w przyrząd, mocniej go jeszcze zaciskając, dla przyśpieszenia skutku. Nakoniec, gdy po upływie trzech dni jeszcze, Hipolit nie mógł już wytrzymać, zdjęli znowu mechanikę, dziwiąc się bardzo skutkom, jakie im się przedstawiły. Sina nabrzękłość pokrywała całą nogę, a z mnogich pryszczy sączył się miejscami czarniawy płyn. Rzeczy przybierały postać niepokojącą. Hipolit zaczynał się nudzić i pani Lefrançois umieściła go w małej salce przy kuchni, żeby przynajmniej miał trochę rozrywki,

Lecz poborça, który tam jadał obiad, gorzko wyrzekał na takie sąsiedztwo. Przeniesiono więc Hipolita do sali bilardowej.

Tu leżał, jęcząc pod grubemi kołdrami, blady, z zarośniętą brodą, zapadłemi oczyma i od czasu do czasu przewracał głowę na brudnej poduszce, którą muchy obsiadały. Pani Bovary przychodziła go odwiedzać. Przynosiła mu starą bieliznę na kataplazmy, pocieszała go i zachęcała do cierpliwości. Zresztą, nie zbywało mu na towarzystwie, szczególnie w dnie targowe, kiedy wieśniacy wokoło niego grali w bilard, fechtowali się na kije, palili fajki, pili, śpiewali, hałasowali.

Jakże się masz? mówili uderzając go po ramieniu. A! nie tęgo, jak się zdaje! ale sameś sobie winien. Trzeba było to, lub to, zrobić.

I opowiadali mu historye o ludziach uleczonych innemi zgoła lekarstwami; potem na pociechę dodawali:

— Bo też za nadto się pieścisz! sprobuj wstać! dogadzasz sobie jak jaki król! Ale wiesz co, stary figlarzu? ty wcale nie pachniesz!

W samej rzeczy, gangrena posuwała się coraz wyżej. Bovary sam już był chory. Przychodził co godzina, co kwadrans. Hipolit patrzył na niego wystraszonemi oczyma i łkając zapytywał:

— Kiedy ja wyzdrowieję?.. O! ratuj mnie pan!.. O! ja nieszczęśliwy! O! ja nieszczęśliwy!

I lekarz odchodził, zalecając mu zawsze dyetę.

— Nie słuchaj go, mój chłopcze, mówiła pani Lefrançois; dosyć cię już namęczyli. Dyeta cię jeszcze osłabi. Masz, posil się.

I przynosiła mu talerz dobrego bulionu, kawałek pieczonej baraniny, chleba ze słoniną, a czasem kieliszeczek wódki, którego jednak nie miał odwagi do ust ponieść.

Ksiądz Bournisien, dowiedziawszy się że był gorzej, przyszedł go odwiedzić. Zaczął od ubole-

wania nad jego cierpieniem, dodając jednak, że należało się z tego cieszyć, ponieważ taka była wola Pana, i korzystać ze sposobności pojednania się z Bogiem.

— Albowiem, mówił duchowny z wyrazem ojcowskiego napomnienia, zaniedbywałeś trochę twoich obowiązków, mój chłopcze; od ilu to już lat nie przystępowałeś do Stołu Pańskiego? Pojmuję, że zajęcia twoje, światowy zamęt, mogły cię odwracać od starań o zbawienie duszy. Teraz za to, masz czas pomyśleć o tem. Nie rozpaczaj jednak, znałem wielkich przestępców, którzy mając stanąć przed sądem boskim (nie jesteś jeszcze w tej ostateczności, wiem o tem), udali się do Jego miłosierdzia i w najlepszem usposobieniu życia dokonali. Miejmy nadzieję, że podobnie jak oni, zbudujesz nas dobrym przykładem! A tymczasem, cóżby ci szkodziło odmówić co rano i co wieczór jedno „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna" i jedno „Ojcze nasz, któryś jest w Niebie"? Uczyń to! dla mnie, dla zrobienia mi przyjemności. Co to kosztuje?.. Czy mi to przyrzekasz?

Biedak przyrzekł. Proboszcz powrócił następnych dni, rozmawiał z oberżystką i opowiadał nawet anegdoty przeplatane żarcikami i dwój-

znacznikami, których Hipolit nie rozumiał. Potem, jak tylko okoliczność na to pozwalała, zwracał się na tor materyj religijnych, przybierając stosowną powagę.

Gorliwość jego zdawała się pomyślny skutek odnosić, gdyż niebawem *strephopod* oświadczył chęć odbycia pielgrzymki do Najświętszej Panny Łaskawej, jeżeli wyzdrowieje: na co ksiądz Bournisien odpowiedział, że niema nic przeciwko temu, dwie ostrożności lepsze zawsze niż jedna. *Nie miał nic do stracenia.*

Aptekarz oburzał się na to co nazywał *machinacyami klerykalnemi;* utrzymywał, że one opóźniały wyzdrowienie Hipolita i powtarzał pani Lafrançois:

— Dajcież mu pokój! Dajcież mu pokój! Nabawiacie go gorączki waszym mistycyzmem!

Lecz sama kobieta słuchać już nie chciała. On *tego wszystkiego narobił.* Na złość jemu nawet zawiesiła nad łóżkiem chorego kropielnicę z wodą święconą i gałązką bukszpanu.

Jednakże religia nie więcej od chirurgii zdawała się pomagać biedakowi, i nieubłagane gnicie posuwało się od kończyn ku żołądkowi. Naprożno urozmaicano mikstury i odmieniano kataplazmy,

muskuły obnażały się coraz bardziej, aż nakoniec pan Bovary odpowiedział potwierdzającem skinieniem głowy, na zapytanie pani Lefrançois zrozpaczonej, czyby nie należało sprowadzić z Neufszatelu pana Caniveta, słynącego na cały departament.

Doktór medycyny i chirurgii, człowiek lat około pięćdziesięciu, pewny siebie i swego stanowiska, kolega nie myślał ukrywać pogardliwego oburzenia, gdy zobaczył tę nogę zgangrenowaną aż do kolana, a oświadczywszy bez ogródki że trzeba ją amputować, poszedł prosto do apteki wymyślać na osłów, którzy mogli nieszczęśliwego człowieka do takiego doprowadzić stanu. Trzymając pana Homais za guzik surduta, wykrzykiwał na cały głos:

— Wszystko to są paryzkie wynalazki! Oto pomysły panów stołecznych doktorów! to nakształt chloroformu, prostowania zezowatych oczu i kruszenia kamienia w pęcherzu... same cudactwa, które rząd powinienby zakazać! Ale zachciewa się uchodzić za mądrego i pakuje się leki nie troszcząc się o ich skutki. My prostacy nie porywamy się na takie rzeczy, nie jesteśmy mędrkami, fnafaronami, szarlatanami; jesteśmy sobie

po prostu praktykami, lekarzami i nie przyszłoby nam do głowy operować zdrowiuteńkiego człowieka! Prostować skrzywione stopy! czy to jest możliwem? tak samo, jak gdyby kto chciał wyprostować garbatego!

Homais słuchając tej mowy męki cierpiał, a cierpienie swoje pokrywał dworackim uśmiechem, zmuszony oszczędzać pana Caniveta, którego recepty przychodziły czasem aż do Yonville; to też nie stanął w obronie Bovarego, nie pozwolił sobie nawet żadnej zrobić uwagi, i odstępując od swych zasad, poświęcił własną godność ważniejszym sprawom handlowym i finansowym.

Amputacya nogi przez doktora Caniveta była ważnym dla całej miejscowości wypadkiem! Wszyscy mieszkańcy Yonville wstali dnia tego wcześniej niż zwykle, a główna ulica, chociaż pełna ludzi, wyglądała tak ponuro jak gdyby chodziło o stracenie zbrodniarza. W winiarni rozprawiano o chorobie Hipolita; w żadnym sklepie nic nie sprzedawano, a pani Tuvache, żona mera, nie ruszała się od okna, ciekawa zobaczyć operatora.

Przyjechał w kabryolecie, którym sam powoził. Ale ponieważ resor z prawej strony przez długie

używanie ugiął się nieco pod ciężarem dobrej tuszy doktora, powozik pochylał się trochę na bok i można było widzieć na drugiej poduszce siedzenia spore pudełko, czerwonym juchtem pokryte, którego trzy mosiężne klamry fachowo błyszczały.

Wpadłszy jak uragan pod bramę *Złotego Lwa*, doktór donośnym głosem rozkazał wyprządz swego konia, potem poszedł do stajni zobaczyć czy dobrze jadł obrok, bo pan Canivet przyjeżdzając do chorych zajmował się najpierwej swoją klaczą i swoim kabrioletem. Mówiono nawet z tego powodu: „A! pan Canivet! to znany oryginał". I ceniono go więcej jeszcze za tę niezachwianą pewność siebie. Świat cały mógł wyginąć do ostatniego człowieka, a on dla tego nie zaniechałby najdrobniejszego ze swych przyzwyczajeń.

Homais się ukazał.

— Liczę na pańską pomoc, rzekł mu doktór. Czy wszystko gotowe? Chodźmy!

Lecz aptekarz rumieniąc się wyznał, że zbytnia czułość nie dozwalała mu być świadkiem podobnej operacyi.

— Kiedy się jest prostym widzem, rzekł, wyobraźnia, wiadomo panu, silnie działa. Prócz tego, mam system nerwowy tak...

— Ba! przerwał Canivet, pan mi się zdajesz przeciwnie, skłonnym do apopleksyi. Zresztą, nie dziwi mnie to; wy, panowie aptekarze, ciągle siedzicie w waszej łacińskiej kuchni, co w końcu musi wpłynąć na wasz temperament. Patrz pan oto na mnie: codzień wstaję o czwartej godzinie, myję się zimną wodą — mnie nigdy nie zimno — nie noszę żadnej flaneli, nie dostaję nigdy kataru, zawiasy dobrze się trzymają! Jadam raz tak, raz owak, filozoficznie, jak się trafi. Dla tego też nie jestem taki wydelikacony jak pan i zupełnie mi wszystko jedno co krajać, czy podobnego sobie chrześcianina, czy pierwsze lepsze kurczę. Powiesz pan, przyzwyczajenie... wszystko przyzwyczajenie!..

Bez żadnego względu na Hipolita, który pocił się ze strachu pod kołdrą, dwaj ci panowie zagaili rozmowę, w której aptekarz porównywał krew zimną chirurga z walecznością generała na polu bitwy; to zestawienie pochlebiło Canivetowi, który się rozwodził o wymaganiach swojej sztuki. Uważał ją za kapłaństwo, chociaż ją konowały hańbili. Nakoniec powracając do chorego, obejrzał bandaże przyniesione przez pana Homais, te same, które figurowały przy piérwszej operacyi i zażą-

dał kogo do trzymania skazanego na odcięcie członka. Posłano po zakrystyana Lestiboudois i pan Canivet, zawinąwszy rękawy przeszedł do sali bilardowej, podczas gdy aptekarz pozostał z oberżystką i Artemizą, które bledsze od swych fartuszków drżały słuchając podedrzwiami.

Bovary przez ten czas, nieśmiał ruszyć się z domu. Siedział w salce na dole, przy wystygłym kominku, z głową na piersi spuszczoną, rękoma złożonemi, oczyma błędnie w jedno miejsce wlepionemi. Co za nieszczęście! myślał w duchu, jaki straszny zawód! A przecież, żadnej nie zaniedbał ostrożności! Jakaś fatalność się przyplątała. Jakkolwiekbądź, jeżeliby Hipolit umarł, on byłby jego zabójcą. Nadto, cóż powie, gdy go inni pacyenci zapytywać będą? A może się w czemkolwiek pomylił? Szukał, lecz znaleźć nie mógł. Jednakże, najsławniejsi chirurgowie mylili się czasem. Ale temu nikt nie uwierzy! przeciwnie, wszyscy wyśmiewać go będą, szkalować! To się rozniesie aż do Forges! aż do Neufszatelu! aż do Rouen! wszędzie! Kto wie nawet, czy koledzy pisać przeciwko niemu nie będą? Wywiązałaby się z tego polemika, trzebaby odpowiadać w dziennikach. Sam nawet Hipolit mógłby mu proces wytoczyć. Widział

się już shańbionym, zgubionym! A wyobraźnia jego, pełna najrozmaitszych przypuszczeń, kołowała pośród nich jak próżna beczka morskiemi falami miotana.

Emma, siedząc naprzeciwko męża i patrząc na niego, nie podzielała jego upokorzenia, bo innego doznawała: że mogła sobie wyobrazić, iż taki człowiek wart był cokolwiek, jak gdyby już wielokrotnie nie była się dostatecznie przekonała o jego mierności.

Karol zaczął się przechadzać wzdłuż i wszerz pokoju. Buty jego skrzypiały po podłodze.

— Usiądźże! powiedziała, drażnisz mnie!

Usiadł.

Jak mogła (ona, tak inteligentna) raz jeszcze mu zaufać? Zresztą, jakieś opłakane zaślepienie skłoniło ją do zaprzepaszczenia całego życia swego w nieustannych poświęceniach? Przypominała sobie wszystkie swoje ambitne dążenia, wszystkie doznane niedostatki, prozę małżeństwa, domowego gospodarstwa, marzenia w błoto strącone jak jaskółki z przestrzelonemi skrzydełkami, wszystko czego pragnęła, wszystko czego sobie odmówiła, wszystko co mogła była mieć a czego się pozbawiła? i dla czego? dla kogo?

W tem pośród ciszy zalegającej miasteczko, rozległ się krzyk przeraźliwy. Bovary zbladł jak ściana. Emma ściągnęła brwi nerwowym ruchem i nieprzerywała ciągu swych myśli. Dla niego to przecie, dla tego marnego stworzenia, dla tego człowieka, który nic nie rozumiał, nic nie czuł! bo on siedział tu spokojnie, wcale się nawet nie domyślając że śmieszność, jaką się okrył i ją także zbrudzi! A ona chciała przemódz na sobie, żeby go pokochać i wyrzucała sobie, że się innemu oddała!

— Bo to może był *valgus!* wykrzyknął nagle Bovary, którego myśl ciągle pracowała.

Na ten niespodziany wykrzyknik, który uderzył w nią jak ołowiana kulka w srebrny półmisek, Emma drgnęła i podniosła głowę, aby odgadnąć co on chciał powiedzieć i spojrzeli na siebie wzajemnie, niemal zdumieni że się widzą, tak myślami daleko odbiegli byli od siebie. Karol patrzył na nią błędnym wzrokiem pijanego, przysłuchując się nieruchomie ostatnim jękom amputowanego, których przeciągłe tony przerywane były chwilami ostrym krzykiem, nakształt oddalonego wycia zarzynanego zwierza. Emma przygryzała blade wargi i zwijając w palcach złamany

liść kaktusa, zwracała na Karola ponurym ogniem płonące źrenice, jak dwie strzały wypaść gotowe. Wszystko w nim teraz drażniło ją niewypowiedzianie, jego twarz, jego ubiór, to co mówił i to czego nie mówił, cała osoba jego wreszcie. Wyrzucała sobie jak zbrodnię, dawną cnotę swoją i szczątki jej rozsypywały się pod szalonymi ciosami jej zranionej pychy. Lubowała się we wszystkich fałszywych rozkoszach tryumfującego cudzołóztwa. Wspomnienie kochanka pociągało ją z odurzającym urokiem; rzucała weń swą duszę z nowym zapałem niesioną ku temu obrazowi; a Karol wydawał się tak obcym jej życiu, tak niepodobnym i unicestwionym, jak gdyby miał umrzeć i skonał w jej oczach.

Na chodniku dały się słyszeć kroki. Karol wyjrzał i przez spuszczone zazdrostki spostrzegł doktora Caniveta, który fularem ocierał sobie spocone czoło. Homais, idąc za nim, niósł w ręku duże czerwone pudło; obadwa szli w stronę apteki.

Wtenczas Karol w przystępie czułości i zniechęcenia obrócił się do żony, mówiąc do niej:

— Uściskajże mnie choć ty!

— Dajże mi pokój! ofuknęła z gniewem.

— Co to jest? co ci się stało? powtarzał osłupiały. Uspokój się! przyjdź do siebie! Wiesz przecie że cię kocham!.. pójdź!

— Dosyć tego! krzyknęła zaczerwieniona ze złości i oburzenia, poczem wybiegła z sali i tak silnie drzwi za sobą zatrzasnęła, że barometr spadł ze ściany i rozbił się na drobne kawałki.

Karol osunął się na fotel, zdziwiony, strapiony, łamiąc sobie głowę coby jej się stać mogło, wyobrażając sobie jakąś chorobę nerwową, płacząc i przeczuwając niewyraźnie jakieś nieszczęście.

Gdy Rudolf wieczorem przyszedł do ogrodu, zastał kochankę oczekującą go na pierwszym stopniu ganku. Uścisnęli się i cała ich uraza stopniała jak śnieg pod żarem tego pocałunku.

XII.

Zaczęli znowu kochać się po dawnemu. Często nawet w ciągu dnia Emma pisała do niego; potem dawała przez okno znak Justynowi, który odwiązywał prędko płócienny fartuch i biegł do la Huchette. Rudolf przybywał; chciała mu powiedzieć że się nudziła, że męża znieść nie mogła i że życie jej było okropnem.

— Cóż ja na to poradzę? zawołał jednego dnia zniecierpliwiony.

— Ach! gdybyś tylko chciał!..

Siedziała na ziemi, u kolan jego, z rozpuszczonymi włosami, marzącym wzrokiem na niego podniesionym.

— Cóż takiego?

Westchnęła.

— Poszlibyśmy żyć gdzie indziej... gdziekolwiek...

— Szaloną jesteś, doprawdy! odparł śmiejąc się. Czyż to jest możliwem?

Powróciła jeszcze do tego, on zdawał się nie rozumieć i o czem innem mówić zaczął.

W rzeczy samej pojąć nie umiał całego tego niepokoju w sprawie tak prostej jak miłość. Ona zaś miała powód, przyczynę, bodźca niejako tej miłości.

Czułość jej wzrastała z każdym dniem; więcej pod wpływem wstrętu do męża. Im zupełniej oddawała się jednemu, tem bardziej nienawidziła drugiego; nigdy Karol nie wydawał jej się tak nieprzyjemnym, jego palce tak grubymi, umysł tak ciężkim, obejście tak gminnem, jak kiedy znajdowała się z nim razem po schadzce z Rudolfem. Wtenczas, grając rolę cnotliwej małżonki,

rozpłomieniała się wspomnieniem tej głowy, której czarne pukle ocieniały ogorzałe czoło, tej postaci tak silnej i tak zarazem wikwintnej, tego człowieka wreszcie, który posiadał tyle doświadczenia w rozumie, tyle namiętności, w żądzach! Dla niego to gładziła codzień paznokcie swoje ze staraniem snycerza, dla niego nacierała skórę swoją *cold-creamem* i chusteczki skrapiała paczulą. Obciążała się bransoletami, pierścionkami, naszyjnikami. Kiedy on miał przyjść, napełniała różami swoje dwa z niebieskiego szkła wazony, stroiła pokój swój i własną osobę jak kurtyzanka oczekująca książęcego gościa. Służąca bezustannie musiała prać i prasować, Felicya przez cały dzień nie wychodziła z kuchni, gdzie Justynek, który ją czasem odwiedzał, przypatrywał się jej robocie.

Oparty łokciem o deskę od prasowania przyglądał się chciwie wszystkim tym kobiecym fatałaszkom wokoło porozkładanym: były tu spódniczki dymkowe, chusteczki, kołnierzyki, majtki na tasiemkę nawlekane, szerokie w biodrach i zwężone u dołu.

— Do czego to służy? pytał młody chłopak, dotykając ręką krynoliny lub haftek.

— Czyż nigdy w życiu nic nie widziałeś, odpowiadała śmiejąc się Felicya; jak gdyby twoja pani Homais takich rzeczy nie używała!

— Ach!.. właśnie też! pani Homais!

I dodawał z namysłem:

— Alboż to taka pani jak twoja?

Felicyę jednak niecierpliwiły częste odwiedziny Justyna. Była o sześć lat starszą od niego, i Teodor, lokaj pana Guillemina, zaczynał się do niej zalecać.

— Nie nudź mnie! mówiła, przestawiając garnek z krochmalem. Idź lepiej tłuc migdały; zawsze tylko kręcisz się około kobiet; zaczekaj z tem gołowąsie, aż ci włosy na brodzie wyrosną.

— Niechno się panna nie gniewa, wyczyszczę pannie za to *jej* buciki.

I zdjął z komina obuwie Emmy, całe zabłocone — błotem ze schadzek, które pod jego palcami zamieniało się w lekki pył, ulatujący w promieniu słońca.

— Jak się boisz żeby ich nie zniszczyć! mówiła sługa, która tyle sobie z nimi trudu nie zadawała kiedy je sama czyściła, gdyż pani oddawała je, jak tylko już nie były świeże.

Emma miała ich pełną szafę i niszczyła je po kolei, na co Karol nigdy nie zwrócił najmniejszej uwagi.

I tak, wydał trzysta franków na drewnianą nogę, którą uważała za stosowne podarować Hipolitowi. Były u niej stawy na sprężynach, miała mechanikę skomplikowaną, pokrytą czarną sukienną nogawką, zakończoną lakierowanym butem. Lecz Hipolit, nie śmiejąc codzień używać tak pięknej nogi, prosił pani Bovary żeby mu sprawiła drugą, wygodniejszą. Lekarz, rozumie się, zapłacił i za ten drugi nabytek.

Owóż, stajenny posługacz powoli wrócił do swych zajęć. Widziano go znowu biegającego po rynku; a ilekroć Karol usłyszał z daleka stukanie drewnianej jego nogi, skręcał prędko w inną ulicę.

Pan Lheureux, kupiec bławatny, podjął się załatwienia tego sprawunku; to mu nastręczyło sposobność odwiedzania pani Bovary. Rozmawiał z nią o nowościach sprowadzonych z Paryża, o tysiącznych ciekawościach kobiecych, okazywał się nadzwyczaj usłużnym i nigdy nie żądał pieniędzy. Emma korzystała z tej łatwości zaspokajania wszystkich swoich zachcianek. I tak, zapragnęła

dostać na podarunek dla Rudolfa, bardzo piękną szpicrutę, która się znajdowała w składzie parasoli w Rouen. Pan Lheureux następnego tygodnia położył ją na stoliku pani Bovary.

Lecz nazajutrz przedstawił jej rachunek wynoszący dwieście siedmdziesiąt franków z centymami. Emma w wielkim się znalazła kłopocie: wszystkie szufladki biurka były próżne; należało się prócz tego za dwa tygodnie staremu Lestiboudois, za dwa kwartały służącej, wiele innych jeszcze zaległości, a Bovary czekał z niecierpliwością na przesyłkę od pana Deroseraysa, której zwykł był wypłacać mu około Św. Piotra.

Udało jej się zrazu odprawić Lheureuxa, nakoniec jednak stracił cierpliwość: naglono go o pieniądze, kapitały miał w obrocie i jeżeli nie pościąga z nich niektórych, będzie musiał odebrać od niej wzięte przez nią towary.

— A! bierz ich pan sobie! rzekła na to Emma.

— O! to tylko żarty! odpowiedział. Chodzi mi głównie o szpicrutę. Poproszę pana doktora aby mi ją zwrócił.

— Nie! nie! zaprzeczyła szybko.

— Aha! mam cię rybko! pomyślał Lheureux.

I pewny swego odkrycia, wyszedł powtarzając półgłosem:

— Dobrze, dobrze! zobaczymy! zobaczymy!

Emma rozmyślała jak z tego wybrnąć, gdy Felicya weszła i położyła na kominku mały niebieski rulonik, *od pana Deroseraysa*. Porwała go chciwie i otworzyła. Było w nim piętnaście napoleonów. Tyle się należało. Usłyszała na wschodach Karola i wrzuciła prędko pieniądze do swojej szufladki a klucz z niej wyjęła.

W trzy dni później, zjawił się znowu Lheureux.

— Chcę z panią zawrzeć układ, rzekł; gdyby pani chciała, zamiast wiadomej sumki.

— Oto jest, odpowiedziała kładąc mu w rękę czternaście napoleonów.

Kupiec osłupiał. Aby ukryć doznany zawód, nie szczędził przeproszeń i oświadczył się z gotowością dalszych usług, które Emma stanowczo odrzuciła. Stała potem przez kilka minut ściskając w palcach dwie sztuki frankowe, które jej zdał reszty. Przyrzekała sobie oszczędzać, żeby potem zwrócić pieniądze!

— Ale co tam! pomyślała; on zapomni!

Oprócz szpicruty z pozłacaną rączką, Rudolf dostał od niej pieczątkę z dewizą *Amor nel cor*; nadto szarfę na szalik i nakoniec cygarnicę zupełnie podobną do tej, którą kiedyś Karol pod-

niósł na drodze i którą na pamiątkę schowała. Jednakże te podarunki upokarzały go. Odmawiał przyjęcia niektórych, ona nalegała, a Rudolf w końcu ustępował, znajdując ją despotyczną i zbyt wymagającą.

Czasem dziwne myśli przychodziły jej do głowy.

— Jak północ wybije, mówiła, pomyślisz o mnie!

A jeżeli się przyznał że o tem zapomniał, musiał wysłuchać potoku wymówek, które się nieodmiennie kończyły wiecznem:

— Czy ty mnie kochasz?

— Ależ tak jest, kocham cię! odpowiadał.

— Bardzo?

— Rozumie się!

— Nie kochałeś innych, powiedz?

— Czy myślisz żeś mnie wzięła dziewiczym? mówił śmiejąc się.

Emma płakała, on usiłował ją pocieszyć, szpikując dwójznacznikami swoje zaklęcia.

— O! bo ja kocham ciebie! powtarzała; tak kocham, że obejść się bez ciebie nie mogę! czy wiesz o tem? Czasem bierze mnie chęć ujrzenia cię, połączona z gniewem miłości. Zapytuję sama siebie: „Gdzie on jest? Może rozmawia z innemi kobietami? One uśmiechają się do niego, on się

zbliża..." O! nie, wszak prawda, żadna ci się nie podoba? Są piękniejsze odemnie, ale żadna tak kochać nie umie! Ja jestem twoją sługą, twoją niewolnicą! Ty jesteś królem moim, bożyszczem mojem! ty jesteś dobrym! ty jesteś pięknym! ty jesteś rozumnym! ty jesteś silnym!

Tyle już razy słyszał podobne rzeczy, że przestały nowością być dla niego. Emma podobną była do wszystkich kochanek; a powab nowości, ścierający się powoli jak politura, odsłaniał nieubłaganą jednostajność namiętności, która zawsze tych samych używa form i tego samego języka. Ten człowiek tak praktyczny nie umiał dostrzedz różnicy uczuć pod tożsamością wyrażeń. Dla tego że usta swawolne lub sprzedajne, podobnemi słowy do niego przemawiały; niedowierzał szczerości tych, myślał, że przesadzone zdania pokrywały miernotę uczucia; jak gdyby przepełnienie duszy nie wylewało się czasem przez pospolite zgoła przenośnie, ponieważ nikt nigdy nie jest w stanie dać dokładnej miary swych potrzeb, ani swych pragnień, ani swych boleści; słowo ludzkie jest bowiem podobnem do pękniętego kotła, na którym wygrywamy melodye do tańca niedźwiedzi, kiedyby się chciało gwiazdy na niebie rozczulić.

Lecz, z tą wyższością krytyki właściwą temu, który w jakiejkolwiek spółce, trzyma się odpornie, Rudolf znalazł w tej miłości inne przyjemności do wyzyskania. Odrzucił wszelką delikatność jako zbyteczną. Obchodził się z Emmą bez ceremonii. Zrobił z niej coś giętkiego i zepsutego. Był to z jej strony rodzaj bezmyślnego przywiązania pełnego uwielbienia dla niego, rozkoszy dla niej samej, błogości, która ją upajała; dusza jej pogrążała się w tem upojeniu i tonęła w niem skurczona, jak książe Klarencyi w swej beczce małmazyi.

Pani Bovary przez sam wpływ swoich miłosnych nawyknień zmieniła się do niepoznania. Spojrzenia jej nabrały cynicznej śmiałości, mowa stała się swobodniejszą; do tego stopnia nawet pogardziła opinią publiczną, że nie wahała się przechadzać z Rudolfem, z papierosem w ustach, *jakby dla naigrawania się z ludzi*; wreszcie ci, którzy jeszcze wątpili, przestali wątpić, skoro ją pewnego dnia ujrzano wysiadającą z *Jaskółki*, w opiętym paltoniku męzkiego kroju; a starsza pani Bovary, która po strasznej scenie z mężem schroniła się do syna, niemniej od drugich była zgorszoną. Wiele jeszcze innych rzeczy jej się nie podobało;

po pierwsze, Karol nie posłuchał jej rady co do wzbronienia żonie szkodliwych książek, potem, cały układ domu raził ją; pozwoliła sobie niektórych uwag, i pogniewano się, raz szczególnie, z okazyi Felicyi.

Starsza pani Bovary, przechodząc wieczorem przez korytarz, zeszła ją w towarzystwie mężczyzny mniej więcej czterdziesto-letniego, w ciemnym kołnierzu, który na odgłos jej kroków wymknął się prędko z kuchni. Emma śmiać się z tego zaczęła; lecz zacna staruszka uniosła się, oświadczając że obowiązkiem jest czuwać nad moralnością domowników, chyba że kto sam nią pogardza.

— Z jakiegoż pani świata przybywasz? rzekła na to synowa z tak zuchwałem spojrzeniem, że pani Bovary zapytała jej czy nie własnej broniła sprawy?

— Wynoś się pani! wykrzyknęła młoda kobieta zrywając się z krzesła.

— Emmo!... mamo!... wołał Karol chcąc je pogodzić.

Lecz wybiegły obiedwie do najwyższego stopnia rozdrażnione, Emma tupała nogami powtarzając:

— A cóż to za chłopka! co za kobieta bez wychowania!

Pobiegł do matki, staruszka nie posiadała się z gniewu, powtarzając ze swej strony.

— To impertynentka! waryatka! jeżeli nie co gorszego!

I chciała natychmiast odjeżdżać, jeżeli tamta nie przyjdzie ją przeprosić. Karol powrócił więc do żony i błagał ją aby ustąpiła; ukląkł nawet przed nią; wreszcie odpowiedziała:

— Niech i tak będzie! pójdę.

W samej rzeczy, podała teściowej rękę z godnością obrażonej księżniczki, mówiąc:

— Przepraszam panią.

Wróciwszy potem do swego pokoju na górę, Emma rzuciła się na łóżko i płakała jak dziecko, z głową w poduszki wtuloną.

Ułożyła się była z Rudolfem, że na przypadek czegóś nadzwyczajnego przyczepi do zazdrostki kawałek białego papieru, aby, w razie gdyby się właśnie znajdował w Yonville, przybiegł w uliczkę, za dom. Wywiesiła teraz znak umówiony; od trzech kwadransy już oczekiwała, gdy w tem spostrzegła Rudolfa na rogu placu. Już chciała otworzyć okno i zawołać na niego, gdy nagle zniknął

jej z oczu. Rzuciła się napowrót na łóżko zrozpaczona.

Wkrótce jednak usłyszała odgłos kroków na chodniku. Zapewne to był on; zbiegła ze wschodów i przeszła przez podwórze. On tam był. Rzuciła się w jego objęcia.

— Strzeżże się, rzekł.

— Ach! gdybyś ty wiedział!.. zaczęła.

I opowiedziała mu wszystko, na prędce, bez ładu, przesadzając jedne fakta, dodając inne, a mowę swoją tak przeplatała nawiasami, że jej wcale zrozumieć nie mógł.

— Cóż robić, mój biedny aniele, mówił, cierpliwości, odwagi, nie martw się!

— Ależ ja już od czterech lat cierpię i cierpliwą jestem!.. Taka miłość jak nasza powinnaby się w obec Boga i ludzi przyznawać! Oni mnie zamęczą! Wytrzymać już nie mogę! Ratuj mnie!

To mówiąc, tuliła się do Rudolfa. Oczy jej łez pełne błyszczały jak podwodne płomienie; pierś jej podnosiła się gwałtownym ruchem; nigdy mu się tak powabną nie wydała, stracił głowę i rzekł jej:

— Cóż uczynić trzeba? Czego żądasz odemnie?

— Zabierz mnie! wyjąkała. Uwieź mnie ztąd!.. O! błagam cię o to!

I na ustach jego szukała zezwolenia, które w pocałunku z nich się wymykało.

— Ale... podchwycił Rudolf.

— Co takiego?

— A córka twoja?

Zastanowiła się przez chwilę, potem rzekła:

— Weźmiemy ją z sobą. Tem gorzej!

— Co za kobieta! szepnął Rudolf sam do siebie, patrząc za odchodzącą.

Wymknęła się do ogrodu. Wołano jej.

Następnych dni, starsza pani Bovary bardzo się zadziwiła zmianą, jaką zauważyła w synowej. W istocie Emma zrobiła się powolniejszą i posunęła nawet uległość do tego stopnia, że prosiła matki o przepis na marynowanie korniszonów.

Byłoż to dla tem łatwiejszego wyprowadzenia w pole ich obojga? albo też może chciała, przez rodzaj wyrafinowanego stoicyzmu, głębiej uczuć gorycz tego co opuścić miała? Nie zważała jednak na to co ją otaczało, przeciwnie: żyła jakby zatopiona w przedsmaku przyszłego szczęścia swego. O tem tylko rozmawiała z Rudolfem. Opierając się o jego ramię, mówiła półgłosem:

— Kiedyż raz wsiądziemy do pocztowego powozu?.. Czy ty myślisz o tem? Czy to być może? Zdaje mi się że w chwili kiedy uczuję ruch powozu, będzie mi tak jak gdybyśmy balonem w inne sfery ulatywali. Czy wiesz, że ja dnie rachuję?... A ty?

Nigdy pani Bovary tak piękną nie była jak w tej epoce; miała tę nieokreśloną piękność, która wynika z radości, z egzaltacyi uczuć, z pewności powodzenia, a która jest tylko harmonią temperamentu z okolicznościami. Jej żądze, jej zmartwienia, doświadczone rozkosze miłości i zawsze młode złudzenia, rozwinęły ją stopniowo tak, jak deszcz, nawóz, powietrze i słońce rozwijają kwiaty i zakwitła nareszcie w całej pełni swojej natury. Powieki jej zdawały się wykrojone umyślnie dla przysłaniania długich spojrzeń miłosnych, przy których źrenica tonęła, podczas gdy silniejszy oddech rozdymał delikatne jej nozdrza i podnosił kąt malinowych ustek, ocienionych pod światło lekkim ciemnym puszkiem. Zdawałoby się, że biegły w zepsuciu artysta układał bujne sploty jej włosów na tyle głowy: skręcone były w ciężką masę, niedbale, podług upodobania cudzołóztwa, które go codzień rozwiązywało. Głos jej tak-

że przybierał większe brzmienia, kibić również; coś niewyraźnie subtelnego wydzielało się z samych nawet fałdów jej sukni i wygięcia kształtnej stopy. Karol znajdował ją tak prześliczną i zachwycającą, jak w pierwszych czasach po ślubie.

Kiedy późno w nocy powracał, nie śmiał jej budzić. Porcelanowa lampka rzucała na sufit drżący krąg świetlany, a firanki nad kolebką zapuszczone tworzyły jakby budkę białą, wydętą w cieniu, przy łóżku. Karol wpatrywał się w nie. Zdawało mu się, że za niemi słyszy lekki oddech swego dziecięcia. Będzie teraz prędko rosła; każdy rok znaczny przyniesie postęp. Już ją widział w myśli jak powraca ze szkoły, wesoła i uśmiechnięta, w fartuszku poplamionym atramentem, z koszyczkiem na ręku; później trzeba ją będzie oddać na pensyę, to wiele kosztować będzie: jak na to poradzić? Zastanawiając się nad tem, układał sobie w myśli że zadzierżawi w okolicy mały folwarczek, którego sam będzie doglądał co rano, udając się do swoich pacyentów. Będzie odkładał dochód z tego gospodarstwa, umieści go w kasie oszczędności, następnie kupi jakie akcye; zresztą, praktyka jego powiększy się przecie; liczył na to, bo chciał ażeby jego Berta była dobrze wy-

chowaną, żeby posiadała talenta, żeby grała na fortepianie. Ach! jak będzie ładną za piętnaście lat, kiedy, podobna do matki, ubierze się latem w taki sam jak ona duży słomkowy kapelusz! z daleka wyglądać będą jak dwie siostry. Wyobrażał ją sobie przy robocie, w zimowe wieczory, przy świetle lampy; będzie mu haftowała pantofle, będzie się zajmowała gospodarstwem; będzie cały dom napełniała swoją wesołością i miłym szczebiotem. Wreszcie, pomyśli się o jej przyszłości: znajdzie się dla niej jaki porządny, dobrze uposażony chłopiec; uczyni ją szczęśliwą, i to szczęście trwać będzie zawsze.

Emma nie spała, lecz udawała śpiącą; a podczas gdy Karol obok niej zasypiał, ją inne marzenia budziły.

Cztery dzielne konie unosiły ją galopem do innego kraju, zkąd już powrócić nie mieli. Szła wsparta na jego ramieniu, szła ciągle, milcząc i w dal spoglądając. Często, na szczycie góry, spostrzegali nagle jakiś gród wspaniały z kopułami, wieżami, mostami, okrętami, cytrynowymi lasami i białemi marmurowemi katedrami, na których wyniosłych dzwonnicach czepiały się gniazda bocianie. Szli powoli, a na ziemi leżały bukiety

kwiatów, któremi ich częstowały kobiety w czerwonych gorsetach. W powietrzu rozlegały się dzwony, słychać było rżenie mułów, pomieszane z dźwiękiem gitary i szmerem wodotrysków, których pył wodny odświeżał stosy owoców, poukładanych w piramidy u stóp bladych posągów, przeglądających się w czystem wód przezroczu. Wreszcie jednego dnia przybywali do wioski rybackiej, gdzie sieci suszyły się na wietrze, wzdłuż wybrzeża. Tam się zatrzymują; mieszkać będą w nizkim domku z płaskim dachem, ocienionym drzewem palmowem, w głębi zatoki, nad morzem. Będą pływać gondolą, będą się kołysać w hamaku; życie ich łatwem będzie i szerokiem jak ich odzież jedwabna, ciepłem i gwiaździstem jak łagodne noce, które razem podziwiać będą. A na bezmiernym ogromie tej przyszłości, jaką stwarzało bujnie jej marzenie, nic szczególnego nie występowało; dnie, wszystkie wspaniałe, podobne były do siebie jak fale, i to życie kołysało się na widnokręgu, nieskończone, pełne harmonii, błękitnawe i w promieniach słońca skąpane... Tymczasem dziecko zaczynało kaszlać w kolebce, lub Bovary chrapał głośniej, i Emma zasypiała dopiero nad ranem, kiedy dzień świtać zaczy-

nał i Justynek otwierał już na placu okiennice apteki.

Kazała poprosić do siebie pana Lheureuxa i powiedziała mu:

— Będę potrzebowała płaszcza, obszernego płaszcza, z dużym kołnierzem, na podszewce.

— Pani się w podróż wybiera? zapytał.

— Nie... ale... mniejsza o to zresztą; liczę na pana, i to prędko!

Pan Lheureux ukłonił się.

— Potrzebuję także kufra; rzekła... niezbyt ciężkiego... wygodnego.

— Tak, rozumiem, około dziewięćdziesięciu centymetrów długości na pięćdziesiąt szerokości, tak jak teraz robią.

— I torebkę podróżną.

— Ani wątpię że cóś z tego będzie, pomyślał Lheureux.

— I weź pan to, rzekła jeszcze pani Bovary, wyjmując z za paska zegarek, z tego pan sobie zapłacisz.

Lecz kupiec okrzyknął się, że tego niepotrzeba, przecież się znają; czyż on jej nie wierzy? Co za dziecińśtwo! Emma nalegała jednak żeby

wziął choć łańcuszek, Lheureux miał go już w kieszeni i odchodził, gdy go jeszcze odwołała.

— Pan to wszystko zatrzymasz u siebie, rzekła. Co do płaszcza — tu zdawała się namyślać — nie przynoś go pan także; tylko pan mi dasz adres krawca, i zapowiesz, żeby był gotowy na moje zawołanie.

Mieli uciekać w przyszłym miesiącu. Ona miała wyjechać z Yonville pod pozorem sprawunków do Rouen. Rudolf miał zamówić miejsca na poczcie, postarać się o paszporty, nawet napisać do Paryża, żeby bez zatrzymania się dojechać do Marsylii, gdzieby kupili powóz i udali się w drogę do Genui. Ona miała pakunki swoje odesłać do Lheureuxgo, zkąd je miano odnieść prosto na *Jaskółkę*, żeby wszelkie usunąć podejrzenie; a w tych wszystkich układach, nie było nigdy wzmianki o małej Bercie. Rudolf unikał tego przedmiotu; ona może o nim nie myślała.

Chciał mieć jeszcze dwa tygodnie czasu przed sobą, dla ukończenia niektórych rozporządzeń; po upływie tygodnia, zażądał jeszcze dwóch, potem zrobił się chorym; następnie wyjechał za interesami, tak upłynął sierpień i po tych wszystkich zwłokach, stanęło wreszcie, że wyjadą 4-go września, w poniedziałek.

Nadeszła nakoniec sobota, przeddzień wigilii dnia przeznaczonego.

Rudolf przyszedł wieczorem wcześniej niż zwykle.

— Czy już wszystko gotowe? zapytała go.

— Tak jest, odpowiedział.

Okrążywszy kląbik kwiatowy, poszli usiąść w altance.

— Smutny jesteś, rzekła Emma.

— Nie, dla czego?

A jednak, z dziwną tkliwością na nią spoglądał.

— Czy tego, że odjeżdżasz? mówiła, że porzucasz twoje stosunki, twoje dotychczasowe życie?.. Ach! ja to pojmuję... Lecz ja, niemam nic na świecie! ty jeden jesteś wszystkiem dla mnie. To też i ja wszystkiem chcę być dla ciebie; zastąpię ci rodzinę, ojczyznę, będę cię pielęgnowała, będę cię kochała.

— Jak prześliczną jesteś! rzekł biorąc ją w swe objęcia.

— Czy doprawdy? odparła śmiejąc się lubieżnie, Kochasz mnie? Przysięgnij mi, że mnie kochasz.

— Czy kocham ciebie? ależ ja cię uwielbiam, najdroższa moja?

Okrągła i purpurowa tarcza księżyca wschodziła w łąkę, na krańcu widnokręgu. Wznosiła się szybko pomiędzy gałęźmi topoli, które ją miejscami zasłaniały, jak czarna porozrywana firanka. Wypłynęła wreszcie jaśniejąca białością na pełne niebiosa, które swem światłem oblała i zwalniając już biegu, rzuciła na rzekę wielką białą plamę, która tysiące gwiazd błyszczących tworzyła, a to srebrne światło zdawało się wkręcać aż do dna, nakształt węża bez głowy pokrytego świetlanemi łuskami. Było to podobne do jakiegoś potwornego świecznika, z którego spływały krople stopionego dyamentu. Noc ciepła otaczała ich dokoła; liście drzew tworzyły masy cieniste. Emma z przymrużonemi powiekami, wciągała pełną piersią świeże powiewy nocy. Milczeli oboje, zatopieni w rozkosznem marzeniu. Czułość pierwszych dni, serca im zalewała, cicha i pełna jak płynąca u stóp ich rzeka, miękka jak woń lewkonij, którą wiatr do nich przynosił, rzucając we wspomnieniu ich cienie dłuższe i smętniejsze od cieni wierzb nieruchomych, na trawie wydłużonych. Czasem nocne jakie zwierzątko, jeż lub łasica, na żer wyszedłszy, liśćmi poruszało, lub dawał się słyszeć odgłos spadającej dojrzałej brzoskwini ze szpaleru.

— Ach! jak piękna noc! rzekł Rudolf.

— Piękniejsze jeszcze widzieć będziemy! odparła Emma.

A jakby własnym myślom odpowiadając, dodała:

— Tak, miło będzie podróżować... Jednakże... dla czego serce moje smętnem jest? Miałażby to być obawa nieznanego?.. skutek nabytych przyzwyczajeń... albo raczej?.. Nie! to ze zbytku szczęścia! Jakże słabą jestem, nieprawdaż Rudolfie? Przebacz mi!

— Jeszcze masz czas! podchwycił Rudolf. Namyśl się, może później żałować tego będziesz.

— Nigdy! odparła gwałtownie.

A pochylając się do niego:

— Cóż złego spotkać mnie może? dodała tkliwie. Niemasz pustyni, ani przepaści, ani oceanu, którychbym z tobą przebyć nie chciała. W miarę jak dłużej razem żyć będziemy, dwie istności nasze bardziej się z sobą jednoczyć, zespalać będą! Nic nie zakłóci szczęścia naszego, żadna troska, żadna przeszkoda! Bądziemy sami, sami z miłością naszą... wiecznie... Mówże do mnie Rudolfie, odpowiadaj mi!

On od czasu do czasu potakiwał jej z roztargnieniem: — Tak.... tak... — Ona bawiła się

jego włosami i powtarzała pieszczotliwie, pośród łez, które z oczu jej spływały:

— Rudolfie! Rudolfie!.. Ach! drogi kochany Rudolfku!

Północ wybiła.

— Północ! rzekła. Więc to jutro! jeszcze jeden dzień!

On powstał, aby odejść, ona zaś, jak gdyby to poruszenie było hasłem ich odjazdu, rzekła nagle rozweselona:

— Masz paszporty?

— Mam.

— Nie zapomniałeś o niczem?

— Nie!

— Pewny tego jesteś?

— Najzupełniej.

— Więc będziesz na mnie czekał w hotelu *Prowanckim*, w południe?.. czy tak?

Kiwnął potwierdzająco głową.

— Do jutra więc! rzekła Emma, ostatnią darząc go pieszczotą.

I stanęła, patrząc za odchodzącym.

Nie odwracał się. Pobiegła za nim i pochylając się nad wodą pośród krzewów nadbrzeżnych:

— Do jutra! zawołała jeszcze.

On był już po drugiej stronie rzeki i szybkim krokiem dążył przez łąkę.

Po upływie kilku minut stanął i spojrzał po za siebie, a gdy zobaczył białą suknię Emmy niknącą powoli jak cień w ciemności nocnej, serce tak mocno bić mu zaczęło, że musiał się oprzeć o drzewo, żeby nie upaść.

— Jakiż ze mnie głupiec! rzekł ze straszliwym zaklęciem. Jakkolwiek bądź, ładna to była zabawka!

I stanęła mu w myśli piękność Emmy wraz ze wszystkiemi przyjemnościami tej miłostki. Z początku się rozrzewnił, potem się oburzył na samego siebie.

— Bo nakoniec, dowodził gestykulując, nie mogę przecie wyemigrować i w dodatku jeszcze wziąść sobie na kark dziecko!

Powtarzał sobie to wszystko, żeby się mocniej utwierdzić.

— A zresztą... kłopoty, wydatek... Ach! nie, nie, po tysiąc razy nie! to byłoby zbyt wielkie głupstwo!

XIII.

Zaledwie powróciwszy do siebie, Rudolf zasiadł do biurka, pod jelenią głową na ścianie przybitą. Ale gdy pióro wziął w palce, nie mógł myśli znaleźć i oparłszy się na obudwu łokciach, zaczął dumać. Emma wydawała mu się usuniętą w daleką przeszłość, jak gdyby powzięte przez niego postanowienie nagle niezmierzoną przestrzeń postawiło między nimi.

Aby pochwycić coś od niej pochodzącego, wyjął z szafy stojącej przy łóżku stare pudło od reimskich biszkoktów, w którym zwykł był chować kobiece listy. Uderzył zeń zapach pleśni i zwiędłych róż. Najpierwej wpadła mu w oko chusteczka czerwono poplamiona. Była to jej chusteczka: leżąca tu odkąd jednego dnia krew z nosa szła jej na przechadzce; zapomniał już o tem. Miniatura Emmy rozbijała się o rogi pudła; strój jej wydał mu się niesmacznie pretensyonalnym, a zalotne spojrzenie niemile rażącem. W miarę jak się wpatrywał w ten wizerunek i wywoływał wspomnienie wzoru, rysy Emmy zlały się w jego pamięci, jak gdyby twarz żywa i twarz malowana,

ocierając się jedna o drugą, wzajemnie się zatarły. Wreszcie przeczytał kilka jej listów; były pełne objaśnień i zapytań, tyczących się ich podróży, krótkie, zwięzłe i naglące, jak listy urzędnicze. Chciał przejrzeć dawniejsze, długie i miłosne; aby je dobyć z głębi pudła, rozrzucił wszystkie; co uczyniwszy, zaczął przetrząsać ten stos papierów i rzeczy, w którym pomieszane były zeschłe bukiety, podwiązka, czarna maska, szpilki i włosy — włosy! ciemne, jasne; niektóre zaczepione o zameczek pudła, rwały się jak go otwierano.

Tak grzebiąc pośród swych pamiątek, rozpatrywał pismo i styl listów, równie urozmaicone jak ich pisownia. Były pomiędzy nimi tkliwe i wesołe, żartobliwe i melancholiczne; niektóre żądały miłości, inne tylko pieniędzy. Czasem jeden wyraz przywodził mu na pamięć twarz, ruch, dźwięk głosu; czasem nic sobie nie przypominał.

W rzeczy samej, te kobiety, tłocząc się razem w jego pamięci, zawadzały sobie wzajemnie i drobniały, jak pod jednym poziomem miłości, która ich równała. Biorąc garściami wszystkie te pomieszane listy, bawił się czas jakiś przesypywaniem ich z prawej do lewej ręki. Wreszcie znudzony, senny, odniósł pudło do szafy, mówiąc sam do siebie:

— Co za stos blagi

To było streszczenie jego przekonań, gdyż roskosze, jak rój uczniów na szkolnym dziedzińcu tak podeptały jego serce, że nic zielonego wyrosnąć tam już niemogło, a to co tamtędy przechodziło, bardziej od dzieci płoche, nie zostawiało nawet, tak jak one, imienia swego na ścianach wyrytego.

— No! zacznijmyż raz! powiedział sobie,

Napisał:

„Odwagi, Emmo! odwagi! Ja nie chcę być sprawcą twego nieszczęścia..."

— Wszystko zważywszy, to jest prawdą, pomyślał Rudolf; działam w jej własnym interesie; jestem uczciwym.

„Czyś dobrze rozważyła skutki twego postanowienia? Czyś zmierzyła głębokość otchłani, w którą cię pociągałem, biedny mój aniele? Nie, zapewne. Szłaś ufna i zaślepiona, wierząc w szczęście, w przyszłość!.. Ach! nieszczęśliwi, szaleni jesteśmy!"

Tu Rudolf zatrzymał się, szukając jakiej dobrej wymówki.

— A gdybym jej też powiedział, że straciłem majątek?.. Ale nie! zresztą, toby się na nic nie

zdało. Trzebaby wszystko na nowo później rozpoczynać. Czy można do takich kobiet rozsądnie przemówić?

Pomyślał chwilę, potem napisał:

„Ja ciebie nigdy nie zapomnę, wierz mi, i zachowam dla ciebie na wieki uczucie najgłębszego poświęcenia, lecz kiedyś, prędzej czy później, namiętność nasza (taki jest los ludzkich rzeczy), byłaby zapewne ochłodła! Ogarnąłby nas przesyt, i kto wie nawet, czy nie dotknęłaby mnie okrutna boleść patrzenia na twe wyrzuty sumienia i podzielania ich samemu, ponieważ byłbym ich przyczyną. Sama myśl o dręczących cię zgryzotach męczarnią jest dla mnie, Emmo! Zapomnij o mnie! Dla czegóż musiałem cię poznać? Dla czegóż byłaś tak piękną? Czyliż to moja wina? O mój Boże! nie, nie, fatalność to zrządziła!"

— Oto wyrażenie, które nigdy nie chybia celu, powiedział sobie.

„Ach! gdybyś ty była jedną z tych kobiet płochego serca, jakich tyle widzimy, byłbym mógł zapewne, powodowany samolubstwem, zrobić doświadczenie, nie grożące ci w takim razie niebezpieczeństwem. Lecz ta urocza egzaltacya uczuć, która jest zarazem twoim powabem i twoją męczarnią, nie dozwoliła ci pojąć, zachwycająca

istoto, jak dalece fałszywem byłoby nasze położenie w przyszłości. Ja także, nie zastanowiłem się nad tem zrazu i spoczywałem w cieniu tego idealnego szczęścia, jak pod drzewem mancennilowem, nie przewidując następstw..."

— Może pomyśli że przez skąpstwo się cofam... Ach! mniejsza o to zresztą! tem gorzej! raz trzeba z tem skończyć!

„Świat jest okrutnym, Emmo! Wszędzieby nas prześladował, gdziekolwiekbyśmy się udali. Byłabyś narażoną na niedyskretne pytania, na potwarz, wzgardę, może na obelgi. Tobie obelgi! O!.. A ja, który chciałbym na tronie cię posadzić! ja, który pamięć o tobie jak talizman z sobą unoszę! Sam siebie karzę wygnaniem za wszystko złe, które ci wyrządziłem. Odjeżdżam. Dokąd? Sam niewiem... jestem szalonym! Bądź zdrowa! Zachowaj wspomnienie nieszczęśliwego, który cię zgubił. Naucz twoje dziecię mego imienia, aby je w modlitwach swych powtarzało."

Płomień dwóch świec drżał od przeciągu powietrza. Rudolf wstał, żeby zamknąć okno, a gdy znowu usiadł:

— Zdaje mi się, że będzie tego dosyć, rzekł sam do siebie. A! jeszcze jedno, z obawy żeby nowej *obławy* na mnie nie zrobiła.

„Daleko ztąd już będę kiedy ty przeczytasz te smutne kartki, chciałem bowiem uciekać jak najprędzej, aby uniknąć pokusy zobaczenia cię raz jeszcze. Bądź mężną! Ja powrócę, i może kiedyś, spokojnie rozmawiać będziemy o dawnej naszej miłości. Żegnam cię!"

— Jakże teraz podpiszę? pytał sam siebie. Twój na zawsze?.. Nie, to nie wypada. Twój przyjaciel?.. Tak będzie najlepiej.

„Twój przyjaciel."

Odczytał swój list. Znalazł go dobrym.

— Biedna kobiecinka! rzekł z rozrzewnieniem. Pomyśli żem nieczuły jak skała; zdałoby się tu kilka łez, lecz ja płakać nie umiem; nie moja w tem wina. A nalawszy wody w szklankę, Rudolf umoczył w niej palec i spuścił z góry grubą kroplę, która zrobiła bladą plamę na atramencie; potem szukając czem list zapieczętować, natrafił na *Amor nel cor.*

— Nie bardzo zastosowane do okoliczności... Ale ba! mniejsza o to!

Potem wypalił trzy fajki i położył się spać.

Nazajutrz, wyszedłszy na podwórze około drugiej godziny dopiero — spał bowiem długo, —

Rudolf kazał narwać koszyk moreli. Włożył list na spód, pod liście winne i polecił Gerardowi, swemu fornalowi, żeby to zaniósł ostrożnie do pani Bovary. Używał tego sposobu korespondowania z nią, posyłając stosownie do pory, owoce lub zwierzynę.

— Jeżeli cię zapyta o mnie, dodał, odpowiesz że wyjechałem w podróż. Koszyk oddasz do rąk jej własnych... Idź, i uważaj!

Gerard włożył nową bluzę, zawiązał koszyk chustką i w grubych podkutych trzewikach ruszył wielkimi krokami drogą ku Yonville.

Gdy przyszedł do pani Bovary, ona właśnie układała z Felicyą na stole w kuchni paczkę z bielizną.

— Nasz pan przysyła to dla pani, powiedział parobek.

Ogarnął ją niepokój, i szukając po kieszeniach drobnych pieniędzy, błędnem okiem mierzyła wieśniaka, podczas gdy on sam patrzył na nią zdumiony, nie pojmując jak taki podarunek może kogoś tak dalece wzruszyć. Wreszcie odszedł. Zostawała Felicya. Emma wytrzymać dłużej nie mogła. Pobiegła do salki niby dla odniesienia moreli, przewróciła koszyk, wyrzuciła z niego liście, znalazła

list, otworzyła go, i jak gdyby ją kto gonił, uciekać zaczęła przerażona do swego pokoju.

Zastała tam Karola; przemówił do niej, lecz nic nie słyszała i pobiegła dalej na górę, zadyszana, oszalała, nieprzytomna, trzymając ciągle w ręku tę straszną kartkę papieru, która chrzęściła w jej palcach jak kawałek blachy. Na drugiem piętrze stanęła przed drzwiami poddasza, które były zamknięte.

Wtenczas się opamiętała; przypomniała sobie list; należało go odczytać, nie miała na to odwagi. Zresztą, gdzie? jak? mógł ją kto zobaczyć.

— Ach! nie, tu, pomyślała, nikt mi nie przeszkodzi.

Popchnęła drzwi i weszła na poddasze. Dachówki od słońca rozpalone piekły jak żarem, duszący upał skronie jej rozsadzał i oddech tamował; powlekła się aż do zamkniętego dymnika, otworzyła go i potok światła oblał ściany poddasza.

Widać ztąd było pola, ciągnące się jak oko sięgnąć mogło. Na dole, plac był pusty, kamyki na chodniku błyszczały, chorągiewki na dachach stały nieporuszone; z niższego piętra narożnego domu dochodził rodzaj jednostajnego mruczenia

z ostremi modulacyami. To Binet toczył na swojej tokarni.

Emma oparła się o framugę dymnika, i odczytywała list z gniewnem szyderstwem. Lecz im bardziej się w nim zatapiała, tem bardziej plątały się jej myśli. Widziała przed sobą Rudolfa, słyszała głos jego, obejmowała go swemi ramionami, a uderzenia serca, które jak młotem pod piersią jej biło, coraz śpieszniej i w nierównych odstępach po sobie następowały. Oglądała się wokoło siebie, pragnąc aby ziemia się pod nią rozstąpiła. Czemu raz już nie skończyć? Co ją wstrzymywało? Była wolną. Wychyliła się okienkiem i spojrzała na bruk, mówiąc sama do siebie:

— Dalej! śmiało!

Promień świetlany idący prosto z dołu pociągał ku przepaści ciężar jej ciała. Zdawało jej się, że powierzchnia placu podnosiła się wzdłuż ściany i że podłoga, na której stała, pochylała się z jednej strony, jak kołyszący okręt. Stała na samym brzegu, prawie zawieszona, otoczna niezmierną przestrzenią. Ogarniał ją błękit nieba, powietrze szumiało w próżnej jej głowie, potrzebowała tylko się poddać, uledz zgubnemu pociągowi, w chwili tej mruczenie toczydła nie ustawało, jak przyzywający ją głos złowieszczy.

— Żono! żono! ozwał się nagle głos Karola.

Emma się cofnęła.

— Gdzież ty jesteś? Chodźże!

Myśl, że śmierci uniknęła, o mało ją o zemdlenie nie przyprawiła, przymknęła oczy, po chwili drgnęła za dotknięciem obcej dłoni do swego rękawa: była to Felicya.

— Pan czeka na panią, rzekła dziewczyna, zupa na stole!

Trzeba było zejść! trzeba było usiąść do stołu!

Probowała jeść. Jedzenie ją dławiło. Rozwinęła serwetę jak gdyby dla przyjrzenia się jej naprawkom, i chciała nitki rachować w cerach. W tem przypomniała sobie o liście. Czyby go zgubiła? Gdzie go szukać? Lecz tak wielkie znużenie umysł jej opanowało, że nie umiała znaleźć pozoru aby wstać od stołu. Nadto, stała się lękliwą; bała się Karola: on zapewne wiedział o wszystkiem! W istocie, w dziwny sposób wymówił te słowa:

— Zdaje się, że nie prędko zobaczymy pana Rudolfa?

— Kto ci to powiedział? rzekła drgnąwszy.

— Kto mi powiedział? odparł nieco zdziwiony tym szorstkim tonem; Gerard mi powiedział, któ-

rego przed chwilą spotkałem przed *Francuzką kawiarnią*. Wyjechał w podróż, czy też ma wyjechać.

Emma z trudnością stłumiła łkania.

— Cóż cię to tak zadziwia? Zwykle na jakiś czas wyjeżdża dla rozrywki i dobrze robi, na honor! Kiedy kto ma pieniądze i jest nieżonatym! Zresztą, ładnie się on bawi, ten nasz przyjaciel! o! to figlarz jakich mało. Pan Langlois mi opowiadał...

Tu zamilkł, przez przyzwoitość, gdyż weszła służąca.

Ta poukładała napowrót w koszyk morele rozrzucone na etażerce, Karol, nie zwracając uwagi na niezwykłe rumieńce żony, kazał je sobie przynieść, wziął z nich jedną i skosztował.

— O! wyborne! rzekł. Sprobuj tylko.

I podał jej koszyk, który lekko odepchnęła.

— Ależ powąchaj tylko, co za woń! rzekł przesuwając owoc kilkakrotnie pod jej nosem.

— Duszę się! wykrzyknęła, zrywając się z krzesła.

Wysiłkiem woli jednak pokonała cierpienie i rzekła spokojniej:

— To nic! to nic! to nerwowe! Usiądź i jedz.

A Karol nie chcąc jej się sprzeciwiać, usiadł i wypluwał w rękę pestki moreli, które następnie składał na swoim talerzu.

W tem, szafirowe tilbury przejechało dobrym kłusem przez plac. Emma krzyknęła przeraźliwie i padła jak długa na ziemię.

Rudolf po wielu wahaniach, namyślił się pojechać do Rouen. Ponieważ jednak z la Huchette do Buchy niema innej drogi jak przez Yonville, musiał przejeżdżać przez miasteczko i Emma poznała go po świetle latarni, które jak błyskawica mignęły w zmierzchu wieczornym.

Na rozruch jaki się zrobił w domu lekarza przybiegł zaraz pan Homais. Stół był przewrócony ze wszystkimi talerzami; kawałki mięsa, noże, solniczka i flaszka z oliwą leżały na ziemi w kałuży sosu; Karol wołał o ratunek; Berta przelękniona krzyczała, a Felicya drżącemi rękoma rozpinała stanik pani, po której ciele przechodziły konwulsyjne dreszcze.

— Biegnę do mego laboratoryum po trochę octu aromatycznego, rzekł aptekarz.

A gdy otworzyła oczy wąchając flakonik:

— Byłem tego pewnym, rzekł; to umarłego ocucić może.

— Przemów do nas! błagał Karol, przemów do nas! Ocuć się! To ja, twój Karol, który cię kocha! Czy mnie poznajesz? Patrz, oto twoja córeczka: pocałuje ją!

Dziecina wyciągała rączki, chcąc objąć matkę za szyję. Lecz Emma, odwracając głowę, wyjąkała porywczym głosem:

— Nie, nie... nikogo!

I znowu omdlała. Przeniesiono ją na łóżko.

Leżała z otwartemi usty, z przymkniętemi powiekami, rozłożonemi rękoma, nieruchoma i biała jak posąg woskowy. Z oczu jej spływały powoli na poduszkę dwa strumienie łez.

Karol stał w głębi alkowy, a pan Homais obok niego, zachowując to smętne milczenie, jakie przystoi w ważnych okolicznościach życia.

— Uspokój się pan, rzekł trącając łokciem lekarza; sądzę, że paroksyzm już minął.

— Tak jest! odparł półgłosem Karol, nie spuszczając z niej oczu. Zdaje się że usnęła. Biedna kobieta! Biedna moja Emma... znowu zapadła!

Natenczas Homais zapytał, co było powodem tego wypadku. Karol odpowiedział, że to ją napadło nagle, podczas gdy jadła morele.

— Osobliwsza!.. odparł aptekarz. Może być że morele sprowadziły zemdlenie. Są natury tak wrażliwe na niektóre wonie! byłaby to nawet piękna kwestya do studyowania, tak pod patologicznym jak pod fizyologicznym względem. Kapłani znali ważność tego czynnika, oni, którzy zawsze używali aromatów do swych obrzędów. Czynili to dla odurzenia umysłów i sprowadzania ekstazy, co zresztą łatwo wywołać u osób płci słabszej, delikatniejszych od drugich. Słyszałem o takich, które mdlały od zapachu spalonego rogu, lub świeżego chleba...

— Strzeż się pan, żeby jej nie obudzić! rzekł z cicha Bovary.

— I nie tylko ludzie podlegają tej *anomalii*, ciągnął dalej aptekarz, ale nawet i zwierzęta. Zapewne panu znanym jest dziwnie podniecające działanie *nepeta cataria*, pospolicie zwanego kociem zielem, na cały rodzaj koci, z drugiej strony, jako autentyczny przykład powiem panu o psie dawnego kolegi mego Bridouxa (mieszkającego teraz przy ulicy Malpalu), który to pies dostaje konwulsyi jak powącha tabaki. Czyby kto uwierzył, żeby proszek pobudzający do kichania mógł takie wywoływać wzburzenie w organizmie czwo-

ronogiego? To rzecz nadzwyczaj ciekawa, nieprawdaż?

— Zapewne! przytwierdził Karol, który wcale nie słuchał.

— To nam dowodzi, mówił dalej tamten z miną błogiego z samego siebie zadowolenia, mnogich nieprawidłowości w systemie nerwowym. Wracając do pani, zawsze mi się wydawała prawdziwą *sensytywą*. To też nie radziłbym ci dla niej, kochany przyjacielu, żadnego z tych mniemanych specyfików, które pod pozorem zwalczania choroby, działają na temperament. Nie, nie! żadnych niepotrzebnych leków! stosowna dyeta, oto wszystko! coś łagodzącego, uśmierzającego, kojącego. Nadto, czy nie sądzisz pan, że należałoby tu może działać na wyobraźnię?

— W czem? jak? zapytał Bovary.

— A! to właśnie pytanie! *That is the question!* jak czytałem w tych dniach w gazecie.

W tem Emma budząc się zawołała:

— A list? gdzie jest list?

Pomyślano że mówi w malignie; w samej rzeczy wpadła w nią od północy. Objawiało się zapalenie mózgu.

Karol nie odstąpił od niej przez czterdzieści trzy dni. Zaniedbał wszystkich swoich pacyentów, nie kładł się wcale, zajęty był nieustannie badaniem jej pulsu, przykładaniem jej synapizmów, zimnych kompresów, i t. p. Posyłał Justyna aż do Neufszatelu po lód; lód topniał przez drogę: posyłał po inny. Wezwał pana Caniveta na konsultacyę, sprowadził z Rouen doktora Larivière'a, swego dawnego profesora; był w rozpaczy. Najbardziej go przerażało znękanie Emmy, bo nic nie mówiła, nic nie słyszała, i nawet nie zdawała się cierpieć — jak gdyby dusza jej i ciało razem odpoczywały po wszystkich doznanych wstrząśnieniach.

Około połowy października mogła już siedzieć na łóżku, oparta o poduszki. Karol się rozpłakał gdy zobaczył jak jadła pierwszą swoją grzankę z konfiturami. Siły zaczęły jej powracać; wstawała na kilka godzin po południu, i jednego dnia, już lepiej się czuła, Karol sprobował wyprowadzić ją trochę do ogrodu. Ścieżki zasłane były opadłymi liśćmi; Emma postępowała powoli; wsparta na ramieniu męża, i uśmiechała się smętnie.

Zaszli tak aż w głąb ogrodu, na taras. Wyprostowała się powoli, przysłoniła dłonią oczy,

aby dalej wzrok zapuścić; lecz na widnokręgu dojrzała tylko palące się trawy, które dymiły na wzgórzach.

— Zmęczysz się, kochanko, rzekł Bovary.

I pociągając ją ku altance, dodał:

— Usiądź na tej ławeczce: tu ci będzie dobrze.

— O! nie, nie tam, nie tam! zaprotestowała słabnącym głosem:

Omdlała, i od tego wieczoru zapadła znowu. Choroba jej teraz przybrała charakter bardziej niepewny i skomplikowany. Cierpiała już to na serce, już to na piersi, na głowę, na ból we wszystkich członkach; miewała nawet wymioty; które Karolowi wydały się pierwszymi symptomatami raka w żołądku.

A biedny człowiek miał jeszcze w dodatku kłopoty pieniężne!

XIV.

Po pierwsze, nie wiedział jakim sposobem wynagrodzić pana Homais za wszystkie wzięte u niego lekarstwa, a chociaż jako lekarz, byłby mógł nie płacić za nie, wszelako wstydził się trochę takich zobowiązań. Następnie wydatek domowy,

odkąd sługa rządziła, niesłychanie się powiększył, rachunki sypały się codzień, kupcy szemrali, pan Lheureux nadewszystko mu się naprzykrzał. Albowiem podczas najcięższej choroby Emmy, korzystając z tej okoliczności dla powiększenia swego rachunku, przyniósł zamówiony płaszcz, torbę, dwa kufry podróżne zamiast jednego i wiele jeszcze innych rzeczy. Napróżno Karol dowodził mu, że tego niepotrzebuje; kupiec odpowiedział zuchwale, że zamówiono u niego te wszystkie przędmioty, i że ich nie odbierze, zresztą, nie należy drażnić pani w chorobie; pan się namyśli; wreszcie gotów był raczej udać się na drogę sądową, aniżeli odstąpić praw swoich i odbierać swój towar. Karol jednak następnie polecił odnieść to wszystko do jego sklepu, lecz Felicya o tem zapomniała, on też co innego miał na głowie, i tak zostało. Pan Lheureux powrócił do ataku, i używając na przemiany groźby i prośby tyle wymógł, że mu Bovary dał kwit z terminem sześciomiesięcznym. Zaledwie jednak kwit ten podpisał, przyszła mu myśl genialna: pożyczyć tysiąc franków od pana Lhereux. Zapytał go więc z pewną nieśmiałością czyby nie można było dostać takiej sumki na rok, na jakiby chciano pro-

cent? Lheureux pobiegł do swego sklepu, przyniósł pieniądze i podyktował inny kwit, którym Bovary zobowiązywał się zapłacić na 1 września roku przyszłego sumę tysiąc siedmdziesiąt franków, co, łącznie ze stu ośmdziesięcioma dawniejszymi czyniło okrągłe tysiąc dwieście pięćdziesiąt. W ten sposób, pożyczywszy na sześć procent, z dodaniem komisowego, i zysku na dostawach, miał mieć w ciągu roku sto trzydzieści franków zysku; a miał nadzieję, że interes na tem się nie skończy, że nie będzie można na czas wykupić kwitów, że się je odnowi, i jego biedny grosz, utuczony u lekarza jak w domu zdrowia, powróci kiedyś do niego daleko grubszy i okrąglejszy.

Wszystko mu się zresztą powodziło. Uzyskał dostawę jabłeczniku do szpitala w Neufszatelu; pan Guillemin przyrzekł mu akcye na torfiarnie w Grumesnil, i marzył o urządzeniu nowej dyliżansowej komunikacyi pomiędzy miastami Arcueil i Rouen, któraby w niedługim czasie zakasowała trzęsidło *Złotego Lwa*, a chodząc prędzej, biorąc więcej pakunków i taniej, przeniosłaby w jego ręce cały handel Yonville'u.

Karol przemyśliwał nieraz nad tem zkąd na przyszły rok weźmie tyle pieniędzy na zapłacenie

długu, łamał sobie głowę nad wynalezieniem jakiego środka, chciał odwołać się do swego ojca lub sprzedać cokolwiek. Ale ojciec jego głuchym będzie na to wezwanie, a sam nie miał nic do sprzedania. Natenczas takie przewidywał kłopoty, że starał się usunąć z myśli tak niemiły przedmiot rozpamiętywania. Wyrzucał sobie że zapomina o Emmie, jak gdyby wszystkie myśli jego tak należały do tej kobiety, że krzywdę jej wyrządzał nie zajmując ich nią bezustannie.

Zima była ciężka. Rekonwalescencya pani długo trwała. W dnie pogodne, przysuwano ją z fotelem do okna wychodzącego na plac, znienawidziła bowiem ogród i zazdrostka od tej strony pozostawała zawsze zamkniętą. Nastawała aby Karol sprzedał konia, wszystko co dawniej lubiła, teraz jej się nie podobało. Wszystkie jej myśli zdawały się ograniczać do starań o własną osobę. Kazała sobie w łóżku podawać różne przekąski, co chwila dzwoniła na sługę dla dowiadywania się o swoje ziółka lub dla pogawędzenia z nią. Śnieg leżący na dachach napełniał pokój jednostajnem, białawem światłem; potem znowu deszcz padał. A Emma codziennie oczekiwała z pewnym niepokojem nieodmiennego powrotu drobnych co-

dziennych wydarzeń, które jednak wcale ją nie obchodziły. Najważniejszem z nich było wieczorne przybywanie *Jaskółki*. Wtenczas słychać było donośny głos oberżystki, któremu inne odpowiadały, podczas gdy latarnia Hipolita, wyciągającego pakunki z pod płóciennej budy, migała jak gwiazda pośród ciemności. W południe przychodził Karol; potem znowu wychodził; potem jadła rosół, a około piątej godziny, za nadejściem zmroku, dzieci powracające ze szkoły, stukały po bruku sabotami, i uderzały kolejno liniami w okiennice.

O tej porze zwykle odwiedzał ją ksiądz Bournisien. Dowiadywał się o jej zdrowie, znosił jej nowinki i zachęcał ją do pobożności pieszczotliwem gadulstwem, które nie było bez pewnego powabu. Sam widok jego sutany wzmacniające na niej robił wrażenie.

Jednego dnia, kiedy w czasie najcięższej swej choroby sądziła się umierającą, zażądała komunii; a patrząc jak robiono w pokoju przygotowania na przyjęcie Sakramentu, urządzano ołtarz na komodzie zastawionej flaszkami, a Felicya georginiami usypywała posadzkę, Emma uczuła jakby ją przeniknęła moc jakaś, która ją uwalniała od

jej boleści, od wszelkiego pojęcia, od wszelkiego uczucia. Ciało jej zeteryzowane, myśleć przestawało, zaczynała inne życie; zdawało jej się, że cała jej istność, wzlatując ku niebu, stopnieje w tej miłości jak zapalone kadzidło, które się z dymem ulatnia. Skropiono prześcieradła wodą święconą; ksiądz dobył z cymboryum białą jak śnieg hostyę; a Emma omdlewając z niebiańskiej radości otworzyła usta dla przyjęcia Ciała Pańskiego, które się do niej zbliżało. Firanki alkowy wydymały się wokoło niej miękko, na kształt obłoków, a światło dwóch gromnic na komodzie płonących wydawało jej się niby olśniewający blask otwartych niebios. I opuściła głowę, sądząc że słyszy w przestrzeni chór arf seraficznych, i spostrzega pośród niebieskiego błękitu, na złotym tronie, otoczonego świętymi trzymającymi zielone palmy, Boga Ojca w całym majestacie, który skinieniem wszechwładnej dłoni rozkazywał aniołom o skrzydłach ognistych spuścić się na ziemię i unieść ją na swych rękach.

To wspaniałe widzenie pozostało w jej wspomnieniu jako rzecz najpiękniejsza którą dusza wymarzyć zdolna, tak dalece, że usiłowała teraz pochwycić to uczucie, które jednak trwało ciągle,

chociaż nie z taką wyłącznością, ale z równą słodyczą. Dusza jej zmęczona pychą, odpoczywała wreszcie w pokorze chrześciańskiej, lubując się w swej słabości, Emma podziwiała sama w sobie zniweczenie swej woli, które miało szeroką bramę otworzyć dla postępów Łaski. Istniały więc w miejscu ziemskiego szczęścia większe rozkosze, istniała inna miłość, wyższa nad wszelkie miłości, bez przerwy ani końca, i która wzrastać miała wiecznie! Przeczuła, pośród złudzeń swych nadziei, stan czystości nadziemskiej, zlewającej się z niebem, dokąd dostać się pragnęła. Chciała zostać świętą. Kupowała szkaplerze, nosiła medalioniki, pragnęła mieć w swoim pokoju, nad łóżkiem relikwiarz w szmaragdowej oprawie, żeby go wieczór całować.

Ksiądz proboszcz zachwycił się tem usposobieniem, chociaż znajdował, że religia Emmy mogła ze zbytku gorliwości potrącić o herezyę i dojść do przesady. Nie będąc jednak bardzo biegłym w tych materyach, jak tylko przekraczały pewną granicę, napisał do pana Boutarda, księgarza Jego Ekscelencyi, żeby mu przysłał *coś stosownego dla osoby płci żeńskiej wyższego umysłu.* Księgarz, z taką obojętnością jak gdyby wyprawiał świecące

rupiecie dla murzynów, zapakował wszystko co miało w tym czasie pokup w handlu nabożnemi książkami. Były to małe podręczniki w pytaniach i odpowiedziach, paszkwile w tonie nadętym na wzór pana de Maistre, i pewien rodzaj romansów w różowej okładce i słodkawym pisanych stylem, fabrykowanych przez lirycznych seminarzystów lub żałujące *niebieskie pończochy*. Było tam: *Pomyśl dobrze nad tem; Człowiek światowy u stóp Maryi, przez pana de ***, ozdobionego wieloma orderami; O błędach Voltair'a do użytku młodzieży*, i t: p.

Umysł pani Bovary nie był jeszcze dosyć jasnym, żeby mogła się czemkolwiek na seryo zajmować; zresztą, zbyt pośpiesznie przystąpiła do czytania tych książek. Buntowała się przeciwko przepisom kultu; arogancya polemiki religijnej niepodobała jej się z powodu zaciętości, z jaką napastowała nieznanych ludzi, a świeckie powiastki zaprawione wonią pobożności wydały jej się pisane z taką nieznajomością świata, że ją nieznacznie oddaliły od prawd, których dowodu szukała. Czytała jednak dalej, a gdy książka wypadała jej z ręki, sądziła się przejętą najsubtelniejszą melancholią katolicką, jaką napełnić może duszę eteryczną.

Wspomnienie Rudolfa usunęła w najgłębszy zakątek serca, gdzie obraz jego pozostał w uroczystej nieruchomości, nakszałt królewskiej mumii w podziemiu. Mistyczna woń jakaś dobywała się z tej wielkiej zabalsamowanej miłości, a przenikając wszystko, napełniała tchnieniem czułości niepokalaną atmosferę, w której żyć pragnęła. Klękając na swym gotyckim klęczniku, zwracała do Boga te same słodkie wyrazy, które niegdyś szeptała do ucha kochanka, w wylaniach cudzołożnej miłości. Czyniła to dla wzbudzenia w sobie wiary, lecz żaden promień łaski nie zstępował na nią z nieba, i podnosiła się ze zbolałymi członkami, i niewyraźnem uczuciem wielkiej mistyfikacyi. Te usiłowania, myślała sobie, były jedną więcej zasługą, i pyszna swą pobożnością, Emma porównywała się do wielkich dam zeszłego wieku, o których sławie marzyła nad portretem panny de la Vallière, a które wlokąc z taką wspaniałością haftowane ogony swoich dworskich sukien, szukały samotności, aby u stóp Chrystusa wylewać łzy serca znużonego blaskiem ziemskiego życia.

Natenczas rzuciła się w przesadzone miłosierdzie. Szyła koszule dla biednych; posyłała drze-

wo ubogim położnicom, jednego dnia Karol powracając do domu zastał w kuchni trzech łobuzów, którzy zajadali zupę przy stole. Sprowadziła napowrót do domu swoją córeczkę, którą Karol był oddał do mamki na czas jej choroby. Chciała ją uczyć czytać, żadne grymasy Berty nie mogły jej rozdrażnić. Była uzbrojona w niewyczerpaną słodycz i pobłażanie ogólne. Mowa jej pełną była idealnych wyrażeń. Mówiła do dziecka swego.

— Już cię brzuszek nie boli, mój aniele?

Starsza pani Bovary nie miała już co przyganiać, chyba może manię robienia na drutach kaftaników dla sierot, zamiast naprawiania bielizny. Znużona jednak kłótniami domowemi, staruszka podobała sobie w tym spokojnym domu; pozostała tu nawet przez święta wielkanocne, dla uniknienia szyderstw ojca Bovary, który nieodmiennie w każdy wielki piątek kazał sobie podawać smażoną kiełbasę.

Oprócz towarzystwa teściowej, które ją trochę umacniało przez obejście poważne i zdrowy sąd staruszki, Emma codziennie prawie inne jeszcze miewała. Odwiedzały ją panie Langlois, Caron, Dubreuil, pani merowa Tuvache, i codzień regu-

larnie, od drugiej do piątej godziny zacna pani Homais, która nigdy wierzyć nie chciała żadnym plotkom jakie rozsiewano o jej sąsiadce. Przychodziły do niej także dzieci pani Homais; przyprowadzał je Justynek. Wpuściwszy je do pokoju pani Bovary, stawał przy drzwiach milczący i nieruchomy. Nieraz pani Bovary, nie zwracając wcale na niego uwagi, siadała do toalety. Wyjmowała najpierw grzebień z włosów i wstrząsała nagle głową; a kiedy biedny chłopak po raz pierwszy ujrzał tę kaskadę włosów, spadającą w czarnych pierścieniach aż do samych kostek, zrobiło mu się tak jak gdyby miał objawienie czegoś nadzwyczajnego, czego przepych go przeraził.

Emma zapewne nie spostrzegała wcale jego nieśmiałości i niemego uwielbienia. Nie domyślała się, że miłość, która znikła z widnokręgu jej życia, trzepotała się tam, blizko niej, pod tą grubą koszulą, w tem młodocianem sercu rozkwitającem pod promieniami jej piękności. Zresztą, taką teraz wszystko ogarniała obojętnością, miała wyrażenia tak serdeczne i spojrzenia tak wyniosłe, obejście tak niejednostajne, że trudno było w niej odróżnić samolubstwa od miłosierdzia, ani zepsucia od cnoty. Jednego wieczoru naprzykład,

rozgniewała się na sługę, która prosiła ją o pozwolenie wyjścia i jąkała się szukając pozoru, potem nagle głos zmieniając:

— Kochasz go więc? rzekła łagodnie.

I nie czekając odpowiedzi Felicyi, która się rumieniła, dodała smutnie:

— Idźże sobie! zabaw się!

Za nadejściem wiosny, kazała aby ogród przewrócić od jednego końca do drugiego, pomimo uwag Bovarego, który jednak z radością widział że jakąkolwiek wolę objawiać zaczyna. W miarę jak odzyskiwała zdrowie, wola ta stawała się coraz czynniejszą. Najpierwej, znalazła sposób odprawienia matki Rollet, mamki Berty, która przez czas jej słabości przyzwyczaiła się zbyt często przychodzić do kuchni z dwojgiem niemowląt u piersi i swoim pensyonarzem, żarłocznym jak kannibal. Potem wyzwoliła się od rodziny Homais, uwolniła się kolejno od wszystkich innych wizyt, i nawet mniej gorliwie uczęszczać zaczęła do kościoła, ku wielkiemu zadowoleniu aptekarza, który jej przy tej sposobności powiedział po przyjacielsku:

— Pani zaczynałaś się skłaniać trochę ku klerykalizmowi!

Ksiądz Bournisien przychodził jednak jak dawniej, codzień, po katechizmie. Lubił siedzieć na dworze, oddychać świeżem powietrzem w *gaju*, tak nazywał altankę. O tej godzinie powracał Karol. Było im gorąco, przyniesiono butelkę słodkiego jabłeczniku i pili razem za zupełny powrót do zdrowia pani.

Binet też tam był — to jest trochę niżej, pod ścianą tarasu, i łowił raki. Bovary zapraszał go na szklaneczkę jabłeczniku, a on wybornie umiał odkorkowywać butelki.

— Trzeba, mówił wodząc wokoło siebie zadowolonym wzrokiem, — trzeba tak trzymać butelkę na stole, a poprzecinawszy szpagat, wypychać korek powoli, ostrożnie, tak jak to robią z wodą sodową u restauratorów.

Lecz jabłecznik tymczasem tryskał im często w twarz, na co duchowny śmiejąc się rubasznie, nie omieszkał nigdy powiedzieć:

— Doskonałość jego bije w oczy!

Był to zacny człowiek, w istocie, jednego dnia nawet, nie zgorszył się aptekarzem, który doradzał Karolowi, aby dla rozerwania żony, zawiózł ją do teatru w Rouen, zobaczyć słynnego tenora Lagardy'ego. Homais, dziwiąc się temu milczeniu,

zapytał go o zdanie, a ksiądz odpowiedział że uważa muzykę za mniej od piśmiennictwa szkodliwą dobrym obyczajom.

Tu aptekarz stanął w obronie piśmiennictwa. Teatr, zdaniem jego, służył do obalenia przesądów, i pod pokrywką przyjemności, nauczał cnoty.

— *Castigat ridendo mores*, księże Bournisien! Czytaj pan tylko tragedye Voltera; większa ich część posiana jest zręcznie filozoficznemi uwagami, które czynią z nich prawdziwą szkołę moralności i dyplomacyi.

— Ja, wtrącił Binet, widziałem kiedyś sztukę pod tytułem *Ulicznik paryzki*, w której odznacza się charakter pewnego starego generała pobitego na głowę! Odprawia on młodzieńca ze znakomitej rodziny, który uwiódł ubogą szwaczkę i który w końcu..!

— Bez wątpienia! przerwał Homais, jest złe piśmiennictwo tak samo, jak zła apteka, lecz potępiać ryczałtowo najważniejszą ze sztuk pięknych, wydaje mi się niedorzecznością, barbarzyńskim pomysłem, godnym owych szkaradnych czasów kiedy więziono Galileusza.

— Ja to wiem dobrze, zarzucił proboszcz, że są dobre dzieła, dobrzy autorowie; wszelako, zwa-

żywszy tylko ten tłum osób płci odmiennej zgromadzonych w uroczej sali, ozdobionej światowym przepychem, następnie te pogańskie stroje, bielidła, te światła, wonie, te głosy zniewieściałe, to wszystko musi w końcu sprowadzić pewną rozwiązłość umysłu i nastręczać nieuczciwe myśli, nieczyste pokusy. Takie przynajmniej jest zdanie wszystkich Ojców Kościoła. Wreszcie, dodał przybierając nagle brzmienie głosu mistyczne i kręcąc na palcu szczyptę tabaki, jeżeliż Kościół potępił widowisko sceniczne, musiał mieć powód do tego, nam zaś wypada tylko poddać się jego wyrokom.

— Dla czegóż Kościół wyklina aktorów? zagadnął aptekarz, kiedy ci niegdyś brali jawny udział w obrzędach kultu? Tak jest, przedstawiano na chórze rodzaj fars dramatycznych, zwanych misteryami, w których częstokroć obrażano prawa przyzwoitości.

Duchowny jęknął tylko, a pan Homais ciągnął dalej:

— Tak samo jak w Biblii; znajduje się tam... jak panu wiadomo... niejeden szczegół... pieprzny... o rzeczach... prawdziwie swawolnych?

A nie zważając na gniewne poruszenie proboszcza, dodał:

— Przyznaj, mój księże, że to książka wcale nie stosowna dla młodych osób i byłbym bardzo niezadowolony gdyby Atalia...

— Ależ to protestanci zalecają czytanie Biblii, a nie my! wykrzyknął tamten zniecierpliwiony.

— Mniejsza o to! rzekł Homais; dziwię się tylko, że za naszych czasów, w wieku światła, ktoś może jeszcze potępiać umysłową rozrywkę, która jest niewinną, moralną a nawet czasem hygieniczną, nieprawdaż doktorze?

— Zapewne, odparł obojętnie lekarz, bądź to, że podzielając te wyobrażenia, nikogo nie obciał obrazić, bądź też, że żadnych nie miał wyobrażeń.

Rozmowa zdawała się skończoną, gdy aptekarz uznał za stosowne jeszcze jedno dać pchnięcie.

— Znałem księży, powiedział, którzy się przebierali w świeckie suknie, żeby iść popatrzeć na skoki tancerek.

— Co znowu! adparł proboszcz oburzony!

— Ależ znałem takich!

I rozdzielając zgłoski swego zdania, Homais powtórzył raz jeszcze:

— Zna-łem — ta-kich.

— To źle robili! rzekł Bournisien zrezygnowany na usłyszenie wszystkiego.

— Co innego oni jeszcze robią! zaśmiał się aptekarz.

— Mości panie!.. okrzyknął się duchowny z tak piorunującym wzrokiem, że aptekarz aż się zmięszał.

— Chcę powiedzieć tylko, odparł z większem umiarkowaniem, że tolerancya jest najpewniejszym sposobem zyskania dusz dla religii.

— To prawda, to prawda! przytwierdził poczciwiec, siadając napowrót.

Ale nie zabawił już długo. Po jego odejściu, pan Homais rzekł do lekarza:

— Oto na głowę pobity! Tom go zrąbał, nieprawdaż?.. Z tem wszystkiem, usłuchaj pan mojej rady i zawieź panią do teatru, chociażby dla tego, żeby raz w życiu jednemu z tych kruków na złość zrobić, *karamba!* Gdybym tylko miał kogo na zastępcę, tobym wam chętnie towarzyszył. Ale się pośpieszcie. Lagardy już tylko jedno ma dać przedstawienie; zamówiony jest do Anglii za wysokie wynagrodzenie. Sławny to szpak, jak mówią! złoto płynie u niego! wozi z sobą trzy kochanki i kucharza! Wszyscy ci wielcy artyści z dwóch końcy świecę zwykli palić; potrzeba im

życia wyuzdanego, któreby podniecało ich wyobraźnię. Częstokroć też umierają w szpitalu, dla tego, że niemieli tego rozumu, aby za młodu robić oszczędności. No, dobrego apetytu państwu życzę! Do widzenia!

Myśl o teatrze prędko pokiełkowała w głowie Bovarego, zaraz udzielił jej żonie; która ją zrazu odrzuciła, wymawiając się zmęczeńiem, kłopotem, wydatkiem; Karol jednak, wbrew swemu zwyczajowi nie ustąpił, tak mu się ta rozrywka wydawała potrzebną dla niej. Nie widział żadnej przeszkody, matka mu przysłała trzysta franków, na które już nie liczył, długi bieżące nie były wielkie, a termin wypłaty panu Lheureux tak był jeszcze dalekim, że nie było czem się kłopotać. Zresztą, sądząc że Emma powoduje się delikatnością, bardziej jeszcze naglił, tak że w końcu się namyśliła. I trzeciego dnia o ósmej rano wsiedli do *Jaskółki*.

Aptekarz, którego nic nie zatrzymywało w Yonville, ale któremu punkt honoru nie pozwalał się oddalać, westchnął widząc ich odjeżdżających.

— Przyjemnej podróży i dobrej zabawy! rzekł do nich, szczęśliwi śmiertelnicy!

A zwracając się do Emmy, która miała na sobie niebieską jedwabną suknię z falbanami:

— Jesteś pani dziś ładną jak amorek! dodał. Zrobisz pani *furorę* w Rouen.

Dyliżans stawał w hotelu pod *Czerwonym Krzyżem*, na placu Beauvoisine. Był to jeden z tych zajazdów pospolitych na wszystkich przedmieściach miast prowincyonalnych: z wielkiemi stajniami i małemi sypialniami, gdzie na podwórzu kury grzebią pod zabłoconymi wózkami podróżujących komisantów; poczciwe stare schronienia o spruchniałych drewnianych balkonach, które trzeszczą podczas burzliwych nocy zimowych, zawsze pełne ludzi, gwaru i jadła, których czarne stoły lepkie są od *gloryi*, grube szyby od much zapstrzone, serwety czerwonem winem poplamione, i które trącąc zawsze wsią, jak fornal po miejsku przebrany, mają od ulicy kawiarnię, a od pola ogród warzywny. Karol pobiegł natychmiast do miasta. Nie umiał odróżnić parteru od lóż, amfiteatru od galeryi, żądał objaśnień, nie rozumiał ich, odsyłany od kasyera do dyrektora, powrócił do zajazdu, znowu poszedł do kasy i tak kilkakrotnie przebiegł całą długość miasta, od teatru aż do bulwaru.

Pani kupiła sobie kapelusz, rękawiczki i bukiet. Pan obawiał się nadewszystko, żeby nie chybić początku; nie zdążywszy zatem przełknąć obiadu, pośpieszyli do drzwi teatralnych, które jeszcze były zamknięte.

XV.

Tłumy ludzi stały pod teatrem, natłoczone po między balustradami. Na rogach sąsiednich ulic olbrzymie afisze powtarzały najdziwaczniejszych kształtów głoskami *Łucya z Lamermoru... Lagardy... Opera...* etc. Pogoda była piękna, upał wielki; pot spływał po wszystkich twarzach, dobyte chustki ocierały czerwone czoła, chwilami ciepły wiatr od rzeki poruszał lekko firankami płóciennych namiotów, urządzonych przy wejściu do kawiarni. Poniżej jednak przeciągał chłodny powiew, przynoszący woń łoju, skór i tranu. Był to wyziew ulicy des Charettes, pełnej zakopconych składów gdzie pakowano beczki.

Z obawy śmieszności, Emma chciała przed wejściem do teatru przejść się po bulwarze, a Bovary przez ostrożność trzymał bilety w ręku, w kieszeni od spodni.

Już w przysionku serce Emmy mocno bić zaczęło. Mimowolnie się uśmiechnęła zadowoloną próżnością, widząc jak tłum rzucił się na prawo w korytarz, podczas gdy ona wstępowała na główne wschody do lóż prowadzące. Miała dziecinną przyjemność w dotykaniu palcami szerokich drzwi rzeźbionych; wciągała całą piersią woń gazową atmosfery, która ją otaczała, a usiadłszy w swej loży, wygięła kibić z wyniosłym wdziękiem księżniczki.

Sala zaczynała się napełniać; dobywano z futerałów perspektywy, a znajomi, spostrzegając się z daleka, oddawali sobie wzajemne ukłony. Ci ludzie przychodzili tu odetchnąć pośród sztuk pięknych z niepokojów handlowych; nie zapominając jednak nigdy o interesach, i tu rozmawiali o bawełnie. Widziano tu głowy starców, spokojne i bez wyrażeń, które żółtawą twarzą i białawymi włosami, przypominały srebrne zaśniedziałe medale. Młodzi eleganci rozpościerali się na *parkiecie*, w blado różowych lub jabłkowatych krawatach rozłożonych na wydętych przez otwarte kamizelki gorsach; pani Bovary podziwiała ich z góry, jak opierali na laseczkach ze złotemi gałkami dłonie obciągnięte żółtemi rękawiczkami.

Wreszcie zapłonęły lampiony orkiestry; żyrandol spuścił się z góry rozlewając po sali nagłe rozweselenie razem ze światłem swych rżniętych szkieł, następnie muzykanci weszli po jednemu, po czem zaczęło się przeciągłe mruczenie basów, pisk skrzypiec, mianowicie fletów i oboi. W tem dało się słyszeć trzykrotne uderzenie na scenie; cymbały zadudniły, dęte instrumenta wzięły akordy, i kurtyna podnosząc się odsłoniła szkocki krajobraz.

Była to polanka w lesie, po lewej stronie szemrało źródło ocienione dębem. Włościanie i panowie, w pledach zarzuconych na ramiona, śpiewali chórem pieśń myśliwską; potem nadszedł jakiś wódz, który wzywał anioła ciemności wznosząc obie ręce do góry, zjawił się jeszcze drugi i myśliwi zaśpiewali znowu.

Emma ujrzała się przeniesioną w świat Walter-Scotta, który ją zachwycał w epoce jej pierwszej młodości. Zdawało jej się, że słyszy pośród mgły, odgłos szkockich kobz rozlegający się po zaroślach. Zresztą, mając przez wspomnienia romansu ułatwione zrozumienie libretta, postępowała krok w krok za intrygą, podczas gdy niepochwycone myśli krążyły po głowie i rozpraszały się pod

wpływem muzyki. Dawała się kołysać miękkim melodyom i sama czuła całą istność swoją drgającą, jak gdyby smyczki po jej nerwach uderzały. Oczu jej nie wystarczało na objęcie wszystkich kostiumów, dekoracyj, osób, drzew malowanych, które drżały kiedy koło nich przechodzono, i aksamitnych kołpaków, płaszczy, szpad, wszystkich tych fantazyj, które poruszały się w morzu harmonii jak w atmosferze innego świata. W tem wystąpiła młoda kobieta i rzuciła woreczek zielonemu masztalerzowi. Została samą i wtenczas usłyszano flet, który naśladował mruczenie strumyka lub świergot ptasząt. Łucya zaintonowała śmiało swoją kawatinę z *g major;* rozwodziła skargi miłośne, chciała dostać skrzydeł. Emma także byłaby pragnęła, porzucając życie, ulecieć w uścisku. W tem ukazał się Edgar-Lagardy.

Był bladym — tą pyszną bladością, która użycza marmurowej powagi namiętnym rasom południa. Okazała jego postawa ujętą była w obcisły kaftan czerwonego koloru; mały cyzelowany sztylecik wisiał mu u pasa; przewracał miłośnie oczy odkrywając szereg białych zębów. Mówiono, że pewna zagraniczna księżna, zakochała się w nim usłyszawszy jak śpiewał na wybrzeżu Bia-

ritz, gdzie naprawiał szalupy i zrujnowała się dla niego. Porzucił ją potem dla innych kobiet, a rozgłos tych miłostek przyczyniał się do jego artystycznej sławy. Przebiegły komedyant starał się nawet zawsze wtrącić do swych reklam poetyczne słówko uroku swej osoby i tkliwości duszy. Piękny organ głosu, niezachwiana pewność siebie, więcej temperamentu niż inteligencyi i więcej przesady niż prawdziwego liryzmu, oto były zalety, które podnosiły tę niepospolitą naturę szarlatana, mającą w sobie trochę toreadora i trochę fryzyera.

Od pierwszej zaraz sceny obudził zapał. Ściskał w objęciach Łucyę, oddalał się od niej, powracał, zdawał się zrozpaczonym, miał szczytne wybuchy gniewu, potem elegijne jęki, pełne niezrównanej słodyczy, a tony wychodziły z jego obnażonego gardła, pełne łez i pocałunków. Emma wychylała się z loży, aby go lepiej widzieć, drapiąc paznokciami aksamit poręczy. Serce jej wzdymało się tymi melodyjnymi żalami, które odzywały się na tle basowych akompaniamentów, jak jęki rozbitków wśród zamętu burzy. Stawały jej w pamięci wszystkie upojenia i wszystkie męki, które ją zaledwie o śmierć nie przyprawiły. Głos śpiewaczki brzmiał w jej uszach jak odźwięk własnego

jej sumienia, a to złudzenie, które ją zachwycało, stawało się cząstką własnego jej życia. Lecz nikt w świecie nie kochał jej taką miłością. *On* nie płakał tak jak Edgar, ostatniego wieczoru, kiedy przy świetle księżyca powtarzała sobie: „Do jutra! do jutra!" Sala trzęsła się od oklasków; musiano powtórzyć całą scenę, kochankowie mówili o kwiatach swoich grobów, o przysięgach, o wygnaniu, o fatalności, o nadziejach, a kiedy wyśpiewali ostatnie pożegnanie, Emma wydała krzyk mimowolny, który się połączył z drganiami finałowych akordów.

— Za cóż ten pan ją prześladuje? zapytał Bovary.

— Ależ nie, odrzekła, to jej kochanek.

— Jednak przysięga mścić się na jej rodzinie, podczas gdy ten drugi, który tylko co przychodził, mówił: „Kocham Łucyę i sądzę, że jestem od niej kochanym". Zresztą, odszedł z jej ojcem, trzymając się z nim pod rękę. Bo to musi być jej ojciec, nieprawdaż? ten brzydki, z koguciem piórem u kapelusza?

Pomimo objaśnień Emmy, po recitatiwie duetu, w którym Gilbert przedstawia swemu panu Astonowi swoje ohydne intrygi, Karol, widząc fałszy-

wą obrączkę zaręczynową, która ma oszukać Łucyę, sądził że to pamiątka miłości przysłana przez Edgara. Przyznawał zresztą, że nie rozumie tej historyi, — z powodu muzyki — która bardzo szkodziła wyrazom!

— Bądźże raz cicho! rzekła Emma.

— Bo wiesz że ja zawsze lubię zdawać sobie sprawę ze wszystkiego, odparł pochylając się na jej ramię.

— Cicho bądź! cicho bądź! powtórzyła zniecierpliwiona.

Łucya postępowała, prowadzona przez swe kobiety, w wieńcu z pomarańczowych kwiatów na głowie, bledsza od białego atłasu ślubnej sukni. Emma przypomniała sobie dzień swych zaślubin, jak szła ścieżką przez pola, do kościoła. Dla czegóż nie zrobiła wtenczas tak jak ta, nie opierała się, nie błagała? Przeciwnie, była wesołą, nie spostrzegając przepaści, w którą się rzucała!.. Ach! gdyby była mogła w dziewiczej swej piękności, przed pokalaniem małżeństwa i rozczarowaniem cudzołóztwa, oprzeć życie swoje na jakiem wielkiem i silnem sercu, wtenczas przy zlaniu w jedno uczucie cnoty, czułości, rozkoszy i obowiązku, nie byłaby nigdy zstąpiła z wyżyn

tak doskonałej szczęśliwości. Lecz ta szczęśliwość była zapewne urojeniem, wymyślonem na zabicie wszelkiej żądzy. Poznała już małość tych namiętności sztuką upoetyzowanych. Usiłując przeto myśl swą od nich odwrócić, Emma starała się w tem odbiciu własnych boleści widzieć tylko plastyczną fantazyę stworzoną dla rozrywki, i uśmiechała się nawet ze wzgardliwą litością, gdy w głębi sceny, stanął pod aksamitną portyerą mężczyzna w czarnym płaszczu.

Gwałtownym ruchem zrzucił z głowy wielki hiszpański kapelusz, i w tej chwili orkiestra dała hasło słynnego sekstetu. Głos Edgara roziskrzonego gniewem, panował nad wszystkiem innem. Aston rzucał mu barytonowemi nutami mordercze wyzwania, Łucya sopranem żal swój wywodziła, Artur na uboczu średnie tony modulował, a głęboki bas duchownego huczał jak organ, podczas gdy chór kobiecy powtarzając jego wyrazy, tworzył melodyjne tło tej harmonii. Wszyscy stali rzędem, wymownie gestykulując, a najsprzeczniejsze uczucia, jak gniew, zemsta, trwoga, litość i osłupienie, razem zionęły z ich ust na wpół otwartych. Obrażony kochanek wstrząsał gołą szpadą; gipiurowa jego kreza poruszała się pod

tchnieniem jego potężnej piersi i rzucał się na prawo i na lewo, brząkając złoconemi ostrogami swoich fałdowanych butów, przy kostce otwartych. Jakiż zasób miłości musiał ten człowiek posiadać, kiedy jej takie potoki zlewać mógł na tłumy! Cała jej chęć lekceważenia tego na co patrzyła, stopniała w poezyi roli, która duszę jej pochłaniała, i pociągnięta ku człowiekowi złudzeniem osoby, którą przedstawiał, usiłowała wyobrazić sobie jego życie, to życie rozgłośne, nadzwyczajne, wspaniałe, a które jednak mogło było być jej udziałem, gdyby los tak był zrządził! Byliby się poznali, byliby się pokochali! Byłaby podróżowała razem z nim po całej Europie, od stolicy do stolicy, podzielając jego trudy i jego sławę, zbierając kwiaty, którymi go obsypywano, haftując własną ręką jego kostiumy; potem co wieczór, w głębi loży, za złoconą kratą, przyjmowałaby wylania tej duszy, która śpiewałaby dla niej jednej tylko; bo on, ze sceny patrzyłby za nią. I szał ją ogarnął: on patrzył na nią, to było widocznem! Miała ochotę biedz w jego objęcia, aby się schronić pod opiekę jego siły, jak we wcielenie samej miłości i powiedzieć mu, zawołać: — Weź mnie,

uprowadź mnie, uciekajmy! Dla ciebie wszystkie marzenia moje i wszystkie zapały!"

Kurtyna zapadła.

Woń gazu mieszała cię z oddechem tłumu; powietrze poruszane wachlarzami, stawało się bardziej jeszcze dusznem. Emma chciała wyjść; tłum napełniał korytarze, padła na krzesło z biciem serca, które jej oddech tamowało. Karol, obawiając się aby nie zemdlała, pobiegł do bufetu przynieść jej szklankę orszady.

Z trudnością mógł powrócić do swojego miejsca, gdyż potrącano mu za każdym krokiem łokcie, z powodu szklanki, którą trzymał w obudwu rękach; wylał nawet połowę orszady na ramiona jednej obywatelki w krótkich rękawach, która poczuwszy zimny płyn spływający po biodrach, zaczęła krzyczeć jak gdyby ją mordowano. Mąż jej, właściciel przędzalni, uniósł się na niezgrabiasza, i podczas gdy pani chusteczką wycierała plamy z pięknej sukni wiśniowej jedwabnej, pomrukiwał coś gniewnie o wynagrodzeniu, kosztach, i t. p. Wreszcie Karol dostał się do żony, cały zadyszany, mówiąc:

— Myślałem, na honor, że się ztamtąd nie wydostanę! Co tam ludzi! co tam ludzi!

A odetchnąwszy dodał:

— Zgadnij też kogo tam na górze spotkałem? Pana Leona!

— Leona?

— Jego samego! Zaraz tu przyjdzie złożyć ci swoje uszanowanie.

Zaledwie tych słów domówił, gdy dawny dependent Yonvillski wszedł do loży.

Podał rękę pani Bovary ze swobodą bywalca, ona machinalnie wyciągnęła swoją, posłuszna zapewne atrakcyjnej sile mocniejszej woli. Stanął jej w myśli ów wieczór wiosenny kiedy deszcz ciepły skrapiał zielone liście, a oni żegnali się stojąc przy oknie. Prędko jednak opamiętawszy się, wysiłkiem woli strząsnęła czar tych wspomnień, i śpiesznie mówić zaczęła:

— A! witam pana!.. Zkądże się pan tu wziął?

— Cicho! krzyknął głos z parteru, gdyż trzeci akt się zaczynał.

— Pan tëraz w Rouen?

— Tak, pani.

— Od jak dawna?

— Za drzwi! za drzwi! wołano:

Widząc że się do nich zwracano, zamilkli.

Lecz od tej chwili, Emma już nie słuchała; chór gości, scena Astona ze służącym, wielki duet *d major*, wszystko to przemknęło się przed nią niepostrzeżenie, jak gdyby głosy stały się mniej dźwięcznymi, a osoby bardziej oddalonemi; ona widziała w myśli partyjkę u aptekarza, i wycieczkę do matki Rollet, i czytania w altance, i sam na sam przy kominku, całą tę biedną miłostkę tak cichą i długą, tak delikatną i czułą, o której wszakże zapomniała. Po co on powrócił? jaki zbieg okoliczności stawiał go znowu na jej drodze? Stał za nią, opierając się ramieniem o ścianę; od czasu do czasu drżała czując ciepły oddech jego, który włosami jej poruszał.

— Czy to panią bawi? zagadnął nachylając się ku niej, tak że koniec wąsów jego musnął jej policzek.

Odpowiedziała niedbale:

— Ach! mój Boże, nie bardzo!

Natenczas podał myśl żeby wyjść z teatru i pójść gdziekolwiek na lody.

— O! zostańmy jeszcze! rzekł Bovary. Włosy ma rozpuszczone: to zapowiada cóś tragicznego.

Lecz scena obłąkania wcale nie zajęła Emmy, a gra śpiewaczki wydała jej się przesadną.

— Za nadto krzyczy, rzekła wracając się do Karola, który słuchał z uwagą.

— Tak... może... trochę, odparł wahając się pomiędzy uczuciem szczerej przyjemności, a poszanowaniem dla zdania żony.

Leon powiedział z westchnieniem:

— Gorąco okropne...

— Nie do wytrzymania! to prawda, potwierdziła pani Bovary.

— Czy cię to męczy? zapytał Karol.

— Tak jest! duszę się; wyjdźmy ztąd.

Pan Leon włożył delikatnie na jej ramiona długi szal koronkowy, i poszli wszyscy troje usiąść w porcie, na świeżem powietrzu, przed wystawą kawiarni.

Najpierwej mowa była o chorobie Emmy, chociaż ona co chwila przerywała mężowi, nie chcąc, jak mówiła, nudzić pana Leona; ten ze swej strony opowiedział im, że przyjechał na dwa lata do Rouen, aby się tu obznajmić z interesami, które w Normandyi innym są prowadzone trybem aniżeli w Paryżu. Potem wypytywał się o Bertę, o rodzinę Homais, o panią Lefrançois, ponieważ nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia w przytomności męża, niebawem się urwała rozmowa.

Ludzie wychodzący z teatru przechodzili nucąc półgłosem lub wyśpiewując na całe gardło: *O piękny aniele, Łucyo moja!* Natenczas Leon, pozując na dyletanta, zaczął mówić o muzyce. Słyszał Tamburiniego, Rubiniego, Grisi, w porównaniu z nimi Lagardy pomimo swych szumnych wykrzykników, nie wiele był wart.

— Mówią jednak, przerwał Karol popijając powoli sorbet z rumem, że w ostatnim akcie sam siebie przewyższa, żałuję żem odszedł przed końcem, gdyż to zaczynało mnie bawić.

— Zresztą, dodał dependent, da jeszcze jedno przedstawienie.

Na to Karol odpowiedział, że nazajutrz odjeżdżają.

— Chybabyś ty sama chciała zostać, koteczku? dodał zwracając się do żony.

Młody człowiek, zmieniając front w obec tej niespodziewanej sposobności jaka się nastręczała jego nadziejom, zaczął od razu wychwalać Lagardego w scenie ostatniej. Było to coś pysznego, szczytnego! Natenczas Karol zaczął nalegać:

— Powrócisz w niedzielę, kochanko. Namyśl się! Nie powinnaś się wahać, jeżeli tylko czujesz, że ci to dobrze robi.

Tymczasem stoły opróżniały się powoli, chłopiec posługujący stanął nieopodal naszej trójki, Karol domyśliwszy się o co chodzi, dobył woreczka, lecz pan Leon wstrzymał go za ramię, i nieomieszkał nawet dorzucić nádddatku dwie sztuki monety, które zadźwięczały na marmurowym stole.

— Przykro mi doprawdy, wyjąkał Bovary, że pan tyle pieniędzy...

Tamten zrobił pogardliwy ruch pełen serdeczności i biorąc za kapelusz:

— Więc rzecz już ułożona, rzekł, nieprawdaż? jutro, o szóstej godzinie...

Karol raz jeszcze powtórzył że dłużej pozostać nie może, ale nic nieprzeszkadzało Emmie.

— Ale bo... wyjąkała z dziwnym uśmiechem, nie wiem doprawdy...

— No, to się namyślisz! zobaczymy jeszcze, noc przynosi radę... rzekł Karol.

A zwracając się do Leona, który im towarzyszył, dodał:

— Teraz kiedy pan znowu w naszych stronach, spodziewam się, że pan zjesz od czasu do czasu z nami obiadek?

Dependent upewnił go, że nie zaniedba z tego zaproszenia korzystać, tem bardziej że potrzebował być w Yonville w interesie biurowym. Wreszcie pożegnano się na rogu przejścia Saint-Herbland, w chwili kiedy w pół do dwunastej biło na katedralnym zegarze.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Pan Leon, uczęszczając w Paryżu na prawo, nie zaniedbywał także odwiedzać *la Chaumière*, gdzie miał nawet świetne powodzenie u gryzetek, które go znajdowały *dystyngowanym*. Był to najprzykładniejszy ze wszystkich studentów, włosów nie nosił ani za krótko ani za długo, nie zjadał pierwszego dnia miesiąca kwartalnego dochodu, i w dobrych zostawał stosunkach ze swymi profesorami. Wstrzymywał się zawsze od wszelkich nadużyć, tak przez tchórzostwo jak przez pewną wrodzoną delikatność.

Nieraz, siedząc w domu nad książką, lub wieczorem pod lipami luksemburgskiego ogrodu,

upuszczał na ziemię kodeks i myślał o Emmie. Powoli jednak, osłabło to wspomnienie; inne pragnienia zgromadziły się na niem, nie tłumiąc go jednak zupełnie; bo pan Leon nie tracił jeszcze nadziei: widział zawsze przed sobą niewyraźną obietnicę zawisłą w przyszłości, niby złoty owoc zawieszony na fantastycznej gałęzi.

Ujrzawszy ją po trzechletniej nieobecności, uczuł odżywiającą się tę namiętność. Trzebaż było nakoniec, pomyślał, chcieć ją posiadać. Zresztą, nieśmiałość jego zużyła się w zetknięciu ze swawolnem towarzystwem i powracał na prowincyę przejęty wzgardą dla wszystkiego, co nie deptało w lakierowany bucik ujętą stopą bulwarowego asfaltu. Obok wykoronkowanej paryżanki, w salonie jakiego słynnego medyka, w orderach i karecie, biedny dependencik drżałby był zapewne jak dziecko; lecz tu, w Rouen, w obec żony tego tuzinkowego lekarza, czuł się swobodnym, i zawczasu pewnym, że olśnić potrafi. Pewność siebie zależy od otoczenia: inaczej się przemawia na pierwszem piętrze niżeli na czwartem, a kobieta bogata, zdaje się mieć dla strzeżenia swej cnoty, wszystkie swoje bankowe bilety, jak pancerz, w podszewce swego stanika.

Pożegnawszy wieczorem państwa Bovary, Leon szedł jeszcze za nimi z daleka; dopiero gdy zobaczył że się zatrzymali przed *Czerwonym Krzyżem*, zawrócił, i całą noc przepędził na obmyślaniu planu działania.

Nazajutrz tedy, około piątej po południu, wszedł do kuchni zajazdu, blady i ze ściśnionem gardłem, uzbrojony, niczem nie powstrzymaną odwagą tchórzów.

— Pan doktór wyjechał, odpowiedział na jego zapytanie służący.

To mu się wydało dobrą wróżbą. Poszedł na górę.

Emma nie zmieszała się na jego widok; przeciwnie, przepraszała go że zapomniała mu powiedzieć gdzie stali.

— O! ja to odgadłem! odpowiedział Leon.

— Jakimże sposobem?

Leon dowodził że przypadkiem, wiedziony instynktem trafił do niej. Uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Dla naprawienia swej niezręczności, Leon dodał, że cały ranek przepędził na szukaniu jej kolejno po wszystkich hotelach miasta.

— Namyśliła się więc pani zostać? dodał w końcu.

— Tak jest, i źle zrobiłam. Nie trzeba się przyzwyczajać do przyjemności niedostępnych, kiedy się ma tysiączne obowiązki...

— O! ja to pojmuję...

— O nie! bo pan nie jesteś kobietą.

Lecz mężczyzni mają także swoje zmartwienia, i rozmowa zagaiła się oparta na kilku filozoficznych sentencyach. Emma rozwodziła się szeroko o znikomości ziemskich uczuć i o wiecznem osamotnieniu w jakiem serce pogrążonem zostaje.

Czy to, aby się lepiej wydać, czy też przez bezwiedne naśladownictwo tej melancholii, która na jego własne usposobienie oddziaływała, młody człowiek oświadczył, że się potężnie wynudził przez cały czas trwania swych kursów. Prawnictwo drażniło go, inne powołania bardziej go nęciły, a matka nie przestawała go w każdym liście udręczać. I tak coraz wyraźniej określali powody swych utrapień, egzaltując się własnemi słowy w miarę postępu tych zwierzeń. Czasem jednak zatrzymywali się przed całkowitem rozwinięciem swej myśli, i wtenczas szukali umówienia, któreby ją wszakże wyrazić mogło. Ona nie wyznała swej namiętności dla innego; on nie powiedział że o niej zapomniał.

O, może już nie pamiętał swoich kolacyjek pobalowych; w towarzystwie wesołych dziewcząt; ona sobie zapewne nie przypominała dawniejszych schadzek, kiedy o świcie biegła po rosie do zamku kochanka. Miejskie odgłosy zdala tylko do nich dochodziły; pokój zdawał się małym, jak gdyby dla większego ścieśnienia ich samotności. Emma w dymkowym szlafroku, opierała głowę o poręcz starego fotelu; żółte obicie na ścianie tworzyło za nią niby złotawe tło; a głowa jej odbijała się w zwierciadle z rozdziałką po środku, i końcami różowych uszu wyglądających z pod włosów.

— Ale przepraszam pana! rzekła w końcu, nudzę pana memi wiecznemi skargami.

— O, nie! nie! nigdy!

— Gdybyś pan wiedział, mówiła jeszcze, wznosząc do góry swe piękne oczy, w których łza błyszczała — gdybyś pan wiedział wszystko co ja roiłam!

— A ja, pani!... O! i ja wiele wycierpiałem! Nieraz wychodziłem z domu, błądziłem po wybrzeżach, odurzając się gwarem tłumu i nie mogąc się pozbyć mary, która mię ścigać nie przestawała. Jest w jednym składzie rycin, na bulwarach, włoski sztych przedstwiający Muzę. Udra-

powana w tunikę wpatruje się w księżyc, z niezapominajkami w rozpuszczonych włosach. Coś mię tam ustawicznie popychało, nieraz całemi godzinami się w nią wpatrywałem.

I drżącym głosem dodał:

— Była trochę do pani podobną...

Pani Bovary odwróciła głowę, żeby nie dostrzegł mimowolnego uśmiechu, którego wstrzymać nie mogła.

— Często, rzekł jeszcze, pisałem do pani listy, które następnie darłem.

Ona nic nie odpowiedziała. On mówił dalej:

— Wyobrażałem sobie czasem, że wypadek jaki panią sprowadzi. Zdawało mi się, że już panią poznaję; biegłem za wszystkimi fiakrami, z których powiewał szalik, lub woalka pohobna do twojej...

Emma zdawała się zdecydowana nie przerywać mu ani jednem słowem. Skrzyżowawszy ramiona i spuściwszy głowę na piersi, wpatrywała się w kokardy swych atłasowych pantofelków, i od czasu do czasu tylko poruszała w nich wielkim palcem.

Wreszcie westchnęła:

— Najsmutniejszą jest rzeczą, nieprawdaż, wlec tak jak ja bezużyteczny żywot? Gdybyż nasze cierpienia mogły przynajmniej komuś przynieść korzyść, znalazłoby się pociechę w idei poświęcenia!

Leon też zaczął wysławiać cnotę, obowiązek i ciche poświęcenia, sam czując niewysłowioną potrzebę poświęcenia, której zaspokoić nie mógł.

— Jabym rada być siostrą miłosierdzia w szpitalu, rzekła Emma.

— Niestety! odpowiedział, dla mężczyzn niedostępnemi są takie święte powołania, nie widzę żadnego zawodu... chyba jeden lekarski.

Emma przerwała mu lekkiem wzruszeniem ramion i zaczęła mówić o swej chorobie, w której o mało co nie umarła: jaka szkoda! jużby dziś nie cierpiała! Leon zaraz pozazdrościł *grobowego spokoju;* on już nawet jednego wieczoru napisał był testament, zalecając aby zwłoki jego pochowano owinięte tą piękną kapą w aksamitne pasy, którą miał od niej; tak bowiem być pragnęli, tworząc sobie ideał, podług którego kształtowali teraz przeszłe swoje życie. Zresztą, słowo jest narzędziem do rozwałkowania uczuć.

Jednakże, na ten pomysł o kapie użytej za całun, Emma zapytała:

— Dla czegóż to?

— Dla czego?..

Zawahał się.

— Dla tego... że ja kochałem ciebie, Emmo!

A zadowolony że przełamał nakoniec główną trudność, Leon z pod oka badał wyraz jej twarzy.

Było to jak kiedy nagły powiew wiatru rozpędzi chmury zasłaniając błękit nieba. Tłum smutnych myśli zasępiających piękne jej oczy zdawał się rozpierzchać; cała twarz jej promieniała.

On czekał w milczeniu. Nakoniec rzekła:

— Domyślałam się tego...

I opowiedzieli sobie wszystkie drobne wydarzenia tej przeszłości, której rozkosze i smutki w jednym wyrazie streścili. Przypominali sobie altankę z bluszczu, suknie jakie wtenczas nosiła, sprzęty jej pokoju, słowem wszystko.

— A nasze biedne kaktusy, cóż się z nimi dzieje?

— Zmarzły przeszłej zimy.

— Ach! ileż razy o nich myślałem! Widziałem je zawsze jak dawniej, kiedy w letnie poranki słońce oświecało zazdrostki... a twoje, pani ramiona migały pośród kwiatów.

— Biedny przyjacielu! rzekła podając mu rękę.

Leon śpiesznie usta do niej przycisnął. A odetchnąwszy głęboko:

— Pani byłaś dla mnie wtenczas, jakąś niepojętą siłą, która życiem mojem władała, powiedział. Jednego dnia naprzykład przyszedłem do państwa; ale pani zapewne tego nie pamięta?

— I owszem; mów pan dalej.

— Pani byłaś na dole, w przedpokoju, na wychodnem; miałaś na głowie kapelusz z niebieskimi kwiatkami; a ja, nie proszony, poszedłem machinalnie za panią. Czułem jednak niestosowność mego postępowania, a pomimo tego szedłem ciągle, nie mogąc się oderwać. Gdy pani wchodziłaś do sklepu, zostawałem na ulicy, i patrzyłem przez szyby, jak pani zdejmowałaś rękawiczki i liczyłaś pieniądze na kontoarze. Nakoniec pani zadzwoniłaś do mieszkania pani Tuvache, otworzono ci, a ja zostałem jak głupiec przed ciężkiemi drzwiami wchodowemi, które się za tobą zamknęły.

Pani Bovary, słuchając go, dziwiła się że tak już jest starą; wszystkie te przypomnienia zdawały się rozprzestrzeniać granice jej istnienia; tworzyło to niby bezgranicza sentymentalne

w których tonęła, i od czasu do czasu powtarzała półgłosem, i z przymkniętemi powiekami:

— Tak, to prawda!... to prawda!...

Ósma godzina wybiła na rozmaitych zegarach dzielnicy Beauvoisine, pełnej pensyonatów, kościołów i wielkich opuszczonych pałaców. Przestali już rozmawiać; lecz patrząc na siebie czuli szum w głowach, jak gdyby coś dźwięcznego wymykało się jednocześnie z ich wytężonych źrenic. Dłonie ich się splotły; a przeszłość, przyszłość, wspomnienia i marzenia, wszystko się zlało w słodyczy tego zachwytu. Zmrok zaczynał ciemnością pokrywać ściany hotelowego pokoju, na których odznaczały się jeszcze w półcieniu jaskrawe barwy czterech rycin, przedstawiających sceny z *Wieży Nesle*, z legendowymi podpisami w językach francuzkim i hiszpańskim. Przez okno półokrągłe widać było kawałek ciemnego nieba pośród śpiczastych dachów.

Emma powstała aby zapalić dwie świece na komodzie, poczem napowrót usiadła.

— A więc?... zaczął Leon.

— A więc?... zawtórowała Emma.

A podczas gdy on myślał jak na nowo zawiązać przerwaną rozmowę, rzekła znienacka:

— Czem się to dzieje, że nikt, dotąd nigdy mi podobnych uczuć nie wyraził?

Dependent się okrzyknął że natury idealne trudne są do zrozumienia. On, pokochał ją od pierwszego spojrzenia, i rozpacz go ogarniała gdy pomyślał jak wielkie szczęście mogło być ich udziałem, gdyby los był im pozwolił spotkać się prędzej, i połączyć się z sobą węzłem nierozerwalnym.

— Nieraz o tem myślałam, odpowiedziała.

— Co za piękne marzenie! poszepnął Leon.

A bawiąc się wystrzębionymi końcami jej błękitnej szarfy, dodał:

— Cóż nam przeszkadza zacząć na nowo?...

— Nie, drogi przyjacielu, odparła. Ja jestem już za stara.... ty jesteś za młody.... zapomnij o mnie! Inne cię kochać będą..... i ty je pokochasz.

— Nigdy tak jak ciebie! zawołał.

— Dziecko jesteś! No! bądź rozsądnym! ja tak chcę!

Zaczęła mu przedstawiać niepodobieństwo ich miłości, i dowodzić że musieli pozostać jak dawniej, na stopie braterskiej tylko przyjaźni.

Czy w dobrej wierze tak mówiła? Zapewne sama tego nie wiedziała, cała zajęta czarem tej ułudy i potrzebą walczenia z niebezpiecznym urokiem; wpatrując się z rozrzewnieniem w młodego człowieka, odpychała lekko ręce jego, które nieśmiałych pieszczot probować zaczynały.

— Ach pani! daruj! rzekł cofając się.

A młodą kobietę ogarniał strach niewyraźny tej lękliwej nieśmiałości, niebezpieczniejszej dla niej od zuchwalstwa Rudolfa, kiedy ten przystępował z otwartemi ramiony. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna tak pięknym jej się nie wydał. Cała jego postać tchnęła jakąś wykwintną szczerością. Spuszczał długie rzęsy, które się miękko wyginały. Mszyste lica jego rumieniły się — myślała — pragnieniem jej osoby, i uczuwała nieprzezwyciężoną chęć dotknąć ich ustami. Podniosłszy oczy na zegar rzekła nagle:

— Ach mój Boże! jak to już późno! tak się zagadaliśmy!

Zrozumiał i poszukał swego kapelusza.

— Zapomniałam nawet o teatrze! dodała. A ten poczciwy Bovary dla tego mnie właśnie zostawił! Państwo Lormeaux, z ulicy Mostowej, mieli mi towarzyszyć.

I sposobność została straconą, bo odjeżdżała nazajutrz.

— W istocie? rzekł Leon.

— Tak jest.

— Muszę jednak zobaczyć panią jeszcze, powiedział; mam pani do powiedzenia....

— Cóż takiego?

— Jedną rzecz.... ważną, bardzo ważną. Ale nie! pani nie pojedziesz, to niepodobna! Gdybyś pani wiedziała.... Posłuchaj mnie pani.... Nie zrozumiałaś mnie więc? Nie odgadłaś?...

— Jednakże pan dobrze mówisz, rzekła Emma.

— Ach! nie żartuj pani ze mnie! Dosyć już, dosyć! Uczyń tak, przez litość, abym cię jeszcze mógł zobaczyć.... raz tylko.... raz jeden.

— Więc....

Wstrzymała się; potem, niby namyśliwszy się:

— Tylkoż nie tu! dodała.

— Gdzie tylko pani zechcesz.

— Możeby....

Zawahała się, i krótko skończyła:

— Jutro, o jedenastej godzinie, w katedrze.

— Będę tam! zawołał chwytając jej ręce, które mu wyrwała.

A gdy tak stali oboje, on za nią a ona z głową spuszczoną, pochylił się i wycisnął długi pocałunek na jej białym karku.

— Waryat z ciebie panie Leonie! ach! waryat z ciebie! mówiła śmiejąc się dźwięcznie, podczas gdy pocałunki ponawiały się jeden po drugim.

On, zaglądając jej w oczy przez ramię, zdawał się szukać zachęty w jej spojrzeniu. Lecz ono padło na niego pełne lodowatej powagi.

Leon cofnął się w tył. Wychodząc już, stanął na progu, i drżącym głosem wyszeptał:

— Do jutra!

Ona mu odpowiedziała kiwnięciem głowy i znikła jak ptaszek w bocznym pokoju.

Wieczorem Emma napisała do dependenta długi list, w którym wymawiała się z naznaczonej schadzki: wszystko już teraz było skończone, i dla własnego szczęścia, nie powinni już byli się spotykać. Skończywszy jednak pisanie, znalazła się w wielkim kłopocie, bo nie wiedziała adresu Leona.

— Sama mu go oddam, powiedziała sobie; on przyjdzie.

Leon, nazajutrz rano, pośpiewując przy otwartym oknie, wyczyścił sam swoje ciżemki, podwój-

nym pokładem czernidła. Włożył białe spodnie, cienkie skarpetki, ciemno zielony surducik, zlał batystową chusteczkę wszystkiemi jakie miał pachnidłami, potem kazał się ufryzować i napowrót rozrzucił włosy dla nadania im więcej naturalnej elegancyi.

— Jeszcze zawcześnie! pomyślał spojrzawszy na kukułkę fryzyera, która wskazywała dziewiątą godzinę.

Przeczytał stary dziennik mód, wyszedł, zapalił cygaro, przebiegł kilka ulic, wreszcie zwrócił się lekkim krokiem ku placowi kościoła N. Panny.

Był to piękny letni poranek. Srebra połyskiwały w oknach sklepów złotniczych, a promienie słońca padając ukośnie na katedrę migotały na spojeniach szarych kamieni, gromada ptaków krążyła w przezroczystem powietrzu, po nad gotyckiemi wieżyczkami kościoła; na placu rozlegał się gwar wesoły i rozchodziła się woń róż, jaśminów, gwoździków, lewkonij i tuberoz, poprzedzielanych w nierównych odstępach wilgotną zieleniną, kocią miętą i mokrzycą dla ptaszków; fontanna na środku szemrała roskosznie, a pod wielkimi parasolami, pośród piramidalnych sto-

sów melonów, kwiaciarki z gołemi głowami owijały w papier pączki fijołków.

Młody człowiek wziął z nich jeden. Pierwszy to raz w życiu kupował kwiaty dla kobiety; a pierś jego, pojąc się ich wonią, nadymała się dumą, jak gdyby ten hołd przeznaczony dla innej osoby, do niego samego się odnosił.

Obawiał się jednak aby go nie spostrzeżono, i wszedł śmiało do kościoła.

Szwajcar stał właśnie na progu, pośrodku lewego portyku, pod *Maryanną tańcującą*, z piórem na głowie, szpadą przy boku, pompatyczny jak kardynał i błyszczący jak święta ampułka.

Przystąpił do Leona, i, z tym uśmiechem pieszczotliwej łagodności z jaką duchowni zwykli przemawiać do dzieci:

— Pan zapewne tu obcy, nieprawdaż? powiedział; pan sobie życzy obejrzeć ciekawości naszej katedry?

— Nie! odparł krótko tamten.

I obszedł najpierwej boczne nawy. Potem wyjrzał znowu na plac. Emma nie nadchodziła. Wstąpił aż na chór.

Nawa przeglądała się w pełnych wody kropielnicach, wraz z początkiem i niektóremi czę-

ściami szyb. Lecz odbicie malowideł, łamiąc się na brzegach marmuru, tworzyło dalej, na płytach, niby różnobarwny kobierzec. Światło ze dworu wpadało do wnętrza kościoła trzema wielkiemi smugami, przez trzy otwarte portyki. Od czasu do czasu zakrystyan przechodził w głębi przyklękając ukośnie przed wielkim ołtarzem, z pośpiechem mocno zajętych nabożnisiów. Kryształowe żyrandole wisiały nieporuszone. Na chórze płonęła srebrna lampa, a z bocznych kaplic, z ciemnych części kościoła dochodził czasem niby szmer westchnień, wraz z odgłosem zamykanej kraty, powtarzanym przez echa wysokich sklepień.

Leon przechodził się miarowym krokiem pod ścianami. Nigdy życie tak pięknem mu się nie wydawało. *Ona* miała przyjść niebawem, śliczna i wzruszona, oglądając się czy kto za nią nie idzie, w sukni z falbanami, szczupłych bucikach, ze złotą lornetką na szyi, przesiąkła całym tym wykwintem, którego jeszcze nie zakosztował, w całym nieodpartym uroku cnoty, która ulega. Kościół, jak olbrzymi *buduar*, otaczał ją do koła, sklepienia pochylały się aby w cieniu przyjąć wyznanie jej miłości; wysokie okna błyszczały

aby twarz jej oświecić, a kadzielnice miały zapłonąć aby się wydała podobną do anioła, w dymie kadzideł.

Jednakże nie przychodziła. Leon usiadł na krzesełku i wzrok jego padł na niebieską szybę, przedstawiającą przewoźników z koszami pełnymi ryb. Długo się w nią wpatrywał, liczył łuski na rybach, i guziki u kaftanów, podczas gdy myśl jego błąkała się szukając Emmy.

Szwajcar stojąc na boku, oburzał się w duchu na tego intruza, który sobie pozwalał sam podziwiać katedrę. To postępowanie wydało mu się potwornem, niemal świętokradzkiem....

W tem zaszeleściały na kamiennych płytach jedwabie, ukazał się brzeg kapelusika, czarna okrywka.... To ona! Leon powstał i pośpieszył ku niej.

Emma była bardzo blada. Szła szybkim krokiem.

— Przeczytaj pan to! rzekła podając mu złożony papier.... O nie!

I usunąwszy rękę, weszła do kaplicy Matki Boskiej, gdzie uklękła przy krzesełku i modlić się zaczęła.

Młody człowiek zżymnął się na tę nabożną fantazyę; po chwili jednak doznał pewnej przyjemności widząc ją pośród schadzki zatopioną w modlitwie, jak andaluzyjska *grandessa;* wreszcie nudzić się zaczął, bo to za długo trwało.

Emma się modliła, a raczej usiłowała się modlić, oczekując z nieba jakiego natchnienia; a dla sprowadzenia sobie pomocy boskiej, poiła wzrok wspaniałością ołtarza, oddychała wonią białych lewkonij kwitnących w wielkich wazonach, i wsłuchiwała się w poważną ciszę kościelną, która jednak zwiększała tylko wzburzenie jej serca.

Nakoniec powstała z klęczek, i już mieli wychodzić, gdy szwajcar szybko przystąpił, mówiąc:

— Pani zapewne tu obca? Pani życzy sobie obejrzeć ciekawości naszej katedry?

— Ależ nie! wykrzyknął Leon.

— Dla czegóżby nie? odparła Emma.

Bo ona chwiejącą cnotę swoją czepiała do Matki Boskiej, do rzeźb, do obrazów, słowem do wszystkiego.

Natenczas szwajcar, postępując porządkiem, zaprowadził ich do wyjścia od strony placu, gdzie wskazując swoją laską wielkie koło z czarnych

kamieni, bez napisów ani wyrzynań, rzekł z majestatyczną powagą:

— Oto jest obwód pięknego dzwonu Amboise. Ważył czterdzieści tysięcy funtów. W całej Europie nie miał podobnego sobie. Robotnik, który go odlał, umarł z radości....

— Chodźmy, rzekł Leon.

Poczciwiec ruszył dalej; stanąwszy przed kaplicą Matki Boskiej, wyciągnął ramię gestem syntetycznego uwielbienia, i dumniejszy od wiejskiego posiadacza pokazującego swoje szpalery:

— Ten prosty kamień, rzekł, pokrywa zwłoki Piotra de Brézé, pana rozległych majętności, wielkiego marszałka Poitou i rządcy Normandyi, poległego w bitwie pod Monthlery, 16 lipca 1465 roku.

Leon gryzł wargi z niecierpliwości.

— A tu, na prawo, ten szlachcic cały żelazem pokryty, na wspinającym się koniu, to wnuk jego Ludwik de Brézé, pan Brevalu i Montchauvetu, hrabia de Maulevrier, baron de Mauny, szambelan króla, kawaler Zakonu i także rządca Normandyi, zmarły 23 lipca 1531 roku, w niedzielę, jak opiewa napis, a poniżej, ten mąż zstępujący do grobu jego również przedstawia. Nieprawdaż

że trudno widzieć doskonalsze wyobrażenie nicości?

Pani Bovary wzięła lornetkę. Leon, nieruchomy, patrzył na nią, nie mówiąc już ani słowa, tak się czuł zniechęconym w obec tego podwójnego spisku, gadulstwa z jednej, i obojętności z drugiej strony.

Nieubłagany *cicerone* mówił dalej:

— Ta kobieta klęcząca obok, która płacze, jest jego żona Diana de Poitiers, księżna de Valentinois, urodzona w roku 1499, zmarła 1566, a ta na prawo z dzieckiem na ręku, to Najświętsza Panna. Teraz, raczcie się państwo obrócić w tę stronę: oto grobowce Amboise'ów. Obadwa byli kardynałami i arcybiskupami Roueńskiemi. Ten był ministrem króla Ludwika XIII. Wiele dobrego wyświadczył katedrze. W testamencie jego znalazł się zapis trzydziestu tysięcy talarów dla ubogich.

I nie zatrzymując się wcale, popchnął ich do kaplicy pełnej balustrad, odsunął z nich kilka, i odsłonił rodzaj kamiennej bryły, która mogła być kiedyś lichym posągiem.

— Zdobił on niegdyś, rzekł z przeciągłem westchnieniem, grobowiec Ryszarda Lwie Serce,

króla Anglii i księcia Normandyi. Kalwiniści to, panie dobrodzieju, do takiego stanu go doprowadzili. Przez złość zakopali posąg w ziemię, pod stolicą Jego Ekscellencyi. Oto drzwi, któremi Jego Ekscellencya udaje się do swego mieszkania. Pójdźmy teraz obejrzeć szyby malowane przez la Gargouille'a.

Lecz Leon wydobył z pośpiechem srebrny pieniądz z kieszeni, i ujął Emmę pod ramię. Szwajcar osłupiał, nie pojmując tej przedwczesnej hojności, kiedy jeszcze tyle rzeczy pozostawało do widzenia. Dla tego też zawołał za nim:

— Ależ panie! wieża! wieża!...

— Dziękuję za nią! rzekł Leon.

— Źle pan czynisz. Ma czterysta czterdzieści stóp wysokości, o dziewięć tylko mniej od wielkiej piramidy egipskiej. Cały jej szczyt jest z lanego żelaza i....

Leon uciekał, bo mu się zdawało że miłość jego, która już blizko od dwóch godzin unieruchomiła się w kościele jak jego marmury; ulotni się teraz jak dym, przez ten rodzaj uciętej rury, klatki podłużnej, komina ażurowego, który tak dziwacznie sterczy na katedrze jak fantastyczny wybryk jakiego pomysłowego kotlarza.

— Dokądże idziemy? pytała Emma.

Leon nic nie odpowiadając dążył szybkim krokiem, i już pani Bovary palce maczała w święconej wodzie, gdy usłyszeli za sobą silne oddychanie, przerywane miarowem stukaniem laski. Leon się odwrócił.

— Panie dobrodzieju!

— Co takiego?

I ujrzał szwajcara, który niósł pod pachą i utrzymywał w równowadze na brzuchu ze dwadzieścia dużych oprawnych ksiąg. Były to wszystko dzieła *traktujące o katedrze.*

— Głupiec! pomruknął Leon wybiegając z kościoła.

Mały ulicznik bawił się na placu:

— Sprowadź mi fiakra!

Dzieciak poleciał jak strzała przez ulicę Czterech wiatrów; oni tymczasem zostali przez kilka minut sami, oboje nieco zakłopotani.

— Ach! Leonie!... doprawdy.... nie wiem... czy powinnam...!

I wdzięczyła się z przesadą. A przybierając minę poważną dodała:

— Czy wiesz pan, że to jest bardzo nieprzyzwoicie?

— Dla czego? odparł dependent. W Paryżu wszyscy tak robią.

To ostatnie słowo zdecydowało ją, jak nieodparty argument.

Jednakże fiakr nie przybywał. Leon się bał żeby nie weszła napowrót do kościoła. Wreszcie fiakr zajechał.

— Wyjdźcie państwo przynajmniej przez front północny, wołał za nimi szwajcar który pozostał na progu, zobaczycie *Zmartwychwstanie*, *Sąd ostateczny*, *Raj*, *Króla Dawida* i *Potępionych* w ogniu piekielnym.

— Dokąd pan każe jechać? zapytał woźnica.

— Jedź dokąd chcesz! rzekł Leon wsadzając Emmę do powozu.

I ciężka machina potoczyła się po bruku.

Spuściła się ulicą Mostową, przejechała plac Sztuk Pięknych, wybrzeże Napoleona, Nowy Most, i stanęła przed posągiem Piotra Corneille'a.

— Jedź dalej! ozwał się głos ze środka.

Fiakr ruszył dalej, i rozpędziwszy się na pochyłości od placu La Fayette, wjechał galopem na podwórzec stacyi drogi żelaznej.

— Nie tu! prosto! zawołał ten sam głos co pierwej.

Fiakr wyjechał za kratę, i w krótce dostawszy się na drogę, zwolnił biegu pod wielkimi wiązami. Woźnica otarł spocone czoło, położył na kolanach ceratowy kapelusz, i skierował powóz nad brzeg wody, koło murawy. Tak jechał wzdłuż rzeki, drogą wybrukowaną drobnymi kamykami, w stronę Oyssel, po za wyspami.

Nagle skręcił przez Quatremares, Sotteville, ulicą d'Elboeuf i stanął po raz trzeci przed ogrodem Botanicznym.

— Jedźże! krzyknął głos jeszcze gwałtowniej.

Ruszywszy więc dalej, fiakr wyminął St. Sever, wybrzeża Curandiers i Młynowe, przejechał powtórnie przez most, następnie przez Pole Marsowe i po za ogrodami szpitala, gdzie starcy w czarnych kaftanach przechadzają się na słońcu, wzdłuż tarasu bluszczem zagajonego. Zwrócił się następnie przez bulwary Bouvreuil i Cauchoise, potem przez całe Mont-Riboudet aż do wybrzeża Deville.

Zmuszony jechać ciągle, włóczył się dalej bez celu. Widziano go w St. Pol, w Lescure, na górze Gargan, na Rouge-Marc i na placu Gaillard-Bois; na ulicach Szpitalnej, Mosiężniczej, przed Św. Romanem, Św. Wiwianem, Św. Nikazym,

przed komorą celną, przy dolnej Starej Wieży, przy Trzech Fajkach, i przed cmentarzem Pomnikowym. Od czasu do czasu woźnica rzucał z kozła żałosne spojrzenia na szynkownie. Nie pojmował jaka żądza kołowego ruchu opanowała tych dwoje ludzi, że się zatrzymać nie chcieli. Probował czasem stanąć, i zaraz słyszał za sobą gniewne wykrzykniki. Natenczas ćwiczył w najlepsze swoje spocone szkapy, nie zważając na wyboje i kamienie, zrozpaczony, płacząc niemal ze znużenia i pragnienia.

A w porcie, pośród wózków i beczek, na ulicach i na placach, mieszczanie otwierali wielkie oczy na ten widok tak niezwykły na prowincyi, powozu z zapuszczonemi firankami, który tak krążył ustawicznie, zamknięty jak grób i miotany jak okręt.

Zaraz po południu, za miastem, kiedy słońce najsilniej rozpalało stare posrebrzane latarnie; goła ręka wysunęła się z za żółtych perkalowych firaneczek i wyrzuciła kawałki podartego papieru, które wiatrem rozniesione opadły dalej, jak białe motyle, na pole kwitnącej czerwonej koniczyny.

Wreszcie, około szóstej godziny fiakr zatrzymał się w uliczce dzielnicy Beauvoisine, i wysiadła zeń kobieta z woalką na twarz spuszczoną, która poszła nie obejrzawszy się wcale.

II.

Przybywszy do zajazdu, pani Bovary zadziwiła się nie spostrzegając dyliżansu. Hivert bowiem, nie mogąc jej się doczekać, odjechał wreszcie, o pięćdziesiąt trzy minuty spóźniony.

Nic jednak nie zmuszało jej wyjechać, lecz dała słowo, że powróci tego wieczoru. Zresztą Karol jej oczekiwał; i czuła już w sercu tę nikczemną powolność, która dla wielu kobiet jest jakby zarazem karą i odkupieniem za cudzołóztwo.

Zapakowała śpiesznie swoje drobiazgi, zapłaciła rachunek, najęła w podwórzu kabriolet, i nagląc woźnicę, obiecując mu sowite wynagrodzenie, dopytując się co chwila o liczbę przebieżonych kilometrów, zdążyła dogonić *Jaskółkę* na wysokości pierwszych domów Quincampoix.

Usiadłszy w swoim kątku, przymknęła oczy i nie otworzyła ich aż u stóp wzgórza, gdzie po-

znała z daleka Felicyę, która stała na straży przed domkiem kowala. Hivert zatrzymał konie, a dziewczyna wspiąwszy się na palce rzekła z tajemniczą miną.

— Pani musi pojść prosto do pana Homais. Jest tam cóś bardzo pilnego.

Miasteczko ciche było jak zwykle. Na rogach ulic dymiły na powietrzu małe kociołki różowe, bo to był właśnie czas smażenia konfitur, i wszyscy w Yonville jednego dnia przygotowywali swe zapasy. Przed apteką podziwiano kocioł daleko większy, który miał nad innymi tę wyższość jaką zakład specyalny powinien mieć nad kuchniami mieszczańskiemi, potrzeba ogólna nad zachciankami jednostkowemi.

Emma weszła do apteki. Fotel był przewrócony, a dziennik *Fanal de Rouen* leżał na ziemi, pomiędzy dwoma tłuczkami. Popchnęła drzwi od przejścia, i ujrzała na środku kuchni, pomiędzy ciemnymi dzbankami pełnymi wydrylowanych porzeczek, tartego i rąbanego cukru, wag, rądli na ogniu, wszystkich Homais, dużych i małych, w fartuchach pod brodę i z widelcami w rękach! Justyn stał ze spuszczoną głową, a pan aptekarz krzyczał:

— Kto ci kazał chodzić po niego do *kafarnaum*?

— Cóż to jest? Co się stało?

— Co się stało? odparł aptekarz. Robią się konfitury: gotują się, lecz że miały wykipieć z powodu zbyt gęstego syropu — rozkazuję przynieść drugi rądel. Natenczas on, przez niedbalstwo, przez lenistwo, poszedł i zdjął — z gwoździa na którym był zawieszony w mojem laboratoryum, klucz od kafarnaum!

Aptekarz tak nazywał komórkę na poddaszu, pełną narzędzi i materyałów aptecznych. Często przepędzał tam długie godziny na przelewaniu płynów, na etykietowaniu i zawiązywaniu flaszek i paczek, i uważał ją nie za prosty skład, lecz raczej za prawdziwy przybytek, z którego wychodziły następnie, jego rękami przyrządzone, wszelkie rodzaje pigułek, mikstur, ziółek, emulsyj i maści, które sławę jego po całej roznosiły okolicy. Nikomu tam wchodzić nie było wolno; i tak go szanował, że sam zamiatał. Słowem, jeżeli apteka, dla każdego otwarta, była miejscem gdzie się rozpościerał ze swoją pychą, kafarnaum było schronieniem, w którem zamykając się samolubnie, Homais się rozkoszował spełnianiem ulubionych swoich zajęć; dla tego też rozstrzepa-

nie Justyna wydawało mu się potwornem uchybieniem, i czerwieńszy od porzeczek powtarzał:

— Tak jest, od kafarnaum! Klucz, który zamyka kwasy i ostre alkalia! Wziąść rądel zapasowy! rądel z pokrywą! którego nigdy może używać nie będę! Wszystko ma swoją ważność w delikatnych działaniach naszej sztuki! Cóż u dyabła! potrzeba przecie umieć zachować różnice i nie obracać na użytki prawie domowe tego co jest przeznaczonem do farmaceutyki! To tak jak gdyby kto pulardę krajał skalpelem, jak gdyby urzędnik....

— Ależ uspokój się! mówiła pani Homais.

A mała Atalia ciągnąc go za surdut wołała:

— Tatku! tatku!

— Nie, nie, dajcie mi pokój! co u licha! Lepiej zostać korzennikiem, na honor! Dalejże! nie uszanuj nic! tłucz! łam! powypuszczaj pijawki! przypal ślazowe ciasto, zamarynuj korniszony w aptekarskim słoju! podrzyj bandaże!

— Miałeś pan podobno.... zaczęła Emma.

— W tej chwili! — Czy ty wiesz na co się narażałeś?... Czyś nic nie widział, w kącie na lewo, na trzeciej pułeczce? Mówże! odpowiadaj! wyduś jakie słowo!

— Ja.... ja nie wiem.... wyjąkał chłopak.

— A! ty nie wiesz? Ale ja wiem? Widziałeś butelkę ze szkła niebieskiego, zapieczętowaną żółtym lakiem, która zawiera biały proszek, na której własną ręką napisałem: *Niebezpieczne!* a wiesz ty, co tam jest? Arszenik! i ty idziesz się tego dotykać! brać rądel znajdujący się obok!

— Obok! wykrzyknęła pani Homais składając ręce. Arszenik! Ależ ty mogłeś nas wszystkich potruć!

A dzieci zaczęły krzyczeć, jak gdyby już srogie bóle poczuły w swych wnętrznościach.

— Albo też otruć jakiego chorego! mówił dalej aptekarz. Chciałeś więc zaprowadzić mnie na ławę oskarżonych, przed sąd przysięgłych? zawlec mnie na rusztowanie? Czy nie wiesz z jaką ostrożnością sam postępuję przy wszelkich farmaceutycznych działaniach, chociaż tak jestem z tem wszystkiem obyty! Czasem się sam siebie przestraszam, gdy pomyślę o mojej odpowiedzialności! bo rząd nas prześladuje, a niedorzeczne prawodawstwo, które nami kieruje, jest prawdziwym mieczem Damoklesa nad głową naszą zawieszonym!

Emma już nie myślała pytać po co jej tu przyjść kazano, a pan Homais dowodził ciągle w najwyższem rozdrażnieniu:

— Otóż to tak się odwdzięczasz za świadczone ci dobrodziejstwa! tak mnie wynagradzasz za moje ojcowskie o ciebie starania! Bo gdyby nie ja, coby się z tobą stało? cobyś począł? Kto cię żywi, kto cię ubiera, kto ci daje wychowanie, i środki zajęcia kiedyś zaszczytnego miejsca w społeczeństwie? Ale na to trzeba dobrze się napocić, i ręce sobie narobić, *fabricando fit faber*, *age quod agis*.

Cytował już łacinę, tak był wzburzony. Byłby cytował chińskie i grenlandzkie sentencye, gdyby tylko był znał te dwa języki; gdyż się znajdował w jednem z przesileń, w których dusza objawia wszystko co w sobie zawiera, jak ocean, który podczas burzy otwiera łono swoje od samej nadbrzeżnej morszczyzny aż do piasku dno jego zaścielającego.

Mówił jeszcze:

— Zaczynam okrutnie żałować żem ciebie wziął sobie na kark! Lepiej byłbym zrobił gdybym ci był dał gnić w nędzy i brudzie w jakich się urodziłeś! Nie będzie z ciebie nigdy nic porządnego! Paść bydło tobie! Nie masz żadnej zdolności do nauk! zaledwie potrafisz etykietę

przylepić! A opływasz u mnie jak pączek w maśle!

Emma zwracając się do pani Homais:

— Kazano mi tu przyjść.... zaczęła.

— Ach! Boże mój! perswadowała pani aptekarzowa przybierając smutny wyraz twarzy, jakże pani to mam powiedzieć?... Nieszczęście!...

Nie dokończyła. Aptekarz grzmiał:

— Prędko! wyszoruj go! odnieś go na miejsce! pośpieszże się!

A wstrząsając biednego Justyna za kołnierz, wyrzucił książkę z kieszeni jego kaftana.

Chłopak się schylił. Homais go uprzedził, a podniosłszy książkę wpatrzył się w tytuł wielkiemi oczyma, z otwartemi usty.

— *Miłość.... Małżeńska!* przeczytał oddzielając dobitnie te dwa wyrazy. A to ślicznie! bardzo dobrze! bardzo pięknie! I ryciny!... A! tego już za nadto!

Pani Homais przystąpiła.

— Nie dotykaj się tego!

Dzieci chciały zobaczyć obrazki.

— Wyjdźcie ztąd! krzyknął rozkazująco.

Dzieci usłuchały natychmiast.

On przeszedł się kilka razy wielkimi krokami wzdłuż i wszerz pokoju, trzymając w ręku otwartą książkę, robiąc straszne oczy, zaczerwieniony, zadyszany, nabrzękły. Przystąpił wreszcie do swego ucznia, i stając przed nim ze skrzyżowanemi ramiony:

— Ależ ty jesteś do gruntu zepsutym, mały nędzniku?... Strzeż się! stoisz na pochyłości!... Nie pomyślałżeś, iż ta bezecna książka mogła wpaść w ręce moich dzieci, zapalić w nich iskrę zmysłowości, zaćmić niepokalaną czystość Atalii, zasiać zepsucie w duszy Napoleona! On już jest prawie mężczyzną. Jestżeś przynajmniej pewnym że jej nie czytali?... możesz mi zaręczyć?...

— Ależ nakoniec, panie Homais, rzekła Emma, pan miałeś mi coś powiedzieć?...

— Ach! to prawda!... Teść pani umarł!

W istocie, starszy pan Bovary zakończył życie nagle, rażony apopleksyą w dniu przedwczorajszym, wstawszy od obiadu; a Karol oszczędzając czułość Emmy, uprosił był pana Homais żeby jej z oględnością udzielił tej bolesnej nowiny.

Zacny aptekarz ułożył był sobie stosowną mówkę, ogładził ją, zaokrąglił, upiększył, było to małe arcydzieło ostrożności i omówień, zręcznych

zwrotów i delikatności; na nieszczęście, gniew wziął górę nad retoryką.

Emma nie pytając już o żadne szczegóły wyszła z apteki, gdyż pan Homais na nowo rozpoczynał swoje dowodzenia. Uspokajał się już wszakże po trochu, i burczał teraz tylko po ojcowsku, chłodząc się swoją grecką czapeczką:

— Nie to żebym zgoła potępiał to dzieło! Autor był lekarzem. Znajdują się tam pewne strony naukowe, które nie zawadzi mężczyznie poznać, które nawet, śmiem powiedzieć, znać powinien. Ale później, później! Zaczekaj przynajmniej aż sam będziesz mężczyzną, i temperament twój się ustali.

Gdy Emma weszła, Karol, który na nią czekał, postąpił ku niej z otwartemi ramiony i rzekł ze łzami w głosie:

— Ach! ukochana moja!...

I schylił się aby ją ucałować. Lecz dotknięcie ust męża przywiodło jej na pamięć *tamtego* i drgnąwszy przesunęła rękę po twarzy.

Odpowiedziała jednak:

— Tak.... wiem już.... wiem....

On pokazał jej list, w którym matka donosiła o wypadku, bez żadnej sentymentalnej obłudy.

Ubolewała tylko że mąż jej nie otrzymał pociech religijnych, gdyż umarł w Doudeville, na progu kawiarni, po uczcie patryotycznej w gronie dawnych wojskowych.

Emma list oddała; przy obiedzie, dla przyzwoitości, wstrzymywała się od jedzenia. Gdy jednak mąż naglić ją zaczął, znalazł się apetyt. Karol tymczasem, siedząc naprzeciwko niej, pozostawał nieruchomy, w postawie znękanej.

Od czasu do czasu podnosił głowę i przesyłał jej przeciągłe, pełne żalu spojrzenia. Raz wyrzekł z westchnieniem:

— Byłbym chciał widzieć go jeszcze!

Ona milczała. Wreszcie uważając że wypadało coś powiedzieć:

— W jakim wieku był twój ojciec? zapytała.

— Miał pięćdziesiąt ośm lat!

— Ach!

I na tem koniec.

Po kwadransie rzekł jeszcze:

— Biedna moja matka!.... co teraz z sobą pocznie?

Emma zrobiła poruszenie niewiadomości.

Widząc ją milczącą, Karol pomyślał że tak jest zmartwioną i sam nic nie mówił, żeby nie

rozdrażniać tej żałości, która go rozrzewniała. Przezwyciężając jednak własną:

— Czy dobrze się bawiłaś wczoraj? zapytał.

— Dosyć dobrze!

Gdy zdjęto obrus, Bovary nie wstał od stołu, Emma także, a w miarę jak mu się przypatrywała, jednostajność tego widoku zacierała powoli w jej sercu wszelkie współczucie. Wydawał jej się nędznym, słabym, żadnym, wreszcie pod każdym względem lichym człowiekiem. Jak go się pozbyć? Co za nieskończenie nudny wieczór! Doznawała jakiegoś odurzającego odrętwienia jak po zażyciu opium.

W tem dał się słyszeć w sieni głuchy stuk kija na podłodze. To Hipolit odnosił rzeczy pani. Aby je złożyć, zakreślił z trudnością półkole swoją drewnianą nogą.

— On nawet nie pomyśli już o tem! mówiła w duchu, patrząc na biedaka, którego gęsta czerwona czupryna zwilgotniała od potu.

Bovary poszukał drobnych w woreczku; a nie zdając się wcale pojmować jakiem dla niego upokorzeniem była sama obecność tego człowieka, stojącego przed nim jak uosobiony wyrzut jego niepoprawionej nieudolności:

— Patrzcie! jaki ładny masz bukiecik! rzekł spostrzegłszy na kominku fijołki Leona.

— Tak, odparła obojętnie; kupiłam te kwiatki.... od biednej kobiety.

Karol wziął w rękę fijołki, i chłodząc nad niemi oczy od łez zaczerwienione, poił się ich wonią. Emma odebrała mu bukiecik i wstawiła go w wodę.

Nazajutrz przyjechała starsza pani Bovary. Popłakali się oboje z synem. Emma zostawiła ich samych pod pozorem wydawania rozporządzeń.

Następnego dnia trzeba było wspólnie się zająć żałobą. Panie usiadły z robotą w altance, nad wodą.

Karol myślał o swym ojcu i sam się dziwił że znajdował w sobie tyle przywiązania do tego człowieka, którego dotąd zdawał się bardzo tylko umiarkowanie kochać. Starsza pani Bovary myślała o swym mężu. Najgorsze z dawniejszych dni wydawały jej się dziś zazdrości godnymi. Wszystko złe zacierało się instynktowym żalem długoletniego przyzwyczajenia; i od czasu do czasu gruba łza staczała się z jej oczu schylonych nad szyciem i zatrzymywała się przez chwilę u końca jej śpiczastego nosa. Emma ze swej stro-

ny myślała że przed niespełna czterdziestu ośmiu godzinami byli razem, zdala od świata, upojeni miłością, nie mogąc dosyć się sobie napatrzeć. Usiłowała przypomnieć sobie najdrobniejsze szczegóły tego dnia ubiegłego. Przeszkadzała jej w tem obecność męża i świekry. Byłaby chciała nic nie widzieć, nic nie słyszeć, aby nie psuć skupienia miłości swej, którą bała się rozproszyć pod wpływem zewnętrznych wrażeń.

Wypruwała podszewkę z sukni, której strzępki rozrzucały się w około niej; starsza pani Bovary przykrawała nie podnosząc oczu, Karol w krajczakach na nogach i starym brunatnym surducie, który mu służył za szlafrok, trzymał ręce w kieszeniach i także nic nie mówił; przy nich, malutka Berta w białym fartuszku, zgarniała swoją łopatką piasek na ścieżkach.

W tem ujrzeli wchodzącego przez furtkę pana Lheureux, kupca bławatnego.

Przychodził ofiarować swoje usługi, *ze względu na nieszczęśliwe okoliczności.* Emma odpowiedziała, iż sądzi że się bez nich potrafi obejść. Kupiec nie dał za wygraną.

— Stokrotnie przepraszam, rzekł; lecz chciałbym pomówić z panią na osobności....

— A półgłosem dodał:

— Względem tego interesu.... pan już wiesz?

Karol zaczerwienił się po uszy.

— A! tak.... rzeczywiście.

A zakłopotany, zwróciwszy się do żony:

— Czy nie mogłabyś.... kochanko?...

Zdawała się go rozumieć bo wstała, a Karol rzekł jeszcze do matki:

— To nic! Zapewne jaka gospodarska drobnostka.

Nie chciał aby się dowiedziała o jego długu, obawiając się uwag staruszki.

Skoro zostali sami, pan Lheureux dosyć wyraźnie winszować zaczął Emmie *sukcessyi*, potem mówił o rzeczach obojętnych, o żniwach, o owocowych szpalerach i o swem własnem zdrowiu, które zawsze kulało, *ni to ni owo*. Bo też w samej rzeczy, pracował jak wół, chociaż ciężko mu było na masło do chleba zarobić, pomimo tego co ludzie o nim gadali.

Emma nie przerywała mu. Tak okropnie się nudziła od dwóch dni!

— I pani zupełnie wyzdrowiała? mówił dalej kupiec. Na honor! widziałem męża pani w niezłych *tarapatach!* Dobry to chłopak, chociaż mieliśmy z sobą pewne trudności.

Zapytała jakie, gdyż Karol nic jej nie powiedział o sporach względem dostaw kupca.

— Przecież pani wiadomo! odparł Lheureux. Chodziło o te drobnostki, kufry podróżne.

Nasunął kapelusz na oczy, i założywszy w tył ręce, uśmiechając się i pogwizdując, patrzył jej prosto w twarz w sposób nieznośny. Czyby się czego domyślał? Gubiła się w najrozmaitszych przypuszczeniach. Wreszcie dodał:

— Porozumieliśmy się jednak, i właśnie przychodzę zaproponować mu nowy układ.

Chodziło o odnowienie kwitu podpisanego przez Bovarego. Zresztą, pan postąpi jak zechce, nie potrzebuje się turbować, teraz szczególnie kiedy i tak będzie miał kłopotów bez liku.

— A nawet, najlepiejby zrobił, gdyby na kogo zdał te sprawy, na panią naprzykład, mając pełnomocnictwo, byłoby dogodnie, i wtenczas prowadzilibyśmy nasze interesa już tylko pomiędzy sobą...

Emma dobrze tego nie rozumiała. Kupiec zamilkł. Następnie powracając do swego fachu, oświadczył że pani się nie obejdzie bez sprawunku. On przyśle dwanaście metrów barezu czarnego na suknię.

— Ta, którą pani ma, dobra będzie na codzień. Druga potrzebna pani na wizyty... Ja to zaraz pomiarkowałem, jak tylko tu wszedłem. Mam amerykańskie oko.

Nie przysłał, ale sam przyniósł ów bareż. Potem przyszedł go odmierzyć, powracał kilkakrotnie pod różnymi pozorami, usiłując zawsze się przysłużyć, być uprzejmym, nadskakującym, wkręcając się, jakby powiedział Homais, i za każdym razem nasuwając nieznacznie Emmie rady co do owego pełnomocnictwa. Nie wspominał wcale o kwicie. Ona o nim nie myślała; Karol, po jej chorobie, coś jej był o tem napomknął; lecz tyle wzruszeń od tego czasu głowę jej zaprzątnęło, że już o tem nie pamiętała.

Zresztą, strzegła się wszczynać najmniejszej rozprawy o interesach, starsza pani Bovary dziwiła się temu, i przypisywała tę zmianę usposobienia uczuciom religijnym, jakie się w niej podczas choroby rozwinęły.

Jednakże, skoro tylko odjechała, Emma niebawem zachwyciła Bovarego swoim praktycznym rozsądkiem. Należało zebrać stosowne wiadomości, sprawdzić hypoteki, przekonać się czy potrzeba było urządzić licytacyę czy likwidacyę. Uży-

wała na chybił trafił wyrażeń technicznych, mówiła górnie o potrzebie zaprowadzania ładu w interesach, o przyszłości, przezorności, przesadzając ustawicznie kłopoty spadkowe, wreszcie jednego dnia pokazała mu wzór ogólnej plenipotencyi do działania w jego sprawach i zawiadywania interesami, zaciągania w jego imieniu pożyczek, podpisywania weksli i przekazów, robienia wszystkich wypłat i t. d." Skorzystała widocznie z nauk zacnego pana Lheureux.

Karol zapytał jej z całą naiwnością, zkąd pochodził ten papier?

— Od pana Guillemena, odpowiedziała.

I z najzimniejszą krwią w świecie dodała:

— Nie bardzo temu ufam. Notaryusze w ogóle nie cieszą się najlepszą opinią! Trzebaby może kogoś się poradzić... My nikogo nie znamy... o! tak, nikogo.

— Chybaby jeden Leon... napomknął Karol z namysłem.

Ale trudno było porozumieć się listownie. Emma ofiarowała się sama pojechać. Karol nie chciał jej narażać na trudy podróży. Ona nalegała. Prześcigali się we wzajemnych uprzejmościach. Wreszcie ona zawołała ze sztucznie nadąsaną minką:

— Już ja cię proszę, nic nie mów: pojadę.

— Jak dobrą jesteś! rzekł całując ją w czoło.

Zaraz nazajutrz pani Bovary wsiadła do *Jaskółki* i pojechała do Rouen zasięgnąć rady pana Leona: trzy dni tam zabawiła.

III.

Były to trzy dni pełne, wymarzone, przepyszne, prawdziwy raj miodowy.

Umieścili się w *hotelu Bulońskim*, w porcie. I tam czas przepędzali, przy zamkniętych drzwiach, zapuszczonych storach, pośród kwiatów porozrzucanych po ziemi i zamrożonych syropów, które im od rana przynoszono.

Ku wieczorowi, brali krytą barkę i płynęli obiadować na wysepce.

O tej godzinie rozlegają się na warsztatach okrętowych tłuczki robotników utykających szpary w pudłach statków. Dym palonej smoły unosił się po nad drzewami, a na rzece widać było dwie tłuste krople, które poruszały się w purpurowem świetle zachodzącego słońca, jak pływające kawałki brązu florenckiego.

Oni spuszczali się pośród bark na kotwicy stojących, których długie ukośne liny ocierały się o wierzch ich łodzi.

Odgłosy miejskie oddalały się nieznacznie: turkot wozów, gwar głosów, szczekanie psów na pokładzie statków. Emma zdejmowała kapelusz i wysiadali na swoją wyspę.

Zasiadali w dolnej sali oberży, u której wejścia rozwieszone były czarne sieci. Jedli smażone szynki, śmietanę i wiśnie. Kładli się na trawie, całowali się w cieniu topoli, i byliby chcieli jak para Robinsonów, żyć wiecznie w tem szczupłem ustroniu, które w ich błogiem usposobieniu, wydawało im się najpyszniejszem w świecie. Nie pierwszy to raz zaiste, widzieli drzewa, błękit nieba, miękką murawkę, słyszeli szmer wody i szelest liści wietrzykiem poruszanych, lecz nigdy zapewne nie podziwiali tego wszystkiego, jak gdyby natura zaczęła być piękną dopiero od chwili zaspokojenia ich żądz miłosnych.

Powracali gdy się ściemniło. Łódź płynęła wzdłuż wysp. Siedzieli w głębi, ukryci w cieniu, oboje milczący. Czworokątne wiosła z dźwiękami uderzały o żelazne blachy; wśród ciszy wieczornej te odgłosy naśladowały uderzenia mi-

tronomu, podczas gdy belka wlokąca się z tyłu nie przestawała swego lekkiego pluskania w wodzie.

Raz księżyc się ukazał, nie omieszkali korzystać z tej okoliczności dla unoszenia się nad smętną i poetyczną jego tarczą; nawet Emma śpiewać zaczęła:

„Czy pamiętasz jak wieczorem płynęliśmy i t. d."

Głos jej słaby lecz melodyjny ginął na falach; wiatr unosił rulady, którym Leon przysłuchiwał się jak szelestowi niewidzialnych skrzydeł.

Ona stała wprost niego, oparta o przepierzenie szalupy, dokąd księżyc zaglądał przez otwarte okienko. Jej czarna powłóczysta suknia, czyniła ją wyższą i wysmuklejszą. Trzymała głowę podniesioną, ręce złożone i oczy ku niebu wzniesione. Chwilami zasłaniał ją cień wierzb nadbrzeżnych, potem ukazywała się znowu w blasku księżyca, jak świetlane zjawisko.

Leon siedząc u stóp jej na ziemi, znalazł pod ręką kokardę z pąsowej wstążki.

Przewoźnik obejrzał ją i rzekł:

— Ach! to zapewne jednej z tych pań, które woziłem onegdaj. Było ich całe grono figlarne, panów i pań, z ciastami, szampanem, muzyką i ca-

łym szumem! Jeden z nich szczególnie, piękny mężczyzna z wąsikami, bardzo był zabawny! a oni mówili do niego: „Dalejże, opowiadz nam co jeszcze... Adolfku... Dodolfku..., tak, zdaje mi się.

Emma drgnęła.

— Czy ci niedobrze? zapytał Leon, przysuwając się do niej.

— O! to nic. Przejął mnie chłód nocny.

— I także musi mieć szczęście do kobiet, dodał ciszej stary majtek, sądząc, że powie grzeczność obcemu panu.

Poczem napluwszy w ręce, ujął napowrót wiosło.

Trzeba było się jednak rozstać! Smutne było pożegnanie. Leon miał swoje listy posyłać na ręce matki Rollet; a pani Bovary tak szczególnie mu dała zalecenia co do podwójnej koperty, że wielce podziwiał jej miłosną przebiegłość.

— Więc mi zaręczasz, że wszystko jest dobrze? zapytała przy ostatnim pocałunku.

— Tak, bezwątpienia! — Ciekawy jestem jednak, pomyślał później, powracając sam do domu, dla czego jej tak bardzo chodzi o tę plenipotencyę?

IV.

Niebawem Leon przybrał jakiś ton wyższości względem swych towarzyszy, zaczął ich unikać, i zupełnie zaniedbał swoje akta prawnicze.

Oczekiwał na listy od Emmy, odczytywał je. Pisywał do niej. Przyzywał jej całą siłą swych żądz i wspomnień. Zamiast się stępić nieobecnością, to pragnienie ujrzenia jej wzmogło się do takiego stopnia, że jednego sobotniego poranku wymknął się z kancelaryi.

Skoro z wysokości pagórka ujrzał w dolinie dzwonnicę kościoła z blaszaną chorągiewką, którą wiatr obracał, uczuł tę lubość pomieszaną z tryumfem próżności i samolubnem zadowoleniem, jakiej doznawać muszą milionerzy, przybywający odwiedzić swoją wioskę.

Poszedł krążyć wokoło jej mieszkania. Światło błyszczało w kuchni. Usiłował dojrzeć cień jej za firanknmi, lecz napróżno.

Pani Lafrançois zobaczywszy go, okrzyknęła się głośno: znajdowała go wyższym i szczuplejszym, podczas gdy Artemiza, przeciwnie, uważała że zmężniał i opalił się,

Obiadował w małej salce, jak niegdyś, lecz sam jeden, bez poborcy, Binet bowiem, znudzony oczekiwaniem na *Jaskółkę*, ostatecznie przyśpieszył o całą godzinę swoją porą obiadową, obecnie jadał punkt o piątej, i jeszcze dowodził najczęściej że *stara szkapa się spóźniała.*

Leon odważył się nakoniec: poszedł zastukać do drzwi lekarza. Pani była w swoim pokoju, zkąd w kwadrans dopiero zeszła. Pan zdawał się wielce jego odwiedzinami uradowany; lecz nie ruszył się z domu przez cały wieczór, ani przez cały dzień następny.

Późno wieczorem dopiero zobaczył ją sam na sam w uliczce za ogrodem, w uliczce, tak jak z tamtym! Deszcz padał, i rozmawiali pod parasolem przy świetle błyskawic.

Rozłączenie stawało się niepodobnem do zniesienia.

— Wolałabym umrzeć! mówiła Emma.

Zwieszała się na jego ramieniu, zalana łzami.

— Bądź zdrów!.. Bądź zdrów!.. Kiedyż cię znowu zobaczę?

Powracali żeby się raz jeszcze uściskać, i tam przyrzekła mu, że wkrótce znajdzie jakąkolwiek sposobność widywania się swobodnie, przynaj-

mniej raz w tydzień. Emma nie wątpiła o tem. Zresztą, pełną była nadziei. Spodziewała się dostać pieniędzy.

To też kupiła do swego pokoju firanki żółte w szerokie pasy, których taniość zachwalił jej pan Lheureux; marzyła o kobiercu, a Lheureux zapewniając ją, że to „całego świata kosztować nie będzie", podjął się z wielką uprzejmością dostarczyć jej ładnego. Nie mogła się już obejść bez jego usług. Dwadzieścia razy w ciągu dnia posyłała po niego, a on miał wszystko i biegł ochoczo na jej zawołanie. Dziwiono się także, że matka Rollet zawsze teraz przychodziła do niej na śniadanie, i nawet odwiedzała ją czasem na osobności.

W tym czasie, to jest ku zimie, ogarnął ją wielki zapał do muzyki.

Jednego wieczoru, podczas gdy Karol słuchał jej grania, zaczynała pokilkakrotnie ten sam kawałek, niecierpliwiąc się sama na siebie, a Karol nie uważając różnicy, mówił:

— Ależ doskonale!.. brawo!.. grajże dalej!

— Ale gdzie tam! haniebnie! palce mi zesztywniały.

Nazajutrz poprosił jej żeby mu znowu co zagrała.

— Dobrze, jeżeli sobie tego życzysz!

Karol musiał przyznać że trochę straciła. Myliła się w takcie, brała fałsze, wreszcie urwawszy zupełnie:

— Ach! to na nic się nie zdało! powinnabym brać lekcye, ale...

Przygryzła wargi i dodała:

— Po dwadzieścia franków godzina... to za drogo!

— Tak, w samej rzeczy... trochę... rzekł Karol śmiejąc się głupowato. Zdaje mi się jednak, że możnaby tańszego znaleźć nauczyciela... są czasem artyści nie rozgłośni więcej warci od najsławniejszych.

— Poszukaj takiego! rzekła Emma.

Następnego dnia, powróciwszy do domu wpatrzył się w nią figlarnie i rzekł nakoniec:

— Jak ty czasem jesteś uparta! Byłem dziś w Barfeuchères. Otóż pani Liégeard upewniała mnie, że jej trzy córki, które są u Panien Wizytek, biorą lekcye po pół franka za godzinę, i to od wybornej nauczycielki!

Emma wzruszyła ramionami i zamknęła fortepian, którego więcej nie otworzyła.

Tylko, ile razy przechodziła koło instrumentu — jeżeli Bovary był blizko — wzdychała.

— Ach! biedny mój fortepian!

A wszystkim znajomym nieomieszkała opowiadać, że zarzuciła muzykę, i nie mogła już do niej powrócić — dla ważnych przyczyn. Żałowano jej. Jaka szkoda! tak piękny talent! Napomykano o tem nawet Bovaremu. Zawstydzano go, nadewszystko aptekarz.

— Źle pan robisz! nie trzeba nigdy odłogiem zostawiać darów natury. Zresztą, pomyśl tylko, mój dobry przyjacielu, że zachęcając żonę do pracowania nad muzyką, oszczędzasz sobie w przyszłości wydatku na kształcenie w tym przedmiocie córki! Ja bo jestem zdania, że matki powinny same uczyć swoje dzieci. Jest to pomysł Roussa, może jeszcze trochę przedwczesny, ale który w końcu zwycięży, ani wątpić, tak jak karmienie macierzyńskie i szczepienie ospy.

Karol tedy raz jeszcze powrócił do kwestyi fortepianu. Emma odpowiedziała mu opryskliwie, że najlepiej go było sprzedać... Wynieść z domu ten biedny fortepian, któremu był winien tyle przyjemnych chwil zadowolonej próżności, było to dla Bovarego jakby moralnem samobójstwem cząstki jej samej!

— Gdybyś chciała..., mówił, wziąść od czasu do czasu lekcyę, toby nas przecie nie zrujnowało.

— Lekcye tylko ciągłe mogą przynieść korzyść, odpowiadała nieodmiennie.

Na taki sposób się wzięła, żeby uzyskać od męża pozwolenie wyjazdu raz w tydzień do miasta, dla widzenia się z kochankiem. Po upływie miesiąca znajdowano nawet, że znaczne zrobiła postępy w muzyce.

V.

Czwartek był dniem przeznaczonym na te przejażdżki. Wstawała tego dnia raniej niż zwykle, i ubierała się cicho, żeby nie obudzić Karola, któryby jej bezwątpienia robił uwagi, że się zbyt wcześnie wybiera. Potem przechadzała się po pokoju, wyglądała oknem na plac. Blade światło zimowego poranku snuło się pomiędzy słupami targowiska. Na domu aptekarza, z pozamykanemi okiennicami rysowały się niewyraźnie dwie głoski szyldu.

O kwadrans na ósmą, Emma szła pod *Złotego Lwa*, którego drzwi otwierała jej Artemiza. Usłuż-

na dziewczyna odgrzebywała dla pani węgle tlejące pod popiołem. Emma zostawała sama w kuchni. Od czasu do czasu wychodziła na podwórze, gdzie Hivert zakładał konie bez pośpiechu, słuchając pani Lefrançois, która wysunąwszy przez lufcik głowę związaną bawełnianą chusteczką, dawała mu rozmaite polecenia z towarzyszeniem objaśnień, któreby innemu zupełnie w głowie pomieszały. Emma rozgrzewała sobie nogi tupaniem po bruku podwórzowym.

Wreszcie, posiliwszy się talerzem gorącej zupy, wdziawszy na siebie kapotę i wyszukawszy swego bicza, Hivert zasiadał powoli na koźle.

Jaskółka ruszała małym truchcikiem, i przez pierwsze trzy ćwierci mili zatrzymywała się co chwila dla zabierania podróżnych, którzy na nią czekali przy drodze. Ci, którzy mieli naprzód zamówione miejsca dawali czekać na siebie; niektórzy byli jeszcze w łóżkach, klął, nakoniec zsiadał z kozła i szedł wybijać do drzwi opieszałych. Wiatr tymczasem dmuchał przez popękane okienka *Jaskółki*.

Powoli zapełniały się wszystkie cztery ławeczki, ciężki dyliżans toczył się po drodze opasanej po obu stronach rowami pełnymi żółtawej

wody, szeregi jabłoni znikały jedne po drugich, i droga zwężała się stopniowo.

Emma znała ją na palcach, wiedziała że za pastkwiskiem był drogoskaz, dalej wiąz i domek dróżnika; czasem przymykała oczy, żeby sobie robić niespodzianki. Lecz nie myliła się nigdy w ocenieniu przebytej przestrzeni.

Nakoniec ukazywały się pierwsze murowane domy, ziemia tętniła pod kołami, *Jaskółka* sunęła pomiędzy ogrodami, gdzie przez sztachety spostrzegano posążki, winnice, cisowe szpalery i huśtawki. Potem nagle ukazywało się miasto.

Całe na tarasach zbudowane i we mgle stopione, rozpościerało się niewyraźnie po za mostami, Dalej ciągnęły się jednostajne pola, zlewając się na krańcu widnokręgu z bladą podstawą nieba. Widziany z góry, cały ten krajobraz wydawał się nieruchomym jak malowidło, statki na kotwicy tuliły się w kącie; rzeka zaokrąglała swoje zagięcie u stóp zielonych pagórków, a wysepki, kształtu podłużnego, wyglądały na drodze jak wielkie czarne uśpione ryby. Z kominów fabrycznych wychodziły kłęby czarnego dymu. Słychać było huczenie pieców hutniczych wraz z dźwięcznym odgłosem dzwonów z kościołów we mgle się

rysujących. Drzewa na bulwarach, z liści ogołocone, tworzyły ciemno fioletowe kępy pośród domów, a wilgotne od deszczu dachy połyskiwały niejednostajnie, stosownie do położenia różnych dzielnic miasta. Czasem silniejszy powiew wiatru popychał chmury ku wybrzeżu Ś-tej Katarzyny, nakształt nadpowietrznych bałwanów, które się w cichości o skały rozbijały.

Coś odurzającego wydzielało się dla niej z tych nagromadzonych istności, czem serce jej czuło się przepełnionem, jak gdyby wszystkie sto dwadzieścia tysięcy dusz tam żyjących, przesyłały jej razem tchnienie namiętności, jakie im przypisywała. Miłość jej potężniała w obec przestrzeni, i rozpalała się przy wzrastającym gwarze. Wylewała ją na zewnątrz, na place, na bulwary, na ulice, i stary gród normandzki przedstawiał się jej oczom jak olbrzymia stolica, jak Babilon niezmierzony, do którego wstępowała. Wychylała się przez okienko, wciągając świeże powietrze poranne; trzy konie galopowały, błoto pryskało na wszystkie strony, a Karol zdaleka rozpędzał kabryolety, podczas gdy mieszczanie, którzy noc przepędzili w lasku Wilhelma, sunęli spokojnie wybrzeżem, na swoich małych familijnych wózkach.

Stawano przy rogatce; Emma zdejmowała berlacze, przemieniała rękawiczki, poprawiała szal na ramionach, i o dwadzieścia kroków dalej wysiadała z *Jaskółki*.

Miasto przebudzało się ze snu o tej godzinie. Kupczyki w greckich czapeczkach wycierali wystawy sklepowe, a kobiety z koszami na ręku od czasu do czasu głośno towar swój obwoływały na rogach ulic. Emma szła ze spuszczonemi w ziemię oczyma, pod samemi ścianami domów, uśmiechając się z zadowolenia pod zasłoną woalki.

Z obawy, aby nie zwrócić czyjejkolwiek uwagi, nie szła zwykle najkrótszą drogą. Zapuszczała się w ciemne zaułki, i cała zadyszana przybywała na dół ulicy Narodowej, do studni tam będącej. Jest to dzielnica teatru, szynkowni i kobiet złego życia. Czasem wymijał ją wózek wiozący jaką dekoracyę. Chłopaki w fartuchach posypywali piaskiem kamienne płyty, pomiędzy zielonymi iglastymi krzewami. Czuć tu było woń piołunówki, cygarowego dymu i ostryg.

Na zakręcie ulicy spostrzegała Leona: poznawała go po ufryzowanych włosach z pod kapelusza wychodzących.

On szedł dalej nie oglądając się. Ona dążyła za nim aż do hotelu; on wstępował na schody, otwierał drzwi, wchodził.... Co za uścisk!

Potem powitania, pocałunki, bez przerwy po sobie następowały. Opowiadano sobie całotygodniowe zmartwienia, przeczucia, obawy o listy; lecz teraz wszystko było zapomnianem, i wpatrywali się w siebie wzajemnie ze śmiechem lubieżnym, najtkliwsze nazwy sobie nadając.

Stało tu obszerne łoże w kształcie łódki. Firanki z czerwonej lewantyny idące od samego sufitu rozpierały się na wywiniętych poręczach; — i trudno było wyobrazić sobie coś powabniejszego niż ciemnowłosa jej głowa i biała płeć odbijająca na tem tle purpurowem, kiedy ruchem pełnym wstydliwości zasłaniała sobie twarz rękami, podniosłszy w górę pięknie utoczone ramiona.

Ciepłe to schronienie, wysłane miękkim kobiercem, pełne ładnych drobnostek i spokojnego światła, zdawało się stworzonem do poufnych zwierzeń namiętności. Strzały u firanek, mosiężne patery i duże galki u wilków, błyszczały skoro tylko słońce zaświeciło. Na kominku, pomiędzy kandelabrami, leżały dwie wielkie różowe muszle, z tych co przyłożone do ucha wydają odgłos podobny do morskiego szumu.

Jak oni lubili ten miły pokoik pełen wesołości, pomimo swego nieco spłowiałego przepychu! Znajdowali zawsze sprzęty na tem samem miejscu, czasem nawet szpilki od włosów, które poprzedniego czwartku zostawiła pod zegarem. Śniadanie jedli przy kominku, na małym gierydonie inkrustowanym palisandrem. Emma rozkrawała mięsiwo, kładła jemu na talerz kawałki, i powtarzając tysiączne pieszczoty, śmiała się swawolnie i dźwięcznie, kiedy spieniony szampan spływał po kieliszku na jej pierścionki. Tak zupełnie byli zatopieni we wzajemnem siebie posiadaniu, że im się zdawało jak gdyby się tu w swoim własnym domu znajdowali, i do śmierci w nim żyć mieli, jak para wiecznie młodych małżonków. Mówili: nasz pokój, nasz kobierzec, nasze fotele, ona mówiła nawet moje pantofelki, na dar Leona, który zachciance jej dogodził. Były to sandałki różowe atłasowe, puszkiem łabędzim oszyte. Kiedy siadała na jego kolanach, nóżka jej nie dostawała do ziemi, a eleganckie obuwie, nie mające napiętka, trzymało się tylko na wielkich palcach bosej stopy.

Leon po raz pierwszy w życiu lubował się nieskończonym urokiem kobiecych elegancyj. Nigdy

mu się jeszcze nie zdarzyło napotkać tego wdzięku wysłowienia, tej wytworności w stroju, tych poz uśpionej gołąbki. Uwielbiał egzaltacyę jej duszy i koronki u jej spódniczki. Zresztą, wszakże to była *kobieta światowa*, do tego mężatka! prawdziwa *metressa*, nakoniec!

Przez niejednostajność swego usposobienia, na przemiany mistycznego lub wesołego, szczebiotliwego, milczącego, porywczego lub omdlewającego, Emma wywoływała w nim tysiączne pragnienia, budziła rozliczne instynkta lub wspomnienia. Była kochanką wszystkich romansów, bohaterką wszystkich dramatów, nieokreśloną *nią* wszystkich poetycznych ramot. Ramiona jej przypominały mu bursztynową barwę *odaliski w kąpieli;* miała stan długi feodalnych kasztelanek; podobną była także do *bladej kobiety z Barcelony*, lecz nadewszystko była *aniołem!*

Częstokroć patrząc na nią, zdawało mu się, że dusza jego, wyrywając się do niej, rozlewała się jak fala wokoło jej głowy, i spływała na białe jej piersi.

Siadał przy niej na ziemi, i obadwa łokcie o jej kolana oparłszy, wpatrywał się w nią z uśmiechem i czołem naprzód podanem.

Ona pochylała się ku niemu i szeptała w upojeniu miłosnem:

— O! nie poruszaj się! nie mów nic! patrz tylko na mnie! Z oczu twoich płynie coś tak słodkiego, co mi tak dobrze robi!

Nazywała go dzieciakiem.

— Kochasz mnie, dzieciaku?

I nie czekając odpowiedzi jego, spieszyła pocałunkiem zadowolnić spragnione usta.

Na zegarze stał mały brązowy kupidynek, który się wdzięczył zaokrąglając ramiona pod złoconym wieńcem. Nieraz śmieli się z niego; ale kiedy trzeba było się rozstawać, wszystko poważniało w ich oczach.

Stojąc nieruchomie jedno naprzeciwko drugiego, powtarzali sobie:

— Do drugiego czwartku... do drugiego czwartku!

Nagle brała głowę jego w obie dłonie, całowała go prędko w czoło i wyrzekłszy:

— Bądź zdrów! zbiegała szybko ze schodów.

Szła najpierwej na ulicę Komedyi, do fryzyera, żeby jej włosy poprawił. Zmierzch zapadał; zapalano lampy w zakładzie.

Słyszała dzwonek teatralny wzywający aktorów na przedstawienie; widziała jak przechodzili mężczyzni z twarzą ubieloną i kobiety w spłowiałych sukniach, i znikali w bocznych drzwiach prowadzących za kulisy.

Gorąco było w tym małym pokoiku o nizkim suficie, gdzie piec mruczał pośród peruk i pomad. Swąd od żelazek, łącznie z temi zatłuszczonemi rękami, które włosy jej układały, odurzał ją powoli, i nieraz zdrzemnęła się pod osłoną podwłośnika. Często fryzyerczyk czesząc jej włosy, częstował ją biletami na bal maskowy.

Wreszcie odchodziła. Dążyła przez ulice; przybywała pod *Czerwony Krzyż;* brała berlacze, które była rano pod ławeczkę schowała i zajmowała swoje miejsce pośród zniecierpliwionych podróżnych. Niektórzy z nich wysiadali u wybrzeża. Zostawała czasem sama w powozie.

Na każdym zakręcie spostrzegano coraz lepiej oświetlenie miasta, tworzące niby promienną parę po nad masą domów. Emma klękała na poduszkach, i błądziła wzrokiem po tych światłach. Płakała, wzywała Leona, i przesyłała mu najtkliwsze wyrazy wraz z pocałunkami, które wiatr unosił.

Na wybrzeżu włóczył się zawsze pośród wozów niewidomy biedak ze swym kijem. Pęk łachmanów bez nazwy okrywał jego ramiona; stary pogięty filcowy kapelusz w kształcie grzyba twarz mu zasłaniał; lecz kiedy go zdjął, spostrzegano w miejscu powiek, dwie ziejące zakrwawione wklęsłości. Czerwone strzępy ciała zwieszały się nad niemi, i spływała z nich ciecz, która krzepła w postaci zielonkowatych kropek po całym nosie, którego czarne otwory charkały ohydnie. Chcąc przemówić, przechylał głowę z idyotycznym śmiechem, — wtenczas sine jego źrenice, kołując ciągłym ruchem, uderzały ku skroniom w brzegi żywych ran.

Biegnąc za powozami, śpiewał piosnkę:

Często w dzień gorący letni,
O miłości marzy dziewczę...

Reszta piosnki mówiła o ptakach, słońcu i zieloności.

Czasami zjawiał się nagle za Emmą, z odkrytą głową. Cofała się na ten widok z okrzykiem. Hivert szydził z niego. Namawiał go, żeby sobie najął barak na jarmarku Św. Romana, lub go zapytywał śmiejąc się, co porabia jego dobra przyjaciołka.

Nieraz dyliżans już ruszył, kiedy okrągły kapelusz nędzarza wpadał nagle przez okienko do środka jego, podczas gdy drugą ręką chwytał się za stopień, pomiędzy kołami. Głos jego, zrazu słaby i jękliwy, stawał się przenikliwym. Brzmiał w ciemności, jak niewyraźny jęk strasznej rozpaczy, a pośród dźwięku dzwonków, szmeru drzew i turkotu starego pudła, żałosny ten głos wstrząsał do głębi duszę Emmy, nakształt burzy w otchłani, i unosił ją w sfery bezgranicznej melancholii. Hivert tymczasem, poczuwszy zbyteczny przeciwciężar, zacinał biczem kalekę. Konopne włókno ocierało się o jego rany, i upadał w błoto wydając jęk podobny do wycia.

Potem podróżni *Jaskółki* usypiali powoli, jedni z otwartemi ustami, drudzy z brodą na piersi spuszczoną, oparci o ramię sąsiada, lub z ręką założoną za pas rzemienny, kiwając się w miarę kołysania dyliżansu; a odblask latarni zawieszonej na hołobli dostając się do środka przez firanki perkalowe czekoladowej barwy, rzucał fantastyczne cienie na te wszystkie nieruchome postacie. Emma przejęta smutkiem, drżała z zimna w zbyt lekkiem odzieniu, nogi jej kostniały i śmiertelna żałość duszę napełniała.

Karol oczekiwał na nią w domu; *Jaskółka* zawsze się spóźniała we czwartki. Nakoniec pani przyjeżdżała! Wchodząc, zaledwie pocałowała małą Bertę. Obiad nie był gotowy! mniejsza o to! nie gniewała się na kucharkę. Wszystko teraz było wolno tej dziewczynie.

Często mąż, widząc ją bledszą niż zwykle, zapytywał jej czy nie jest cierpiącą?

— Nie, odpowiadała.

— Jednak, jakaś dziwna dziś jesteś!

— Ech! to nic, to nic!

Czasem zaraz po powrocie szła do swego pokoju; Justynek, który się tam znajdował, uwijał się na palcach, zręczniejszy w usłudze od najbieglejszej pokojówki. Przynosił zapałki, stoczek, książkę, przygotowywał biały kaftanik, odsłaniał kapę z łóżka.

— Dobrze, dobrze! mówiła, idź już sobie!

Albowiem chłopak stał ze spuszczonemi rękoma, jak gdyby ujęty w nierozwikłane sieci nagłej zadumy.

Dzień piątkowy bywał okropnym; następne jeszcze były nieznośniejszymi przez niecierpliwość, z jaką Emma wyglądała powrotu swego szczęścia, — pożerana szaloną żądzą, podniecaną

znanymi już obrazami, której siódmego dnia puszczała wodze pośród pieszczot Leona. Jego zaś miłosne zapały kryły się pod osłoną wybuchów wdzięczności i zachwytu. Emma poiła się tą miłością w cichości duszy, cała jej oddana, podsycała ją wszelkimi środkami swej czułości, lękając się zawsze po trochu, aby jej nie stracić.

Nieraz powtarzała łzawym głosem:

— Ach! ty mnie kiedyś opuścisz!.. ty się ożenisz!.. zrobisz tak jak inni.

On zapytywał:

— Jacy inni?

— Mężczyzni, mówię! odpowiadała.

Potem, dodawała odpychając go ruchem omdlewającym:

— Wszyscy jesteście niegodziwcami!

Jednego dnia, kiedy prowadzili filozoficzną rozmowę o ziemskich rozczarowaniach, powiedziała mu — dla podrażnienia jego zazdrości lub może ulegając tylko nieprzezwyciężonej potrzebie wynurzeń, — że niegdyś, przed nim, kochała już, „nie tak jak ciebie", poprawiła się prędko, zaklinając się na głowę córki, *że nic między nimi nie było.*

Młody człowiek uwierzył jej, chciał jednak się dowiedzieć czem *on* się zajmował.

— Był kapitanem okrętu, mój drogi.

Nie byłoż to uprzedzeniem wszelkich poszukiwań, a zarazem wywyższeniem się niejako przez ten mniemany urok wywierany na człowieka, który koniecznie musiał być usposobienia bohaterskiego i sam przyzwyczajony do hołdów?

Biedny dependencik uczuł natenczas nicość swego położenia, pozazdrościł szlif, orderów, tytułów. Wszystko to musiało jej się podobać, domyślał się tego po jej zbytkownych przyzwyczajeniach.

A jednak Emma nie wydawała się jeszcze z mnóstwem swoich zachcianek, jak naprzykład z chęcią posiadania na wycieczki do Rouen niebieskiego *tilbury* zaprzężonego angielskim koniem, powożonego przez eleganckiego *grooma* w butach ze sztylpami. Justyn podsunął jej ten pomysł, błagając ją aby go przyjęła do siebie za kamerdynera; a jeżeli brak ten nie zmniejszał przy każdej schadzce przyjemności przybycia, w każdym razie powiększał gorycz powrotu.

Ilekroć rozmawiali o Paryżu, nieomieszkała nigdy powiedzieć:

— Ach! jakby to nam było dobrze tam żyć!

— Alboż i tu nie jesteśmy szczęśliwi, odpowiadał łagodnie młody człowiek, gładząc jej ciemne włosy.

— Tak, to prawda! mówiła, jestem waryatką! pocałuj mnie!

Dla męża była czulszą niż kiedykolwiek; przyrządzała mu kremy z pistacyami i grała mu ulubione jego walce po obiedzie. Uważał się więc za najszczęśliwszego pod słońcem śmiertelnika, i Emma żyła sobie bez najmniejszego niepokoju, gdy jednego wieczoru zagadnął ją znienacka:

— To panna Lempereur, nieprawdaż, lekcye ci daje?

— Tak jest.

— Otóż widziałem ją w tych dniach u pani Liégeard. Wspomniałem jej o tobie, ona ciebie nie zna.

Było to jakby uderzenie piorunu. Odpowiedziała jednak nie tracąc przytomności umysłu:

— Musiała zapewne zapomnieć moje nazwisko.

— A może znajduje się w Rouen więcej panien Lempereur będących nauczycielkami muzyki?

— Może i to być.

Po chwili dodała z żywością:

— Mam przecież jej kwitki, zaraz ci pokażę.

I poszła do swego biureczka, zaczęła przewracać pomiędzy papierami, i tak wreszcie głowę straciła, że Karol prosił jej aby sobie nie zada-

wała tyle trudu dla wyszukania tych nędznych kwitancyj.

— O! ja je przecież muszę znaleźć! rzekła.

W samej rzeczy, następnego zaraz piątku Karol wciągając buty w ciemnym gabinecie, gdzie był skład jego rzeczy, namacał kartkę papieru pomiędzy skórą i skarpetką, wydobył ją i przeczytał:

„Odebrano, za trzy miesiące lekcyj, nadto za różne dostawy, sumę 65 franków.

„Felicya Lempereur,
nauczycielka muzyki".

— Jakim to u dyabła sposobem dostało się do mojego buta?

— Musiało zapewne wypaść ze starego pudła od rachunków, które stoi na brzegu deski, objaśniła męża Emma.

Od tej chwili życie jej stało się jednem pasmem kłamstw, któremi osłaniała miłość swoją, jakby dla jej ukrycia.

Kłamstwo stało się dla niej potrzebą, przyjemnością, manią, tak dalece, że kiedy opowiadała że szła prawą stroną ulicy, można się było założyć, że szła lewą.

Jednego czwartku kiedy pojechała, jak zwykle, dosyć lekko ubrana, nagle zaczął śnieg padać. Karol wyglądając oknem spostrzegł księdza Bournisien w kabryolecie pana Tuvache, który go wiózł do Rouen. Korzystając z tej sposobności zaniósł księdzu ciepły szal, z prośbą aby go wręczył żonie jego, do zajazdu pod *Czerwonym Krzyżem*. Zaledwie tam stanąwszy, ksiądz Bournisien zapytał o żonę lekarza Bovary z Yonville. Oberżystka odpowiedziała że pani Bovary bardzo rzadko u niej bywa. Wieczorem, zacny proboszcz spotkawszy się z Emmą w *Jaskółce*, opowiedział jej swój kłopot z szalem, nie zdając się zresztą wielkiej do tego przywiązywać wagi, gdyż zaczął zaraz wychwalać nowego kaznodzieję, który właśnie słynął w katedrze, i którego wszystkie panie biegły słuchać.

Mniejsza o to że on nie był ciekawym, inni mogli się w przyszłości mniej delikatnymi okazać. Dla tego też osądziła rzeczą stosowną za każdą swoją bytnością wstępować pod *Czerwony Krzyż*, a poczciwi znajomi z Yonville spotykając ją na schodach niczego się nie domyślali.

Jednego dnia wszakże, pan Lheureux spotkał ją wychodzącą z hotelu Bulońskiego pod rękę z Leonem; zlękła się czy nie będzie rozgadywał. Ale pan Lheureux nie był tak ograniczonym.

Tylko trzeciego dnia wszedł do jej pokoju, zamknął drzwi za sobą i powiedział:

— Potrzebowałbym pieniędzy.

Oświadczyła, że mu ich dać teraz nie może; Lheureux zaczął wyrzekać i przypominać wszystkie oddane jej usługi.

W samej rzeczy, z dwóch weksli podpisanych przez Karola, Emma dotąd jeden tylko była zapłaciła. Co do drugiego, kupiec przystał na zastąpienie go dwoma nowemi, które nawet zostały odnowione z bardzo odległym terminem. Następnie dobył z kieszeni rachunek nie zapłaconych dostaw, jako to: firanek, kobierca, pokrycia na fotele, kilku sukien i rozmaitych toaletowych drobnostek, których ogólna wartość dochodziła sumy około dwóch tysięcy franków.

Emma spuściła smutnie głowę, on rzekł:

— Ale jeżeli pani niemasz pieniędzy, masz *nieruchomość.*

I wymienił nędzną ruderę położoną w Barneville, blizko Aumale, która nic prawie nie przynosiła. Należało to niegdyś do małego folwarczku sprzedanego przez starszego pana Bovary, gdyż Lheureux wiedział wszystko, nawet liczbę hektarów i nazwiska sąsiadów.

— Ja na miejscu pani, pozbyłbym się tego nieużytku i miałbym jeszcze pieniądze po oczyszczeniu się z długu.

Zarzuciła trudności dostania nabywcy; obiecał się o niego postarać; zapytała jeszcze jak przystąpić do tej sprzedaży.

— Czyliż pani nie masz plenipotencyi?

To słowo orzeźwiająco na nią podziałało.

— Zostaw mi pan rachunek, rzekła.

— O! czy to warto! odparł Lheureux.

Następnego tygodnia zjawił się znowu i pochwalił się, że po wielu trudach zdołał nakoniec odszukać niejakiego Langlois, który oddawna miał oko na tę posiadłość, nie wiedząc jej ceny.

— Mniejsza o cenę, wyrwała się Emma.

Przeciwnie, należało się nie spieszyć, wymacać tego amatora. Interes wart był odbycia podróży, a ponieważ Emma tego uczynić nie mogła, pan Lheureux ofiarował się pojechać na miejsce, aby się znieść z owym Langlois'em. Powróciwszy ztamtąd oświadczył że nabywca dawał cztery tysiące franków.

Emma rozpromieniła się na tę wiadomość.

— I mówiąc między nami, dodał Lheureux, dobrze płaci.

Pani Bovary otrzymała zaraz połowę tej sumy, a kiedy przyszło do płacenia rachunku, kupiec powiedział:

— Słowo daję, że przykro mi żeby pani miała od razu pozbyć się tak *poważnej* sumki.

Emma spojrzała na bilety bankowe, a wyobrażając sobie w duchu jak nieograniczoną liczbę rozkosznych schadzek przedstawiały te dwa tysiące franków:

— Jakto? jakto? wyjąkała.

— O! odparł śmiejąc się dobrodusznie, na rachunkach można zamieścić co się tylko podoba. Czy to ja niewiem jak się takie rzeczy robią?

I bystro się w nią wpatrywał, trzymając w ręku dwa papiery, które przesuwał pomiędzy palcami. Nakoniec otworzywszy pugilares rozłożył na stole cztery weksle, każdy na tysiąc franków.

— Podpisz pani to, i zatrzymaj wszystko, rzekł.

Oburzyła się w pierwszej chwili.

— Ależ, jeżeli ja pani daję resztę, odpowiedział bezczelnie Lheureux, nie jestże to z mojej strony przysługą?

I wziąwszy pióro podpisał u dołu rachunku: „Odebrałem od pani Bovary cztery tysiące franków".

— Cóż pani to szkodzi, kiedy pani za sześć miesięcy odbierzesz resztę za swoją ruderę, a ja umieszczam termin wypłaty ostatniego tysiąca na czas późniejszy?

Emma plątała się coraz bardziej w rachunkach, a w uszach jej dźwięczało, jak gdyby sztuki złota sypały się z worków wokoło niej na posadzkę. Nakoniec Lheureux wytłómaczył jej, że miał przyjaciela bankierem w Rouen nazwiskiem Vinçart, który zrealizuje te cztery weksle, poczem on sam wręczy pani sumę przewyższającą dług rzeczywisty.

Lecz zamiast dwóch tysięcy franków, przyniósł tylko tysiąc ośmset, gdyż przyjaciel Vinçart — rzecz słuszna — odtrącił z nich dwieście, na koszta komisowe i zrealizowania weksli.

Następnie zażądał mimochodem kwitu.

— Pani wiesz... w handlu... czasem... I datę, jeżeli łaska, o datę proszę.

Cały świat umożliwionych fantazyj otworzył się natenczas przed panią Bovary. Tyle była jednak przezorną, że odłożyła trzy tysiące franków, któremi zapłaciła trzy pierwsze weksle w terminie oznaczonym; lecz czwarty wpadł na nieszczęście do domu w dzień czwartkowy, a Karol za-

niepokojony czekał niecierpliwie na powrót żony, żeby objaśniła co to znaczy.

Jeżeli nic nie mówiła o tym długu, to tylko dla oszczędzenia mu kłopotów domowych; usiadła na jego kolanach, upieściła go, gruchała, wyliczyła cały szereg rzeczy niezbędnych, wziętych na kredyt.

— Wreszcie, sam przyznać musisz, że zważywszy na ilość tego wszystkiego, to wcale nie drogo.

Karol nie wiedząc co począć, udał się do nieśmiertelnego Lheureux'go, który zaręczył że załagodzi tę sprawę, jeżeli mu pan wyda dwa weksle, z tych jeden siedmsetfrankowy z terminem trzymiesięcznym. Żeby się zabezpieczyć, Karol napisał list patetyczny do matki. Zamiast odpowiedzi, przyjechała sama, a gdy Emma zapytała męża, czy wydobył co od niej:

— Da, odpowiedział. Ale chce zobaczyć rachunek.

Nazajutrz rano ze dniem, Emma pobiegła do pana Lheureux, poprosić go żeby przerobił rachunek, któryby nie przenosił tysiąca franków, gdyż pokazawszy ten na cztery tysiące, trzebaby było powiedzieć, że już większą jego część wypłaciła, a tem samem przyznać się do sprzedaży nieucho-

mości, interesu tak dobrze poprowadzonego przez kupca, a który rzeczywiście znacznie później dopiero na jaw wyszedł.

Pomimo bardzo nizkiej ceny każdego przedmiotu, starsza pani Bovary nie omieszkała wydatki te znaleźć przesadzonemi.

— Nie można się było obejść bez kobierca? Potrzebne było odnawiać pokrycie na fotelach? Za moich czasów miano w całym domu jeden tylko fotel, dla osób w wieku, tak przynajmniej było u mojej matki, która jednak była bardzo zamożną kobietą, upewniam was. — Nie każdy może być bogatym! A żaden majątek nie ostoi się przed marnotrawstwem! Wstydziłabym się tak pieścić, jak wy to robicie! a jednak jestem już starą kobietą, i potrzebuję wygód... Otóż to! otóż to! stroje! fatałachy! Co to? jedwabie na podszewkę, po dwa franki!.. kiedy można dostać bardzo ładnego żagnotu po dziesięć susów, a nawet po ośm.

Emma rozparta na kozetce odpowiadała najobojętniej w świecie:

— Dosyć już tego, dosyć, moja pani!

Tamta nie przestawała burczyć, przepowiadając że skończą w szpitalu. Zresztą, Karol sam te

mu winien. Szczęście tylko że przyrzekł zniszczyć tę niedorzeczną plenipotencyę...

— Jakto?

— A! dał mi słowo, że to uczyni: odparła staruszka.

Emma otworzyła okno, przywołała Karola, i biedak musiał przyznać słowo, jakie matka na nim wymogła.

Emma wyszła z pokoju, i za chwilę powróciła, wręczając jej z powagą obrażonej dumy wielki arkusz papieru.

— Dziękuję ci, rzekła starszą pani Bovary.

I wrzuciła plenipotencyę na ogień płonący na kominku.

Emma śmiać się zaczęła śmiechem przeciągłym, głośnym, nienaturalnym: dostała nerwowego ataku.

— Ach! mój Boże! zawołał Karol. Bo też i ty matko, nie masz słuszności! przychodzisz robić jej sceny!..

Matka wzruszywszy ramionami dowodziła, *że to wszystko czyste komedye.*

Lecz Karol buntując się po raz pierwszy, stanął w obronie żony, tak dalece, że starsza pani Bovary chciała zaraz odjechać. Wyjechała rzeczy-

wiście nazajutrz, a gdy ją syn chciał zatrzymywać, odpowiedziała stojąc już na progu:

— Nie, nie! Ty ją kochasz lepiej odemnie i masz słuszność, taki jest porządek rzeczy. Zresztą, tem ci gorzej! zobaczysz!.. zobaczysz!.. Bywaj zdrów!.. bo nie prędko przyjdę znowu *robić jej sceny*, jak powiadasz.

Karol jednak wstydził się przed Emmą, która nie taiła urazy, jaką miała do niego za brak zaufania; nie mało się naprosić musiał zaczem przystała na wzięcie napowrót plenipotencyi, poszedł z nią nawet do pana Guillemin'a, żeby taką samą jak była poprzednia, na jej imię sporządził.

— Ja to pojmuję, rzekł notaryusz; człowiek nauce poświęcony nie może się kłopotać drobnymi szczegółami codziennego życia.

Ta wyrozumiała uwaga ulżyła Karolowi, nadając słabości jego pozór wyższego zajęcia.

Co to było uciechy w następny czwartek, w hotelu Bulońskim, z Leonem! Emma śmiała się, płakała, śpiewała, tańczyła, kazała przynieść sorbetów, chciała palić papierosy, wydała mu się szaloną, ale zachwycającą, przepyszną!

Nie wiedział jaka reakcya w całej jej istności popychała ją do gwałtowniejszego rzucania się we wszystkie rozkosze życia. Stawała się drażliwą,

łakomą, lubieżną; przechadzała się z nim po ulicach, z głową podniesioną, nie lękając się już skompromitowania, jak mówiła. Czasem jednak dreszcz ją przejmował na myśl spotkania Rudolfa, bo jej się zdawało, chociaż byli na zawsze rozłączeni, że niezupełnie była z pod jego zależności wyzwoloną.

Jednego czwartku nie powróciła do Yonville. Karol głowę tracił, a mała Berta, nie chcąc iść spać *bez mamy*, szlochała jakby jej piersi pęknąć miały. Justyn wyszedł na drogę. Pan Homais nawet opuścił swoją aptekę.

Nakoniec, o jedenastej godzinie Karol nie mogąc już wytrzymać, zaprzągł do swej karyolki, wskoczył w nią, zaciął konia, i około drugiej po północy stanął pod *Czerwonym Krzyżem*. Nie było jej tam; Pomyślał że może dependent wiedział co o niej; lecz gdzie go szukać? Na szczęście przypomniał sobie Karol adres jego pryncypała. Pobiegł tam, nie tracąc czasu.

Zaczynało dnieć. Rozpoznał szyld notaryusza nad drzwiami; zastukał. Ktoś dał mu żądane objaśnienie przez drzwi zamknięte, dodając porządną porcyę obelg przeciwko tym, którzy ludzi o tej godzinie budzili.

W domu gdzie mieszkał dependent nie było ani dzwonka, ani młotka, ani stróża. Karol pięścią zaczął walić we drzwi. Nadchodził policyant, zląkł się go i odszedł.

— Waryat ze mnie, powiedział sam do siebie; zapewne państwo Lormeaux zatrzymali ją na obiad.

Wtem przypomniał sobie, że rodzina Lormeaux nie mieszkała już w Rouen.

— Może została u chorej pani Dubreuil? Ależ pani Dubreuil od dziesięciu miesięcy już nie żyje!... Gdzież ona może być?

Nowa myśl przyszła mu do głowy. Zażądał w kawiarni kalendarzyka adresowego, i poszukał nazwiska panny Lempereur, która mieszkała przy ulicy Renelle-des-Maroquiniers, Nr. 74.

Gdy wchodził na tę ulicę, Emma ukazała się właśnie na przeciwnym jej końcu; rzucił się ku niej wołając:

— Co cię wczoraj wstrzymało?

— Byłam słaba.

— Co ci było?.. gdzie?.. jak?...

Przesunęła rękę po czole i odpowiedziała:

— U panny Lempereur.

Domyślałem się tego! Właśnie do niej szedłem.

— O! nie byłoby po co, rzekła Emma. Panna Lempereur tylko co wyszła; lecz na przyszłość bądź o mnie spokojny. Nie jestem swobodną, pojmujesz to, jeżeli najmniejsze spóźnienie takiej cię trwogi nabawia.

Był to rodzaj pozwolenia jakie sobie wzięła, żeby nie być krępowaną w swoich wycieczkach. To też do woli zeń korzystała. Skoro jej przyszła ochota zobaczyć Leona, wyjeżdżała pod jakimbądź pozorem, a ponieważ jej tego dnia nie oczekiwał, szła po niego do kancelaryi.

Pierwsze kilka razy wielkiem to dla niego było uszczęśliwieniem, lecz później nie ukrywał przed nią prawdy: to jest że pryncypał jego bardzo był markotny na te jego wydalania.

— Ach! co tam! chodź tylko! mówiła.

I Leon wymykał się z kancelaryi.

Wymagała aby się ubierał całkiem czarno, i zapuścił sobie bródkę hiszpańską, żeby być podobnym do portretów Ludwika XIII. Zapragnęła poznać jego mieszkanie: znalazła je nędznem; zawstydził się, lecz ona nie zważała na to; radziła mu, żeby sobie kupił firanki takie jak jej, a gdy się tłómaczył wydatkiem:

— Cóż to? żal ci pieniędzy! rzekła śmiejąc się.

Leon musiał jej za każdem widzeniem opowiadać wszystko co robił od czasu ostatniej schadzki. Żądała od niego wierszy, wierszy dla niej napisanych, *miłosnego sonetu* na jej cześć; lecz on nigdy drugiego rymu znaleźć nie mógł, i nakoniec przepisał sonet z imionnika.

Uczynił to nie tyle przez próżność, jak raczej w chęci przypodobania się Emmie. Nie roztrząsał jej pomysłów; przyjmował wszystkie jej upodobania; stawał się bardziej jej *kochanką* niżeli ona była jego. Bo też ona umiała znajdować wyrazy niewysłowionej tkliwości, którym towarzyszyły pocałunki porywające duszę jego. Gdzież się nauczyła tego zepsucia prawie niepochwyconego, tak było głębokiem i skrytem?

VI.

Kiedy Leon przyjeżdżał do Yonville dla odwiedzenia pani Bovary, zwykle obiadował u aptekarza; uważał więc za obowiązek grzeczności zaprosić go także z kolei do siebie.

— Jak najchętniej! odpowiedział pan Homais, potrzeba mi zresztą odświeżyć się trochę, bo tu rdzewieję. Pójdziemy do teatru, do restauracyi, pohulamy sobie!

— Ach, mój drogi! poszepnęła tkliwie pani Homais, przestraszona niewyraźnemi niebezpieczeństwami na jakie mógł być narażony.

— A cóż to? czy uważasz że nie dosyć zdrowie sobie rujnuję pośród tych ciągłych aptekarskich wyziewów? Otóż to kobiety! zazdrosne są o naukę, i chciałyby nam wzbronić najprawowitszych rozrywek. Ale mniejsza o to! będę ci służył, mój młody przyjacielu! lada dzień wpadnę do Rouen i bibę sobie sprawimy.

Dawniej aptekarz nie byłby sobie pozwolił takiego wyrażenia, lecz teraz przybierał szyk swawolny i paryzki, który mu się wydawał *w dobrym tonie;* na wzór sąsiadki swojej, pani Bovary, wypytywał troskliwie dependenta o obyczaje stolicy, używał nawet szwargotu dla olśnienia mieszczan, mówiąc: *Breda-street*, *bazar*, *wolta*, *szpak*, *i urządzam nogę*, zamiast odchodzę.

Owóż, jednego czwartku Emma zadziwiła się bardzo spotkawszy w kuchni *Złotego Lwa* pana Homais w ubraniu podróżnem, to jest okrytego

starym płaszczem, którego nikt na nim nie widział, z walizką w jednej i torbą na nogi w drugiej ręce. Nikomu się nie zwierzył ze swym zamiarem, w obawie żeby nie zaniepokoić publiczności swym odjazdem.

Myśl ujrzenia miejsc, w których młodość jego upłynęła, podniecała go zapewne, gdyż przez całą drogę nie przestał rozprawiać; zaledwie stanąwszy na miejscu wyskoczył z powozu i pobiegł szukać Leona. Dependent napróżno się wymawiał, pan Homais pociągnął go z sobą do wielkiej kawiarni *Normandzkiej*, dokąd wszedł nie zdejmując kapelusza, bo uważał za parafiaństwo odkrywać głowę w miejscu publicznem.

Emma przez całe trzy kwadranse czekała na Leona. Wreszcie zniecierpliwiona, pobiegła do jego kancelaryi, gubiąc się w przypuszczeniach, oskarżając go o obojętność, a sobie samej słabość wyrzucając. Przepędziła popołudnie z czołem przyciśniętem do szyby.

O drugiej godzinie dwaj towarzysze siedzieli jeszcze przy stole. Sala jadalna się opróżniała; rura od pieca, w kształcie palmy zaokrąglała na białym suficie snop swój złocony, a tuż blizko, pod kloszem, mały wodotrysk błyszczący w pro-

mieniach słońca szemrał rozkosznie w marmurowym basenie, gdzie pomiędzy szparagami i rzerzuszką, trzy odrętwiałe homary sięgały aż do stosu przepiórek bokiem leżących.

Homais się roskoszował. Chociaż upajała go bardziej jeszcze wystawność, aniżeli biesiada, wszakże wino pomardzkie podniecało go trochę, a gdy podano ponczową leguminę, zaczął rozwijać niemoralne teorye o kobietach. Dla niego, najwyższym powabem był *szyk*. Uwielbiał strój wytworny w pięknie urządzonym apartamencie, a co się tyczyło zalet fizycznych, nie gardził *kąskiem*.

Leon spoglądał z rozpaczą na zegar. Aptekarz pił, jadł, rozprawiał.

— Musisz bardzo być *na dyecie* w Rouen, rzekł wreszcie. Wprawdzie, ideał twój niedaleko mieszka.

A gdy tamten się rumienił:

— Cóż się masz zapierać! Czy nie prawda, że w Yonville?...

Młody człowiek zachłysnął się.

— U pani Bovary, nie umizgałżeś się?...

— Do kogo?

— Do Felicyi!

Aptekarz nie żartował; lecz Leon bardziej próżny niż ostrożny, mimowolnie się oburzył na takie przypuszczenie. Zresztą, on tylko w brunetkach *gustował*.

— Masz słuszność, rzekł aptekarz; mają więcej temperamentu.

A pochyliwszy się do ucha przyjaciela, wskazał mu oznaki po jakich można było poznać czy kobieta miała temperament. Zapuścił się nawet w rozprawę etnograficzną: Niemka była eteryczną, Francuzka swawolną, Włoszka namiętną.

— A murzynki? zapytał dependent.

— To rzecz gustu! odparł Homais. — Garson! dwie półfiliżanki!

— Idźmy! rzekł Leon niecierpliwiąc się.

— *Yes.*

Przed odejściem jednak zapragnął poznać właściciela zakładu i powinszować mu.

Młody człowiek, chcąc wreszcie zostać samym, powiedział że ma pilny interes.

— Ja z tobą wszędzie! rzekł Homais.

A idąc obok niego przez ulice, prawił mu o swej żonie, dzieciach, o ich przyszłości i o swej aptece, opowiadał w jakim stanie opuszczenia była dawniej, i do jakiej doskonałości ją przyprowadził.

Przybywszy przed hotel *Buloński*, Leon porzucił go nagle, wbiegł na schody, i zastał swoją kochankę do najwyższego stopnia rozdrażnioną.

Uniosła się gniewem gdy wymienił aptekarza. Jednakże Leon dobrze się tłómaczył: nie jego była wina, czyliż nie znała pana Homais? czyliż mogła przypuszczać aby dobrowolnie przełożył jego towarzystwo? Lecz ona się odwracała od niego; on ją przytrzymał, i osuwając się przed nią na kolana, objął jej kibić w omdlewającej pozie, pełnej namiętnych żądz i błagania.

Emma stała, wielkie jej roziskrzone oczy wpatrywały się w niego surowo i niemal strasznie. Po chwili łzy je zaćmiły, przymknęła różowe powieki, opuściła ręce, i Leon zaczął je okrywać pocałunkami, gdy się zjawił posługacz hotelowy, z uwiadomieniem, że jest do pana interes.

— Powrócisz? rzekła.

— Powrócę.

— Ale kiedy?

— Zaraz.

— To była *sztuka*, rzekł aptekarz spostrzegając Leona. Chciałem przerwać tę *konferencyę*, która ci była nie na rękę. Pójdźmy do Bridoux'a na kieliszek garusu.

Leon przysięgał że musi powracać do swej kancelaryi. Natenczas aptekarz zaczął żartować z aktów sądowych i całego prawnictwa,

— Dajże raz pokój Kujasowi i Bartholemu; cóż u dyabła? Bądź mężczyzną! Chodźmy do Bridoux'a; zobaczysz jego psa! Warto widzieć!

A gdy dependent się jeszcze opierał:

— To i ja pójdę z tobą, rzekł. Przeczytam dziennik czekając na ciebie, lub przejrzę Kodeks.

Leon rozdrażniony gniewem Emmy, gadulstwem pana Homais, i może trochę odurzony wyziewami śniadania, stał wahający, jakby pod wpływem uroku aptekarza, który powtarzał:

— Chodźmy najlepiej do Bridoux'a! to ztąd o dwa kroki, przy ulicy Malpalu!

Wreszcie, przez tchórzostwo, przez głupotę, przez to niewytłómaczone uczucie, które nas czasem popycha do najwstrętniejszych nam postępków, dał się zaprowadzić do Bridoux'a. Zastali go w podwórzu; pilnował trzech chłopaków, którzy z wysileniem obracali wielkie koło maszyny wyrabiającej wodę sodową. Homais udzielił im swych rad, uściskał Bridoux'a; napili się garusu. Leon ciągle się wyrywał, lecz nieubłagany towarzysz zatrzymywał go za rękę, mówiąc:

— Zaraz idę! zaczekaj chwilkę! Pójdziemy do redakcyi *Fanal de Rouen*, odwiedzić tych panów Przedstawię się Thomassin'owi.

Nakoniec jednak Leon pozbył się natręta i jednym skokiem był w hotelu. Emmy już tam nie zastał.

Odjechała rozzłoszczona do najwyższego stopnia. Nienawidziła go teraz. To niestawienie się na umówioną schadzkę wydawało jej się obelgą; wyszukiwała innych jeszcze powodów do urazy: był niezdolnym do bohaterstwa, słabym, pospolitym, bardziej zniewieściałym od kobiety, nadto skąpym i lękliwym.

Uspokoiwszy się jednak, przyszła do przekonania że go zapewne spotwarzyła. Lecz nicowanie tych których kochamy, zawsze nas trochę od nich oddala. Nie trzeba dotykać pozłacanych bożyszczy, albowiem pozłota z nich na palcach zostaje.

Częściej już teraz mówili o rzeczach obcych wzajemnej ich miłości, a w listach jakie Emma do niego pisała, mowa była o kwiatach, poezyi, księżycu i gwiazdach, tych niewinnych zasobach ostygłej namiętności, która próbowała się ożywić za pomocą środków zewnętrznych. Emma obiecywała sobie zawsze doskonalszą szczęśliwość na

przyszłą schadzkę; potem wyznać musiała sama przed sobą że nic nie uczuła nadzwyczajnego. Zawód ten zacierał się prędko pod wrażeniem nowej nadziei i Emma powracała do kochanka bardziej roznamiętniona, bardziej spragniona. Rozbierała się z pospiechem, rozrywając cienkie sznurowadło gorsetu, które ze świstem owijało się o jej biodra, niby ślizka żmija. Szła na palcach zobaczyć jeszcze raz czy drzwi zamknięte, poczem jednym ruchem zrzucała z siebie odzienie; — i blada, milcząca, bez uśmiechu, przytulała się do jego piersi z przeciągłym dreszczem.

Jednakże na tem czole pokrytem kroplami zimnego potu, na tych drżących ustach, w tych błędnych źrenicach, w uścisku tych ramion było coś ponurego, niepewnego i natężonego, co zdawało się Leonowi wciskać nieznacznie pomiędzy nich, jakby dla ich rozłączenia.

Nie śmiał jej badać, lecz znajdując ją tak doświadczoną, przypuszczał że musiała już przechodzić przez wszystkie próby cierpień i rozkoszy namiętności. To sam co go niegdyś zachwycało, teraz go trochę przestraszało. Zresztą, buntował się przeciwko coraz większemu pochłanianiu swej własnej osobistości. Miał Emmie za złe to jej

ustawiczne zwycięztwo. Usiłował nawet przestać ją kochać; lecz na sam odgłos skrzypienia jej bucików, czuł się słabym jak pijacy na widok ulubionego napoju.

Wprawdzie nie szczędziła dla niego wszelkiego rodzaju pieszczot, od przysmaków do wykwintów stroju i lubości spojrzeń. Przywoziła z Yonville róże za gorsem, które mu do wąchania podawała, troszczyła się o jego zdrowie, dawała mu przestrogi co do jego prowadzenia, i dla tem pewniejszego utrzymania go w nadziei że się może Niebo za nią przyczyni, zawiesiła mu na szyi medalionik z Matką Boską. Dopytywała się jak cnotliwa matka, o jego towarzyszy. Mówiła mu:

— Nie zadawaj się z nimi, nie wychodź, myślij tylko o nas; kochaj mnie!

Byłaby chciała czuwać nad jego sposobem życia i przychodziło jej do myśli żeby go kazać śledzić. W pobliżu hotelu kręcił się zawsze rodzaj włoczęgi, który zaczepiał podróżnych i któryby nie odmówił... Lecz duma jej oburzyła się na to.

— Ach! tem gorzej dla niego! pomyślała; niech mnie zwodzi, mniejsza o to! czy ja dbam o to?

Jednego dnia, kiedy się wcześniej niż zwykle rozeszli, i powracała sama bulwarem, wzrok jej

padł na mury klasztoru, w ktorym się wychowała; usiadła na ławeczce pod cieniem wiązów. Jakże spokojnemi były owe czasy! jak żałowała tych idealnych uczuć miłości, które sobie usiłowała podług książek wyobrażać!

Pierwsze miesiące po ślubie, wicehrabia tańczący walca, konne przejażdżki do lasu i Lagardy śpiewający, wszystko to przemknęło się przed jej oczyma... A Leon wydał jej się nagle w takiem samem jak inni oddaleniu.

— Jednakże ja go kocham! mówiła sama do siebie.

Jakkolwiek bądź, nie czuła się szczęśliwą, nigdy nią nie była. Jakaż była przyczyna tej niedostateczności jej życia, tego natychmiastowego rozkładu wszystkiego na czem wesprzeć się chciała?.. Gdyby jednak żyła gdziekolwiek istota piękna i silna, natura dzielna, pełna ognia i wykwintu, serce poety pod postacią anioła, lira ze śpiżowemi strunami, zasyłająca w niebo hymny elegijne, dla czegóżby ona jej przypadkiem spotkać nie mogła? O! to niepodobieństwo! Nic zresztą nie było warte poszukiwania; wszystko kłamało! Każdy uśmiech ukrywał ziewanie, każda radość przekleństwo, każda przyjemność sprowa-

działa niesmak, i najlepsze pocałunki zostawiały na ustach tylko nienasycone pragnienie wyższej rozkoszy.

Metaliczne warczenie ozwało się w powietrzu i zegar klasztorny wydzwonił czwartą godzinę. Czwarta godzina! a jej się zdawało, że od wieków siedzi na tej ławeczce. Bo cały świat namiętności zawrzeć się może w jednej minucie, tak jak tłum na małej przestrzeni.

Emma żyła cała zajęta swojemi uczuciami, i tak mało się troszczyła o pieniądz, jak gdyby była księżną udzielną.

Jednego dnia wszakże wszedł do jej mieszkania człowiek nędznej powierzchowności, łysy i czerwony, oświadczając że jest przysłanym przez pana Vinçart z Rouen. Powyjmował szpilki jakiemi pozapinaną była poprzeczna kieszeń jego długiego zielonego surduta, zatknął je w rękaw, i podał uprzejmie złożony papier pani Bovary.

Był to weksel na siedmset franków, przez nią samą podpisany, a który Lheureux, pomimo wszystkich swoich zapewnień, przekazał do odbioru Vinçartowi.

Posłała po niego służącą. Nie mógł przyjść.

Natenczas nieznajomy, który stał ciągle rzucając wokoło siebie ciekawe spojrzenia przysłonięte gęstemi jasnemi brwiami, zapytał z niewinną minką:

Jakąż odpowiedź mam odnieść panu Vinçart'owi?

— A cóż! odparła Emma, powiedz mu pan... powiedz mu... że teraz nie mogę... W przyszłym tygodniu może... tak jest... niech zaczeka... w przyszłym tygodniu zapłacę.

Woźny oddalił się nic więcej nie powiedziawszy.

Lecz nazajutrz w samo południe pani Bovary otrzymała protest; a widok stemplowanego papieru, na którym kilkakrotnie stało wypisane wielkiemi literami: „Hareng, komornik w Buchy", tak ją przeraził, że natychmiast sama pobiegła do kupca bławatnego.

Zastała go w sklepie, zajętego obwiązywaniem paczki szpagatem.

— Służę pani w tej chwili, powiedział.

Tymczasem kończył swoją czynność z pomocą dziewczyny, może trzynastoletniej, trochę ułomnej, która pełniła u niego podwójne obowiązki kupczyka i kucharki.

Potem stukając drewnianemi kaloszami po podłodze sklepowej, wprowadził panią po schodach do szczupłej izdebki, gdzie duże sosnowe biórko dźwigało kilka ksiąg rachunkowych, zabezpieczonych poprzeczną sztabą żelazną, na kłódkę zamkniętą. Przy ścianie, z pod resztek perkalików wyglądała okuta skrzynka, której rozmiary kazały przypuszczać że musiała zawierać co więcej niż weksle i pieniądze. Pan Lheureux w istocie pożyczał na fanty, i tam złożył łańcuszek pani Bovary, razem z kolczykami biednego ojca Tellier, który zmuszony wreszcie wyprzedać się, nabył w Quincampoix mały korzenny handelek, gdzie dogorywał na suchoty płucne, pośród swoich świec mniej żółtych od jego twarzy.

Lheureux zasiadł w swoim obszernym wypłatanym fotelu, mówiąc:

— Cóż mi pani nowego powie?

— Patrz pan!

I pokazała mu otrzymany papier.

— Ha! cóż ja na to poradzę?

Natenczas Emma uniosła się gniewem, przypominając mu, że jej dał słowo nie puszczać w kurs jej weksli; nie zaprzeczał temu.

— Ale sam zostałem do tego zmuszony, dodał; miałem nóż na gardle.

— I cóż teraz będzie? pytała.

— O! rzecz bardzo prosta: wyrok trybunału, a potem zajęcie!... i basta!

Emma miała ochotę go wytłuc. Pohamowała się jednak i zapytała, czy nie byłoby sposobu załagodzenia pana Vinçart'a.

— Właśnie też! załagodzić Vinçart'a! pani go nie znasz, to człowiek dzikszy od araba.

Jednak pan Lheureux musiał się wdać w tę sprawę.

— Posłuchaj pani! rzekł; zdaje mi się że aż dotąd zawsze byłem dobrym dla pani?...

A otwierając jeden ze swych regestrów:

— Patrz pani!

I palcem wskazując miejsca:

— Zobaczmy tylko... zobaczmy... 3-go sierpnia, dwieście franków... 17-go czerwca, sto pięćdziesiąt... 23-go marca, czterdzieści sześć... W kwietniu...

Tu pan Lheureux zatrzymał się, jak gdyby w obawie żeby jakiego głupstwa nie powiedzieć.

— A nic nie mówię o wekslach podpisanych przez męża pani... jeden na siedmset franków, drugi na trzysta. A co się tyczy drobnych pani rachunków, procentów, zaliczek... tego i spamiętać nie można. Ja już ręce umywam!

Emma się rozpłakała, zniżyła się do prośby, nazwała go nawet „swym dobrym panem Lheureux!" Lecz on zasłaniał się ciągle tym „kundlem Vinçart'em". Zresztą, nie miał grosza w domu, nikt teraz nie płacił, kołki mu na głowie ciosano, biedny kramarz jak on nie był w stanie kredytować.

Emma milczała; pan Lheureux gryząc chorągiewkę pióra, zaniepokoił się zapewne jej milczeniem, gdyż powiedział jeszcze:

— Gdybym przynajmniej w tych dniach otrzymał jakie zaległości, mógłbym...

— Wszakże, nadmieniła, jak tylko odbiorę resztę z Barneville...

— Jakto?

A dowiedziawszy się że Langlois jeszcze nie zapłacił, wielkie okazał zdumienie. I słodziutko dodał:

— Więc przyznajemy, mówisz pani?...

— O! wszystko co pan zechcesz!

Lheureux przymknął powieki, żeby skupić myśli, napisał kilka liczb i oświadczając, że wiele będzie miał trudu, że sprawa była drażliwa i że się *ciągnie do ostatka*, podyktował wreszcie cztery weksle po dwieście pięćdziesiąt franków każdy, w terminach miesięcznych.

— Byleby tylko Vinçart chciał gadać ze mną! Zresztą, rzecz już skończona, ja słowa mego nie zmieniam, jestem jedyny do interesów.

Następnie pokazał jej mimochodem niektóre nowe towary, z których żaden, zdaniem jego, nie był godnym pani.

— Kiedy pomyślę że oto suknia po siedm susów metr, z poręczeniem koloru! Oni to jednak rozchwytują! Domyślasz się pani, że im się tego nie mówi, dodał chcąc tem przyznaniem się do oszustwa względem drugich, przekonać ją najzupełniej o swojej uczciwości.

Potem przywołał ją jeszcze, żeby jej pokazać trzy łokcie gipiury, które przypadkiem kupił na licytacyi!

— Jakie to piękne! mówił z zachwytem; bardzo wiele teraz takich używają na *anti-makassary*, to w dobrym tonie.

I zręczniejszy od kuglarza, zawinął gipiurę w kawałek niebieskiego papieru i wetknął ją w rękę pani Bovary.

— Niechże wiem przynajmniej!...

— Ach! nic pilnego! odparł Lheureux odwracając się od niej.

Tego samego wieczoru znagliła Bovarego, żeby napisał do matki dopominając się o resztę spadku po ojcu. Starsza pani Bovary odpisała że już nic niema; realizacya była skończona i pozostawało im oprócz Barneville'u sześćset franków renty, które im regularnie wypłacać będzie.

Wtedy pani Emma posłała rachunki do kilku pacyentów, a widząc że jej się ten środek udaje, coraz częściej się do niego uciekała. Nie zaniedbywała nigdy dodawać w *postscriptum*: „Chciej pan lub pani niewspominać o tem memu mężowi, wiadomo wszystkim jak jest dziwnym... Przepraszam za natręctwo... Sługa uniżona..."

Żeby dostać pieniędzy, zaczęła sprzedawać co tylko mogła: stare kapelusze, stare rękawiczki, stare żelaztwo; a targowała się zawzięcie, chłopska krew popychała ją do zysku. Jeżdżąc do miasta skupowała różne drobnostki na handel, licząc że w ostatnim razie pan Lheureux je od niej weźmie. Kupowała pióra strusie, porcelanę chińską, pudełka; pożyczała pieniędzy od Felicyi, od pani Lefrançois, od oberżystki *Czerwonego Krzyża*, słowem od wszystkich. Za pieniądze otrzymane wreszcie z Barneville'u zapłaciła dwa weksle; pozostałe tysiąc pięćset franków rozeszły się. Znowu się zadłużyła i brnęła coraz dalej.

Czasem wprawdzie próbowała się obliczyć; lecz znajdowała rzeczy tak niesłychane, że uwierzyć im nie mogła. Wtenczas zaczynała na nowo, plątała się i rzucała wszystko.

Smutno teraz było w domu lekarza! Widziano dostawców wychodzących zeń z ponuremi twarzami. Chustki poniewierały się po kątach; mała Berta, ku wielkiemu zgorszeniu pani Homais, chodziła w dziurawych pończoszkach. Jeżeli Karol odważył się zrobić żonie nieśmiałą uwagę, odpowiadała grubiańsko, że to nie jej wina!

Zkąd taka porywczość? Bovary tłómaczył wszystko dawną jej nerwową chorobą, i wyrzucając sobie że dolegliwości jej brał za wady, oskarżał się o niewyrozumiałość, miał chęć pobiedz ją uściskać.

— Ale nie! mówił sam do siebie, naprzykrzyłbym jej się!

I milczał.

Po obiedzie przechadzał się sam po ogrodzie; brał małą Bertę na kolana, i rozkładając swoją gazetę lekarską, próbował uczyć ją czytać. Dziewczynka niezwyczajna się uczyć, otwierała szeroko oczy i zaczynała płakać. Wtenczas ojciec uspokajał ją pieszczotami; przynosił wody w ko-

newce i robił jej rzeki na piasku, lub łamał gałęzie krzaków ligustrowych i wsadzał je na grządki kwiatowe, co mało szkodziło ogrodowi zarośniętemu wysokim chwastem; za tyle dni należało się już Lestiboudois'owi! Wreszcie dziecina narzekała że jej zimno i chciała *do mamy*.

— Idź do Felicyi, mówił Karol. Wiesz, moje dziecko, że mama nie lubi żeby jej przeszkadzać.

Jesień się zaczynała i liście już opadały — tak jak przed dwoma laty, kiedy chorowała! — Kiedyż się to raz skończy?... I ciągnął dalej swoją przechadzkę z rękoma w tył założonemi.

Pani tymczasem była w swoim pokoiku. Nikt tam nie wchodził. Przepędzała całe dnie sama w stanie pół sennego odrętwienia, nie ubrana, kadząc od czasu do czasu krajowemi trociczkami, które kupiła w sklepie algierczyka w Rouen. Aby nie mieć w nocy przy sobie tego człowieka śpiącego snem kamiennym, póty kaprysiła, aż go odprawiła na drugie piętro, a sama czytywała aż do rana niedorzeczne książki, w których znajdowały się obrazy szalonych orgij i opisy krwawych scen. Czasem strach ją ogarniał, wydawała krzyk przeraźliwy, Karol przybiegał.

— Ach! idźże sobie, mówiła.

Czasem znowu pożerana tym wewnętrznym ogniem, który podniecało cudzołóztwo, cała wzburzona i dysząca żądzą, otwierała okno, wciągała w siebie zimne powietrze, rozrzucała na wiatr zbyt ciężkie warkocze i wpatrując się w gwiazdy, pragnęła miłości książęcej. Myślała o nim, o Leonie. W tej chwili byłaby gotową oddać wszystko za jedną z tych schadzek, które ją upajały.

Były to jej dnie uroczyste. Chciała je obchodzić z przepychem! Kiedy Leon nie mógł sam zapłacić za wszystko, przykładała się hojnie do wydatku, co prawie każdego czwartku miało miejsce. Probowała dać jej do zrozumienia, że równie dobrzeby im było gdzie indziej, w jakim skromniejszym hotelu; ale ona słuchać o tem nie chciała.

Jednego dnia dobyła z woreczka sześć pozłacanych łyżeczek (ślubny podarunek ojca Rouault'a), prosząc go aby je zaniósł zaraz do lombardu, i Leon usłuchał, chociaż mu się to niepodobało. Lękał się skompromitować.

Zastanawiając się nad tem wszystkiem, pomyślał że kochanka jego dziwnych nabierała fantazyj, i że niekoniecznie źle mu życzyli ci, którzy go od niej oderwać chcieli.

W istocie, ktoś napisał do jego matki długi list bezimienny, ostrzegając ją, że syn jej *rujnuje się z mężatką;* a zacna jejmość, widząc już wieczne straszydło rodzin, to jest nieokreśloną a przewrotną istotę, syrenę, potwór zamieszkujący fantastyczne głębiny miłości, napisała ze swej strony do pryncypała jego, notaryusza Dubocage'a, który bardzo taktownie postąpił. Przez całe trzy kwadranse go wytrzymał, chcąc mu otworzyć oczy, ostrzedz go o niebezpieczeństwie. Taka intryga mogła mu zaszkodzić później w jego ożenieniu. Zaklinał go aby ją zerwał, a jeżeli nie chciał dla własnego interesu zrobić tego poświęcenia, niechby je choć dla niego, Dubocage'a uczynił!

Leon wreszcie przysiągł nie widywać więcej Emmy i wyrzucał sobie teraz złamanie danego słowa, rozważając przytem ile jeszcze ta kobieta mogła mu sprowadzić kłopotów i przestróg, pomijając już żarciki kolegów, powtarzane każdego rana, przy kominku. Zresztą miał zostać starszym pisarzem: pora była się ustatkować. To też wyrzekał się fletu, wybujałych uczuć, gry wyobraźni; — każdy bowiem najpospolitszy mieszczuch, w epoce burzliwej młodości, choć przez jeden dzień, przez jedną chwilę, sądzi się być zdol-

nym do odczuwania wielkich namiętności, do spełniania wysokich czynów. Najnędzniejszy rozpustnik marzył o sułtankach, najzimniejszy prawnik nosi w sobie szczątki poety.

Nudził się teraz kiedy Emma płakała na piersiach jego; a serce jego, podobne do ludzi którzy pewną tylko dozę muzyki znieść mogą, stawało się obojętnem na głośne objawy miłości, której subtelność straconą już była dla niego.

Zanadto dobrze się znali żeby doznawać tych zachwytów posiadania, które stokrotnie rozkosz zwiększają. Ona równie była rozczarowana nim, jak on znudzony nią. Znajdowała w cudzołoztwie całą prozę małżeństwa.

Ale jak go się pozbyć? Zresztą, jakkolwiek mogła się czuć upokorzoną nikczemnością takiego szczęścia, trzymała się go przez przyzwyczajenie, czy też przez zepsucie i z każdym dniem bardziej się za niem ubiegała, niwecząc wszelką przyjemność przez chęć uczynienia jej większą. Oskarżała w duszy Leona za swoje zawiedzione nadzieje, jak gdyby ją był zdradził, pragnęła nawet jakiej katastrofy, któraby sprowadziła ich rozłączenie, ponieważ nie miała odwagi sama je wywołać.

Niemniej przeto pisywała do niego listy miłosne, na tej zasadzie, że kobieta zawsze powinna pisać do swego kochanka.

Jednakże pisząc do Leona, miała w myśli innego człowieka, ideał urobiony z jej najgorętszych wspomnień i żądz najsilniejszych, zapożyczony z najpiękniejszych romansów, który wreszcie nabierał takiej prawdy i rzeczywistości, że drżała zachwycona, nie mogąc go sobie wszakże uzmysłowić, tak go zasłaniało, jak bożka jakiego, wielkie mnóstwo godeł i atrybutów. Ideał ten przebywał w sferach świetlanych, gdzie jedwabne drabinki kołyszą się przy balkonach, w blasku księżyca, wśród woni kwiatów. Czuła blizkość jego: tylko co miał przybyć i w pocałunku unieść ją z sobą. Potem spadała na ziemię złamana, bo te wybryki rozbujałej wyobraźni męczyły ją więcej niżby to uczynić mogła najszaleńsza rozpusta.

Czuła teraz nieustanne i ogólne znużenie. Nadto, od czasu do czasu odbierała pozwy, stemplowane papiery, na które zaledwie spojrzała. Byłaby chciała przestać żyć, lub spać ciągle.

W dzień środopościa nie powróciła do domu: poszła z Leonem na bal maskowy w Rouen. Włożyła czarne aksamitne majtki i czerwone pończo-

chy, perukę na głowę z lampką nad uchem. Tańczyła całą noc przy szalonej muzyce trombonów; miała wielkie powodzenie i nad ranem znalazła się pod kolumnami teatru pośród kilkunastu masek w kostiumach wiwandyerek i majtków, towarzyszy Leona, którzy proponowali kolacyjkę.

Kawiarnie okoliczne pełne były gości. Znaleźli w porcie podrzędną restauracyę, której gospodarz dał im mały pokoik na czwartem piętrze.

Mężczyzni poszeptali w kącie, naradzając się zapewne nad wydatkiem. Był pomiędzy nimi jeden dependent, dwóch studentów medycyny i jeden kupczyk: co za towarzystwo dla Emmy! Co do kobiet, pomiarkowała niebawem po dźwięku ich głosu, że musiały wszystkie prawie należeć do ostatniej klasy społeczeństwa. Przestraszyła się wtenczas, odsunęła się i spuściła oczy.

Towarzystwo zasiadło do stołu. Emma nie jadła, czoło jej ogniem pałało, powieki drgały, dreszcz przechodził po ciele. W głowie swej czuła podłogę sali balowej, wstrząsaną miarowemi uderzeniami tysiąca nóg tańczących. Dym cygar i woń ponczu odurzyły ją. Omdlała. Zaniesiono ją przed otwarte okno.

Dnieć zaczynało i wielki pas purpurowy rozszerzały się na bladem tle widnokręgu, od stron

Świętej Katarzyny. Sine fale rzeki drżały pod powiewem wiatru; nie było nikogo na mostach; latarnie gasły.

Emma przyszła do siebie i pomyślała o Bercie, która tam spała, przy Felicyi. Wtem przejechał wóz naładowany żelaznemi sztabami, napełniając powietrze ogłuszającym metalicznym turkotem.

Emma wymknęła się prędko, zrzuciła swój kostium, powiedziała Leonowi że musi powracać i została sama w hotelu *Bulońskim*. Wszystko co ją otaczało i ona sama sobie stawała się wstrętną. Byłaby chciała ulecieć w górę jak ptak, i odrodzić się gdzieś wysoko, w niepokalanych przestrzeniach.

Wyszła nareszcie; przebiegła bulwar, plac Cauchoise i przedmieście, aż do szerokiej ulicy opasanej ogrodami. Szła prędko, świeże powietrze ją orzeźwiało i powoli nikły jej z oczu tłumy, balowe, maski, kadryle, światła, kolacya, kobiety, jak mgły wiatrem rozwiane. Przybywszy do zajazdu pod *Czerwonym Krzyżem*, rzuciła się na łóżko, w pokoiku na drugiem piętrze, gdzie były ryciny z *Wieży Nesle*. O czwartej po południu obudził ją Hivert.

Powróciwszy do siebie, znalazła pod zegarem arkusz szarego papieru. Przeczytała:

„Na mocy uzyskanego wyroku..."

Jakiego wyroku? Poprzedniego dnia w istocie przyniesiono inny papier, którego nie znała; to też wyczytawszy te słowa:

„Rozkazuje się w imieniu króla, prawa i sprawiedliwości, pani Bovary aby..."

A dalej o kilka wierszy:

„W przeciągu dwudziestu czterech godzin..."

— Co takiego? — „Zapłaci całkowitą sumę ośmiu tysięcy franków" — Jeszcze niżej stało: „Zmuszoną do tego będzie wszelkiemi środkami prawnemi, a mianowicie zajęciem sprzętów i innych ruchomości".

Co tu począć?.. Za dwadzieścia cztery godzin... jutro! Zapewne Lheureux, pomyślała, chciał ją znowu nastraszyć; odgadła bowiem na ten raz jego intrygi, cel wszystkich jego uprzejmości. Sama przesadzona wielkość sumy ją poniekąd uspakajała.

A jednak kupując bez pieniędzy, pożyczając, podpisując i odnawiając weksle, przysposobiła nieznacznie panu Lheureux kapitalik, na który oczekiwał z niecierpliwością dla swych spekulacyj.

Udała się do niego z całą na pozór swobodą.

— Czy widzisz pan co mnie spotyka? To zapewnie żart niewczesny!

— Wcale nie.

— Jakto?

Lheureux stanął przed nią ze skrzyżowanemi ramiony i rzekł lekceważąco:

— Czy kochana pani myślałaś że ja do końca świata będę jej dostarczycielem i bankierem dla miłości Pana Boga? Muszę raz przecie swoje odebrać! Bądźmyż sprawiedliwymi!

Ona się oburzyła na wysokość sumy.

— Hm! tem gorzej dla pani! Trybunał ją przyznał! jest wyrok prawomocny! doręczono go pani! Zresztą, to nie ja, to Vinçart.

— Czy pan nie mógłbyś?...

— O nie! ja nic już nie mogę!

— Lecz... jednakże... pogadajmy.

Plątała się, utrzymywała że o niczem nie wiedziała, że to spadło na nią niespodzianie.

— A kto temu winien? rzekł Lheureux, oddając jej szyderski ukłon. Podczas gdy ja pracuję jak wół, pani sobie używasz...

— Ach! tylko bez morałów!

— To nigdy nie zawadzi, odparł.

Spokorniała; zniżyła się do prośby; położyła nawet ładną białą rączkę na kolanach kupca.

— Dajże mi pani pokój! Myślałby kto że mnie pani chcesz skusić!

— Pan jesteś nędznikiem! wykrzyknęła.

— Och! och! jaka pani prędka! odrzekł śmiejąc się.

— Zdemaskuję pana. Powiem memu mężowi...

— A ja za to pokażę jedną rzecz mężowi pani!

I Lheureux dobył ze szkatułki kwit na tysiąc ośmset franków, który mu wydała przy eskoncie Vinçart'a.

— Czy pani myślisz, dodał, że on nie zrozumie malutkiej malwersacyi żony, ten kochany mężulek pani?

Emma padła na krzesło zgnębiona. Ten cios ją dobił. On się przechadzał od okna do biurka mrucząc pod nosem:

— O! ja mu to pokażę... pokażę mu.

Wreszcie przystąpił do niej i rzekł łagodniej:

— Ja wiem że to nie zabawne; ale nakoniec nikt jeszcze z tego nie umarł, a ponieważ to jedyny sposób jaki pani zostaje żeby mi oddać moje pieniądze...

— Ale zkądżeż ja ich wezmę, tych pieniędzy? zawołała Emma załamując dłonie.

— Ba! kiedy kto ma tak jak pani przyjaciół!

I wpatrywał się w nią w sposób tak bezczelnie przenikliwy, że biedną kobietę dreszcz przejął do szpiku kości.

— Daję panu słowo... wyjąkała, podpiszę...

— Dosyć już mam pani podpisów!

— Sprzedam jeszcze...

— Co tam gadać! rzekł wzruszając ramionami, pani już nie masz nic do sprzedania!

A wyjrzawszy okienkiem wychodzącem do sklepu, zawołał:

— A nie zapomnij o czterech próbkach numeru czternastego, Anusiu.

Służąca weszła; Emma zrozumiała co to znaczyło i zapytała „ileby potrzeba pieniędzy na wstrzymanie kroków sądowych?"

— Już zapóźno!

— Ale, gdybym panu przyniosła parę tysięcy franków, czwartą część sumy, trzecią, połowę, prawie wszystko?

— Nie, nie, to się na nic nie zda!

I popychał ją nieznacznie ku schodom.

— Błagam pana choć o kilka dni zwłoki, panie Lheureux!

Łzy głos jej tłumiły.

— Masz tobie! teraz będą płacze!

— Pan mnie do rozpaczy przyprowadzasz!

— Mało mnie to obchodzi! rzekł zamykając drzwi.

VII.

Okazała się niewzruszoną, gdy nazajutrz komornik Hareng w towarzystwie dwóch świadków stawił się w jej mieszkaniu dla zrobienia protokułu sądowego zajęcia.

Zaczęli od gabinetu Bovarego, nie zapisali jednak głowy frenologicznej, którą uważali za *narzędzie jego profesyi;* lecz w kuchni spisali rądle, kociołki, półmiski, stołki, lichtarze, a w pokoju sypialnym wszystkie toaletowe drobnostki. Obejrzeli suknie pani, bieliznę, wstążki i stroiki i cała istność jej obnażoną została niejako w najtajniejszych swych zakątkach przed oczyma tych trzech ludzi, jak trup w sali sekcyjnej.

Jmć pan Hareng, zapięty pod szyję w obcisłem czarnem ubraniu, w białej chustce na szyi, powtarzał od czasu do czasu:

— Pani pozwoli? pani pozwoli?

Często wydawał okrzyki podziwu:

— Prześliczne! bardzo ładne!..

Potem pisał dalej, maczając pióro w rogowym kałamarzyku, który trzymał w lewej ręce.

Skończywszy spis przedmiotów będących w pokojach, poszli na poddasze.

Znajdowała się tam szkatułka, w której były schowane listy Rudolfa. Trzeba było ją otworzyć.

— A! korespondencya! rzekł komornik z tajemniczym uśmiechem. Ale za pozwoleniem pani! bo muszę się przekonać czy niema czego więcej w pudełku.

I przetrząsnął lekko papiery, jak gdyby się spodziewał że dukaty z nich wypadną. Wtedy zdjęło ją oburzenie widząc jak ta gruba ręka, o czerwonych i miękkich jak ślimaki palcach, dotykała tych kartek nad któremi serce jej biło.

Poszli nareszcie; Felicya powróciła. Emma była ją wysłała na czaty dla wstrzymania Bovarego. Umieściły na poddaszu stróża zajętych ruchomości, który przyrzekł nie ruszać się ztamtąd.

Karol wydał się Emmie smutnym tego wieczoru. Śledziła go niespokojnym wzrokiem, zdając się spostrzegać własne oskarżenie w każdej

zmarszczce jego twarzy. A kiedy wzrok jej padł na kominek zastawiony chińskiemi ekranami, na firanki, na fotele, na wszystkie te przedmioty, które osładzały gorycz jej życia, ogarniał ją wyrzut sumienia, a raczej niezmierny żal, który drażnił namiętność zamiast ją przytłumić. Karol spokojnie poprawiał ogień na kominku, z nogami opartemi o wilki.

W tem pachołek sądowy, nudząc się zapewne na poddaszu, zrobił trochę szmeru.

— Czy kto chodzi po górze? zapytał Karol.

— Nie, odparła, to wiatr porusza otwartym dymnikiem.

Nazajutrz była Niedziela. Emma pojechała do Rouen, aby szukać ratunku u wszystkich bankierów, których znała z nazwiska. Prawie wszyscy byli na wsi lub w podróży. Nie zraziła się jednak; od tych których zastała żądała pieniędzy, upewniając że je odda, ale teraz koniecznie potrzebuje. Niektórzy śmieli się z niej w oczy; wszyscy stanowczo odmówili.

O drugiej godzinie pobiegła do Leona i zastukała do jego mieszkania. Nikt nie otworzył. Po chwili on sam wyszedł.

— Cóż cię sprowadza?

— Przeszkadzam ci?

— Nie... ale...

I przyznał że gospodarz nie lubił żeby w jego domu przyjmowano „kobiety".

— Mam z tobą do pomówienia.

Leon chciał drzwi otworzyć. Wstrzymała go.

— O! nie tu, rzekła, tam, u nas.

I poszli do swego pokoju w hotelu *Bulońskim*.

Wszedłszy tam wypiła zaraz szklankę zimnej wody. Była bardzo blada. Rzekła do niego:

— Leonie, musisz mi wyświadczyć przysługę.

I wstrząsając obiema jego rękami, które silnie ściskała, dodała:

— Posłuchaj mnie. Potrzeba mi ośmiu tysięcy franków!

— Oszalałaś!

— Jeszcze nie!

A opowiedziawszy mu historyę sądowego zajęcia, przedstawiła mu swoje rozpaczliwe położenie; bo Karol o niczem nie wiedział, świekra jej niecierpiała, ojciec Rouault nie miał pieniędzy; lecz on, Leon, postara się dla niej o tę konieczną sumę...

— Jakże chcesz?...

— O! już się wymawiasz!... wykrzyknęła. Wtedy on powiedział bezmyślnie:

— Przesadzasz zapewne. Może twój natarczywy wierzyciel poprzestałby tymczasem na połowie tej sumy.

Tem bardziej należało starać się o pieniądze; przecież nie powinno było być trudno znaleźć trzy do czterech tysięcy franków. Zresztą, Leon mógł dać ze swej strony poręczenie.

— Idź! próbuj! potrzeba koniecznie! biegnij!.. o! staraj się! staraj! bardziej jeszcze kochać cię będę!

Leon wyszedł, a gdy po całogodzinnej nieobecności powrócił, rzekł z uroczystą powagą:

— Byłem u trzech osób... napróżno!

Potem usiedli naprzeciwko siebie, w dwóch rogach kominka, milczący i nieruchomi. Emma wzruszała ramionami, uderzając nogą w ziemię. Leon usłyszał jak z cicha wyrzekła:

— Gdybym ja była na twojem miejscu, potrafiłabym znaleźć pieniądze!

— Gdzież to, naprzykład?

— W twojej kancelaryi!

I spojrzała na niego.

Piekielna śmiałość jaśniała z jej roziskrzonych źrenic, powieki przymykały się w sposób lubieżny i zachęcający; — tak dalece, że młody czło-

wiek uczuł wolę swoją słabnącą pod niemym naciskiem tej kobiety, która go popychała do zbrodni. Strach go ogarnął i chcąc uniknąć wszelkich objaśnień, uderzył się dłonią w czoło i zawołał:

— Morel ma tej nocy powrócić! on mi nie odmówi, tak się spodziewam (był to jeden z jego przyjaciół, syn bardzo bogatego kupca) i jutro przywiozę ci pieniądze.

Emma nie zdawała się przyjmować tej nadziei z taką jak oczekiwał radością. Czy podejrzywała kłamstwo? On dodał rumieniąc się nieco:

— Gdybym jednak nie przyjechał do trzeciej godziny, nie czekaj już na mnie, kochanko... Wybacz, ale muszę już iść. Bądź zdrowa!

Uścisnął jej rękę, lecz ręka ta była zdrętwiałą. Wszelkie uczucie zamarło w nieszczęśliwej kobiecie.

Wybiła czwarta godzina. Emma powstała aby powrócić do Yonville, ulegając bezwiednie sile przyzwyczajenia.

Pogoda była piękna, był to jeden z tych dni marcowych, chłodnych i jasnych, kiedy słońce świeci na białem prawie niebie. Wystrojeni Rouenanie przechadzali się z miną ludzi szczęśliwych. Emma przyszła na plac przed katedrą.

Właśnie skończyły się nieszpory, tłum wychodził z kościoła trzema portykami, jak potok przez trzy arkady mostu, a pośrodku, nieruchomy jak skała, stał szwajcar.

Natenczas przypomniała sobie ów dzień, kiedy trwożna i pełna nadziei, wstępowała pod tę wielką nawę, która jej się mniej głęboką wydała od jej miłości i szła dalej, płacząc pod woalką, zrozpaczona, chwiejąca, blizka zemdlenia.

— Z drogi! krzyknął głos wychodzący z bramy którą otwierano.

Stanęła aby przepuścić karego konia, rżącego w zaprzęgu eleganckiego *tilbury*, którym powoził *gentleman* w sobolowem futrze. Kto to był? Ona go znała... Powozik przemknął się i zniknął.

Ależ to był *on*... wicehrabia! Odwróciła się: pusto już było na ulicy. Uczuła się tak smutną, tak znękaną, że musiała się oprzeć o ścianę żeby nie upaść.

Potem pomyślała że się pomyliła. Zresztą sama nie wiedziała co się z nią dzieje. Wszystko ją opuszczało, na zewnątrz i na wewnątrz. Czuła się zgubioną, dążącą w przepaści bezdenne i niemal z radością ujrzała w zajeździe pod *Czerwonym Krzyżem* poczciwego pana Homais, który pilno-

wał jak pakowano na *Jaskółkę* skrzynię pełną farmaceutycznych zapasów. W ręku trzymał zawiązane w fularze sześć kukiełek dla żony.

Pani Homais bardzo lubiła to ciężkie i suche pieczywo w kształcie zawoju, które jadają w poście z solonem masłem; ostatni to szczątek gotyckiego jadła, sięgający może epoki wojen krzyżowych, którem barczyści normandowie napychali się niegdyś, wyobrażając sobie że widzą na stole, przy świetle żółtych pochodni, pośród dzbanów hipokrasu [1]) i olbrzymich wędlin, głowy saracenów do pożarcia. Żona aptekarza chrupała je podobnie jak oni, odważnie, pomimo popsutych zębów, a pan Homais, znając upodobanie małżonki, ilekroć był w mieście, nie zapominał nigdy przywieźć jej tych kukiełek, które brał u głównego ich piekarza, przy ulicy Massacre.

— Bardzo mi przyjemnie spotkać panią! rzekł pomagając Emmie wsiąść do *Jaskółki*.

Potem zawiesił kukiełki na rzemykach siatki i usiadł z odkrytą głową i skrzyżowanemi ramiony, w postawie napoleońskiej i zadumanej.

---

[1]) Napój z wina, cukru i cynamonu.

Lecz skoro niewidomy ukazał się podług swego zwyczaju na wybrzeżu, zawołał:

— Nie pojmuję tego jak władza cierpieć może jeszcze tak występne zarobki! Należałoby zamykać takich nędzarzy i zmuszać ich do jakiej pracy! Postęp, na honor, żółwim dąży krokiem! nie możemy się jeszcze otrząsnąć z barbarzyństwa!

Niewidomy wyciągał swój kapelusz, który podskakiwał na brzegu drzwiczek, jak kawał oderwanego obicia.

— Oto, rzekł aptekarz, wysoko rozwinięte skrofuliczne cierpienie!

I chociaż dobrze znał biedaka, udał że go po raz pierwszy widzi, wyrzekł kilka terminów naukowych, jak *tkanka rogowa*, *rogowa nieprzejrzysta*, *scleroticus*, poczem zapytał go dobrotliwie:

— Od jak dawna już cierpisz to straszne kalectwo, mój przyjacielu? Zamiast się upijać w karczmie, powinienbyś raczej brać stosowną kuracyę.

Namawiał go aby pił dobre wino, dobre piwo, jadł pożywne pieczyste. Niewidomy tymczasem ciągnął dalej swoją piosenkę; zdawał się zupełnym idyotą. Nakoniec pan Homais otworzył portmonetę.

— Masz tu trojaka, oddaj mi dwa grosze, i nie zapominaj moich zaleceń, na dobre ci wyjdą.

Hivert pozwolił sobie objawić na głos powątpiewanie co do skuteczności tych rad. Lecz aptekarz upewniał że go sam wyleczy maścią antiflogistyczną swego wynalazku i dawał nędzarzowi swój adres:

— Pan Homais, w rynku, znany każdemu.

— A za to pokażesz nam *komedyę*, rzekł Hivert.

Niewidomy przykucnął na piętach, przechylił w tył głowę i przewracając zielonkowatemi oczyma i wyciągając język, wycierał sobie brzuch obiema rękami, przyczem wydawał głuche wycie, nakształt zgłodniałego psa. Emma przejęta wstrętem, rzuciła mu przez ramię sztukę pięciofrankową. Był to cały jej majątek. Zdawało jej się czemś wzniosłem wyrzucić go w ten sposób.

Dyliżans ruszył dalej, gdy pan Homais wychylił się przez okienko i zawołał jeszcze:

— Żadnych potraw mącznych ani mlecznych! Nosić wełnę na gołem ciele i nakadzać części cierpiące dymem z jagód jałowcowych!

Widok znanych przedmiotów, które się przesuwały kolejno przed oczyma Emmy, odrywał myśl jej od obecnej zgryzoty. Ogarniało ją niewysło-

wione znużenie i przybyła do domu odrętwiała, znękana, prawie senna.

— Niech się dzieje co chce! mówiła w duchu.

Zresztą, kto wie? dla czegóżby lada chwila nie mógł się wydarzyć jaki nadzwyczajny wypadek? Sam Lheureux mógł umrzeć.

O godzinie dziewiątej rano obudził ją gwar głosów na placu. Zbiegowisko tłoczyło się w około targowiska dla czytania wielkiego obwieszczenia przyklejonego do jednego ze słupów i ujrzała Justyna, który wlazłszy na pieniek, zdzierał takowe. Lecz w tej chwili strażnik polowy wziął go za kołnierz. Pan Homais wyszedł z apteki, a pani Lefrançois zdawała się rozprawiać pośród zebranego tłumu.

— Pani! pani! zawołała wbiegając Felicya, to okropność!

I biedna dziewczyna, cała drżąca, podawała jej żółty papier, który ze drzwi domu zdarła. Emma jednym rzutem oka przeczytała że wszystkie jej ruchomości były wystawione na sprzedaż.

I spojrzały po sobie w milczeniu. Pani i sługa nie miały dla siebie tajemnic. Wreszcie Felicya przemówiła:

— Gdybym była na miejscu pani, tobym się udała do pana Guillemin'a.

— Tak sądzisz?

To pytanie miało znaczyć:

— Ty która znasz dom przez sługę, czyś słyszała że pan o mnie kiedykolwiek wspominał?

— Tak, niech pani tam pójdzie.

Pani Bovary ubrała się; włożyła czarną suknię i kapotkę z dżetami, a nie chcąc być widzianą — ciągle bowiem pełno było ludzi na placu — poszła tyłami, ścieżką po nad wodą.

Stanęła zadyszana przed kratą notaryusza; niebo było pochmurne i śnieg zaczynał pruszyć.

Na odgłos dzwonka ukazał się na ganku Teodor w czerwonej kamizelce, otworzył pani Bovary z pewną poufałością, jak osobie znajomej i wprowadził ją do sali jadalnej.

Rozłożysty kaktus wypełniał niszę obok szerokiego porcelanowego pieca; na ścianach pokrytych obiciem w dębowe liście, wisiały w czarnych hebanowych ramkach *Esmeralda*, Steubena i *Putyfara* Schopina. Stół był zastawiony; dwie srebrne fajerki, kryształowe klamki u drzwi, posadzka i sprzęty, wszystko jaśniało drobiazgową, prawdziwie angielską czystością; szyby ozdobione były w kątach kolorowemi szkłami.

— Zdałaby mi się taka sala jadalna, pomyślała Emma.

Notaryusz wszedł, obciskając na sobie lewą ręką szlafrok w tureckie palmy, prawą zaś zdejmował prędko i wkładał napowrót czapeczkę orzechową aksamitną, zalotnie na prawy bok przekręconą, gdzie spadały końce trzech jasnych kosmyków, które sprowadzone z tyłu głowy, łysą jego czaszkę okalały.

Podawszy krzesło pani Bovary, zasiadł sam do śniadania, przepraszając mocno za tę śmiałość.

— Panie, przemówiła Emma, chciałabym pana prosić...

— O co, łaskawa pani? Słucham.

Zaczęła od przedstawienia swego położenia.

Pan Guillemin znał je dobrze, dzięki swym tajemnym stosunkom z kupcem bławatnym, u którego znajdował zawsze kapitały na hypoteczne pożyczki, które u niego zaciągano.

Wiedział przeto — lepiej od niej samej — jaka była historya tych weksli, zrazu drobnych, na różnych wydawanych indossantów, z dalekiemi terminami, ciągle odnawianych, aż do dnia kiedy po zgromadzeniu wszystkich protestów, kupiec polecił przyjacielowi swemu Vinçart'owi, aby

w swem własnem imieniu zrobił potrzebne kroki sądowe, nie chcąc pośród swych współobywateli uchodzić za krwiożerczego tygrysa.

Emma przeplatała swe opowiadanie zarzutami przeciwko Lheureux'mu, na które to zarzuty notaryusz odpowiadał od czasu do czasu nic nie znaczącem słówkiem. Zajadając kotlet i popijając go herbatą, spuszczał tłusty podbródek w jasno niebieski krawat, spięty dwiema brylantowemi śpilkami połączonemi złotym łańcuszkiem i uśmiechał się dziwnie, w sposób słodko dwuznaczny. A spostrzegłszy że nogi miała przemoczone:

— Przybliżże się pani do pieca... rzekł, ogrzej pani nóżki przy piecu... wyżej... na porcelanie.

Bała się aby jej nie zabłocić. Notaryusz powiedział z nadskakującą grzecznością:

— Piękne rzeczy nic zepsuć nie mogą.

Natenczas próbowała go wzruszyć i sama się rozrzewniając, opowiedziała mu domowe swoje niedostatki, swoje potrzeby, swoje nędze. On to pojmował: kobieta wykwintna! i nie przerywając jedzenia zwrócił się ku niej zupełnie, tak, że kolanem dotykał jej bucika, którego podeszew wyginała się parując przy piecu.

Lecz gdy napomknęła o tysiącu talarów, zaciął usta, potem oświadczył że mocno żałuje iż dawniej nie miał sobie powierzonego kierunku jej funduszów, gdyż było tysiące sposobów bardzo dogodnych, nawet dla *damy*, robienia dobrych interesów. Można było w torfiarniach Grumesnilu, lub na gruntach Hawru wyborne robić spekulacye; a ją wściekłość ogarniała na myśl o fantastycznych sumach które byłaby z pewnością zyskała.

— Dla czego pani się nie udałaś do mnie! zapytał.

— Sama nie wiem, odpowiedziała.

— Dla czego, hę?.. Czy się pani mnie bałaś? To ja przeciwnie, powinienbym się użalać! Zaledwie się znamy!.. A jednak ja jestem z całem poświęceniem dla pani; pani o tem nie wątpisz, wszak prawda?

Wyciągnął rękę, ujął jej dłoń, okrył ją pożerczym pocałunkiem i położył ją na swem kolanie; igrał delikatnie z jej paluszkami, prawiąc przytem tysiące słodkich słówek.

Głos jego ckliwy szemrał jak płynący strumyk; błyskawica tryskała z jego źrenicy przez połyskliwe szkła okularów, a dłoń wsuwała się

nieznacznie w rękaw Emmy aby dotknąć jej ramienia. Czuła na twarzy przyspieszony oddech jego. Ten człowiek stawał się jej strasznie wstrętnym.

Powstała nagle i rzekła do niego:

— Panie, ja czekam!

— Na co? podchwycił notaryusz, bledniejąc nadzwyczajnie.

— Na te pieniądze.

— Ależ...

A ulegając wybuchowi niepowściągnionej żądzy:

— A więc dobrze!..

I powlókł się ku niej na kolanach, bez względu na swój szlafrok.

— Przez litość, zostań pani! ja kocham ciebie!

I chciał ją w pół objąć.

Rumieniec oburzenia oblał twarz pani Bovary. Cofnęła się z piorunującem wejrzeniem i wykrzyknęła:

— Pan bezwstydnie korzystasz z mego położenia! Zasługuję na litość, ale nie jestem na sprzedaż!

To rzekłszy wyszła.

Notaryusz stał osłupiały, z oczyma wlepionemi w swe piękne haftowane pantofle. Był to dar mi-

łości. Ten widok pocieszył go nieco. Zresztą, pomyślał że taka przygoda zbyt daleko mogła go była zaprowadzić.

— Co za nędznik! co za łotr!... co za podłość!... powtarzała Emma dążąc przyspieszonym krokiem pod wiązami przydrożnemi. Zawód jakiego doznała zwiększał jeszcze oburzenie jej obrażonej wstydliwości; zdawało jej się że Opatrzność uwzięła się na nią, i pyszniąc się tem niejako, nigdy tak wysoko nie ceniła samej siebie, ani z taką pogardą nie spoglądała na drugich. Wstąpił w nią jakiś duch wojowniczy. Brała ją chęć bić wszystkich mężczyzn, pluć im w twarz, zgnieść ich na masę, i biegła ciągle prosto przed siebie, blada, drżąca, rozdrażniona, łzawem okiem spoglądając w próżnię, i jakby lubując się nienawiścią, która ją dławiła.

Gdy ujrzała swój dom odrętwiała. Nie mogła kroku dalej postąpić; a jednak trzeba było, zresztą dokądże uciekać?

Felicya czekała na nią we drzwiach.

— A cóż? zapytała.

— Nic! odrzekła Emma.

I przez cały kwadrans we dwie wymieniły wszystkie osoby w Yonville, od których możnaby

się może pomocy spodziewać. Lecz za każdem prawie nazwiskiem wymienionem przez Felicyę, Emma powtarzała:

— Czy to podobna? Oni nie zechcą!

— A pan lada chwilę powróci!

— Wiem o tem... Zostaw mnie samą.

Wszystkiego już próbowała. Nie było więcej co robić i jak Karol powróci, będzie musiała mu powiedzieć:

— Idź ztąd. Ten kobierzec po którym stąpasz nie jest już naszym. Nie masz w twoim domu ani jednego sprzętu, ani jednej szpilki, ani źdźbła słomy, któreby do ciebie należało i to ja cię zrujnowałam, biedaku!

Natenczas on rozpłacze się wielkim głosem, potem łzy jego popłyną ciszej i gdy przeminie pierwsze wrażenie... przebaczy.

— Tak jest, mówiła zgrzytając zębami, on mi przebaczy, on, któremuby miliona było nie dosyć na przebłaganie mnie za to że mnie poznał i poślubił... Nigdy! nigdy!

Ta myśl o wyższości Bovarego nad nią do najwyższego stopnia ją gniewała. A potem, czyby się przyznała czy nie przyznała, czy dziś, czy jutro, czy kiedy, zawsze dowiedzieć się musi o ka-

tastrofie, trzeba było więc oczekiwać tej strasznej sceny i przyjąć brzemie jego wspaniałomyślności. Przychodziła jej myśl udać się jeszcze do Lheureux'go, ale po co? napisać do ojca: było już za późno i kto wie czy w tej chwili nie pożałowała że nie uległa tamtemu, gdy wtem usłyszała tentent konia w ulicy. To był on! otwierał już baryerkę; był bledszym od tynkowanej wapnem ściany. Zbiegłszy pędem ze schodów, uciekła przez plac, a pani merowa, która przed kościołem rozmawiała z bedelem, zobaczyła ją wchodzącą do mieszkania poborcy.

Pobiegła zaraz powiedzieć to pani Caron. Obie te panie poszły pod strych i ukryte za bielizną rozciągniętą na żerdziach, umieściły się wygodnie żeby widzieć wszystko co się działo u Bineta.

Był sam w swej izdebce na poddaszu, zajęty właśnie naśladowaniem z drzewa jednego z tych misternych sprzęcików z kości słoniowej, złożonych z półksiężyców i kul wydrążonych jedne w drugich, wszystko prosto, w kształcie obeliska i bez żadnego użytku, i już ostatnią cząstkę zaczynał, blizkim był celu! W półcieniu warsztatu żółtawy pył unosił się z pod jego narzędzia, jak snop iskier z pod kopyt galopującego konia;

dwa kółka kręciły się, warczały; Binet się uśmiechał; głowę miał spuszczoną, nozdrza lekko rozdęte i zdawał się pogrążony w błogiem uczuciu szczęśliwości, będącej zapewne udziałem miernych tylko inteligencyj, które się bawią pokonywaniem łatwych trudności, zadowolnione doskonałością, po za którą nic już wymarzyć nie można.

— Otoż i ona! szepnęła pani Tuvache.

Ale niepodobna było dosłyszeć co mówiła, z powodu warczenia toczydła.

Wreszcie jednak te panie zdawały się odróżniać wyraz *franków*, a pani Tuvache rzekła po cichu:

— Prosi go o pożyczkę, żeby uzyskać zwłokę w swoich wypłatach.

— Na pozór! odparła druga.

Widziały ją jak chodziła wzdłuż i wszerz izdebki, oglądając pozawieszane na ścianach kółka do serwet, lichtarze, klamki, podczas gdy Binet głaskał się po brodzie z zadowoleniem.

— Czyliżby przychodziła obstalować co u niego? rzekła pani Tuvache.

— Przecież on nic nie sprzedaje! zarzuciła sąsiadka.

Poborca zdawał się słuchać otwierając szeroko oczy, jak gdyby nie rozumiał co mówiła. Ona ciągnęła dalej w sposob tkliwy, błagający. Przystąpiła bliżej do niego; pierś jej dyszała; milczeli oboje.

— Czy ona mu robi *awanse?* szepnęła pani Tuvache.

Binet zaczerwienił się po same uszy. Ona ujęła jego dłonie.

— Ach! tego już za nadto.

I zapewne go do jakiej obrzydliwości namawiała, gdyż poborca, — a był jednak odważnym, bił się pod Budyszynem i pod Lützen, odbył kampanię francuzką i podany był nawet do krzyża, — nagle, jak gdyby węża zobaczył, cofnął się daleko, wykrzyknąwszy:

— Co też pani przyszło do głowy!..

— Należałoby rózgami oćwiczyć takie kobiety! rzekła pani Tuvache.

— Gdzież ona się podziała? zapytała pani Caron.

Bo Emma znikła tymczasem; a spostrzegłszy ją jak dążyła główną ulicą i skręciła potem na prawo jakby ku cmentarzowi, gubiły się w przypuszczeniach.

— Matko Rolet, zawołała wpadając do mamki, duszę się!... rozsznuruj mnie!

Padła na łóżko; łkania ją dławiły. Matka Rolet przykryła ją spodnicą i stanęła przy niej. Widząc że nic jej nie odpowiada, dobra kobiecina usiadła do kołowrotka i zaczęła prząść swój len.

— O przestańże już! wyjąkała pani Bovary, której się zdawało że słyszy warczenie toczydła Bineta.

— Co jej się stało? pytała sama siebie mamka. Po co ona tu przyszła?

Ona sama tego nie wiedziała: przybiegła gnana rodzajem przestrachu, który ją z domu wypędzał.

Leżąc na wznak, nieruchoma i z osłupiałemi oczyma, niewyraźnie tylko rozróżniała otaczające ją przedmioty, chociaż im się wpatrywała z idyotyczną uwagą. Oglądała szpary w ścianach, dwie głownie dymiące na kominie i grubego pająka, który snuł swoją siatkę nad jej głową, pod belką. Nakoniec zdołała skupić rozpierzchłe myśli. Powróciła jej pamięć... Przypomniała sobie ów dzień kiedy z Leonem... O! jak to już dawno!.. Słońce błyszczało na rzece i woń kwiatów napełniała powietrze!.. I uniesiona potokiem wspomnień, doszła nakoniec aż do dnia wczorajszego.

— Która godzina? zapytała.

Matka Rolet wyszła na dwór, wyciągnęła prawą rękę w stronę gdzie niebo było najczystszem, i powróciła mówiąc:

— Będzie niedługo trzecia.

— Dziękuję wam, o dziękuję!

Bo on zaraz przybędzie. Z pewnością przybędzie! Musiał dostać pieniędzy. Ale może pójdzie tam... nie domyślając się gdzie ona? w tem przypuszczeniu kazała mamce biedz do domu, żeby go przyprowadzić.

— Tylko się spieszcie! wołała.

— Biegnę już, biegnę, kochana paniusiu!

Dziwiła się teraz, że zaraz o nim nie pomyślała; wczoraj dał jej słowo, dotrzyma go; i widziała się już w sklepie Lheureux'go, rozkładającą na jego kantorze bilety bankowe. Potem trzeba będzie wymyślić jaką historyę na zamydlenie oczu Bovaremu. Ale jaką?

Mamka jednakże długo nie powracała. Ale że w chałupie nie było zegara, Emma pomyślała że sobie może przesadza długość upłynionego czasu. Zaczęła się przechadzać powoli po ogródku, poszła ścieżką, wzdłuż płotu, i wróciła prędko, sądząc iż może kobieta inną przyszła drogą. Nako-

niec znużona czekaniem, dręczona podejrzeniami, które całemi siłami odpychała, niepewna czy cały wiek czy jedną minutę tu przepędziła, usiadła w kącie, zamknęła oczy i zatkała sobie uszy. Baryerka skrzypnęła: Emma się zerwała, lecz zaczem usta otworzyła, matka Rolet jej powiedziała:

— Nikogo niema u pani!

— Jakto?

— O tak! nikogo obcego! Pan tylko płacze i rozpacza, wołając pani. Szukają pani wszędzie.

Emma nic nie odpowiedziała. Dyszała ciężko, przewracając błędnemi oczyma, podczas gdy kobieta cofała się mimowolnie, sądząc że pani Bovary zwaryowała. Nagle uderzyła dłonią w czoło i głośno krzyknęła, bo wspomnienie Rudolfa, jak jasna błyskawica wśród ciemnej nocy, duszę jej przeszyło. On był tak dobrym, tak delikatnym, tak szlachetnym! Zresztą, gdyby się wahał z wyświadczeniem jej tej przysługi, potrafi go skłonić jednem przypomnieniem dawnej ich miłości. Podążyła więc ku la Huchette, nie spostrzegając że biegła spełnić to co ją niedawno tak silnie oburzyło, ani się domyślając tego wszetecznego frymarku.

VIII.

Idąc zapytywała sama siebie: „Co ja mu powiem? od czego zacznę?" I w miarę jak szła coraz dalej, rozpoznawała krzaki, drzewa, wodne trzciny u stóp wzgórza, wreszcie zdaleka ujrzała zameczek. Odnajdywała w sobie uczucia pierwszej miłości, i biedne jej ściśnione serce roskosznie się niemi lubowało. Ciepły wietrzyk muskał ją po twarzy; śnieg topniejący spadał czystemi kroplami z pączków na trawę.

Weszła, jak niegdyś, przez furtkę ogrodową, i niebawem znalazła się na głównym dziedzińcu, opasanym podwójnym rzędem gęstych lip, których długie gałęzie kołysały się wiatrem poruszane. Psy w budach zaszczekały, lecz hałas ten nie sprowadził nikogo.

Weszła na szerokie proste schody z drewnianą balustradą, prowadzące na korytarz wyłożony zakurzonemi marmurowemi płytami, na który wychodziło kilka pokoi w jednym szeregu, jak w klasztorach lub hotelach. Jego pokój był w głębi, po lewej stronie. Kiedy już miała rękę położyć na klamce, nagle siły ją opuściły. Obawiała się

że go nie zastanie, pragnęła tego niemal, a jednak to była jedyna jej nadzieja, ostatnia deska zbawienia. Odetchnęła przez krótką chwilę i czerpiąc odwagę w uczuciu nieubłaganej konieczności, weszła nakoniec.

Rudolf siedział przed kominkiem, z nogami opartemi o kratę i palił fajkę.

— Patrzcie! rzekł powstając nagle, to ty, Emmo!

— Tak jest, to ja!.. przychodzę do ciebie po radę, Rudolfie.

A pomimo wszelkich usiłowań, trudno jej było usta otworzyć.

— Nie zmieniłaś się, zawsze jesteś równie śliczna!

— O! smutne to wdzięki, odparła z goryczą, kiedy niemi wzgardziłeś.

On rozpoczął usprawiedliwienie swego postępowania, tłómacząc się ogólnikowo, w braku lepszych powodów.

Dała się uwieść jego słowom, bardziej jeszcze głosowi jego i całej postaci, tak dalece że udała iż wierzy, lub może w istocie uwierzyła w przyczynę ich zerwania: miała nią być tajemnica, od której zależał honor, a nawet życie trzeciej osoby.

— Jakkolwiek bądź, rzekła patrząc smutnie na niego, ja wiele wycierpiałam!

Odpowiedział filozoficznie:

— Takiem jest życie ludzkie!

— Byłoż ono dla ciebie przynajmniej dobrem, od czasu naszego rozłączenia? zapytała.

— Ani dobrem, ani złem!..

— Może byłoby lepiej gdybyśmy się nigdy nie byli rozłączali?...

— Może... zapewne!

— Tak sądzisz? szepnęła przystępując bliżej. I westchnęła:

— O Rudolfie! gdybyś ty wiedział!.. ja tak kochałam ciebie!

I ujęła rękę jego, i pozostali przez chwilę z dłońmi splecionemi — tak jak pierwszego dnia, na Komicyach! On przez resztę dumy bronił się od wzruszenia. Lecz ona, skłaniając głowę na piersi jego, rzekła:

— Jakże chciałeś abym ja żyła bez ciebie? Trudno się odzwyczaić od szczęścia! Byłam zrozpaczona! myślałam już że umrę! Opowiem ci to wszystko, zobaczysz. A ty... ty uciekałeś odemnie!..

Bo on od trzech lat unikał jej starannie, w skutek tej wrodzonej nikczemności, jaka cechuje płeć silniejszą; a Emma mówiła dalej przechylając główkę i wdzięcząc się jak zakochana kotka.

— Kochasz inne, przyznaj się. O, nie zaprzeczaj mi! ja im się nie dziwię! uwiódłeś je, tak jak mnie uwiódłeś. Ty to jesteś prawdziwym mężczyzną! masz w sobie wszystko co potrzeba żeby być kochanym. Ale dawne czasy powrócą jeszcze, nieprawdaż? będziemy się znowu kochali! Widzisz, ja się śmieję, jestem szczęśliwą!.. mówże do mnie!

Była zachwycająca ze swem tkliwem spojrzeniem łzą zamglonem, jak kropla deszczu w błękitnym kielichu.

Przyciągnął ją na kolana i gładził dłonią lśniące jej włosy, na których pośród zapadającego zmierzchu połyskiwał, jak złota strzała, ostatni promień słońca. Pochylała czoło, pocałował ją nakoniec lekko, końcem ust, w przymknięte powieki.

— Ależ ty płakałaś! rzekł. Czego?

Emma wybuchnęła głośnem łkaniem. Rudolf pomyślał że to objaw jej miłości; ponieważ milczała, wziął to milczenie za resztę wstydliwości i zawołał:

— Ach, przebacz mi! ty jedna tylko mi się podobasz. Byłem głupim i niegodziwym! Ja kocham ciebie i zawsze cię kochać będę!... Mówże! co ci jest?

I przykląkł przed nią.

— A więc, powiem ci Rudolfie!.. jestem zrujnowaną! Musisz mi pożyczyć choć trzy tysiące franków.

— Ale... ale... rzekł podnosząc się zwolna, podczas gdy twarz jego nagle spoważniała.

— Wiadomo ci, mówiła dalej prędko, że mąż mój cały swój fundusz umieścił u notaryusza, ten uciekł. Zapożyczyliśmy się, pacyenci nie płacili. Zresztą, spadkowe interesa jeszcze się nie skończyły, później nam jeszcze wpłyną fundusze. Ale dzisiaj, w braku kilku tysięcy franków, zlicytują nas... teraz, natychmiast... i przyszłam do ciebie, licząc na twoją przyjaźń!

— Aha! pomyślał Rudolf, bledniejąc mocno; po to więc przyszła!

Po chwili rzekł najspokojniej w świecie:

— Niemam pieniędzy, kochana pani.

Nie kłamał. Gdyby był miał pieniądze, byłby je zapewne dał, chociaż w ogóle nie jest rzeczą bardzo przyjemną spełniać tak szlachetne czyny;

a żądanie pieniędzy, jest najzimniejszą i najszkodliwszą ze wszystkich burz jakie spadają na miłość.

Emma przez kilka minut wpatrywała się w niego z niemym wyrzutem.

— Nie masz pieniędzy!

Powtórzyła kilkakrotnie:

— Nie masz pieniędzy. Powinnam była oszczędzić sobie tego ostatniego upokorzenia. Tyś mnie nigdy nie kochał! Nie jesteś wart więcej od drugich!

Zdradzała się, gubiła się.

Rudolf przerwał jej zapewnieniem, że sam był „w kłopotach".

— Ach jakże cię żałuję! rzekła Emma. Bardzo cię żałuję!..

A zatrzymawszy wzrok na damascenowanej dubeltówce, która błyszczała na ścianie:

— Ale kto jest tak ubogim, nie zdobi srebrem kolby swej broni. Nie kupuje zegarów z perłowemi inkrustacyami! mówiła dalej wskazując na piękny zegar stołowy od Boulle'a, ani złoconych świstawek na psy — dotykała ich — ani breloków do zegarka! O! niczego mu nie brakuje! ma nawet kryształy w swoim pokoju; bo ty sobie

dogadzasz, umiesz żyć dobrze; masz zamek, folwarki, lasy; polujesz z chartami, jeździsz do Paryża... Weźmy tylko to! wykrzyknęła biorąc z kominka spinki od mankietów — najmniejszą z tych drobnostek i z tego mogą być pieniądze!.. O! ja ich nie chcę! weź je sobie!

I cisnęła daleko od siebie spinki, których złoty łańcuszek zerwał się przy uderzeniu o ścianę.

— A ja, ja wszystko byłabym ci oddała, byłabym wszystko sprzedała, byłabym własnemi rękoma pracowała, byłabym żebrała po gościńcach, za jeden twój uśmiech, za jedno spojrzenie, za jedno twoje słowo: „dziękuję!" A ty siedzisz tu spokojnie w twoim fotelu, jak gdybym nie dosyć już była przez ciebie wycierpiała! Czy ty wiesz, że gdyby nie ty, byłabym mogła żyć szczęśliwie. Po coś się starał zbliżyć do mnie? Kto cię zmuszał? Czyś zakład zrobił?.. A jednak, kochałeś mnie, tak mówiłeś... I przed chwilą jeszcze... Ach! lepiej było wypędzić mnie od razu! Dłonie moje ciepłe jeszcze od twych pocałunków, i oto miejsce na tym kobiercu, gdzieś mi na kolanach przysięgał wierność miłości! Ja w nią uwierzyłam: przez całe dwa lata wodziłeś mnie po najwspanialszych i najroskoszniejszych światach ma-

rzeń!.. A nasze zamiary podróży? czy je pamiętasz? O! twój list, twój list! jak on mi serce zakrwawił!.. A teraz kiedy przychodzę do niego, który jest bogatym, szczęśliwym, swobodnym, prosić go o pomoc, którą pierwszy lepszy gotów byłby wyświadczyć, przychodzę błagająca, powracająca mu całe moje serce, on mnie odpycha, boby go to kosztowało parę tysięcy franków!

— Nie mam ich! odpowiedział Rudolf z tym niewzruszonym spokojem, którym się zasłaniają jak puklerzem tajemne gniewy.

Emma odeszła. Ściany tego domu drżały, sufit ją przygniatał. Przebiegła długą topolową ulicę, potykając się o kupy zeschłych liści, które wiatr rozrzucał. Stanęła nakoniec przed kratą, połamała sobie paznokcie o zamek, tak pilno jej było go otworzyć. O sto kroków dalej, zadyszana stanęła znowu aby odetchnąć. A odwróciwszy się, spojrzała raz jeszcze na niewzruszony zamek, z jego parkiem, ogrodami, trzema dziedzińcami, i wszystkiemi oknami frontu.

Była na pół nieprzytomna i tylko gwałtowne pulsowanie arteryj, których szum słyszała wśród ciszy pól, dawało jej świadomość siebie samej. Grunt pod jej stopami miękki był jak woda, a bru-

zdy wydawały jej się olbrzymiemi ciemnemi bałwanami, które się w jej oczach rozwijały. Wszystkie wspomnienia i myśli jakie głowę jej napełniały, wymykały się razem, jak tysiączne części sztucznych ogni. Widziała swego ojca, kantor Lheureux'go, pokój w hotelu *Bulońskim*, inny jeszcze krajobraz. Obłęd ją ogarniał, przelękła się sama siebie, i zdołała trochę oprzytomnieć, niewyraźnie wprawdzie, bo nie przypominała sobie przyczyny swego okropnego stanu, to jest kwestyi pieniężnej. Bolała tylko nad sponiewieraną miłością swoją, i czuła że ją dusza opuszczała przez to wspomnienie, jak ranni, którzy konając, czują życie uchodzące przez swą krwawiącą ranę.

Noc zapadała; wrony kracząc latały.

W tem wydało jej się jakoby kulki ognistej barwy pękały w powietrzu jak race, i kręcąc się wirowo spadały na śnieg pomiędzy drzewami. Na każdej z nich pojawiała się twarz Rudolfa. Mnożyły się coraz więcej, zbliżały się do niej, przenikały ją; wreszcie, wszystko zniknęło. Poznała światła w oknach domów, które błyszczały zdaleka we mgle.

Natenczas przedstawiło jej się własne położenie, nakształt bezdennej otchłani. Głowa jej pała-

ła, dyszała jak gdyby piersi jej pęknąć miały. Nagle w uniesieniu bohaterskiem, które ją prawie szczęśliwą uczyniło, zbiegła pędem ze wzgórza, przebyła szybko kładkę, ścieżkę, ulicę drzewami wysadzoną, rynek i stanęła przed apteką.

Nikogo w niej nie było. Już chciała wejść, lecz na odgłos dzwonka mógł ktokolwiek nadejść; wstrzymując przeto oddech, macając po ścianie, wsunęła się za baryerkę, i postąpiła aż na próg kuchni, gdzie paliła się postawiona na kominku świeca. Justyn wynosił właśnie półmisek.

— Ach, jedzą obiad. Zaczekajmy.

Chłopak powrócił. Zastukała w szybę. Wyszedł.

— Klucz! daj mi klucz od góry, gdzie są...

— Jakto?

I patrzył na nią, zdumiony bladością jej twarzy, która odbijała swą białością na czarnem tle nocy. Wydała mu się nadzwyczajnie piękną, i wspaniałą jak duch ciemności; nie pojmując czego chciała, przeczuwał coś strasznego.

Ona jednak powtórzyła prędko, przytłumionym i miękkim głosem:

— Chcę tego klucza! daj mi go!

Ponieważ przepierzenie było cienkie, słychać było szczękanie noży po talerzach w sali jadalnej.

Powiedziała że potrzebuje trucizny żeby się pozbyć szczurów, które spać jej nie dawały.

— Musiałbym uprzedzić pana, rzekł Justyn.

— Niepotrzeba! zostań!

I obojętnie dodała:

— Nie warto go trudzić; ja mu sama powiem. Chodźże, poświeć mi!

I weszła w korytarz, z którego było wejście do laboratoryum. Na ścianie wisiał klucz z kartką na której było napisane: *kafarnaum.*

— Justyn! krzyknął aptekarz zniecierpliwiony.

— Chodźmy na górę!

Chłopak poszedł za nią.

Zakręciła klucz w zamku, i postąpiła prosto do trzeciej pułeczki, tak dobrze wszystko zapamiętała; pochwyciła niebieski słoik, otworzyła go, włożyła w środek rękę, i wyjąwszy ją pełną białego proszku, jeść go zaczęła jak cukier.

— Co pani robisz! wykrzyknął Justyn rzucając się ku niej.

— Cicho bądź! może kto nadejść...

Justyn załamywał ręce w rozpaczy, chciał wołać o ratunek.

— Nic nie mów, rzekła, wszystko to spadłoby na twego pana!

I oddaliła się, nagle uspokojona, i niemal zadowolona w przeświadczeniu spełnionego obowiązku.

Kiedy Karol wstrząśniony wiadomością o zajęciu sądowem powrócił do domu, Emma tylko co była zeń wyszła. Krzyczał, płakał, mdlał nawet, ale nie powracała. Dokąd ona pójść mogła? Posłał Felicyę do państwa Homais, do Tuvache'ów, do Lheureux'go, do *Złotego Lwa*, słowem wszędzie; a po za swym niepokojem widział wziętość swoją zagrożoną, dobrobyt przepadły, przyszłość Berty złamaną! Z jakiej przyczyny?.. gubił się w domysłach. Czekał aż do szóstej godziny wieczorem. Wreszcie, nie mogąc już wytrzymać, i przypuszczając że może pojechała do Rouen, wyszedł na gościniec, zrobił z pół mili drogi, nikogo nie spotkał, i powrócił.

Zastał żonę w domu.

— Cóż to się stało?.. Dla czego?.. Wytłómacz mi!..

Ona usiadła przy swem biureczku, i napisała list, który powoli zapieczętowała, dodając datę i godzinę. Potem rzekła z uroczystą powagą:

— Jutro go przeczytasz; aż dotąd proszę cię, nie pytaj mnie o nic!.. Nie, nie, o nic mnie nie pytaj!

— Ależ...

— O! proszę cię, daj mi pokój!

I położyła się jak długa na łóżku.

Ostry smak jaki w ustach poczuła, przebudził ją z pół sennego stanu. Spostrzegła Karola i przymknęła napowrót oczy.

Śledziła sama siebie uważnie, aby rozpoznać czy nie cierpi. Lecz nie! jeszcze nie. Słyszała wyraźnie ruch wahadła zegaru, trzeszczenie ognia na kominku, i oddech Karola, który stał przy jej łóżku.

— Mała to rzecz, śmierć! myślała w duchu, zasnę, i wszystko się skończy!

Wypiła trochę wody i obróciła się do ściany.

Szkaradny smak atramentu ciągle jej dokuczał.

— Pić mi się chcę!.. o! straszne mam pragnienie! westchnęła.

— Cóż ci jest? rzekł zaniepokojony Karol podając jej szklankę.

— To nic!.. Otwórz okno... duszę się!..

Porwały ją tak nagłe mdłości, że zaledwie zdążyła dobyć chustkę z pod poduszki.

— Zabierz ją! rzekła nalegająco, spal ją natychmiast.

Zadał jej kilka pytań, nic mu nie odpowiedziała. Leżała nieruchoma, z obawy aby najmniejsze poruszenie nie spowodowało nowych wymiotów. Jednakże czuła lodowate zimno, które podchodziło jej od nóg do serca.

— Ach! otóż się zaczyna! wyszeptała.

— Co ty mówisz?

Obracała głowę powolnym ruchem, otwierając ciągle szczęki, jak gdyby jej coś ciężyło na języku. Około ósmej godziny ponowiły się wymioty.

Karol zauważył na dnie miednicy rodzaj białego osadu, który się trzymał porcelanowych ścianek.

— To szczególne! to osobliwsze! powtórzył kilkakrotnie.

Lecz ona głośniej powiedziała:

— Nic, nic, mylisz się!

Wtenczas delikatnie, jakby z pieszczoty, przesunął dłoń swoją po jej żołądku. Krzyknęła przeraźliwie. Karol cofnął się przerażony.

Następnie zaczęła jęczeć, zrazu bardzo słabo. Silne dreszcze wstrząsały jej ciałem, i stała się bledszą od prześcieradła, w które się wpijały palce jej skurczone. Puls nierówny zdawał się chwilami ustawać zupełnie.

Krople zimnego potu występowały na siną twarz jej, która wyglądała jak zastygła w wyziewach metalicznej pary. Zęby jej szczękały, oczy bezmiernie rozszerzone spoglądały błędnie w około, i na wszystkie pytania odpowiadała tylko wstrząśnieniem głowy; parę razy się nawet uśmiechnęła. Powoli, jęki jej stały się coraz głośniejszemi. Wydała głuchy ryk, poczem zaraz powiedziała że się czuje lepiej i że zaraz wstanie. Lecz natychmiast porwały ją konwulsye; zawołała:

— Ach! to jest straszne, mój Boże!

Karol padł na kolana przy łóżku.

— Mów! coś zjadła? Odpowiedz, na imię Nieba!

I patrzył na nią wzrokiem pełnym niewysłowionej tkliwości.

— A więc, tam!... tam!... wyjąkała słabnącym głosem.

Poskoczył do biurka, złamał pieczątkę listu i przeczytał głośno: „*Nie oskarżajcie nikogo...*" Zatrzymał się, przetarł dłonią oczy i raz jeszcze przeczytał:

— Jakto!.. Ratunku!.. ratunku!..

I odchodząc od zmysłów powtarzał tylko jeden wyraz: „Otruta! otruta!" Felicya pobiegła do

pana Homais, który wiadomość tę wygłosił na placu; pani Lefrançois usłyszała ją pod *Złotym Lwem*, niektórzy poszli udzielić jej swym sąsiadom, i przez całą noc miasteczko było w niezwykłem poruszeniu.

Oszalały, bezprzytomny, bezsilny, Karol biegał po pokoju jak waryat. Rozbijał się o sprzęty, wydzierał sobie włosy, a pan Homais nie miał pojęcia o tak strasznej rozpaczy.

Powrócił do siebie żeby napisać do panów Canivet'a i doktora Larivière'a. Tracił głowę; podarł z piętnaście brulionów. Hipolit pojechał do Neufchatelu, a Justyn tak spędził konia Bovarego, że go musiał zostawić po stronie lasku Wilhelma, schwaconego i na pół żywego.

Karol chciał się radzić swego słownika lekarskiego, lecz nic przeczytać nie mógł, głoski kręciły mu się przed oczyma.

— Tylko spokojnie! mówił aptekarz. Chodzi głównie o zadanie silnego *antidotu*. Jakaż to trucizna?

Karol pokazał list. Był to arszenik.

— Trzebaby najpierwej zrobić rozbiór, rzekł Homais.

Wiedział bowiem że we wszystkich wypadkach otrucia należało robić rozbiór, a Bovary nic nie rozumiejąc, odpowiedział:

— Ach rób go! rób co chcesz! ocal ją!..

A powróciwszy do niej, rzucił się na kobierzec i płakał z głową opartą o brzeg łóżka.

— Nie płacz Karolu! rzekła z cicha. Wkrótce cię już dręczyć nie będę!

— Ale dla czego?.. Co cię do tego skłoniło?

Odpowiedziała:

— Musiałam... mój drogi.

— Czyś nie była szczęśliwą? Czym ja temu winien?.. Czyniłem jednak wszystko co było w mej mocy!

— Tak jest... to prawda... ty dobrym jesteś, ty jeden!...

I przesuwała mu ręką po włosach, miękko, powoli. Słodycz tego dotknięcia dopełniła miary jego boleści; czuł całą istność swoją rozdzierającą się z rozpaczy na myśl że trzeba ją utracić, utracić w chwili kiedy objawiała mu więcej niż kiedykolwiek miłości; i nie widział żadnego środka ratunku; nic nie wiedział, nic nie śmiał przedsięwziąść, tak dalece nagląca konieczność prędkiego postanowienia rozum mu pomieszała.

Ona tymczasem myślała sobie że skończyła już wreszcie ze wszystkiemi zdradami, podłościami i nieskończonemi pragnieniami, które ją udręczały. Dla nikogo już teraz nie miała nienawiści; mroczne jakieś zamieszanie myśli jej plątało, i ze wszystkich ziemskich odgłosów słyszała tylko urywane żale swego biednego serca, ciche i niewyraźne, jak ostatnie echo oddalającej się muzyki.

— Przyprowadźcie mi moją córkę, rzekła unosząc się na łokciu.

— Nie jest ci gorzej, prawda? zapytał Karol.

— Nie, nie!

Dziewczynka przybyła na rękach Felicyi, w długiej nocnej koszulce, z pod której wyglądały bose jej nóżki, zaspana i poważna. Oglądała się zdumiona po pokoju w nieładzie będącym i mrużyła oczy olśnione blaskiem świec, które wszędzie były porozstawiane. Przypomniały jej się zapewne noworoczne lub środopostne poranki, kiedy wybudzona także przededniem, przychodziła do łóżka matki przy świecach po swoje podarunki, bo zaczęła się pytać.

— Gdzież to jest, mamo?

A gdy wszyscy milczeli, dodała:

— Nie widzę mego trzewiczka!

Felicya nachylała ją do łóżka, dziewczynka zaś oglądała się ciągle w stronę kominka.

— Czyby go mamka zabrała? zapytała jeszcze.

Na wspomnienie tej kobiety, które jej przywodziło na pamięć wszystkie jej klęski i wszystkie cudzołóztwa, pani Bovary odwróciła głowę, jakby z obrzydzenia do innej, silniejszej trucizny, którejby smak w ustach poczuła. Mała Berta była ciągle na łóżku.

— O! jakież ty masz wielkie oczy, mamo! powiedziało dziecię; jaka jesteś blada! jak się strasznie pocisz!..

Matka się w nią wpatrywała.

— Ja się boję! rzekło dziecię odsuwając się.

Emma wzięła jej rączkę i chciała pocałować; dziewczynka się wyrywała.

— Dosyć już, dosyć! zabierzcie ją! zawołał Karol, który się zanosił od płaczu w alkowie.

Groźne objawy na chwilę się wstrzymały, chora wydawała się spokojniejszą; a każdy obojętny wyraz przez nią wymówiony, każde spokojniejsze odetchnienie, budziły w nim odrobinę nadziei. Gdy nakoniec przybył Canivet, z płaczem rzucił się w jego objęcia.

— Ach! to pan, doktorze! dzięki! Jak pan dobrym jesteś. Ale już jest trochę lepiej. Spojrzyj pan na nią.

Kolega wcale nie był tego zdania, i nie robiąc rzeczy przez pół, jak mówił, przepisał emetyk, dla zupełnego oczyszczenia żołądka.

Wkrótce zaczęła wyrzucać krew. Usta jej ścięły się mocniej. Członki miała pokurczone, ciało pokryte ciemnemi plamami, a puls jej uciekał z pod palcy, jak nić wyprężona, jak struna arfy blizka zerwania.

Chwilami krzyczała okropnie, przeraźliwie. Przeklinała truciznę, wymyślała na nią, błagała ją aby spieszniej działała, i wyprężonemi rękami odpychała wszystko co Karol, bardziej może od niej samej cierpiący, wlać jej w usta usiłował. Stał przed nią, z chustką na ustach, jęcząc, płacząc, dławiony łkaniem, które nim całym wstrząsało; Felicya biegała jak szalona po pokoju; Homais, nieruchomy, wzdychał głęboko, a pan Canivet, zawsze pewny siebie, zaczynał się jednak mieszać.

— Do d....! jednakże... jest wyczyszczona, a odkąd ustaje przyczyna...

— Powinien ustać skutek, rzecz jasna! dokończył Homais.

— Ależ ratujcie ją! wołał Bovary.

Nie słuchając aptekarza, który podsuwał nieśmiało przypuszczenie: „że to może być zbawiennem przesileniem", Canivet gotował się już zadać teryaku, gdy wtem usłyszano trzaśnięcie z bicza; szyby zadrżały i powóz pocztowy uniesiony dzielną trójką koni po same uszy zabłoconych, skręcił raptownie z placu i stanął przed domem Bovarego. Był to doktór Larivière.

Zjawienie się bóstwa nie byłoby w tej chwili większego sprawiło wrażenia. Bovary wzniósł ręce do góry, Canivet stanął jak wryty, a Homais przed wejściem jeszcze medyka zdjął swoją grecką czapeczkę.

Doktór Larivière należał do wielkiej chirurgicznej szkoły datującej od Bichat'a, do tego pokolenia dziś już wygasłego praktyków filozofów, którzy fanatycznie miłując swoją sztukę wykonywali ją rozumnie i z pełnem zapału poświęceniem. Wszystko drżało w szpitalu kiedy się rozgniewał, a uczniowie tak go poważali, że każdy z nich starał się później naśladować uwielbianego mistrza pod wszystkiemi względami, tak dalece że spotykano na nich, w okolicznych miastach, jego długą watowaną merynosową kapotę i obszerny

czarny surdut, którego poodpinane wyłogi spadały na ręce jego pulchne i bardzo piękne, chociaż nigdy nie nosił rękawiczek, jak gdyby dla skorszego niesienia pomocy spotykanym nędzom. Niedbający o krzyże i ordery, o tytuły i stopnie akademickie, gościnny, hojny, prawdziwy ojciec dla biednych i cnotliwy sam o tem nie wiedząc, byłby niemal za świętego uchodził, gdyby satyryczny dowcip nie kazał go się obawiać jak szatana. Spojrzenie jego ostrzejsze od lancetów, któremi się posługiwał, sięgało ci w głąb duszy i wydobyło każde kłamstwo z pod jego krętarskich obsłonek. I tak szedł przez życie opromieniony tą dobrotliwą powagą jaką nadaje przeświadczenie o wielkiej zdolności, majątek niezależny i czterdzieści lat nieskazitelnej i pożytecznej pracy.

Od samego progu zmarszczył brwi, rzuciwszy okiem na trupią twarz Emmy, która leżała na wznak z otwartemi usty. Potem, słuchając na pozór objaśnień Caniveťa, przesuwał wskazujący palec pod nosem i powtarzał:

— To dobrze, to dobrze.

Przytem jednak zrobił powolny ruch ramionami. Bovary to spostrzegł: spojrzeli na siebie, i ten człowiek, tak wszakże obyty z widokiem cierpień,

nie mógł powstrzymać łzy, która spadła na jego żabot.

Odprowadził Canivet'a do drugiego pokoju. Karol poszedł za nimi.

— Ona jest bardzo źle, nieprawdaż? Gdyby postawić synapizma? nie wiem już co! Wynajdźże cokolwiek doktorze, ty który ich tyle ocaliłeś!

Mówiąc to Karol obejmował go swemi ramiony i wpatrywał się w niego rozpaczliwie, błagalnie, prawie omdlały na piersiach jego:

— Odwagi, biedny mój chłopcze, odwagi! Tu już niema co robić!

To rzekłszy, doktór Larivière zwrócił się ku drzwiom.

— Już pan odchodzisz?

— Powrócę jeszcze.

Wyszedł jakoby dla wydania rozkazu postylionowi, razem z panem Canivet'em, który także nie życzył sobie żeby pani Bovary w jego rękach skonała.

Aptekarz dogonił ich na placu. Temperament jego nie pozwalał mu odłączać się od sławnych ludzi. To też uprosił pana Larivière'a żeby mu zrobił ten wysoki zaszczyt i przyjął u niego śniadanie.

Posłano naprędce po gołąbki do *Złotego Lwa*, zebrano wszystkie kotlety z jatki, dostano śmietany od pani Tuvache, jaj od bedela Lestiboudois'a i pan aptekarz sam pomagał w przygotowaniach, podczas gdy małżonka jego mówiła, pociągając sznury swego kaftana:

— Pan wybaczy, bo w naszym nędznym kraju, nie będąc naprzód uprzedzonym...

— Kieliszki!!! poszepnął jej Homais.

— Gdybyśmy mieszkali w mieście, moglibyśmy dostać choć nóżek faszerowanych...

— Cicho bądź!.. Prosimy do stołu, doktorze!

Po pierwszem daniu, uznał za stosowne udzielić medykowi niektórych szczegółów o katastrofie.

— Najpierwej było uczucie wielkiej suchości w gardle, potem nieznośne boleści w dołku, następnie silne czyszczenie górą i odrętwienie.

— Jakimże sposobem się otruła?

— Niewiem tego, doktorze, nie pojmuję nawet zkąd mogła dostać tego kwasu arszenikowego.

Justyn, wnoszący właśnie stos talerzy, zaczął się trząść jak w febrze.

— Co ci jest? zapytał aptekarz.

Młody chłopak na te słowa upuścił wszystko na ziemię, z wielkim trzaskiem.

— Głupcze! wykrzyknął Homais; niczdaro! ciemięgo! ośle!

Opamiętawszy się jednak natychmiast, powrócił do przerwanej rozmowy.

— Chciałem spróbować rozbioru, doktorze, i *primo*, wprowadziłem ostrożnie w rurkę...

— Lepiej było wprowadzić jej palce do gardła, rzekł Larivière.

Kolega jego milczał, otrzymawszy przed chwilą poufnie dobrą burę za swój emetyk; w skutek czego zacny Canivet, tak wymowny i pewny siebie w sprawie operowanej nogi, dziś bardzo był pokorniutki; uśmiechał się tylko ciągle w sposób potwierdzający.

Homais lubował się swą dumą amfitryona, a myśl o nieszczęściu Bovarego przyczyniała się pod pewnym względem do jego zadowolenia, przez samolubny zwrot na siebie samego. Nadto, zachwycony był obecnością doktora Larivière'a. Popisywał się przed nim swoją erudycyą, rozprawiał o kantarydach, o upasie, o mancenilli, o żmijach.

— A nawet czytałem że trafiały się wypadki *intoxikacyi*, doktorze, zupełnego odurzenia, przez kiełbasy nazbyt gwałtownie uwędzone! Tak przy-

najmniej opiewał raport bardzo pięknie napisany przez jedną z naszych farmaceutycznych znakomitości, jednego z naszych mistrzów, słynnego Cadet'a de Gassicourt!

Pani Homais ukazała się znowu, niosąc w ręku maszynkę ogrzewaną spirytusem; pan Homais bowiem lubił na stole przyrządzać kawę, którą zresztą sam upalił, sam sproszkował, sam zaprawił.

— *Saccharum*, doktorze, powiedział podając mu cukier.

Następnie kazał przyjść wszystkim swoim dzieciom, chcąc usłyszeć zdanie słynnego medyka co do ich organizmu.

Nakoniec doktór Larivière już miał odjeżdżać, gdy pani Homais poprosiła go o konsultacyę dla męża, który zgęszczał sobie krew sypiając zawsze po obiedzie.

Gdy otworzył drzwi do apteki, ujrzał że była pełną ludzi; musiał wysłuchać jeszcze pana Tuvache'a, który się obawiał dla żony zapalenia płuc, dla tego że miała zwyczaj spluwać; pana Binet'a, który miewał czasem fałszywy apetyt, i pani Caron, która doznawała kłucia po całem ciele, Lheureuxe'go, który cierpiał zawrót głowy,

Lestiboudois'a, któremu dokuczał reumatyzm, pani Lefrançois, która miała odbijanie. Wreszcie pocztowa trójka unosiła doktora i uznano powszechnie, że nie dosyć był uprzejmym.

Teraz uwaga ogólna zwróconą została na księdza Bournisien, który dążył przez plac ze świętemi olejami.

Homais, wierny swoim zasadom, porównał księży do kruków zwabionych wonią trupów; widok duchownego był mu osobiście nieprzyjemnym, gdyż sutana przypominała mu całun, i nienawidził pierwszej, trochę przez obawę drugiego.

Wszelako nie cofając się przed tem co nazywał *swem posłannictwem*, powrócił do Bovarych w towarzystwie Canivet'a, którego pan Larivière przed odjazdem nakłonił był do tego kroku; gdyby nie przedstawienia żony, byłby nawet zabrał z sobą obudwu synów, aby ich oswoić z widokiem śmierci, aby to było dla nich nauką, przykładem, uroczystym obrazem, niezatartym w ich młodocianej pamięci.

Pokój umierającej, gdy weszli do niego, miał już pozór żałobnej uroczystości. Na stoliku pokrytym białą serwetą leżało w srebrnej miseczce kilka bawełnianych kulek, przy wielkim

krucyfiksie, pomiędzy dwiema zapalonemi świecami. Emma, z głową na piersi spuszczoną, miała szeroko rozwarte powieki; białe jej ręce suwały się po kołdrze, z tym łagodnym a okropnym ruchem konających, którzy zdają się całun na siebie nasuwać. Blady jak posąg marmurowy, z oczyma czerwonemi jak rozżarzone węgle, Karol nie płacząc już stał w nogach łóżka, podczas gdy ksiądz odmawiał na klęczkach modlitwy.

Zwolna chora twarz obróciła, i zdawała się rozpromieniać radością na widok fijołkowej stuły, odnajdując zapewne pośród nagłego ukojenia utraconą lubość pierwszych swoich mistycznych porywów, wraz z widzeniami nieśmiertelnych błogości, które się dla niej zaczynały.

Ksiądz powstał aby wziąść krucyfiks; wtedy wyciągnęła szyję jak spragniona ptaszyna, i przyciskając usta do wizerunku Człowieka-Boga, złożyła na nim z całą konającą siłą największy pocałunek miłości jaki w życiu swojem dała. Następnie ksiądz odmówił *Misereatur* i *Indulgentiam*, umoczył wielki palec prawej ręki w oleju i zaczął namaszczanie: najpierwej oczu, które tak pożądały ziemskich przepychów; potem nozdrzy, łakomych na ciepłe powiewy i miłosne wonie; po-

tem ust, które się otwierały dla kłamstwa, które się nadymały pychą i lubowały zmysłowością; potem rąk, które szukały dotknięć lubieżnych, nakoniec stóp, niegdyś tak chyżych, kiedy biegła żądzom swym zadość uczynić, a które już nigdy chodzić nie miały.

Proboszcz otarł sobie palce, wrzucił w ogień kawałki waty nasiąkłe oliwą, i usiadł znowu przy umierającej aby jej powiedzieć że teraz powinna była połączyć swe cierpienia z Chrystusowemi, i polecić się miłosierdziu Boskiemu.

Skończywszy swoją przemowę, chciał jej włożyć w rękę poświęconą gromnicę, symbol jasności niebieskich jakie ją za chwilę otoczyć miały. Emma, zbyt osłabiona, nie mogła zamknąć dłoni, i gromnica byłaby upadła na ziemię, gdyby jej nie był przytrzymał ksiądz Bournisien.

Jednakże bladość jej mniej była przerażającą, a twarz nabrała wyrazu pogody, jak gdyby ją sakrament uleczył.

Ksiądz nie omieszkał zwrócić na to uwagi: przedstawił nawet Bovaremu, że Pan przedłuża czasem życie niektórych osób, jeżeli to osądzi za potrzebne do ich zbawienia; a Karol przypomniał sobie ów dzień, kiedy także na pozór blizka śmierci, przyjmowała kommunię.

— Nie należało może rozpaczać, pomyślał.

W istocie, obejrzała się wokoło siebie, powoli, jak osoba ze snu zbudzona; potem głosem wyraźnym zażądała zwierciadła, i pozostała przez długą chwilę weń wpatrzona, aż grube łzy z oczu jej spływać zaczęły. Wtedy przechyliła w tył głowę i opadła na poduszki.

Niebawem pierś jej ciężko i szybko oddychać zaczęła. Język z ust się wysunął; oczy w słup przewrócone, bladły jak dwie gasnące lampy, i jużby ją można była sądzić umarłą, gdyby nie straszne robienie bokami, wstrząsanemi gwałtownym oddechem, jak gdyby dusza rwała się do wyswobodzenia. Felicya uklękła przed krucyfiksem; sam nawet aptekarz przygiął kolana, podczas gdy pan Canivet patrzył bezmyślnie przez okno. Ksiądz Bournisien odmawiał znowu modlitwy, z twarzą pochyloną ku brzegowi łóżka, a długa jego czarna sutana leżała za nim na ziemi. Karol klęczał po drugiej stronie łóżka, z rękami ku Emmie wyciągniętemi. Ujął jej dłonie i ściskał je, wzdrygając się za każdem uderzeniem jej serca, jak gdyby to były odbicia walącej się ruiny. W miarę jak rzężenie stawało się silniejszem, ksiądz przyspieszał odmawianie swych

pacierzy; łączyły się one ze stłumionemi łkaniami Bovarego, a czasem wszystko zdawało się tonąć w głuchym szmerze łacińskich zgłosek, które dźwięczały jak echo żałobnego dzwonu.

Wtem dał się słyszeć na bruku odgłos grubych sabotów razem ze stukaniem kija po bruku, i ozwał się głos złamany który śpiewał:

Często w dzień gorący letni
O miłości marzy dziewczę...

Emma podniosła się nagle jak trup zgalwanizowany, z włosami rozpuszczonemi, okiem szeroko rozwartem, osłupiałem.

Chcąc pilnie pozbierać
Kłosy rozsypane,
Anulka się schyla
Na zagon gdzie leżą...

— Niewidomy! krzyknęła.

I zaczęła śmiać się śmiechem dzikim, frenetycznym, rozpaczliwym, jak gdyby widziała przed sobą ohydną twarz nędzarza, występującą niby upiór z pośród cieniów wieczności.

Wiatr silniejszy powiał
I krótka spodniczka
Z wiatrem uleciała!

Konwulsye rzuciły ją na poduszki. Wszyscy się przybliżyli. Już nie żyła.

IX.

Po nastąpionym czyimkolwiek zgonie zwykle następuje jakiś rodzaj osłupienia, tak trudno jest pojąć to przyjście nicości i weń uwierzyć. Pomiarkowawszy jednak jej sztywną nieruchomość, Karol rzucił się na nią wołając:

— Żegnam cię! żegnam!

Homais i Canivet wyprowadzili go z pokoju:

— Miarkuj boleść twoją!

— Tak jest, mówił wydzierając się, będę rozsądnym, nic złego nie uczynię. Ale puśćcie mnie! chcę ją widzieć! to żona moja!

I zalewał się łzami.

— Płacz, biedny mój przyjacielu, rzekł aptekarz, daj wolny bieg naturze, to ci ulgę przyniesie!

Zesłabły jak dziecię, Karol dał się sprowadzić na dół do sali jadalnej, a pan Homais powrócił do siebie.

Na placu zaczepił go niewidomy, który zawlókłszy się aż do Yonville'u znęcony maścią antiflogistyczną, zapytywał każdego przechodnia gdzie mieszka aptekarz?

— W samą porę się wybrał! jak gdybym mało miał do roboty! Przyjdź później!

I wbiegł szybko do apteki.

Miał do napisania dwa listy, musiał przyrządzić napój uspokajający dla Bovarego, wymyśleć prawdopodobne kłamstwo dla ubarwienia wypadku otrucia, i zredagowania do dziennika roueńskiego, nie licząc jeszcze mnóstwa osób, które na niego czekały dla otrzymania wiadomości, a gdy wszyscy Yonvillanie wysłuchali historyi o arszeniku, którego przez pomyłkę użyła zamiast cukru do kremu waniliowego, Homais powrócił jeszcze do Bovarego.

Zastał go samego (pan Canivet już odjechał); siedział w fotelu przy oknie, wpatrując się błędnym wzrokiem w kwadraty posadzki.

— Potrzebaby teraz, przemówił aptekarz, oznaczyć godzinę obrzędu.

— Po co? jakiego obrzędu?

A po chwili dodał jąkając się i z pewnym rodzajem przerażenia:

— O nie! nie! ja chcę ją zatrzymać; któż mi tego zabroni?

Homais, nie wiedząc co na to odpowiedzieć, wziął karafkę z etażerki i podlał wazoniki geranium.

— O! dziękuję ci, panie Homais; dobrym jesteś!...

Nie dokończył, zdławiony nadmiarem wspomnień jakie mu ten ruch aptekarza przywiódł na pamięć.

Aby go rozerwać, Homais uznał za stosowne napomnąć o pielęgnowaniu kwiatów: rośliny potrzebowały wilgoci. Karol skłonił głowę na znak potwierdzenia.

— Zresztą, piękne dnie teraz nastaną.

— Ach! westchnął Bovary.

Aptekarz, nie wiedząc już z jakiej beczki wychodzić, odchylił powoli firaneczki z okien.

— Oto pan Tuvache przechodzi.

Karol powtórzył machinalnie:

— Pan Tuvache przechodzi.

Homais nie śmiał mu już wspominać o rozporządzeniach pogrzebowych; ksiądz dopiero zdołał go do tego nakłonić.

Nieszczęśliwy zamknął się w swym pokoju, wziął pióro, i spłakawszy się rzewliwie, napisał.

„*Chcę aby ją pochowano w jej ślubnej sukni, w białych trzewikach, w wieńcu na głowie. Włosy niech ma rozpuszczone na ramionach; będą trzy trumny, jedna dębowa, druga mahoniowa, trzecia ołowiana. Niech*

mi nikt nic nie mówi: będę miał potrzebną siłę. Z wierzchu ją przykryją wielkim całunem z zielonego aksamitu. Ja tak chcę. Tak uczynicie."

Ci panowie zdumieli się bardzo nad romansowemi pomysłami Bovarego, i aptekarz poszedł mu powiedzieć:

— Ten aksamit wydaje mi się rzeczą zgoła zbyteczną. Zresztą, koszt...

— Cóż to pana obchodzi? oburzył się Karol. Daj mi pan pokój! Nie kochałeś jej! Idź pan sobie precz!

Duchowny wziął go pod ramię i wyprowadził do ogrodu. Mówił mu o znikomości rzeczy ziemskich. Bóg jest wielkim, miłosierdzie Jego nieskończone; należało się poddawać bez szemrania Jego wyrokom, dziękować mu nawet za wszystko.

Karol wybuchnął bluźnierstwem.

— Ja nienawidzę waszego Boga!

— Duch buntu mieszka jeszcze w tobie, synu mój, westchnął duchowny.

Bovary był już daleko. Chodził wielkiemi krokami wzdłuż muru, pod szpalerem, zgrzytał zębami, i posyłał w niebo spojrzenia obarczone

przeklęstwy, lecz ani jeden listek się nie poruszył.

Drobny deszczyk zaczął padać. Karol mając piersi obnażone, uziąbł wreszcie; powrócił do domu i usiadł w kuchni.

O szóstej godzinie zaturkotało na placu: to *Jaskółka* przybywała. Karol oparłszy czoło o szybę, patrzył bezmyślnie jak podróżni wysiadali jeden po drugim. Felicya położyła mu w salonie materac; położył się na nim i usnął.

Jakkolwiek filozof, pan Homais szanował umarłych. Nie chowając też urazy do biednego Karola, przyszedł wieczorem aby czuwać przy zwłokach. Zabrał z sobą trzy księgi i pugilares do robienia notatek.

Zastał już księdza Bournisien; dwie wielkie gromnice paliły się w głowach łóżka, które wysunięto z alkowy.

Aptekarz, któremu ciężyło milczenie, niebawem wyraził ubolewanie nad „tą nieszczęsną młodą kobietą," na co ksiądz odpowiedział że pozostawało już tylko modlić się za nią.

— Jednakże, zarzucił Homais, z dwóch rzeczy jedna: albo umarła w stanie łaski (jak się wyra-

ża Kościół), a w takim razie nie potrzebuje naszych modlitw; albo też przeszła do wieczności w grzechu (takie jest podobno wyrażenie duchowne), a wtenczas...

Ksiądz Bournisien przerwał mu oświadczając szorstko, że w każdym razie należało się modlić.

— Lecz, powiedział jeszcze aptekarz, ponieważ Bóg zna wszystkie nasze potrzeby, na co się przydać może modlitwa?

— Jakto? oburzył się duchowny, modlitwa! Więc pan nie jesteś chrześcianinem?

— Za pozwoleniem! rzekł Homais. Uwielbiam chrystyanizm. On pierwszy wyswobodził niewolników, zaprowadził w świecie moralność...

— Nie o to chodzi! Wszystkie teksty...

— Och! och! co się tyczy tekstów, zajrzyj do historyi, księżuniu; wiadoma rzecz iż je poprzekręcali Jezuici.

Tu wszedł Karol, i przystąpiwszy do łóżka, odsunął powoli firanki.

Emma miała głowę na prawe ramię pochyloną. Kąt ust jej, które były otwarte, robił wrażenie czarnego otworu w dolnej części twarzy; wielkie palce u obudwu rąk spoczywały niezgięte w dłoniach; rodzaj białawego pyłu osiadał na

rzęsach, oczy poczynały się przysłaniać lekką tkanką, podobną do pajęczyny. Prześcieradło zapadło na niej od piersi do kolan, podnosząc się następnie na palcach wyprostowanych stóp; a Karolowi zdawało się że ją przygniatał ciężar olbrzymi, masy jakieś nieskończone.

Zegar kościelny wybił drugą godzinę. Słychać było szum rzeki płynącej u stóp tarasu. Ksiądz Bournisien od czasu do czasu nos głośno ucierał, a Homais'ego pióro skrzypiało po papierze.

— No, kochany przyjacielu, rzekł do Karola, idź już ztąd, ten widok serce ci rozdziera.

Po odejściu Karola, aptekarz i ksiądz powrócili do swoich przerwanych rozpraw.

— Czytaj pan Voltaire'a! mówił pierwszy; czytaj Holbach'a, czytaj Encyklopedyę.

— Czytaj pan *Listy kilku portugalskich żydów!* mówił drugi; czytaj *Racyę Chrystyanizmu*, przez Nicolas'a, dawnego sędziego!

Zapalili się, obadwa byli rozczerwienieni; dowodzili razem nie słuchając się wzajemnie; Bournisien zgorszony był takiem zuchwalstwem; Homais podziwiał tąką *głupotę*, i niedalekimi już byli od powiedzenia sobie wzajemnych obelg, gdy Karol ukazał się znowu. Ciągnął go tu bolesny

a nieprzeparty urok. Co chwila wchodził na górę.

Stawał przed zwłokami aby im się lepiej przypatrzeć, i tonął w tej kontemplacyi, która przestawała być bolesną, tak była głęboką.

Przypomniał sobie wszystkie słyszane historye o katalepsyach, o letargach, o cudach magnetyzmu; zdawało mu się że gdyby tylko *chciał* gorąco, potrafiłby ją wskrzesić. Raz nawet pochylił się ku niej i z cicha zawołał: „Emmo! Emmo!" Od mocnego odetchnienia jego zadrżał płomień gromnic.

O świcie przybyła starsza pani Bovary. Karol witając ją zalał się nowym potokiem łez. Staruszka próbowała, podobnie jak aptekarz, robić mu niektóre uwagi co do pogrzebowych wydatków. Uniósł się tak dalece że zamilkła, i z polecenia jego poszła nawet zaraz do miasta kupować wszystko czego było potrzeba.

Karol sam został przez całe południe. Bertę zaprowadzono do pani Homais; Felicya była na górze z panią Lefrançois, przy umarłej.

Wieczorem przyjmował odwiedziny. Wstawał, ściskał za rękę nic przemówić nie mogąc, poczem siadali wszyscy w półkole przed kominkiem. Z twarzą zastosowaną do okoliczności, za-

kładali nogę na nogę, i kiwali nią, wzdychając od czasu do czasu głęboko, a każdy nudził się niepomiernie; nikt jednak pierwszy odchodzić nie chciał.

Homais powróciwszy o dziewiątej wieczorem — ciągle go teraz widziano na placu—przyniósł z sobą zapas kamfory, benzoesu i ziół aromatycznych, oraz naczynie z chlorkiem dla zniszczenia szkodliwych miazmatów. Właśnie Felicya, pani Lefrançois i mama Bovary kręciły się koło Emmy, kończąc ubieranie zwłok, i zapuściły długą sztywną zasłonę, która ją przykryła aż do atłasowych trzewiczków.

Felicya zanosiła się od płaczu.

— Ach! moja biedna pani! moja biedna pani!

— Patrz tylko na nią, mówiła wzdychając oberżystka, jaka jeszcze ładniutka! Przysiągłbyś że zaraz wstanie.

I pochyliły się, żeby jej wieniec włożyć na głowę.

Potrzeba było unieść trochę głowę; wtedy potok czarnego płynu buchnął z ust umarłej.

— Ach! mój Boże! suknia! uważajcie! wykrzyknęła pani Lefrançois. Pomóż nam pan! — mówiła do aptekarza. Czy się pan boisz?

— Ja! bać się? odparł wzruszając ramionami. Właśnie też! Nie takie ja rzeczy widywałem w szpitalu, kiedym się uczył farmakopei! Poncz robiliśmy w sali dyssekcyjnej! Nicość nie przeraża filozofa; nieraz nawet powtarzam że mam zamiar ciało moje zapisać szpitalom, aby jeszcze po śmierci służyć nauce.

Proboszcz przyszedłszy, zapytał jak się ma pan Bovary, a otrzymawszy odpowiedź aptekarza, powiedział.

— Nic dziwnego, cios jeszcze zbyt świeży!

Wtedy Homais winszował mu że nie był narażony, jak wszyscy, na utratę ukochanej towarzyszki; zkąd wywiązała się rozprawa o bezżeństwie księży.

— Albowiem, dowodził aptekarz, nie jest rzeczą naturalną aby się mężczyzna obchodził bez kobiet! Widziano zbrodnie...

— Ależ, mój panie! wykrzyknął duchowny, jakże chcesz aby człowiek żyjący w małżeństwie zachował tajemnicę spowiedzi?

Homais potępiał spowiedź. Bournisien jej bronił: rozwodził się nad restytucyami jakich nieraz się stawała powodem. Przytaczał różne anegdoty o złodziejach, którzy nagle uczciwymi ludź-

mi zostali. Wojskowi, przystąpiwszy do trybunału pokuty, uczuli łuski spadające im z oczu. We Fryburgu był pastor...

Aptekarz spał. Dusząc się w ciężkiej atmosferze śmiertelnego pokoju, ksiądz Bournisien otworzył okno, co przebudziło jego towarzysza.

— Muże, tabaczki! rzekł podając mu tabakierkę. To orzeźwia.

Zdaleka słychać było przeciągłe psów szczekanie.

— Jak psy wyją! rzekł aptekarz.

— Utrzymują że psy czują trupa, odrzekł duchowny. Tak jak pszczoły: wylatują z ula, jeżeli w domu kto umrze.

Homais nie zbijał tych przesądów, bo zasnął był powtórnie.

Ksiądz Bournisien, silniejszy, przez jakiś czas jeszcze poruszał ustami, potem niezwłocznie, schylił głowę na piersi, wypuścił swoją grubą czarną księgę i zaczął chrapać.

Siedzieli tak, jeden naprzeciwko drugiego, z brzuchem naprzód wystawionym, twarzą wydętą i pochmurną, po tylu sprzeczkach zjednoczeni jednakową ludzką słabością, tak samo nieru-

chomi jak trup, którego pilnowali, a który także spać się zdawał.

Karol wszedłszy, nie obudził ich. Było to po raz ostatni. Przychodził ją pożegnać.

Aromatyczne zioła dymiły jeszcze, i kłęby niebieskawej pary łączyły się przy oknie z mgłą z zewnątrz wchodzącą. Kilka gwiazd świeciło na niebie, i noc była dosyć ciepła.

Wosk z gromnic spadał dużemi kroplami na prześcieradła. Karol wpatrywał się w nie, nużąc wzrok blaskiem ich żółtego płomienia.

Zagięcia morowe drgały na atłasowej sukni, białej jak promień księżyca. Zmarła nikła pod nią, i Karolowi zdawało się że, wylewając się na zewnątrz, jednoczyła się niewyraźnie z otaczającemi ją przedmiotami, z nocą, z wiatrem który powiewał, z wilgotnemi woniami, które się w powietrzu unosiły.

To znowu, widział ją w ogródku w Tostes, na ławeczce pod cierniowym płotem, lub na ulicach Rouenu, lub na progu domu, w podwórzu folwarku Bertaux. Słyszał wesołe śmiechy drużbów tańczących pod jabłoniami, pokój przejęty był wonią jej włosów, a suknia jej szeleściła pod je-

go ręką ze szmerem iskier elektrycznych. Była to ta sama suknia!

Stał tak długo, przypominając sobie w ten sposób wszystkie utracone szczęśliwości, jej postawę, jej ruchy, dźwięk jej głosu. Po jednym żalu, przychodził drugi, bez końca, jak fale wzbierającego potoku.

Zdjęła go straszna ciekawość: powoli, końcami palcy, drżąc cały, podniósł zasłonę okrywającą ukochane zwłoki. Lecz natychmiast wydał okrzyk zgrozy, który tamtych obudził. Odprowadzili go na dół, do sali.

Potem Felicya przyszła powiedzieć że prosił o promień włosów umarłej.

— Utnij go! odparł aptekarz.

A gdy dziewczyna się wahała, przystąpił sam, z nożyczkami w ręku. Ręka mu tak drżała że ukłuł skórę w kilku miejscach na skroni. Wreszcie, pokonywając wzruszenie, zaciął kilka razy na chybił trafił, co powyszczerbiało ten pyszny płaszcz ciemny.

Aptekarz wraz z księdzem powrócili do swych odnośnych zajęć, podrzemując od czasu do czasu, o co się wzajemnie oskarżali po każdem przebudzeniu. Natenczas ksiądz pokropywał pokój wo-

dą święconą, a Homais sypał chlorek na posadzkę.

Felicya przygotowała była dla nich na komodzie butelkę wódki, ser i duży placek. Około czwartej rano, aptekarz upadający ze znużenia, powiedział:

— Prawdę rzekłszy, chętniebym się posilił!

Duchowny także nie był od tego; poszedł odprawić mszę, i niebawem powrócił; poczem zjedli i napili się, żartując po trochu, chociaż nie mieli z czego, zapewne pobudzeni tą bezmyślną wesołością, która zwykła nas ogarniać po smutnych posiedzeniach; a przy ostatnim kieliszku, ksiądz powiedział do aptekarza, uderzając go po ramieniu:

— Jeszcze się kiedyś porozumiemy!

Na dole spotkali przybywających stolarzy. Wtedy Karol, przez całe dwie godziny znosić musiał męczarnię odgłosów młota uderzającego o deski. Potem złożono Emmę do trumny dębowej, którą wpakowano do dwóch drugich; lecz ponieważ ołowiana okazała się być za nadto obszerną, musiano zatykać szpary wełną z materaca. Gdy nakoniec trzy wieka zostały przypasowane, zabite, zalane, wystawiono trumnę przed

drzwi; otworzono dom, i ludzie zaczęli się schodzić.

Przyjechał i ojciec Rouault. Zemdlał na placu, zobaczywszy czarny kir.

X.

List aptekarza otrzymał dopiero w trzydzieści sześć godzin po wypadku; a przez wzgląd na jego tkliwość, pan Homais napisał go był w taki sposób, że niepodobna było wiedzieć czego się trzymać.

Zacny rolnik padł w pierwszej chwili jak piorunem rażony. Następnie rozważył że przecie jeszcze nie umarła. Ale do tego czasu *mogła* umrzeć... Nakoniec włożył nową bluzę, wziął kapelusz, przyczepił ostrogę do trzewika i siadłszy na konia popędził galopem; a przez całą drogę, spocony i zadyszany, pożerany był niepokojem. Raz nawet zsiąść musiał z konia. W oczach mu się ćmiło, w uszach szumiało, my ślał że oszaleje.

Rozwidniło się. Spostrzegł trzy czarne kury śpiące w wydrążeniu drzewa; zadrżał, przerażony tą wróżbą. Wtedy ślubował Matce Boskiej

trzy ornaty dla kościoła, i pielgrzymkę boso od cmentarza w Bertaux aż do kaplicy w Vassonville'u.

Przyjechał do Marommy wołając na ludzi w oberży, wysadził drzwi kułakiem, poskoczył do worka z owsem, wlał do żłobu butelkę słodkiego jabłeczniku, i wsiadł znowu na swą szkapę, która jak wiatr popędziła.

Powtarzał sobie że ją zapewne ocalą; doktorzy znajdą przecie lekarstwo, nie można wątpić o tem. Przypominał sobie wszystkie cudowne uleczenia o jakich kiedykolwiek słyszał.

Potem znowu widział ją już umarłą. Leżała przed nim na wznak, pośrodku drogi. Ściągał uzdę i hallucynacya znikała.

W Quincampoix, dla orzeźwienia się wypił trzy kubki kawy jeden po drugim.

Przyszło mu na myśl że się może pomylono w imieniu pisząc do niego. Poszukał listu w kieszeni, dobył go, ale nie śmiał otworzyć.

Pomyślał wreszcie że to może figiel, czyjaś zemsta, złośliwy żart jakiego głupiego dowcipnisia; bo przecież gdyby ona umarła, czyliżby o tem nie wiedziano? A tymczasem wszystko było jak dawniej: niebo jaśniało czystym błękitem, drze-

wa się kołysały wiatrem poruszane; pędzono trzodę owiec. Nakoniec ujrzał pierwsze domy Yonville'u; spostrzeżono go jak pędził pochylony na koniu, którego okładał batem, a z którego popręgów krew kapała.

Gdy przyszedł do przytomności, rzucił się w objęcia Bovarego łzami zalany:

— Moja córka! Emma! dziecię moje! jak to się stać mogło?...

A tamten odpowiadał ze łkaniem:

— Ja nie wiem, ja nic nie wiem! to przekleństwo!

Aptekarz ich rozłączył.

— Te bolesne szczegóły są tu zbyteczne, powiedział. Ja sam panu ich udzielę. Oto ludzie się schodzą. Zachowajcież godność waszą, cóż u licha! Trzeba mieć trochę filozofii!

Biedny wdowiec chciał okazać się silnym, i powtórzył kilkakrotnie:

— Tak jest... odwagi, odwagi!...

— A więc! zawołał stary poczciwiec, i ja będę ją miał, jak Bóg na niebie! Odprowadzę ją aż na miejsce.

Dzwon się odzywał. Wszystko było gotowe. Trzeba było wyruszyć.

Siędząc w jednej ze stalli chóru, obok siebie, widzieli przechodzących koło siebie tam i napowrót trzech śpiewaków zawodzących psalmy. Ksiądz Bournisien, uroczyście przybrany, śpiewał cienkim głosem; oddawał pokłon ołtarzowi, wyciągał ramiona, podnosił ręce w górę. Lestiboudois kręcił się po kościele z fiszbinową żerdzią; trumna spoczywała na katafalku pomiędzy czterema rzędami świec woskowych. Karol miał chęć wstać i pogasić je.

Usiłował jednak obudzić w sobie wiarę; uciec się do nadziei przyszłego życia w któremby ją mógł odnaleść. Wyobrażał sobie że wyjechała w podróż, bardzo daleko, od dawna. Ale kiedy pomyślał że się znajdowała tam, zamknięta, że wszystko było skończone, że ją zakopią w ziemię, ogarniała go wściekłość dzika, rozpaczliwa. Chwilami zdawało mu się że nic nie czuje, i lubował się tem złagodzeniem swej boleści, wyrzucając sobie przytem że jest nędznikiem.

Usłyszano na kamiennej posadzce jakby miarowe stukanie okutego kija. Odgłos ten pochodził z głębi, i zatrzymał się u bocznej nawy kościoła. Człowiek w grubym ciemnym kaftanie ukląkł z trudnością. Był to Hipolit, posługacz z pod „Złotego Lwa." Miał swoją paradną nogę.

Jeden ze śpiewaków obszedł nawę z kwestą, i sztuki drobnej monety posypały się z dźwiękiem na srebrny talerzyk.

— Pospieszże się! Ja cierpię! zawołał Bovary rzucając mu z gniewem sztukę pięciofrankową.

Kwestarz kościelny podziękował mu głębokim ukłonem.

Śpiewano, przyklękano, powstawano, końca temu nie było! Karol przypomniał sobie że razu jednego, w pierwszych czasach razem słuchali mszy, po drugiej stronie, na prawo, pod ścianą. Zaczęto znowu dzwonić, zrobił się ruch w kościele. Tragarze postawili trumnę na marach i wszyscy wyszli z kościoła.

Justyn ukazał się wtenczas we drzwiach apteki, lecz cofnął się zaraz blady i chwiejący.

Wyglądano oknami aby widzieć przechodzący orszak. Karol szedł za trumną, wyprostowany. Chciał być odważnym i pozdrawiał skinieniem głowy tych, którzy wychodząc z domów i z bocznych uliczek, przyłączyli się do orszaku.

Sześciu tragarzy, po trzech z każdej strony, postępowali wolnym krokiem, ciężko oddychając. Księża, śpiewacy i dwaj chłopcy z chóru odmawiali *De profundis;* a głosy ich rozlegały się po

polu, wznosząc się i zniżając jak falujący potok. Czasem znikali na zakręcie ścieżki; lecz wielki srebrny krucyfiks migał ciągle pomiędzy drzewami.

Kobiety postępowały w czarnych płaszczykach ze spuszczonemi kapturkami, niosąc zapalone gromnice, a Karol czuł że go odurzają te ciągłe powtarzania jednostajnych modlitw i te światła, te mdłe wonie wosku i kadzidła. Wiatr świeży powiewał, zieleniły się żyta i rzepaki, kropelki rosy błyszczały na cierniowych żywopłotach. Powietrze pełne było wesołych odgłosów: tu kogut radośnie powtarzał swoją świetną odezwę; tam źrebak w podskokach uciekał pomiędzy jabłoniami, owdzie wóz turkotał po wybojach. Czysty błękit wiosennego już nieba upstrzony był różowemi obłoczkami; niebieskawe płomyki ulatywały po nad domkami pokrytemi irysami; Karol przechodząc rozpoznawał miejscowości. Przypominał sobie poranki podobne do tego, kiedy odwiedziwszy chorego, wychodził od niego i spiesznie do żony powracał.

Czarne sukno posiane srebrnemi łzami, unosiło się od czasu do czasu odsłaniając trumnę. Tragarze zmęczeni zwalniali kroku, i mary posuwały się nierówno, jak łódź falą popychana.

Nakoniec stanęli.

Mężczyzni odprowadzili zwłoki aż na dół, na miejsce, gdzie był grób świeżo wykopany w murawie.

Obecni kołem go otoczyli, a podczas gdy ksiądz odmawiał modlitwę, czerwona ziemia na bok odrzucona, osypywała się cichutko.

Skoro przysposobiono cztery linki, wepchnięto na nie trumnę. Karol patrzył jak się powoli spuszczała.

Nakoniec usłyszano stuknięcie, sznury skrzypiąc poszły w górę. Natenczas ksiądz Bournisien wziął rydel, który mu podał Lestiboudois; z kropidłem w prawej ręce, lewą popchnął z zamachem kupkę ziemi, a trumna uderzona żwirem, wydała ten odgłos złowrogi, który brzmi nam w uszach jak oddźwięk wieczności.

Duchowny podał kropidło swemu sąsiadowi. Był nim pan Homais. Potrząsnął niem z powagą, następnie oddał je Karolowi, który zagrzązł kolanami w ziemi, i rzucał ją całemi garściami wołając: „Żegnam cię, żegnam cię!" Przesyłał jej od ust pocałunki; wlókł się ku dołowi, jak gdyby się chciał w nim razem z nią pogrążyć.

Odprowadzono go; niebawem się też uspokoił, doznając może, podobnie jak wszyscy pewnego niewyraźnego zadowolenia że się to już wreszcie skończyło.

Ojciec Rouault, powracając z pogrzebu, zapalił fajkę, co pan Homais uznał w duchu za rzecz bardzo niestosowną. Zauważył także, iż pan Binet wcale się nie pokazał, że Tuvache „wysunął się" po mszy; i że Teodor, służący notaryusza, był niebiesko ubrany, jak gdyby nie można było znaleźć czarnego ubrania, kiedy taki jest zwyczaj, cóż u licha! A dla udzielenia drugim swych uwag, przechodził od jednej gromadki do drugiej. Wszyscy ubolewali nad śmiercią pani Bovary, nadewszystko Lheureux, który nie omieszkał przybyć na pogrzeb.

— Biedaczka! mówił z żalem, co za boleść dla męża!

Aptekarz odpowiadał:

— Wiesz pan, że gdyby nie ja, ten człowiek byłby się targnął na swoje życie!

— Taka dobra osoba! Ktoby uwierzył że zeszłej soboty jeszcze widziałem ją w moim sklepie!

— Nie miałem czasu, rzekł jeszcze Homais, przygotować kilku słów, które byłbym na grób jej rzucił.

Powróciwszy do domu, Karol się rozebrał; ojciec Rouault włożył swoją niebieską bluzę. Była nowa, a ponieważ przez drogę ocierał sobie zapłakane oczy rękawami, farba z niej puściła, i ślady łez porobiły kreski na pokładzie kurzu, jakim była pokryta.

Starsza pani Bovary im towarzyszyła. Milczeli wszyscy troje. Nakoniec poczciwiec westchnął.

— Czy przypominasz sobie mój drogi, jakem przybył do Tostes wkrótce po śmierci twej pierwszej żony? Pocieszałem cię wtenczas! Znalazłem co powiedzieć; lecz dziś...

A wydawszy głęboki jęk, który całe piersi jego podniósł, dodał:

— Dla mnie, to już koniec wszystkiego! Najpierwej żona... potem syn... a teraz córka!.. ostatnia!..

Wybrał się zaraz z powrotem po siebie, utrzymując że nie mógłby spać pod tym dachem. Nie chciał nawet widzieć wnuczki:

— Nie, nie! toby mnie nadto bolało. Uściskaj ją tylko odemnie... Bądź zdrów!... ty dobrym jesteś chłopcem!.. A przytem, ja o tem nigdy nie zapomnę, dodał uderzając się w nogę, nie bój się zawsze swego indyka odbierzesz!

Wyjechawszy jednak na wzgórze, odwrócił się, jak to był niegdyś uczynił na drodze Św. Wiktora, po rozłączeniu się z nią. Okna w całem miasteczku płonęły od ostatnich promieni słońca zachodzącego po nad łąką. Przysłonił ręką oczy, popatrzył zdaleka na ogrodzenie murowane, gdzie drzewa tworzyły miejscami czarne kępy pomiędzy białemi kamiennemi płytami, potem pojechał dalej, lekkim truchcikiem, bo koń jego kulał.

Karol i matka jego, pomimo znużenia, do późnego wieczora z sobą rozmawiali. Mówili o dniach minionych i o przyszłości. Ona przyjedzie mieszkać z nim w Yonville'u, będzie mu gospodarowała, nie rozłączą się już więcej. Była rozmowną i pieszczotliwą, ciesząc się w duchu nadzieją odzyskania miłości, która od tylu lat jej się wymykała. Północ wybiła. Cisza, jak zwykle, panowała w miasteczku, podczas gdy Karol czuwając myślał ciągle o zmarłej.

Rudolf, który dla rozrywki uganiał się przez cały dzień po lesie, spał spokojnie w swoim zamku; Leon spał także w Rouen.

Był jednak ktoś, co nie spał o tej spóźnionej godzinie.

Na świeżej mogile, pomiędzy świerkami klęczał młody chłopak, a pierś jego złamana bolesnem łkaniem, dyszała wśród ciemności pod naciskiem wielkiego żalu, tajemniczego jak księżyc i jak noc niezgłębionego. Wtem skrzypnęła krata. Był to Lestiboudois: przychodził po swój rydel, którego tu zapomniał. Poznał Justyna przeskakującego przez ogrodzenie, i domyślił się zaraz kto mu wykradał kartofle.

XI.

Nazajutrz Karol posłał po swoją córeczkę. Zapytała o mamę. Powiedziano jej że wyjechała, i że jej przywiezie zabawek. Dziewczynka z początku często o niej mówiła, w końcu zapomniała. Wesołość tej dzieciny bolała Bovarego, który nadto musiał znosić niesmaczne pociechy aptekarza.

Niebawem powróciły na stół sprawy pieniężne. Pan Lheureux podniecił znowu swego przyjaciela Vinçarta, i Karol przyjął zobowiązanie na bajeczne sumy; nie chciał bowiem pozwolić na sprzedanie najmniejszego sprzęciku będącego jej własnością. Matka była tem oburzona. Pogniewał się na nią. Zmienił się zupełnie. Odjechała od niego.

Natenczas każdy zaczął *korzystać*. Panna Lempereur podała rachunek za sześć miesięcy lekcyj, chociaż Emma ani jednej nigdy od niej nie wzięła — pomimo owego zapłaconego rachunku, który znalazł Bovary — była to rzecz ułożona pomiędzy niemi obiema; księgarzowi należało się za trzy lata abonamentu; matka Rolet zażądała zwrotu za opłatę jakich dwudziestu listów; a kiedy Karol zapytał jej do kogo były to listy, była tyle delikatną że odpowiedziała:

— Czy ja wiem? do interesantów zapewne.

Za każdym zapłaconym długiem, Karol się spodziewał że to będzie ostatni. Tymczasem przybywało ich coraz więcej.

Dopomniał się o zaległości za lekarskie wizyty. Pokazano mu listy przysłane przez żonę. Wypadało tylko przeprosić.

Felicya nosiła teraz suknie pani; wprawdzie nie wszystkie, bo kilka ich schował, i chodził je oglądać do swego gabinetu, gdzie się zamykał; była prawie jej wzrostu, i nieraz Karol, spostrzegając ją z tyłu, doznawał złudzenia i wołał:

— Zostań! o! zostań!

Lecz na Zielone Świątki Felicya opuściła Yonville, wykradziona przez Teodora, zabrawszy resztę garderoby po nieboszce pani.

Około tego czasu pani Dupuis, wdowa, miała zaszczyt oznajmić panu Bovaremu o „małżeństwie syna swego, pana Leona Dupuis, notaryusza w Yvetôt, z panną Leokadyą Leboeuf z Bondeville'u". Karol do przesłanego jej z tej okoliczności powinszowania, dołączył te słowa: „Jakżeby się moja biedna żona cieszyła!"

Jednego dnia, kiedy błądząc bez celu po domu, zaszedł na poddasze, poczuł pod nogą kulkę z cienkiego zmiętego papieru. Rozwinął ją i przeczytał: „Odwagi Emmo! odwagi! Nie chcę być przyczyną nieszczęścia całego życia twojego." Był to list Rudolfa, upadły na ziemię pomiędzy skrzynie, który tam pozostał, i który przeciąg wiatru ku drzwiom popchnął. Karol stanął nieruchomy i osłupiały na tem samem miejscu, gdzie niegdyś Emma, bledsza jeszcze od niego, chciała umrzeć. Nakoniec dopatrzył maleńkie *R*, przy końcu drugiej stronnicy. Co to było? Przypomniał sobie grzeczności Rudolfa, jego nagłe zniknienie, i zakłopotaną minę jaką miał spotkawszy ją później parę razy. Lecz pełen uszanowania ton listu złudził go.

— Kochali się zapewne platonicznie, rzekł sam do siebie.

Zresztą, Karol nie był z rzędu tych ludzi, którzy wszystko zgłębiają; zamknął oczy na dowody, i nieokreślona zazdrość jego utonęła w ogromie żalu!

Każdy musiał ją uwielbiać, myślał w duchu. Wszyscy mężczyzni pożądali jej zapewne. Tem piękniejszą mu się wydała, i sam pożądał jej nieustannie, szalenie, a ta żądza rozpłomieniała jego rozpacz, i granic nie miała, stawszy się już teraz niedościgłą.

Dla przypodobania się jej, jak gdyby żyła jeszcze, stosował się do jej wyobrażeń, do jej gustów; kupił sobie lakierowane buciki, nosił białe krawaty. Używał kosmetyków do wąsów, podpisywał weksle tak jak ona. Gubiła go jeszcze z po za grobu.

Musiał posprzedawać sztuka po sztuce wszystkie srebra, następnie sprzedał meble z saloniku. Wszystkie pokoje opróżniły się powoli! lecz jej pokój pozostał nietkniętym. Karol udawał się do niego po swym obiedzie. Przysuwał do kominka okrągły stolik, i jej fotel. Sam zasiadał wprost niego. Świeca paliła się w jednym ze złoconych świeczników. Berta, obok niego, kolorowała farbami obrazki.

Cierpiał biedny człowiek, widząc ją tak źle ubraną, w wywleczonych bucikach i podartych bluzkach, gdyż sługa nie dbała o nią wcale. Lecz była tak miłą, tak ładniutką, jej główka z takim wdziękiem się pochylała muskając go po twarzy jasnemi włoskami, że go przy niej ogarniała roskosz niewysłowiona, chociaż pomieszana z goryczą, jak te wina zaprawne, które czuć żywicą. Naprawiał jej zabawki, robił jej maryonetki z tektury, zaszywał jej rozprute korpusy lalek. A gdy wzrok jego padł na koszyczek od roboty, na kawałek wstążki, lub chociaż na szpilkę pozostawioną w szparze stolika, pogrążał się w dumanie, i tak był smutnym, że i dziewczynka wesołość traciła.

Nikt ich teraz nie odwiedzał; Justyn bowiem uciekł do Rouen, gdzie został kupczykiem w handlu korzennym, a dzieci aptekarza coraz rzadziej widywały małą Bertę, gdyż pan Homais, z uwagi na różnicę ich towarzyskiego położenia, nie życzył sobie utrwalenia tej zażyłości.

Niewidomy, którego nie potrafił uleczyć swoją maścią, powrócił na wybrzeże Lasku Wilhelma, gdzie opowiadał podróżnym o nadaremnych usiłowaniach aptekarza tak często, że Homais, udając

się do miasta, krył się za franki *Jaskółki*, aby uniknąć jego spotkania. Nienawidził go, i w interesie własnej opinii pragnąc go się pozbyć koniecznie, wymierzył przeciwko niemu ukrytą bateryę, która zdradziła głębokość jego umysłu i przewrotność jego próżności. Przez ciąg całych sześciu miesięcy, można było czytać w *Fanal de Rouen* artykuły tej treści:

„Ktokolwiek podróżuje po żyznych równinach Pikardyi, zwrócił zapewne uwagę w okolicy Lasku Wilhelma na nędzarza dotkniętego ohydną raną na twarzy. Nieszczęśliwy ten naprzykrza się, prześladuje podróżnych i prawdziwy podatek od nich pobiera. Żyjemyż jeszcze w potwornej epoce wieków średnich kiedy wolno było włóczęgom rozpościerać na naszych placach publicznych trąd i skrofuły, które przynieśli z wojen Krzyżowych?"

Albo też:

„Pomimo praw przeciwko włóczęgostwu, okolice większych miast naszych zapowietrzone są przez bandy żebraków. Niektórzy z nich włóczą się pojedynczo, a ci może nie najmniej są niebezpiecznymi. O czem myślą nasi edylowie?"

Nadto Homais wymyślał urojone przygody:

„Wczoraj, na wybrzeżu Lasku Wilhelma, koń płochliwy..." Następowało opowiadanie wypadku spowodowanego obecnością niewidomego.

Tak długo intrygował, aż zamknięto niewidomego nędzarza. Wkrótce go jednak puszczono. On zaczął znowu swoje, i pan Homais swoje. W tej walce nierównej, aptekarz zwyciężył wreszcie, gdyż nieprzyjaciela jego skazano na dożywotnie zamknięcie w szpitalu.

To powodzenie ośmieliło go. Od tej chwili nie zdarzył się w całym okręgu żaden wypadek rozjechania psa, pobicia kobiety, spalenie stodoły — o któremby nie doniósł publiczności, zawsze kierowany miłością postępu i nienawiścią dla księży. Robił porównania pomiędzy szkołami początkowemi a braćmi zakonnymi, ze szkodą tych ostatnich, przypominał Św. Bartłomieja z okazyi zapisu stu franków zrobionego na kościół, wykrywał nadużycia, ostrzegał publiczność. To było jego hasło. Homais podkładał miny: stawał się niebezpiecznym.

Jednakże za ciasno mu było w ograniczonych szrankach dziennikarstwa, zapragnął niebawem książki, dzieła! I ułożył *Statystykę ogólną kantonu Yonvillskiego, wraz z spostrzeżeniami klimatologiczne-*

mi, a statystyka popchnęła go do filozofii. Zajął się wielkiemi bieżącemi zagadnieniami, kwestyą socyalną, umoralnieniem klas ubogich, hodowlą ryb, kauczukiem, drogami żelaznemi, etc. etc. Przyszło do tego że się wstydził być mieszczaninem. Naśladował *szyk* artystów, palił cygara! Kupił sobie dwa posążki w rodzaju Pompadour, dla ozdoby swego salonu.

Nie porzucał jednak aptekarstwa; przeciwnie! śledził wszystkie nowe odkrycia. Wziął udział w wielkim ruchu czekoladowym. On pierwszy sprowadził do departamentu Niższej Sekwany *rakahu* i *rewalentę*. Zapalił się do łańcuszków hydroelektrycznych Pulwermachera; sam takowy nosił, a kiedy wieczorem zdejmował flanelowy kaftanik, pani Homais stawała olśniona przed tą złotą szrubą która go opasywała, i z podwojonym zapałem czciła tego męża skrępowanego jak Scyta a wspaniałego jak mag.

Pan Homais piękne miał także pomysły co do grobowca Emmy. Najpierwej proponował złamaną kolumnę z draperyą, następnie piramidę, potem świątynię Westy, rodzaj rotondy... lub też „stos gruzów." A obok tych wszystkich planów obstawał za wierzbą płaczącą, którą uważał jako niezbędny symbol smutku.

Pojechał razem z Karolem do Rouen, dla obejrzenia grobowców u przedsiębiorcy pogrzebów,— w towarzystwie artysty-malarza, niejakiego Vaufrylard'a, przyjaciela Bridoux'a, który przez cały czas powtarzał kalambury. Nakoniec, obejrzawszy ze sto rozmaitych rysunków, kazawszy sobie sporządzić kosztorys i odbywszy powtórną podróż do Rouen, Karol namyślił się na pomnik, który z dwóch głównych frontów miał mieć „geniusza trzymającego zgaszoną pochodnię".

Co do napisu, Homais nie mógł znaleźć nic piękniejszego nad: *Sta viator*, i na tem stanął; łamał sobie głowę; powtarzał bezustannie: *sta-viator*... Nakoniec wynalazł: *amabilem conjugem calcas!* co zostało przyjętem.

Rzecz szczególna, że Bovary myśląc ciągle o Emmie, zaczynał ją zapominać; i rozpaczał czując że obraz ten wymykał mu się pomimo wszelkich usiłowań jakie czynił żeby go zatrzymać. Każdej nocy jednak śnił o niej; był to zawsze jednakowy sen: przybliżał się do niej, a w chwili gdy już miał ją uścisnąć, rozsypywała się w proch w jego objęciach.

Przez tydzień widziano go co wieczór wchodzącego do kościoła. Ksiądz Bournisien odwiedził go

nawet kilka razy, potem dał pokój. Zresztą, księżulo zaczynał się zwracać do ultramontanizmu, do fanatyzmu, powiadał Homais; piorunował przeciwko duchowi wieku i nie omieszkał co dwa tygodnie na kazaniu, opowiadać konanie Voltaire'a, który umarł pożerając własne odchody, jak to każdemu wiadomo.

Pomimo oszczędności z jaką żył Bovary, nie podobna mu było pospłacać zaległych długów. Lheureux nie chciał już przedłużyć terminu żadnego wekslu. Zajęcie stało się nieuchronnem. Odwołał się natenczas do matki, która przystała na zahypotekowanie długu jego na swym majątku nie szczędząc przytem zarzutów przeciwko Emmie; a w zamian za tę dogodność, żądała żeby jej przysłał szal po nieboszce, ocalały z rabunku Felicyi. Karol odmówił. Poróżnili się znowu.

Pani Bovary zrobiła pierwsze kroki do zgody, ofiarując synowi że weźmie do siebie Bertę, którą przyuczy do pomagania sobie w domu. Karol przystał na to. Ale w chwili odjazdu, odwaga go odstąpiła. Wtedy zerwanie nastąpiło zupełne stanowcze.

W miarę jak zwiększało się wokoło niego osamotnienie, przywiązywał się coraz silniej do mi-

łości tej dzieciny. Niepokoiła go jednak, gdyż często kaszlała, i dostawała czerwonych wypieków na policzkach.

Wprost jego mieszkania rozpościerała się wesoła i kwitnąca rodzina aptekarza, któremu wszystko się powodziło. Napoleon pomagał mu w laboratoryum, Atalia haftowała mu nową grecką czapeczkę, Irena wykrawała kółka z papieru do przykrywania słoików z konfiturami, a Franklin powtarzał bez zająknienia tabliczkę Pitagorasa. Był najszczęśliwszym z ojców, najszczęśliwszym z ludzi.

Złudzenie! pożerała go żądza tajemna: Homais pragnął krzyża. Nie zbywało mu na prawach do tego zaszczytu:

1) Podczas cholery odznaczyłem się poświęceniem bez granic; 2) wydałem własnym kosztem kilka dzieł publicznego użytku jak... (tu przypominał swoją broszurę pod tytułem: *O jabłeczniku, jego wyrobie i skutkach;* następnie *Spostrzeżenia o mszycy owczej*, posłane do Akademii; książkę *O Statystyce*, a nawet *Tezę farmaceutyczną*); nie licząc że jestem członkiem kilku stowarzyszeń uczonych (był nim jednego tylko).

— Wreszcie, mówił wykręcając się na pięcie, choćby tylko za odznaczenie się przy pożarach!

W końcu Homais przechylił się na stronę władzy. Oddał potajemnie panu prefektowi znakomite usługi przy wyborach. Słowem sprzedał się, frymarczył sobą. Podał nawet do monarchy prośbę, w której błagał o *wymierzenie mu sprawiedliwości;* nazywał go *naszym dobrym królem* i porównywał go do Henryka IV.

I co rano aptekárz chciwie porywał dziennik szukając w nim swej nominacyi; nie mógł jej się doczekać. Nakoniec nie mogąc już wytrzymać, kazał w swoim ogrodzie nakreślić gazon w kształcie gwiazdy legii honorowej, z dwoma krzaczkami wyższej trawy u wierzchu, które miały naśladować wstążeczkę. Przechadzał się koło tego ze skrzyżowanemi ramiony, dumając nad niedołęztwem rządu i niewdzięcznością ludzi.

Przez poszanowanie, czy przez rodzaj zmysłowości, która mu kazała z powolnością się rozpatrywać w pozostałych mu skarbach, Karol nie był jeszcze otworzył skrytki w palisandrowem biureczku Emmy. Jednego dnia nareszcie usiadł przed niem, zakręcił klucz w zamku i nacisnął sprężynę. Znajdowały się tam wszystkie listy Leona.

Tym razem wątpić już nie mógł. Pochłonął je wszystkie co do jednego, przewrócił wszystkie kąty, wszystkie sprzęty, wszystkie szuflady, rozbijał ściany, płacząc, rycząc, oszalały, bezprzytomny. Znalazł pudełeczko, rozbił je obcasem od buta. Miniatura Rudolfa wpadła mu prosto w oczy, pośród porozrzucanych liścików.

Dziwiono się jego zwiększonemu znękaniu. Nie wychodził z domu, nie przyjmował nikogo, nie chciał nawet odwiedzać chorych. Wtedy zawyrokowano, że się zamykał *aby się upijać.*

Czasem jednak, ciekawy przechodzień zaglądał przez płot ogrodzony, i ze zdumieniem patrzył na tego człowieka zarośniętego, w brudnej odzieży, o dzikiem wejrzeniu, który chodził wielkiemi krokami płacząc głośno.

Podczas letnich wieczorów brał z sobą swoją córeczkę i prowadził ją na cmentarz. Powracali ztamtąd ciemną już nocą, kiedy na całym placu w jednem tylko Bineta okienku jeszcze się świeciło.

Jednakże nie mógł się do woli lubować swoją boleścią, bo nie miał blizko siebie nikogo coby ją podzielał; w braku odpowiedniejszego powiernika odwiedzał panią Lafrançois, aby módz *o niej*

rozmawiać. Lecz oberżystka jednem uchem go tylko słuchała, mając także swoje zmartwienia, gdyż pan Lheureux zaprowadził nakoniec *pośredniczki handlu*, a Hivert który uchodził za umiejącego wybornie załatwiać zlecenia, żądał powiększenia płacy i groził nawet przyjęciem obowiązku u *konkurencyi*.

Jednego dnia Karol udawszy się na jarmark w Argueil dla sprzedania konia, ostatni swój dobytek, — spotkał tam Rudolfa.

Obadwa zbledli spojrzawszy na siebie. Rudolf który był tylko kartę swoją przysłał na pogrzeb pani Bovary, zrazu wyjąkał jakieś przeproszenie potem ośmielił się, i tak dalece nawet posunął pewność siebie, że zaprosił Karola na butelkę piwa — był to gorący dzień sierpniowy.

Siedząc wprost niego z łokciami na stole opartemi, gryzł cygaro nie przestając rozmawiać, podczas gdy Karol tonął w dumaniach przed tą postacią, którą *ona* kochała. Zdawało mu się że widzi jakąś cząstkę jej samej. Było to coś dziwnego. Byłby chciał być tym człowiekiem.

Tamten rozprawiał wciąż o gospodarstwie, o nawozach, o inwentarzu, wtrącając obojętne zdania wszędzie, gdzie tylko wśliznąć się mogło jakie

drażliwe zastosowanie. Karol nie słuchał go wcale; Rudolf to miarkował i śledził na twarzy swego towarzysza bieg tłoczących go wspomnień. Powoli twarz ta krwią nabiegała, nozdrza się rozdymały, wargi drgały, była nawet chwila, kiedy Karol dzikim ogarnięty szałem, wlepił wzrok ponury w Rudolfa, który zamilkł przestraszony. Ale niebawem twarz nieszczęśliwego powróciła do dawnego wyrazu bolesnego znękania.

— Nie mam żalu do pana! rzekł.

Rudolf oniemiał. A Karol ująwszy głowę w obie dłonie, powtórzył głosem zagasłym, z wyrazem nieuleczonego smutku:

— Nie, nie mam do pana żalu!

Dodał nawet wielkie słowo, jedyne jakie w życiu swem powiedział:

— Tak chciało przeznaczenie!

Rudolf, który pokierował tem przeznaczeniem, znalazł go bardzo dobrodusznym na człowieka w jego położeniu, nawet śmiesznym i trochę nikczemnym.

Nazajutrz Karol usiadł na ławeczce w altance. Słońce przeświecało przez kraty; winne liście rysowały cienie na piasku, jaśmin wonią napełniał powietrze, niebo jaśniało czystym błękitem, kan-

tarydy brzęczały wokoło bzów kwitnących, a Karol dyszał jak młodzieniaszek pod niewyraźnemi prądami miłosnemi, które wzdymały zbolałe serce jego.

O siódmej godzinie przyszła po niego mała Berta, która go przez całe popołudnie nie widziała, zawołać go na obiad.

On miał głowę o mur opartą, oczy zamknięte, usta otwarte i w ręku trzymał długi promień czarnych włosów.

— Chodźże tatku! rzekła.

A sądząc że z nią żartuje, popchnęła go lekko. Upadł na ziemię. Już nie żył.

W trzydzieści sześć godzin później nadjechał doktór Canivet, zawezwany przez aptekarza Homais. Otworzył trupa i nic nie znalazł.

Po sprzedaniu wszystkiego i uregulowaniu interesów, pozostało dwanaście franków i piętnaście centymów, które posłużyły na opłacenie podróży małej Berty Bovary do babki. Poczciwa kobiecina umarła następnego roku, a ponieważ ojciec Rouault był sparaliżowany, ciotka wzięła ją do siebie. Będąc sama ubogą, posyła dziewczynkę na zarobek do przędzalni bawełny.

Od śmierci Bovarego, trzech lekarzy kolejno po sobie następowało w Yonville'u, nie mogąc się utrzymać, tak im pan Homais przeszkadzał. Aptekarz robi sobie ogromną klientelę, władze go oszczędzają, a opinia publiczna broni.

Właśnie otrzymał krzyż legii honorowej.

KONIEC.

BIBLIOT
OSSOLIN

Zakład Narodowy
im. Ossolińskich
1100112437